

**Gloria Goldreich**

**Kolacja z Anną Kareniną**

## Rozdział pierwszy

Idąc szybkim krokiem po Osiemdziesiątej Trzeciej Wschodniej, Trish Bartlett zerknęła na zegarek. Za kwadrans szósta. Nie była spóźniona, ale nie chciała przyjść dokładnie o czasie ani też pojawić się pierwsza. Zwolniła kroku i zatrzymała się przy koreańskim stoisku na rogu koło domu Cynthii, gdzie przyjrzała się krytycznie kwiatom, przekwitającym i więdnącym irysom, ostatnim różom w sezonie, gubiącym płatek za płatkiem. W końcu zdecydowała się na doniczkę cynii w kolorze bursztynu, które, jak uznała, będą się uroczyście prezentować na środku stołu podczas kolacji z okazji pierwszego po wakacjach spotkania klubu książki. Ale już płacąc, pożałowała tego zakupu. O ile zna Cynthię, jadalnia będzie przystrojona drogimi bukietami komponującymi się kolorystycznie z obrusem i zastawą. To właśnie styl Cynthii – niewymuszona elegancja, łatwa do osiągnięcia dzięki karcie kredytowej i Mae, gospodyni, która przytnie łądygi i ustawi wazon w najwłaściwszym miejscu na gustownie nakrytym stole.

Trish wzięła kwiaty i podniosła teczkę, krzywiąc się z wysiłku. Aktówka była przeładowana kartami pacjentów, które postanowiła uaktualnić tej nocy. Czasu będzie niewiele po spotkaniu klubu, po pospiesznym przyplywie namiętności Jasona (pewnik, gdy wracała późno do domu, potwierdzenie władzy męża nad nią, zadośćuczynienie za jego pełną humorów samotność), po pocieszeniu Mandy, która nieuchronnie, może instynktownie, budziła się, kiedy akt miłosny rodziców zbliżał się do nużącego finału. A jednak dokumentacja pacjentów musi być uzupełniona. Nad szpitalem wisiał cień nadchodzącej państwowej kontroli i na Trish spadło tyle dodatkowych obowiązków, że z trudem znajdowała czas na nieuniknione nagłe przypadki. Tylko tego popołudnia miała dwa – trzynastolatkę, której samookaleczanie nasiliło się do tego stopnia, że niemal podpadało pod próbę samobójczą, i anorektyczną studentkę Sarah Lawrence, która zasłała w akademiku i nie była w stanie wykrztusić słowa ani

zapanować nad szlochem.

Wybrałam niewłaściwy zawód, powiedziała sobie Trish z goryczą, czekając na zmianę świateł. Cynthia dokonała właściwego wyboru, niech ją diabli. Ostatnie trzy słowa wypowiedziała na głos i zaskoczyła ją ostrość własnego tonu. Przecież mimo wszystko Cynthia była jej przyjaciółką, i to bardzo dobrą.

– A kogóż to chciałabyś posłać do diabła?

Jen, która widocznie szła dosłownie kilka kroków w tyle, zrównała się z nią i powitała ją łobuzerskim uśmiechem. Chociaż sama niosła przeładowaną skórzaną aktówkę, wzięła teczkę Trish, aby jej było wygodniej trzymać kwiaty.

– Nie podkradaj się tak do przyjaciół, Jen! Myślałam właśnie o pewnej idiotce ze szpitala, która schrzaniła diagnozę – skłamała Trish. – Nic szczególnego.

Pochyliła się lekko i złożyła pocałunek na głowie swojej małej przyjaciółki. Była zadowolona z tych kilku chwil tylko z nią, zanim wpadną w gorączkowy wir uścisków i wyrzucanych jednym tchem pozdrowień, gdy członkinie klubu spotkają się po wakacyjnej przerwie, każda z pokreślonym, zniszczonym egzemplarzem *Anny Kareniny* pod pachą. Z nich wszystkich Jen była Trish najbliższa – nigdy nie stawiała wymagań, unikała konfrontacji, tak samo spokojna i zgodna podczas dyskusji jak w relacjach z Ianem, jej wieloletnim partnerem.

– Wyglądasz świetnie, Jen. Jak ci minęło lato? Filigranowa, uśmiechnięta Jen naprawdę prezentowała się wspaniale. Jej skóra nabrała na słońcu różano-złotego odcienia, a krótkie ciemne włosy okalały twarz burzą sprężynek; koralowa zrobiona na drutach sukienka otulała jej małe, drobne ciało.

– Całkiem nieźle. Kilka udanych weekendów i potwornie nudne leniuchowanie na wybrzeżu Rhode Island. Ian poczuł nagłą potrzebę malowania obrazów marynistycznych i ktoś udostępnił mu chatę niedaleko Westerly. Więc on malował, a ja czytałam *Annę Kareninę* i starałam się nie nasypać sobie piasku pod kostium. Myślisz, że urocza Anna musiała się kiedyś martwić o

piasek, który dostał się jej w krocze?

– Nawet gdyby, nie mówiłaby o tym – odpowiedziała Trish ze śmiechem. – Hrabia Lew nie za dobrze radził sobie z kwestią kobiecej intymności.

– Porozmawiajmy o tym. Po fasolce po bretońsku. To nasze dzisiejsze danie. Cynthia powiedziała, że to na cześć pierwszego spotkania po wakacjach. Chociaż kiedy widziałam ją dziś w biurze, nie wyglądała na osobę w nastroju do świętowania. Coś ją gryzło. Może nowa asystentka jest zbyt mądra lub zbyt ładna, albo jedno i drugie.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała, jak naszą księżniczkę Cynthię coś gryzie – stwierdziła Trish. – Według mojej diagnozy żadna zawistna asystentka nie jest w stanie jej zagrozić.

– Może.

Jen zmarszczyła brwi i spojrzała w górę na wysoki wiaź stojący na straży przed domem Cynthii. Wąskie liście o złotawych brzegach drżały na lekkim wczesnowieczornym wietrzyku. Te, które właśnie opadły, tańczyły po chodniku, swoją kruchością przypominając o nadchodzącej jesieni. Chociaż powietrze było ciepłe, Jen zadrżała mimowolnie.

– A więc pracujesz z nią nad kolejnym projektem? – zapytała Trish.

– U Cynthii zawsze jest jakiś nowy projekt. Nie ma wytchnienia dla zmęczonych ani dla dyrektora do spraw marketingu w Nightingale's. Tym razem chodzi o katalog na Święto Dziękczynienia – rękawice w kształcie indyka, satynowe fartuszki w kolorze dyni – eleganckie akcesoria kuchenne dla eleganckich klientów, którzy nigdy nie zbliżą się do kuchni. Termin jest krótki i pewnie przesiedzę dziś nad tym całą noc, ale nie narzekam. Przydadzą nam się pieniądze, Ian nie sprzedał niczego od paru miesięcy i ostatnimi czasy dość ciężko nam związać koniec z końcem. Cieszę się z tej pracy. Wielu niezależnych grafików cienko teraz przedzie, więc naprawdę mam szczęście, że Cynthia zna na pamięć mój numer telefonu.

– A Cynthia ma szczęście, że jej pomagasz – dodała Trish lojalnie.

Widziała ulotki i katalogi, których tworzenie przychodziło Jen z niesamowitą łatwością, i była pełna podziwu dla zdolności przyjaciółki. Jak większość naukowców Trish fascynował talent artystyczny, ta kreatywność wynikająca z intuicji, tak zupełnie niezwiązana z danymi, badaniami czy doświadczeniami, w tajemniczy sposób objawiająca się na płótnie lub papierze.

– Cynthia w ogóle ma sporo szczęścia – powiedziała Jen bez cienia goryczy, a Trish skinęła głową, pełna podziwu dla wielkoduszności przyjaciółki. Jej własna ocena życia Cynthii była zabarwiona zazdrością, co uważała za zrozumiałe, ale raczej niezbyt chwalebne.

Prawda była taka, że Cynthia miała wszystko – wspaniałą pracę w Nightingale's, ekskluzywnym domu handlowym, świetną pensję i jeszcze lepsze świadczenia dodatkowe. Był też Erie, przystojny mąż doskonały, którego filmy dokumentalne zbierały jedną nagrodę za drugą. Liza i Julie, złotowłose bliźniaczki, w tym samym wieku co Mandy, ale tak pewne siebie jak ona nieśmiała (Trish nie wątpiła, że bliźniaczki nigdy nie budzą się w ciemnościach, wystraszone i drżące). No i oczywiście była Mae, mieszkająca z nimi gospodyni, w asyście kolejnych europejskich au pairs, które mówiły po angielsku z uroczym akcentem i znakomicie zajmowały się dziećmi oraz wielopokojowym domem z szerokimi oknami, lśniącymi drewnianymi podłogami i tarasem wychodzącym na pięknie zaaranżowany ogród. I rzecz jasna były też wyjazdy w egzotyczne miejsca na premiery filmów Erica czy na uroczyste otwarcia nowych sklepów sieci Nightingale's. Baśniowe życie baśniowej bohaterki – Cynthia miała w sobie tyleż dobroci i szczodrości, co szczęścia. Zazdrość Trish stanowiła dla niej samej prawdziwą zagadkę. Wiedziała, że tak naprawdę nie ma żadnego powodu, by ją odczuwać. Sama prowadziła życie, jakie sobie wymarzyła w latach młodości, gdy studia medyczne i małżeństwo należały jeszcze do dalekiej i być może nieosiągalnej przyszłości. Nawet w latach dziewięćdziesiątych studentki

medycyny miały pod górkę, a dla stypendystek, jak ona, górka była wyjątkowo stroma. Wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu ma zawód, doskonale dopasowaną obrączkę od Jasona na palcu i uśmiechnięte zdjęcie Mandy z przedszkola, dyskretnie ustawione na biurku. Praca Jasona zapewne nie jest tak fascynująca jak Erica, ale z dużym powodzeniem kieruje spółką inwestycyjną, jego nazwisko pojawia się od czasu do czasu w „Wall Street Journal”, a ostatnio zaczął nalegać, by rozejrzała się za większym mieszkaniem i rozważyła kupno domu letniego w Berkshires. „Jesteśmy na dobrej drodze”, zwierzał się jej po każdym sukcesie finansowym, zarumieniony jak alpinista, który zbliża się do wysokiego, nieosiągalnego szczytu. Trish zawsze w odpowiedzi ścisnęła go serdecznie, uśmiechała się z dumą, chciała dorównać mu entuzjazmem. Jest wspaniały, powtarzała sobie surowo. Mam wspaniałego męża.

A Mandy była rozwiniętym nad wiek, serdecznym dzieckiem (Trish w duchu uważała bliźniaczki Cynthii za trochę oziębłe albo, jak by to ujęli jej koledzy zajmujący się psychologią dziecięcą, emocjonalnie ubogie). Trish wiedziała, że jest przedmiotem podziwu młodych stażystek. Pewna przystojna rezydentka na psychiatrii nawet obcięła włosy na podobieństwo jej zmierzwionej, warstwowej fryzury. Kiedyś niechętnie dosłyszała, jak rozmawiały cicho z podziwem o tym, że tak umiejętnie Trish godzi karierę i rodzinę. Jej sukces dawał im nadzieję. Ma takie wspaniałe życie – powiedziała tęsknie jedna praktykantka do drugiej. – Dobrze zrobiła, że poczekała z dzieckiem, aż skończy staż i zacznie pracować na etacie.

I to była prawda. „Mam wspaniałe życie”. Powiedziała to sobie jak mantrę, która powtarzana dość często, pozwoli jej uwierzyć.

Dlaczego więc łapie się na porównywaniu swojego życia z życiem Cynthii? Dlaczego co rano musi walczyć, by wyrwać się z pajęczyny smutku, która oplatają nocą? Wzruszyła ramionami. Może to wyczerpanie. Nadmierna gorączkowość dnia codziennego. Powinna zastanowić się nad zatrudnieniem pomocy domowej. Stać ich na to. Dziś zapyta Cynthię o agencję, która

przysła jej te wszystkie atrakcyjne, pomocne au pairs. Poprawił jej się nastrój, jakby ta przelotna myśl oznaczała podjętą decyzję, i uśmiechnęła się do Jen, gdy wspinały się po szerokich kamiennych schodach prowadzących do wypolerowanych dębowych drzwi. Jen uniosła ciężką mosiężną kołatkę, wyczyszczoną do dyskretnego połysku. Okna były otwarte i ze środka dochodziły dźwięki uproszczonej wersji *Dla Elizy*, wydobywane ze strun małych skrzypiec Suzuki. To bliźniaczki ćwiczyły, ich muzyka unosiła się w delikatnym wieczornym powietrzu.

Do jej nozdrzy dotarł zapach pieczonego mięsa z dodatkiem jakichś tajemniczych przypraw i Trish zdała sobie sprawę, że jest głodna. Usiłowała sobie przypomnieć, czy jadła lunch, ale pamiętała jedynie, że udało jej się przegryźć jabłko między rozmową ze zdenerwowanym rodzicem a konsultacją z gastroenterologiem zatroskanym dietą pacjentki z bulimią.

Trish skierowała go do Donny, która bez wątpienia, pewnie gdzieś między deserem i analizą *Anny Kareniny*, wyrazi swoje niezadowolenie z tego najścia.

To właśnie Donna z promiennym uśmiechem otworzyła drzwi, po czym uścisnęła Jen i otoczyła ramieniem Trish w geście braterstwa (i może też pojednania). Trish nie po raz pierwszy przyszło do głowy, że Donna poza szpitalem zamienia się w inną osobę. W swoim gabinecie dietetyczki, gdzie na surowych zielonych ścianach nie wisi nic prócz piramidy zdrowia i szczegółowych schematów układu trawienia, Donna związuje popielate włosy w ciasny kok. Na bladej twarzy nie ma makijażu, długi biały fartuch laboratoryjny skrywa kragłą, ponętną sylwetkę, a białe sznurowane półbuty sięgają jej do smukłych kostek. Ale tu, w przedpokoju Cynthii, rozpuszczone włosy otulają ramiona Donny jedwabiem, błękitny cień w tej samej tonacji co jej oczy pokrywa powieki, a odrobina różu podkreśla wysokie kości policzkowe. Jest ubrana w jasnioletowy obcisły sweter i odpowiednio dobrane spodnie. Płaskie buty w tym samym kolorze leżą na jej stopach niczym najdelikatniejsze rękawiczki na

dłoniach. Wygląda jak kobieta, która ubrała się dla mężczyzny, i z pewnością jeden z jej dwóch kochanków będzie czekał na nią cierpliwie po dzisiejszym spotkaniu, wezwany przez komórkę na róg Osiemdziesiątej Trzeciej Wschodniej – albo Tim, muzyk jazzowy, albo Ray, uczony neurolog. Z wielką wprawą dzieliła między nich swoje wolne godziny i wieczory; kolacja z Rayem, koncert z Timem, weekendy spędzane raz z jednym, raz z drugim, co budziło podziw i zdumienie wśród przyjaciółek. Zapewniały się nawzajem, że żadna nie chciałaby prowadzić takiego życia, ale były pod wrażeniem zręczności, z jaką Donna sobie z tym wszystkim radzi. Oczywiście mówiły sobie, że Donna jest od nich młodsza, co może tłumaczyć jej odporność. Wraz z Riną należały do klubowych junierek, gdyż dopiero co, ostrożnie, na palcach, przekroczyły zdradliwą granicę trzydziestki.

– Spóźniłyście się – skarciła Donna łagodnie Trish i Jen. – Wszystkie już jesteśmy. Niektóre piją drugi kieliszek chablis. I straciłyście duet Lizy i Julie.

– Pewnie tak to sobie zaplanowały – zawołała uszczypliwie Elizabeth, siostra Jen, z salonu, gdzie siedziała na skórzanej kanapie obok Riny.

Trish posłała Jen współczujące spojrzenie. Elizabeth rzadko marnowała okazję, by rzucić jakąś kąśliwą uwagę, cyniczny komentarz.

Trish nieraz już zadziwiał zupełny brak podobieństwa między siostrami – wysoką Elizabeth o mysich włosach i spiętej, wąskiej twarzy i filigranową Jen, odprężoną i niemal uległą, skorą do żartów z samej siebie, ciepłą dla innych. Ich przypadek przydawał całkiem nowego wymiaru ulubionej dyskusji psychologów o roli cech wrodzonych i wychowania w rozwoju człowieka. Trudno było uwierzyć, że siostry dorastały w jednym domu i miały tych samych rodziców, ale z drugiej strony należało oczywiście pamiętać, że życie potraktowało je różnie. Trish upomniała się, że powinna współczuć Elizabeth. Niełatwo być matką autystycznego chłopca i żoną bezwzględniego szowinisty, jak ten sukinsyn Bert.

Poza tym Elizabeth była cennym członkiem grupy,



spozstrzegawczym i przenikliwym. Jak wszystkie przyjaciółki miała zamiłowanie do analizy i dogłębnej interpretacji tekstu. Jen postąpiła słusznie, proponując siostrze, żeby się do nich przyłączyła, kiedy Carla, dawna członkini, po rozwodzie przeprowadziła się do Los Angeles. Skład klubu zmieniał się przez lata, a kobiety zapraszane w miejsce tych, co odeszły, były dobierane bardzo ostrożnie. Przyjaciółki wierzyły, że nie są jakąś zwyczajną grupką towarzyską, która zbiera się, by uciec przed nudą pustych wieczorów, krytycznymi mężami i wymagającymi dziećmi w leniwą rozmowę o najnowszych bestsellerach. Spotykały się, ponieważ łączyła je miłość do literatury. Książki były im niezbędne jak powietrze. Wszystkie potrafiły zanurzyć się w życie fikcyjnej postaci, dyskutować żarliwie o rozwoju akcji – podejmowanych decyzjach, rozwiązanych dylematach. Każda wносиła do rozmowy wyjątkowe spostrzeżenia płynące z doświadczeń zarówno osobistych, jak i zawodowych, a Elizabeth, przy całym swoim sarkazmie i surowości, była bardzo bystra. Własne problemy może ją przerastały, ale z łatwością poradziłaby sobie z kłopotami Anny Kareniny. Trish zaczęła się nagle zastanawiać, jak Elizabeth, która złożyła swoje życie w ofierze na ołtarzu choroby syna, odbiera rozmyślenia Anny o porzuceniu jedyne go dziecka.

Uśmiechnęła się do Riny, jak zawsze zbyt bladej i chudej, o drobnym ciele zagubionym w przydużym białym swetrze i czarnych workowatych spodniach, i o pozbawionych pierścionków dłoniach z obgryzionymi paznokciami. Rina odpowiedziała jej słabym skinieniem ręki, jakby nawet to stanowiło dla niej za duży wysiłek.

Cynthia, uśmiechnięta i promienna, o kasztanowych luźno związanych włosach, z przydymionym topazem na długim złotym łańcuchu, który podkreślał dyskretną elegancję prostej jasnozielonej jedwabnej sukienki, siedziała wygodnie w głębokim skórzanym fotelu. Na kolanach trzymała Lizę i Julie. W piżamach z Kubusiem Puchatkiem, z małymi skrzypcami w rękach, patrzyły na nią z uśmiechem, jakby pozowały niewidzialnemu artyście.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca na chwilę rozświetliły głowy matki i córek niczym ogniste aureole.

– Jen, Trish, witajcie. Jakie śliczne kwiaty. Dzięki. – Cynthia uśmiechnęła się i wskazała im ręką kieliszki z winem.

Jak na zawołanie bezgłośnie pojawiła się koło nich Mae i zabrała cynie.

Mae, tęga Irlandka o zgaszonych piwnych oczach i cienkich, rzadkich włosach, przez które przeświecała różowa skóra głowy, miała na sobie brzoskwiniowy dres, jeden z dużej kolekcji podobnych strojów, i dobrane pod kolor tenisówki.

– Skąd ona bierze takie buty? – spytała kiedyś Elizabeth, gdy Mae pojawiła się w komplecie w kolorze oliwkowym, a Jen odpowiedziała jej z powagą, że dyrektor do spraw marketingu w Nightingale's bez trudu może znaleźć każdy produkt.

– Jeśli czegoś nie ma na składzie, zrobią to specjalnie dla niej – wyjaśniła Jen.

– Szczęściara z tej Mae. To chyba lepsze niż mieć własne życie. – Komentarz Elizabeth był jak zwykle zgryźliwy.

– Dziękuję, Mae – powiedziała uprzejmie Jen. – Miałaś udane wakacje?

– Powiedzmy.

Wszystkie zdawały sobie sprawę, że gosposia odnosi się z dezaprobatą do nich i ich ożywionych dyskusji, żałuje im czasu, który Cynthia poświęca przyjaciółkom, i ma za złe, że spotkania są dla niej źródłem dodatkowej pracy. W końcu to Mae gotowała dla nich posiłki (według wyśmienitych przepisów wybranych przez Cynthię), nakrywała stół (zgodnie ze wskazówkami Cynthii) i sprzątała po kolacji, podczas gdy one siedziały w salonie i prowadziły żarliwe dyskusje o rozwoju akcji i postaci. Wiedziały też, że Cynthii nie interesuje opinia Mae, lecz tylko jej sprawność i solidność. W zamian za to płaciła jej bardzo wysoką pensję i zamawiała specjalnie dla niej pastelowe tenisówki. Jak wiele kobiet, których życie zbudowane zostało na poczuciu uprzywilejowania, Cynthia chętnie płaciła więcej, niż wynosi normalna stawka, za pewność, że dom jest doskonale prowadzony,

a potrzeby jej rodziny błyskawicznie zaspokajane.

– Czy kolacja będzie niedługo gotowa? – rzuciła Cynthia za wychodzącą Mae.

– Proszę tylko powiedzieć, kiedy podać – powiedziała Mae i zatrzasnęła za sobą drzwi do kuchni.

– Ingrid – zawołała Cynthia, po czym zwróciła się do swoich dzieci, kładąc wypielegnowane dłonie na złotowłosych główkach – czas do łóżka. Dajcie mi buziaka i lećcie z Ingrid.

Jak posłuszne cherubinki dziewczynki przycisnęły delikatne niczym płatki róży usteczka do policzków mamy, po czym, by zyskać na czasie, uparły się przejść po całym pokoju i obdarować każdą jej przyjaciółkę pocałunkiem o zapachu gumy do żucia, chichocząc przy tym radośnie. Szczupła lnianowłosa Ingrid, nowa au pair, ubrana w obcisłe džinsy z cekinami i Tshirt, który nie zakrywał przekłutego pępka, czekała cierpliwie i bez uśmiechu, aż Liza i Julie do niej podbiegły i wzięły ją za ręce. Wyprowadziły swoją opiekunkę jak więźnia posłusznego ich zachciankom.

Cynthia siedziała bez ruchu, dopóki nie usłyszała, że drzwi ich sypialni się zamknęły, po czym zwróciła się do przyjaciółek. Jej głos był bardzo cichy; pochyliły się do przodu, by ją zrozumieć. Trish przypomniał się doktor Remont, jej supervisor, który specjalnie mówił tak, że ledwie go było słychać. „Kiedy pacjent musi się wysilić, żeby coś usłyszeć, zaczyna tego naprawdę słuchać”, powiedział jej. Może Cynthia też korzystała z tej techniki podczas zebrań zarządu Nightingale’s? Ale Trish natychmiast odrzuciła tę myśl. Oczy Cynthia błyszczały niebezpiecznie, policzki się zarumieniły, a słowa, choć tak ciche, przeszywały niczym nasączone bólem strzały.

– Chcę wam powiedzieć coś bardzo ważnego. Rozwodzę się z Erikiem. Dziś rano opuścił dom, a jutro, gdy ja będę w pracy, a dzieci w szkole, przyjdzie, żeby zabrać swoje rzeczy. To zupełne zaskoczenie. Żadne z nas nie było na to przygotowane. Ale wczoraj odkryłam coś, co nie pozwala mi spędzić z nim ani dnia dłużej. Nie mogłabym się zgodzić, by przespał tu choćby jeszcze jedną noc. Proszę, nie zadawajcie mi żadnych pytań, ponieważ na

nie nie odpowiem. Chciałam, żebyście o tym wiedziały, bo tyle nas łączy. Wiem, że mam w was oparcie, ale naprawdę wszystko jest w porządku. Niczego mi nie potrzeba. Sytuacja opanowana, ja z resztą też. Nie chcę o tym rozmawiać.

Na jej ustach zagościł słaby uśmiech, ale one zamarłe ze zdumienia, trwały w bezruchu, jakby bały się zaburzyć zdradliwie delikatną równowagę. Miały spuszczone oczy, a ich twarze osnute były smutkiem.

Nagły dźwięk tłuczonego szkła zaskoczył je i wbiły wzrok w resztki kieliszka, który upuściła Rina, lśniące na drewnianej podłodze jak łzy. Jakby uwolnione od zaklęcia, zwróciły się naraz do Cynthii niczym chór wyśpiewujący pieśń smutku i zdumienia.

– Cynthio!

Pytania, których miały nie zadawać, padały chaotycznie z ich ust.

– Ale co na Boga mogło się stać?

– Nie możecie jakoś sobie z tym poradzić, cokolwiek to jest? Pomyśl o dzieciach. To będzie dla nich okropne przeżycie.

– Co ty mówisz, Cynthio? To nie może być prawda. Szukały słów pociechy, jakiegoś wyjścia.

Trish zapytała cicho, ledwo słyszalnie, czy pomyśleli o wizycie w poradni małżeńskiej. Jen, rozjemca z natury, związana z Erikiem równie blisko jak z Cynthia, mruczała coś na temat upływu czasu, który pozwala spojrzeć na sprawy z innej perspektywy.

Szok przerodził się niepostrzeżenie w niedowierzanie. To przecież Cynthia, zdolna, uprzywilejowana, i jej zadziwiające, budzące lekką zazdrość życie. Nie miały żadnych rad dla kobiety, która nigdy ich nie potrzebowała. Szczęśliwa Cynthia tak nagle unieszczęśliwiona.

Jen wstała i objęła przyjaciółkę, złożyła ciemną główkę wróżki na jej ramieniu. Cynthia przeczesła palcami włosy Jen, w zamyśleniu pocieszała pocieszycielkę. Była teraz bardzo blada i wszystkie zauważyły, że pod wprawnie nałożonym makijażem jej oczy mają czerwone obwódki.

– Hej – powiedziała, wstając z krzesła i przyklaskując głośno; wraz ze zmianą pozycji zmieniała nastrój. – To jest spotkanie klubu książki, a nie kącik złamanych serc. Zjedźmy kolację i przejdźmy do dyskusji o uroczej Annie. Zakładam, że żadna nie odważyła się dziś przyjść, nie skończywszy książki. W końcu miałyśmy na to całe lato.

Mówiła z wymuszoną lekkością i splótłszy ramiona z Jen, poprowadziła je do jadalni, gdzie czekał stół nakryty lnianym obrusem w kolorze ochry. Lśniące szkło i wypolerowane sztucce strzegły każdego talerza z terakoty. Porządek i piękno zmierzyły się z chaosem uczuć.

Trish zauważyła cierpko, że miała rację. Na środku stał piękny bukiet astrów w ceramicznym wazonie w kolorze ziemi. Jej cynie zostały ustawione na wózku z kawą i przyćmione ogromnym miedzianym termosem bufetowym, już wypełnionym aromatycznym napojem. Ale w tej chwili Trish nie czuła zazdrości wobec Cynthii. Wstydziała się swoich wcześniejszych myśli. Zawiść przerodziła się we współczucie. Przyglądała się przyjaciółce, która w skupieniu nakładała na talerze fasolkę; jej śliczna twarz była zarumieniona, ale konsekwentnie uśmiechnięta, a ruchy spokojne. Trish zastanawiała się, czy Cynthia wybrała przepis i kolorystykę wystroju przed czy po odkryciu, które sprawiło, że bez namysłu wyrzuciła Erica z ich wspólnego domu i życia. Ten mimowolny przypływ złościwości zawstydził ją na nowo i skupiła uwagę na pysznej potrawie z fasolki i jagnięciny, dołączając swoje pochwały do wyrażonych już przez inne.

– Fantastyczne.

– Wszystko wygląda tak pięknie.

– Czy to nowe talerze?

Przy kolacji nie dyskutowały o *Annie Kareninie*, lecz rozmawiały o swoich wakacjach. Trish, Jason i Mandy spędzili jeden tydzień w Berkshire, a drugi w Hamptons.

Trish zdradziła, że szukają domku letniego, ale ona nie jest pewna, czy woli morze, czy góry. Nie wspomniała natomiast, że w ciemnościach nocy, gdy Jason oddychał cicho koło niej, nie miała

pewności, czy chce ten domek gdziekolwiek.

Mimo że Cynthia nie opowiedziała o swoim lecie, wszystkie wiedziały, że razem z Erikiem i dziewczynkami polecili na Riwierę na festiwal filmowy i spędzili tydzień na greckiej wyspie, gdzie odbywała się konferencja poświęcona kinu prawdy. Zdjęcia czarującej pary i ich ślicznych córek, gdy przylecieli i odlatywali, ukazały się w „New York Magazine” i w rubryce towarzyskiej „Timesa”. Dziwnie było teraz o nich myśleć.

Cóż takiego mógł zrobić przystojny Erie, żeby unicestwić piękne, doskonałe życie swojej rodziny? Trish wiedziała, że wszystkie nad tym rozmyślają, że wszystkie rozważają różne możliwości, przeżuając mięso, sącząc wino i słuchając swoich wakacyjnych opowieści. Gdy mówiły, starały się, by ich głosy brzmiały normalnie, ale raz po raz rzucały ukradkowe spojrzenia Cynthii, która jadła bardzo mało, ale za to parokrotnie napełniała swój kieliszek.

Donna pierwszy tydzień spędziła z Timem na festiwalu jazzowym w Newport, a drugi z Rayem w wilgotnych klimatach Connecticut. Radośnie poinformowała przyjaciółki, że żadnego z tych doświadczeń nie poleca.

– Mało znany fakt z życia muzyków jazzowych: nie kąpią się zbyt często. Oczywiście nie Tim, ale jego koledzy. Siedem dni słuchania kapeli w pokojach śmierdzących potem i kiepskim ziołem.

Przyjaciółki uśmiechały się współczująco i nie pytały o pobyt w Connecticut.

Rina wraz ze swoim sześciolatkiem synem była w Londynie, gdzie miała odtworzyć ostatnie pełne udreki miesiące życia Sylvii Plath. Tragiczne dążenie amerykańskiej poetki do śmierci i jego wpływ na jej twórczość stanowiły temat znacznie opóźnionej pracy doktorskiej Riny, którą zaczęła pisać w czasie ciąży, a następnie wielokrotnie odkładała ze względu na potrzeby Jeremy'ego.

– Mój promotor jest pełen zrozumienia – oświadczyła cierpko.  
 – Powiedział, że samotna matka nie powinna sobie zaprzętać

głowy doktoratem.

– Mogłabyś go pozwać za seksizm – skomentowała Elizabeth.

– To nie byłoby rozsądne, zważywszy, jak niewiele mam do końca – odpowiedziała Rina. – Tylko mi teraz brakuje wrogości uprzedzonego do mnie członka komisji podczas obrony. Jeremy okazał się wspaniałym podróżnikiem. Myślę, że ma to w genach.

Nałożyła sobie kolejną porcję fasolki i zjadła ją zbyt szybko, jakby się bała, że jedzenie może zniknąć i jej głód nie zostanie zaspokojony. Z góry było wiadomo, że resztę fasolki w plastikowym pojemniku i pozostały kawałek bagietki weźmie do domu.

Zapadła cisza. Wszystkie wiedziały, że Rina nie jest dobrym podróżnikiem, a nie śmiały spytać o tożsamość dawcy dobrych genów podróżniczych, ojca Jeremy'ego. Nawet Donna, która dzieliła z nią pokój w akademiku w czasach college'a przyznawała, że ma tylko podejrzenia, a nie konkretne informacje dotyczące związku, który zaowocował narodzinami chłopca. Rina się jej nie zwierzała, a nawet gdyby, mogła zmyślać (czego Donna nie powiedziała przyjaciółkom). Donna zawsze zdawała sobie sprawę ze zdolności Riny do przybierania nowych osobowości, przeinaczania prawdy, tak by odpowiadała dziwnym wymogom jej wymyślonego życia. Pewnego dnia Rina zadzwoniła i poinformowała ją, że jest w ciąży; poprosiła o wskazówki dotyczące diety prenatalnej, po czym zadzwoniła ponownie, by powiedzieć, że polecane przez nią pokarmy bogate w wapń są za drogie. Donna zasugerowała, że może ojciec dziecka powinien pokrywać część wydatków, ale Rina odpowiedziała krótko, że sama sobie poradzi i najwyraźniej sobie radziła. Donna widziała, jak przyjaciółka podjada w barze sałatkowym Ford Emporium, napełnia pojemniczki surowymi brokułami i szpinakiem, które skubie, wrzucając do wózka powgniatane puszki i wczorajszy chleb. Przy każdej okazji chowała próbki sera do przepelnionej torebki, nalewała sobie mleka do papierowych kubków w barku kawowym i sączyła je bez żenady w drodze do kasy.

Donna, wieczna krzewicielka zdrowej diety, zapraszała

przyjaciółkę na kolację i dawała jej do domu to, co zostało, a po narodzinach Jeremy'ego jeździła na drugi koniec miasta z pojemniczkami pełnymi przetartych owoców i warzyw.

– Pamiętaj, on musi się dobrze odżywiać – radziła Rinie z zawodową surowością połączoną z pełną troski czułością.

Rina przyjmowała jedzenie i porady, ponieważ umiała brać – w tej sytuacji, jak i we wszystkich innych, była dziewczyną, która uśmiechała się do czekających w klubie chłopaków koleżanek z akademika, specjalistką od podań o granty, prawdziwą mistrzynią wystąpień przed komisją. Wycieczka do Londynu została opłacona przez jakieś stowarzyszenie, mieszkanie, gdzie zatrzymała się z synem, należy do znajomego znajomego.

– Londyn, to brzmi świetnie – mruknęła niechętnie Elizabeth. – My nigdy nie byliśmy w Europie. Planowaliśmy pojechać zaraz po ślubie, ale rzecz jasna nic z tego nie wyszło. A teraz przy wszystkich wydatkach na szkołę Adama mamy szczęście, jeśli w ogóle udaje nam się wyjechać poza stan. Uczyłam w szkole letniej, dzięki czemu zdołaliśmy wreszcie zapłacić wszystkie rachunki, a potem spędziliśmy tydzień w motelu w pobliżu Adama. Bert uważa, że nie należy zostawiać go na dłużej, a lekarze i pracownicy społeczni się z nim zgadzają.

Dziewięcioletni Adam był autykiem; piękny ciemnooki chłopiec ze zdjęć, które Elizabeth czasem im pokazywała, spędził większość dzieciństwa, kręcąc się po podłodze, ustawiając, a następnie przestawiając kolekcję malowanych drewnianych zwierząt hodowlanych, wyblakłych od wieloletniego ssania i lizania. Z wiekiem zaczął gryźć palce aż do krwi. To, że nikt z opiekunów nie chciał z nim dalej pracować, zmusiło Berta i Elizabeth do umieszczenia syna w specjalistycznym ośrodku poza miastem, na który nie było ich stać.

– A ty zgadzasz się z nim? – zapytała cicho Trish.

– Oczywiście. – Elizabeth zarumieniła się ze złości. – To nie jest sesja terapeutyczna, Trish, a ja nie jestem twoją pacjentką. Niektóre przyszły tu, żeby podyskutować o *Annie Kareninie*.

– No to do dzieła – powiedziała Cynthia. – Weźcie kawę do



salonu i zaczynamy.

Znowu wkroczyła Mae, jak na komendę, i postawiła tacę miniaturowych ciastek z owocami na wypolerowanym dębowym stole przed sofą, po czym z ponurą miną zaczęła zbierać naczynia.

Z kubkami w garści, grzebiąc w torebkach w poszukiwaniu książek, usiadły w półkolu i zwróciły się ku Trish, która miała rozpocząć dyskusję. Ich spotkania zawsze przebiegały według tego samego planu. Jedną wcześniej wybraną członkini pełniła rolę prowadzącej – w skrócie opisywała tło społeczne i historyczne utworu, przedstawiała konieczne informacje o autorze i proponowała tematy do dyskusji. Trish jak zwykle potraktowała swoje obowiązki bardzo poważnie i teraz przetrząsała aktówkę, szukając notatek, które zrobiła kilka tygodni temu, gdy siedziała koło Jasona na plaży w East Hampton. Znalazła właściwą teczkę i gdy ją otworzyła, na wypolerowaną podłogę z twardego drewna wysypały się czyste białe ziarenka piasku. Wybuchnęły śmiechem i rozsiadły się wygodniej, znowu ogarnięte poczuciem serdecznej zażyłości.

Trish z werwą opowiedziała o życiu Tolstoja, wpływie dziewiętnastowiecznych odkryć naukowych na jego twórczość, wstępie pisarza do materializmu i skomplikowanych relacjach z kobietami, w tym własną żoną.

– A oto ważna informacja o człowieku, którego uważa się za wrażliwego na kobiece uczucia – powiedziała Trish. – Jego biedna żona, matka dziewięciorga dzieci, plus przypuszczalnie kilka poronień, przepisała odręcznie *Wojnę i pokój* w siedmiu egzemplarzach. Siedem egzemplarzy tego potwornego kolosa, piórem, a przy tym zarządzała posiadłością i wycierała nosy wszystkim tym dzieciakom.

– I jakież z tego wnioski? My wszystkie powinnyśmy sobie wieszować, że nie żyjemy w dziewiętnastym wieku? – zapytała Elizabeth. – Czy też jej należy się nagroda za masochizm?

– Wniosek jest taki, że musimy podchodzić z pewną ostrożnością do tego, co wielki hrabia tak naprawdę wiedział o logistyce kobiecego życia, o życiu własnej żony. Jeśli nie

rozumiał jej, jak mógł rozumieć Annę Kareninę? – odparowała Trish, po czym wróciła do notatek. – Chcę przywołać cytat, który wydaje mi się naprawdę ważny. Tolstoj napisał, że „historia to akumulacja przypadkowych zdarzeń oparta na pewnej losowości”. Sądzę, że tak właśnie myślał o życiu swoich bohaterów, że los każdego z nich zależy od przypadku. Cała historia Anny jest kwestią przypadku. Jej brat wpada na hrabiego Wrońskiego na stacji kolejowej i przedstawia go Annie, swojej zameżnej siostrze – zameżnej i znudzonej. Wroński i Anna zakochują się w sobie. Szalone spotkania, namiętne noce. W Rosji carskiej rozwód nie bardzo wchodził w rachubę. Wroński się waha, Anna rozpacza i w końcu rzuca się pod pociąg. Co znów prowadzi nas do kwestii przypadku. Gdyby jej brat nie spotkał wtedy Wrońskiego – pamiętajmy, że stało się to za sprawą przypadku – Anna pozostałaby żoną nudnego starego Aleksego i umarłaby we własnym łóżku, a nie zginęła pod kołami pociągu.

– Co oznacza, że nie mamy kontroli nad własnym życiem, nie możemy wybrać innego wyjścia czy podejmować przemyślanych decyzji, koniec z programem dwunastu kroków, nastał czas przypadkowości – powiedziała Rina. – Co mogłoby cię doprowadzić do bankructwa, Trish.

– Nawet w terapii panuje pewna losowość – przyznała Trish.

Przez chwilę dyskutowały o tym zagadnieniu i każda po kolei opisywała przypadkowe zdarzenie, które zmieniło jej życie. Elizabeth opowiedziała, jak poznała Bertę na przyjęciu, na które o mało co byłaby nie poszła. Donna przeniosła się do Nowego Jorku, ponieważ list potwierdzający przyjęcie jej do programu w Bostonie został źle zaadresowany i przyszedł dopiero tydzień po tym, jak już zaakceptowała ofertę pracy w nowojorskim szpitalu miejskim. Koleżanka Riny zapadła na mononukleozę i Rina zastąpiła ją na stanowisku wykładowcy w dwuletnim college’u przygotowującym do wyższych studiów, Ian i Jen poznali się na warsztatach malarskich. Przeprowadził analizę krytyczną jej pracy, a potem zaprosił ją do siebie. Pytania „co by było gdyby” mnożyły się – co by było, gdyby Elizabeth nie poszła na przyjęcie,

gdyby Donna dostała list na czas, gdyby Jen nie uczestniczyła w warsztatach – fantazjowały i spekulowały w atmosferze pełnej intymności, wśród spontanicznych wybuchów śmiechu. Podobnie jak Anna Tołstoja były pionkami w szalonej grze losowej.

Tylko Cynthia się nie odzywała i co pewien czas wstawiała nagle, a to żeby zaciągnąć kotary, to znowu by schować stojące na pianinie zdjęcie ślubne.

Wiedziały, że poprzedniego wieczoru dokonała przypadkowego odkrycia, które odmieniło jej życie, i zastanawiały się, kiedy zacznie o tym mówić. Nie teraz. Było jeszcze za wcześnie. Cynthia najbardziej z nich wszystkich skrywała uczucia, pilnowała swoich tajemnic, ale we wszelkich bliskich związkach z innymi zachowywała pełną szczerłość. Powiedziała im kiedyś, że prawda jest jej obsesją. Zwalniała pracowników nawet za najdrobniejsze kłamstwo. Zrywała przyjaźnie z powodu niewiele znaczącego przeinaczenia faktów. Nie cierpiała nieuczciwości. Wszystkim im przyszło do głowy, że Erie w jakiś sposób ją oszukał, a ona to odkryła.

Ale to pytanie wciąż wisiało w powietrzu. Co by było, gdyby się o tym nie dowiedziała, gdyby intrygujący sekret nie wyszedł na jaw? Czyż wtedy wyrzuciłaby Erica, mówiła o rozwodzie, czy też jej życie nadal przypominałoby baśń? Wymieniły się spojrzeniami i rozpoznawszy nawzajem w swoich oczach tę wspólną myśl, szybko zmieniły temat, podejmując kolejne zagadnienie do dyskusji.

– Pozwólcie, że zacytuję hrabiego – podsunęła Trish. – Nie pamiętam, czyja to wypowiedź, może Lewina, ale daje do myślenia. „Jeśli istnieje tyle umysłów co głów, to jest też tyle rodzajów miłości co serc”.

Siedziały w milczeniu i trawiły te słowa, tropiły ich powiązania z myślami i uczuciami.

– Miłość matczyna, erotyczna – zasugerowała Elizabeth. – Inna dla każdej matki i dziecka, dla każdej pary kochanków. – Nalała sobie kubek kawy i nie rozwijała tego tematu.

Podziwiała jej odwagę i nie zadawały żadnych pytań. Na co

matczyna miłość przekłada się dla Elizabeth, matki upośledzonego dziecka, która uczyniła z siebie zakładnika jego niemocy? Wiedziały, że Adam bił i drapał ją do krwi. Widziały blizny, znały prawdę od Jen. W jakim momencie można utracić matczyną miłość?

Sprzeczały się, odnosząc swoje argumenty do powieści. Czyż miłość Anny do Wrońskiego nie skłoniła jej do opuszczenia swojego ośmioletniego syna Sierioży – fascynacja erotyczna nie wyparła matczynego uczucia? Dyskusja to się rozszerzała, to zawężała, ich głosy podnosiły się i cichły, a twarze promieniały radością czerpaną z tej wymiany zdań. Przejmowały role Anny, Wrońskiego, Kitty i Lewina, zamieszanie w rodzinie Obłońskich przyprawiało je o zawrót głowy. Wakacyjna lektura trysnęła własnym życiem.

– Ale co mówi Dolly, szwagierka Anny, charakteryzując własne małżeństwo, własną sytuację. – Podekscytowana Trish przekartkowała swoją podniszczoną książkę w poszukiwaniu właściwego cytatu. – No, proszę. „A najgorsze jest to – zrozum tylko – że przecież nie mogę go porzucić: dzieci... Jestem związana. Życ z zaś z nim także nie mogę; już sam jego widok jest dla mnie męką”. Widzicie, to jest właśnie kobiecy dylemat – potworność wyboru.

Łyżeczka zadzwieczyła o kubek. Cynthia zerwała się i wyszła. Trish zakryła usta dłonią.

– Głupio z mojej strony, nie pomyślałam, tak się dałam ponieść dyskusji... że zapomniałam. Powinnam do niej pójść?

Przyjaciółki spojrzały po sobie nawzajem, zmartwione, niezdecydowane, ale zanim któraś zdążyła coś powiedzieć, Cynthia wróciła. Miała odświeżony makijaż i niosła koszyk z pięknie zapakowanymi małymi pudełeczkami.

– Przepraszam. Poszłam wziąć aspirynę. Czuję zbliżający się ból głowy. No i zapomniałam dać wam te drobiazgi. Znalazłam je w małym sklepiku we Florencji i od razu o was pomyślałam.

Znowu była tą życzliwą przyjaciółką, która dzieli się swoim szczęśliwym losem i zaprasza je do pośredniego uczestnictwa w

jej podniecającym i luksusowym życiu. Zawsze z tej czy innej fascynującej odysei przywoziła im małe, choć bardzo drogie pamiątki – wisiorki z Aten, kółka z Turcji z różowego kwarcu do kluczy, jedwabne chusteczki z Paryża.

Z uciechą i ulgą rozrywały papier, otwierały pudełka, znajdując w środku zakładki do książek – z miękkiej skóry, każda w innym pastelowym odcieniu. Podziękowały Cynthii wylewnie i włożyły zakładki do książek.

– Następna jest *Pani Bovary* – zapytała Jen. Skinęły głowami.

– Trish, skoro już zgłębiasz przypadki europejskiej niewierności, może poprowadziłabyś i tę dyskusję, a potem przekażesz pałeczkę komuś innemu – zaproponowała Elizabeth beznamiętnym głosem.

Często to jej przypadała rola organizatorki ich spotkań. Miała wprawę w podejmowaniu stanowczych decyzji. Wyobrażały ją sobie na spotkaniu z rodzicami w swoim gabinecie, w szkole w podupadłej części śródmieścia, jak stawia ultimatum, nie przyjmuje żadnych wymówek. I musiały przyznać, że jej decyzje były zazwyczaj mądre. Skinęły przytakująco i zaznaczyły wybrany dzień w swoich terminarzach. Miały się spotkać u Riny i zadzwonić wcześniej, by się dowiedzieć, co przynieść. Rina nie mogłaby zrobić fasolki po bretońsku. Miała zapewnić tylko napoje, a one całą resztę.

Uściskały Cynthię na pożegnanie, mrużąc zapewnienia o swoim wsparciu i gotowości pomocy.

– Dzwon, kiedy zechcesz, Cyn.

– Gdyby było coś, co mogłybyśmy dla ciebie zrobić... gdybyś chciała po prostu pogadać...

– Jesteśmy z tobą, naprawdę.

Ich głosy wibrowały z przejęcia, rozbrzmiewały współczuciem. Cynthia uśmiechała się uprzejmie do każdej, kiwała głową, wzruszała ramionami.

– Wspaniałe spotkanie – powiedziała, ignorując okazywaną przez nie troskę. – Świetna dyskusja, Trish.

Policzki Trish zapłonęły; skinęła głową w podziękowaniu.

Ciężkie dębowe drzwi zatrzasnęły się za nimi; przyjaciółki minęły zakręt, po czym odwróciły się, by popatrzeć na dom. Przez zaciągnięte zasłony nie były w stanie dojrzeć, czy w pokoju, gdzie jeszcze przed chwilą siedziały, wciąż paliło się światło. Nie chciały myśleć o Cynthii samej, łkającej w ciemnościach.

Za wspólną milczącą zgodą nie rozdzieliły się, minawszy Trzecią Aleję. Donna nie wezwała żadnego ze swoich kochanków, a pozostałe zadzwoniły do domów, by wytłumaczyć swoją nieobecność jakimś kłamstwem.

– Muszę wpaść jeszcze do szpitala i zabrać parę kart – powiedziała Jasonowi Trish.

– Moja przyjaciółka źle się czuje, więc zostanę z nią chwilę – poinformowała Rina opiekunkę do dziecka.

– Cynthia chce omówić katalog na Święto Dziękczynienia, więc będę, kiedy będę – nagrała się Jen na sekretarce.

Nie zastanawiała się, gdzie może być Ian. Powiedziała kiedyś przyjaciółkom, że nie stawia mu żadnych wymagań.

– Trish chce ze mną porozmawiać o jakichś nowych lekach, które mogłyby pomóc Adamowi – poinformowała Elizabeth Berta. – Nie, nie wiem, ile to potrwa. – Rozłączyła się, przerywając protestującemu Bertowi w pół zdania.

Ze wstydliwymi uśmiechami weszły gęsiego do kafejki i usiadły wokół świeżo wytartego stolika; popijały letnią gorzką kawę bezkofeinową.

– Co takiego mógł zrobić Erie? Co skłoniło ją do podjęcia tak drastycznych kroków? – Wyartykułowała ich myśli Jen. – To nie może być po prostu romans. Nawet parę romansów. Nie sprawiłyby, że nie mogłaby mu pozwolić zostać w domu nawet na jedną noc. Cynthia to nie Dolly Tołstoja i nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. Gdyby chodziło o romans, rzucaliby w siebie przedmiotami, poszli do poradni małżeńskiej, jak zaproponowała Trish, potem poddali się głębokiej terapii w Instytucie Ackermana i ruszyli w dwumiesięczny rejs.

– Molestowanie dzieci – zasugerowała Elizabeth. – Widzę wiele takich przypadków u siebie w pracy i nie ograniczają się one

wcale do biednych rodzin z podupadłych dzielnic. Może odkryła coś w jego emailach, jakiś link do strony z pornografią dziecięcą.

– Erie nie pasuje do tego profilu – zaprotestowała Donna. – Jest zbyt modny i przejęty własnym wizerunkiem, zbyt pewny siebie, odnosi sukcesy.

– W gruncie rzeczy nie istnieje profil przestępców seksualnych – stwierdziła Trish. – Ale jestem skłonna zgodzić się z Donna.

– Poza tym on przecież zawsze świetnie radził sobie z dziećmi. A w końcu można coś powiedzieć o facecie po tym, jak zajmuje się dziećmiakami – dodała Rina. – Kiedyś zabrał Jeremy’ego na plan filmu dokumentalnego, który kręcił, Jeremy’ego i jego kolegę, przygotowywali jakiś projekt do szkoły, i naprawdę fantastycznie się nimi zajął.

– No proszę – rzuciła Elizabeth, a pozostałe roześmiały się mimo woli. Wysuwały inne pomysły, a kelnerka dolewała im kawy i patrzyła znacząco na zegarek. Narkotyki. Homoseksualizm. Rina, zawsze zainteresowana finansami innych, zasugerowała defraudację, na co wszystkie w końcu wybuchnęły śmiechem.

– Słuchajcie, po prostu musimy się starać być oparciem dla Cynthii – powiedziała Jen.

– Jakby ona nas potrzebowała – rzuciła gorzko Elizabeth.

– Niektórzy ludzie potrzebują jednak innych – odparła Jen.

Zarumieniła się mocno i spojrzała na siostrę, która odwróciła wzrok. Pozostałe zajęły się malowaniem ust, dopijaniem kawy. Panowała wśród nich milcząca zgoda, by ignorować siostrzane wybuchy goryczy, jakie od czasu do czasu zdarzały się między Elizabeth i Jen. Trish rozmawiała kiedyś z Donna o ich dziwnych relacjach.

– To nie jest nietypowy związek między siostrami – stwierdziła. – One są splecione w tragicznym uścisku. Wspólna przeszłość, wspólna odpowiedzialność za matkę. Kochają się, ale się nie lubią.

Trish rozważała nawet poddanie związku między siostrami badaniu psychoanalitycznemu, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

Teraz, gdy słuchała Jen i Elizabeth, pomysł znów się jej przypomniał, i właściwie gotowa była go zrealizować.

Zerknęła na rachunek i położyła na stole banknot dziesięciodolarowy. Czas wracać. Dość już zostało powiedziane. Zbyt wiele odkryte.

Przyjaciółki rozstały się na rogu i Trish popędziła do autobusu. Wygrzebała kartę miejską i postawiła na ziemi aktówkę, która nagle wydała jej się nieznośnie ciężka.



## Rozdział drugi

Rina Samuelson przygotowywała się do spotkania klubu książki ze skrupulatnością, która zaskoczyłaby jej przyjaciółki. Zawsze myślały o Rinie jako o wiecznej studentce, prowadzącej niespokojne życie, ale podchodzącej do swojej sytuacji z radosną swobodą, zadowolonej z mieszkania o stałym czynszu, które wynajmowała na West Endzie, urządzonego, jak ona to ujmowała z kpiarską obojętnością, w stylu „wczesnoprzechodnim” i „późnorozwodowym”. Beżowa rozkładana sofa w salonie, na której sypiała, należała do Trish i Jasona, kiedy się pobrali. Rina przysłoniła wyblakłe obicie barwnymi, wzorzystymi indiańskimi poduszkami. Batikowa narzuta pokrywała wiklinowy fotel znaleziony na krawężniku West End Avenue. Niebieski pleciony dywan był w mieszkaniu, kiedy je wynajęła – wyblakły, cały w geometryczne plamy, z których jedna, w kolorze rdzy, mogła być śladem krwi. Poprzedni lokatorzy rozwiedli się zaraz po rozwiązaniu umowy o wynajem i Rina wyobrażała sobie, jak desperackie kłótnie stają się coraz gwałtowniejsze, talerze z jedzeniem i do połowy pełne kubki z kawą przelatują przez pokój i lądują na dywanie, przywiezionym może z miesiąca miodowego na greckiej wyspie. Czyż Ted Hughes nie wycelował kiedyś talerzem z jedzeniem w Sylvię Plath? Rina pamiętała jak przez mgłę, że gdzieś o tym czytała. Musiałyby sprawdzić tę informację i może mogłaby ją odnieść do jednego z wierszy ze zbioru *Ariel*. Niski stolik do kawy przyjechał tu z nią z mieszkania, które dzieliła z Donna w pierwszych latach studiów.

– Ty go nie potrzebujesz, a ja nie mam pieniędzy na nowy – oświadczyła Donnie, a Donna, która, i owszem, potrzebowała go i też nie mogła sobie wtedy pozwolić na nowy, nie zaprotestowała. Rina miała talent do wzbudzania litości.

Na spotkanie klubu Rina usunęła ze stolika stosik czasopism literackich, zalegających w jednym rogu, i schowała je w sypialni Jeremy’ego pod młodzieżowym łóżkiem, które dostała od Cynthii,

gdy ta przemeblowywała pokój dziewczynek. Zebrała ze środka stołu gazety z minionych tygodni i wyniosła je do śmietnika, gdzie zatrzymała się na chwilę wystarczającą, by wyciągnąć z kosza dwa zeszyły miesięczne numery „New Yorkera”. Zastanawiała się przez chwilę nad najnowszym numerem „Vanity Fair”, ale odstraszyła ją tłusta plama na okładce. Wzruszyła ramionami i wróciła do mieszkania; zebrała z podłogi wzniesioną przez Jeremy’ego budowlę z klocków lego i odkurzyła ją, a następnie zadzwoniła do Ellen, matki najlepszego przyjaciela Jeremy’ego, by się upewnić, że nic nie zakłóca zorganizowanego przez nią tak starannie nocowania poza domem.

– Bardzo ci dziękuję, że się nim zajęłaś – powiedziała. – On nie znosi, kiedy mój klub książki tu się spotyka.

W rzeczywistości wcale tak nie było. Jeremy uwielbiał, gdy członkinie klubu zbierały się w salonie, a on mógł cieszyć się ich uwagą i drobnymi prezentami, które mu przynosiły. Jednakże Rina czuła się skrępowana myślą, że syn nie śpi i słucha ich rozmów, a co jakiś czas zjawia się w pokoju i prosi o wodę do picia albo skarży się na ból zęba. W przeciwieństwie do Cynthii nie miała dużego domu z pokojem dziecięcym w dogodnej odległości od salonu ani nieuśmiechniętej, ale dobrze przygotowanej au pair, która zaspokajała nocne potrzeby bliźniaczek. Szczęśliwa Cynthia, pomyślała, po czym szybko się poprawiła. Świeżo unieszczęśliwiona Cynthia. Poza tym Jeremy’emu dobrze robiło przyzwyczajanie się do rytmu życia innych rodzin, a ona potrzebowała jego pokoju na okrycia, które przyjaciółki złożą na jego wąskim łóżku.

– Bardzo by nam było miło, gdyby Seth kiedyś u nas zanocował – dodała, ale nie zdziwiła jej wymijająca odpowiedź rozmówczyni. Ellen, pani adwokat, żona bankiera inwestycyjnego, z dumą porzuciła prawo, by wychowywać dziecko i zajmować się domem.

Była zaniepokojona wolnym stanem Riny (który przy swoich przyjaciółkach określała mianem „stylu bycia”), wyraźnie nieobecny i niewspominany ojcem Jeremy’ego oraz

zagraconym, a może nawet niehigienicznym mieszkaniem Samuelsonów. Kiedyś, gdy czekała na Seta, Rina przyłapała ją, jak przejechała palcem po stole w kuchni i wytarła tłustą plamę delikatną lnianą chusteczką. Kiedy Rina powiedziała, że tego wieczoru odbędzie się u niej spotkanie klubu książki, Ellen skwapliwie odrzekła, że ona należy do klubu, który spotyka się popołudniami. Dodała radośnie, że teraz czytają Isabel Allende.

Jęzga, pomyślała Rina, ale nie powiedziała Ellen, że jej grupa czytała Allende trzy lata temu i uznała twórczość tej pisarki za pretensjonalną i nudną.

– Cóż, dzięki za wszystko – rzuciła, po tym jak Ellen zapewniła ją, że chłopcy bawią się grzecznie, i dodała, że pożyczyła Jeremy'emu piżamę, ponieważ ta, w którą wyposażyła go Rina, wydała jej się za małą. Rina odwiesiła słuchawkę, zgarnęła brudną serwetkę ze stolika na telefon (znalezionego na śmietniku) i wepchnęła ją do kieszeni.

Wyłączyła komputer i ostrożnie włożyła świeżo wydrukowane strony do teczki, którą następnie wrzuciła do szuflady. Nie chciała zostawiać na widoku pierwszego rozdziału powieści, której może nigdy nie napisze. Na stole zostawiła tylko stertę nieocenionych studenckich prac z literatury. Sam ich widok ją nużył. Zabierze się do nich. Musi się zabrać. W tym roku starała się o pełny etat i nie chciała, żeby jej trudną pozycję dodatkowo skomplikowały skargi studentów.

W kuchni sprawdziła postępy w rozwoju drzewka awokado, które najwyraźniej przestało rosnąć, i pomyślała z tęsknotą i goryczą o barwnych roślinach doniczkowych kwitnących na oszklonej werandzie jej rodziców na Florydzie. Przekopała szafki w poszukiwaniu papierowych talerzyków i plastikowych sztućców. Ułożyła je na stole w równych stosikach, po czym skupiła się na zdrapywaniu zaschniętego placka z ciastoliny, dopóki nie oderwał jej od tego zajęcia trzykrotny dzwonek do drzwi.

Donna i Trish wpadły, rozmawiając i śmiejąc się. Poplamione tłuszczem brązowe torby, które przyniosły, wypełniły małe

mieszkanie lekko czosnkowym zapachem homara i wołowiny po sycuańsku, a także zmieszany woniami warzyw po chińsku i smażonego ryżu z krewetkami.

– Zamówiłam nasze potrawy do gabinetu i dostarczono je właśnie, gdy omawiałam dietę z jednym z moich chorobliwie otyłych pacjentów. Znakomite wycucie czasu – powiedziała ze śmiechem Donna, gdy przekazywały Rinie torby.

– No cóż, nawet dietetykom od czasu do czasu przysługuje posiłek spoza piramidy zdrowia – zapewniła ją Trish. – Ale może lepiej by było, gdyby to się już nie powtórzyło.

– Nie sądzę, żeby miało mi to wejść w nałóg – odparła z irytacją Donna. – A ty nie jesteś teraz w pracy.

– Przepraszam. Masz rację. Czasem wydaje mi się, że wiecznie jestem w pracy. – W jej głosie zabrzmiał smutek i Donna złagodniała.

Rina ustawiła białe tekturowe pojemniki na stole i poszła otworzyć drzwi Jen i Cynthii, które przyniosły w eleganckich plastikowych pojemnikach z ekskluzywnej chińskiej restauracji kolejne potrawy – tosty szalotkowe, ostro-kwaśną zupę i delikatne sajgonki. Przyjaciółki wymieniły zwyczajowe pocałunki; każda ścisnęła Cynthię odrobinę za długo i szukała w jej starannie umalowanej twarzy nowych oznak cierpienia lub słabości.

– Jak się masz, Cynthio, ale szczerze? – zapytała śmiało Trish, a pozostałe zaczęły rozstawiać potrawy, z niecierpliwością wyczekując odpowiedzi. Ale Cynthia była, jak zwykle, opanowana i spokojna, a jej głos brzmiał pewnie.

– Dobrze. Naprawdę mam się dobrze – odparła, po czym poprosiła Rinę o podgrzanie zupy i dodała, że kupiła jednorazowe miseczki, bo nie była pewna, czy Rina będzie miała jakieś pod ręką.

– Bardzo słusznie, bo nie mam – stwierdziła Rina. – W ogóle nie pomyślałam o miskach.

Zadziwiało ją, że Cynthia, mimo emocjonalnej traumy, którą z pewnością przeżywa, potrafi myśleć o jednorazowych miseczkach. Gdyby to ona znajdowała się na takim uczuciowym

rozdrożu, rozpacz by ją sparaliżowała. Przypomniała sobie pierwszy okres ciąży. Przez trzy tygodnie leżała na kanapie skulona w pozycji embrionalnej i wstawała tylko po to, żeby zjeść krakersy, napić się herbaty i skłamać swoim przyjaciołom i promotorowi, którzy dzwonili regularnie.

– Wszystko dobrze – zapewniała ich. – Radzę sobie. Chcę tego, właśnie tego.

Zastanawiała się, czyjej wierzą, że chce „właśnie tego” – w samotności urodzić dziecko, które będzie potem sama wychowywać, ale w końcu nie miało znaczenia, co oni myślą. Liczyło się tylko to, że potrzebowała tego dziecka, by przywrócić ją światu, by było kimś, z kim łączy ją biologiczna więź.

Spędzała całe godziny na obmyślaniu planu, który pozwoliłby jej mieć dziecko i przetrwać. Trzeba było zająć się finansami, wynegocjować wyższą pensję, zainwestować niewielki spadek po rodzicach na tyle rozsądnie, by starczyło pieniędzy najedzenie, czynsz i opiekę medyczną. Leżała bezsennie i tworzyła budżety, w myślach przenosiła dolary z jednej kolumny do drugiej. Kiedyś udawała biedę, wykorzystywała swój dramatyzm i współczucie, jakie budziła u innych. Teraz to wyimaginowane ubóstwo przerodziło się w rzeczywistość.

Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby poprosić mężczyznę, który ją zapłodnił (nigdy nie myślała o nim jako o ojcu Jeremy’ego), o pieniądze. Chciała, by zniknął z jej życia równie szybko, jak się w nim pojawił. Spotkała go raptem kilka tygodni po tym, jak jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym na autostradzie na Florydzie; zaledwie sześć miesięcy temu przeprowadzili się z Nowego Jorku, by rozpocząć nowe skromne życie emerytów w Rajskim Ogrodzie, zamkniętym osiedlu dla osób starszych. Ich mieszkanie było świeżo wybudowane. Pokoje umeblowane wiklinowymi krzesłami i kanapami, wyłożone sizalowymi dywanami w kolorze pszenicy, sypialnia z kompletem mebli z jasnego drewna. Nawet naczynia w kuchni były nowe – jasna pomarańczowożółta ceramika zastąpiła wyszczerbioną porcelanę z jej dzieciństwa. Rina, jedyne dziecko jedynaków,

samotnie odbyła sziwę w mieszkaniu, które wciąż pachniało świeżą farbą. Jej oprawione zdjęcie z ceremonii rozdania świadectw w college'u stanowiło jedyny dowód, że coś łączyło ją z tymi zalanymi słońcem pokojami, gdzie sąsiedzi w podeszłym wieku przychodzili z zapiekankami i kupionymi w sklepie ciastkami, niepewni, co można by przynieść samotnemu żałobnikowi. Czuła, że dotknęła ją podwójna strata. Rodzice odeszli i zniknęły też wszystkie meble z jej dzieciństwa. Nie miała już związku ze światem, z rodziną, z historią. Donna przyleciała i pomogła jej sprzedać mieszkanie wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało. Razem wróciły do Nowego Jorku.

Rina podjęła na powrót studia doktoranckie, ale była bardzo powolna, pogrążona w poczuciu straty i samotności. Zawsze chuda, teraz jeszcze straciła na wadze, jej wysokie kości policzkowe rysowały się wyraźnie w kościstej twarzy. Włosy nosiła splecione w jeden warkocz. Ubierała się na czarno, ale tego wieczoru, kiedy poznała ojca Jeremy'ego, na standardowy czarny golf włożyła jaskrawoczerwony sweter. Nowopoznany był niemłodym już, uznanym naukowcem wykładającym gościnnie, którego udało się przekonać, by przeprowadził na jej wydziale jedno zajęcia z poezji brytyjskiej. Na stałe pracował we Włoszech; zawsze w drodze między jednym uniwersytetem a drugim, przemierzał odrzutowcem Atlantyk, by wziąć udział w konferencji w Oksfordzie.

Gdy mówił o Wilfredzie Owenie, obracał na palcu szeroką złotą obrączkę ślubną, ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy Riny. Nie była zaskoczona, kiedy podszedł do niej po zajęciach i zaprosił ją na kawę.

– Wyglądasz jak kobieta z obrazu Modiglianiego – powiedział, gdy siedzieli przy stoliku, popijając gorzkie piwo, na które żadne nie miało ochoty. – Ale czemu jesteś smutna? Czy Żydzi zawsze są tacy smutni?

To pytanie sprawiło, że się wzdrygnęła i przyjrzała bladej arystokratycznej twarzy, szukając w niej złośliwego wyrazu, ale go nie znalazła. Stopniała pod wpływem jego współczucia.

Pragnęła być pocieszona, dotykana, chciała choć przez chwilę należeć do kogoś. Szli bardzo powoli do jej mieszkania, ale kochali się z szybkością, która zaskoczyła ich oboje. Został na noc, a kiedy rano odszedł, zdała sobie sprawę, że nawet nie zapytał jej o imię. Dwa miesiące później wiedziała z całą pewnością, że jest w ciąży, i ta myśl wprawiała ją w radosny nastrój. Będzie miała dziecko, związek krwi z inną osobą na tym świecie. To dziecko będzie tylko jej. Ojciec nigdy się nie dowie, że ma żydowskie dziecko, smutne czy wesołe. Ona będzie niezależna, lecz z kimś związana. Związana. To słowo ją intrygowało.

– Chcę tego, właśnie tego – powiedziała Donnie, gdy ta delikatnie wspomniała o innych rozwiązaniach. Sprawa Roe przeciwko Wade zmieniła świat. – Nie chcę przerwać ciąży – stwierdziła. – Chcę tego dziecka.

– Ale jak się utrzymasz?

Donna mieszkała z nią w pokoju w latach college'u. Wiedziała, że Rina zawsze martwi się o pieniądze, niekiedy irracjonalnie. Rodzice przysyłali jej czeki, ale ona gromadziła je, niezrealizowane, i pożyczala niewielkie sumy od znajomych z akademika. Donna milczała, gdy jednej z dziewcząt zginął naszyjnik, a potem Rina bawiła się na jej oczach łańcuszkiem, którego Donna nigdy wcześniej u niej nie widziała. Inna koleżanka zdenerwowana powiedziała, że z jej portfela zniknęło dziesięć dolarów. Tego wieczoru Rina, zawsze tak niechętnie wydająca pieniądze, uparła się, że zapłaci za kolację. Rachunek wyniósł niemal równo dziesięć dolarów. Donna nie zadawała żadnych pytań. Rina była jej przyjaciółką i powiernicą, a także dzieliła jej miłość do książek. Wspólna pasja do literatury i wysoko ceniona prywatność sprawiły, że wytworzyła się między nimi więź. Donna nie powiedziała by nic, co zraniłoby Rinę.

– Poradzę sobie – powiedziała Rina, a Donna nie zaprotestowała.

Rina wiedziała, że może sobie poradzić, że tak będzie. Odwiedzała sklepy z artykułami używanymi oraz wyprzedaże i

zadowalała się tym, co tam znalazła. W końcu nie było innego wyjścia. A potem przyszła melancholia, przytłaczająca serce takim ciężarem, jak ten w jej łonie, płód, który spowalniał jej chód i pozbawiał ją oddechu. To uczucie w niej pozostało, dziwny uporczywy smutek, który zasadzał się na nią, gdy tylko uznała, że już go pokonała, i nagle doprowadzał ją do łez i niewytłumaczalnych wybuchów goryczy. Przeraziło to Jeremy'ego podczas wizyty w Londynie, gdy stali na schodach domu, gdzie Sylvia Plath, która nie potrafiła pokonać własnych demonów, włożyła głowę do piekarnika, podczas gdy jej małe dzieci spały spokojnie.

– Wszystko w porządku? – pytali przyjaciele i współpracownicy, przestraszeni jej bladością, ciemnymi cieniami pod oczami i apatią. Ofiarowywali jej porady i wsparcie, drobne prezenty, duże pożyczki, pomoc w opiece nad dzieckiem. Donna zapraszała ją na obiady, przynosiła półmiski z jedzeniem, często dzwoniła późno w nocy, wcześniej rano. Oglądały razem telewizję, mając na nogach za duże znoszone różowe kapcie-króliki, które podarowały sobie na drugim roku studiów. Parodiowały reklamy, wyłączały dźwięk i wymyślały własne dialogi, po czym pokładały się ze śmiechu, rozbawione swoją pomysłowością. Odtwarzały świat akademika, z którym niedawno się pożegnały. Donna zaprosiła Rinę do klubu książki i tak nowa grupa przyjaciółek zaczęła się o nią troszczyć, dzwonić w samotne wieczorne godziny, zawsze rozpoczynając rozmowę od nieuniknionego pytania: „Wszystko w porządku?”.

Jedynie Trish miała odwagę zadać teraz to pytanie Cynthii, u której, jak się zdawało, wszystko było najzupełniej w porządku, jako że była z niej, jak zawsze, pewność siebie i opanowanie. Miała zarumienioną twarz i gładką skórę, poruszała się po małej kuchni Riny z energicznym wdziękiem, wynajdując w szafkach wszystko, co trzeba – dostatecznie duży garnek na zupę, chochlę, rękawicę kuchenną. Jej ręce nie drżały jak ręce Riny dawniej i teraz. Ale rzecz jasna sytuacja Cynthii była zupełnie inna. Cynthia miała system wspomagający – rodzinę, przyjaciół, znajomych po



fachu, wygodny dom i pracowników, którzy zapewniali jego sprawne funkcjonowanie. No i nie miała żadnych trosk materialnych. Dobrze zarabiała, sprytnie inwestowała. Pieniądze wyścielały jej życie, zapewniały wygodę i bezpieczeństwo. Nieważne, co zrobił Erie (no właśnie, co też to mogło być?), nieważne, że nagle została sama, Cynthia nigdy nie będzie przekopywać śmietników w supermarketach w poszukiwaniu wgniecionych puszek lub nosić tak zwanych przechodzonych ubrań, które czuć obcymi perfumami.

Rina przyglądała się jej, jak niesie zupę na stół i nalewają do plastikowych misek. Czy pieniądze i zabezpieczenie finansowe rzeczywiście gwarantują taką swobodę ruchów? Nie wiedziała. Zapewne nigdy się nie dowie. A jednak to pytanie powracało w wirze rozmów telefonicznych poświęconych sytuacji Cynthii. Rina i Donna dyskutowały o tym w nocnych debatach.

– Przynajmniej nie musi się martwić o pieniądze – stwierdziła cierpko Rina.

– Skąd wiesz?

– Napomknęłam o tej kwestii, a Cynthia oświadczyła beznamiętnie, że pod tym względem wszystko układa się dobrze, lepiej niż dobrze.

Jen i Trish spotkały się przelotnie na kawie i zaniepokojone rozmawiały o samotności Cynthii. Wszystkie się martwiły. Wszystkie były ciekawe. Wyobrażały sobie długie noce Cynthii w tym dużym domu. Wyobrażały sobie siebie na jej miejscu. Nie dochodziły jednak do żadnych odkryć i ich rozmowy kończyły się raptownie. Denerwowały się na siebie same, ale też, tak, na Cynthię, i było im jej żal, tak bardzo żal.

– Nie powinnyśmy poczekać na Elizabeth? – zapytała Rina, wywijając chochlą nad parującą zupą. – Na pewno przyjdzie?

– Na pewno. Ma przynieść film – odparła Trish.

– Film? – zdziwiła się Jen.

– Tak. Nie mówiła ci? Pomyślałam, że fajnie byłoby obejrzeć ekranizację *Pani Bovary*. To szlagier sprzed lat, z Vanem Heflinem, Jennifer Jones i Louisem Jordanem. Wspomniałam o

tym Elizabeth, a ona powiedziała, że w jej szkole mają kopię. Jest to pewna zmiana, ale chyba możemy sobie na to pozwolić. Obejrzymy film podczas posiłku.

Trish uśmiechnęła się, zadowolona ze swojego pomysłu, zadowolona, że zaskoczyła grupę. To będzie prawdziwa ulga usiąść wygodnie i w ciszy obejrzeć film. Jej dzień był przeładowany słowami – wynurzenia pacjentów, szczerze narady ze współpracownikami, zbyt krótka wymiana zdań z Jasonem, zbyt długa rozmowa telefoniczna z Mandy na temat motywu przewodniego jej przyjęcia urodzinowego, które odbędzie się za ładnych kilka miesięcy. Pragnęła kojącego spokoju, jaki zapanuje, gdy film będzie się rozgrywał na małym ekranie telewizora Riny, a głosy aktorów będą się podnosić i opadać przy akompaniamencie stukotu chińskich pałeczek i luźnych komentarzy na temat absurdalnych kostiumów Jennifer Jones.

– Nie, nie mówiła – odparła Jen. – Ale inna rzecz, że niewiele rozmawialiśmy. Miała ciężki tydzień – Adam znowu ma trudny okres, a Bert nie wykazuje się specjalnym zrozumieniem. Nie wspominając już o zwyczajowej litanii skarg naszej matki.

Przyjęły jej wyjaśnienia w milczeniu. Słyszały już o trudnych okresach Adama, zupełnym zamknięciu się w sobie, gwałtownych atakach na opiekunów, którzy starali się poznać niezbadany świat jego emocji. Wiedziały też, co oznacza brak zrozumienia Berta. Nie zgadzał się z Elizabeth w kwestii leczenia Adama, złościły go koszty ośrodka, które uszczuplały ich finanse i pozbawiały go możliwości podjęcia pracy w sektorze prywatnym, mniej bezpiecznej niż stanowisko statystyka w agencji państwowej. Poszperał w Internecie i wydrukował teoretyczne artykuły o autyzmie; Elizabeth pokazał te, z których wynikało, że chorobę wywołuje odrzucenie przez matkę, toksyczne płyny owodniowe w czasie ciąży, genetyczna skłonność związana z linią żeńską. Te niejasne, nieudowodnione teorie musiały zdenerwować Elizabeth. Bert był wysokim mężczyzną o masie składającej się w większej mierze z mięśni niż tłuszczu i palcach, które zaciskały się w pięści nawet podczas swobodnych pogawędek. Jego jasne włosy już się

przerzedziły i przyjaciółki żony ze złośliwym rozbawieniem odnotowały, że na skórze głowy wyskoczyły piegi. Wszystkie wiedziały o matce Jen i Elizabeth, niezadowolonej ze wszystkiego starej kobiecie, która skarżyła się światu na swoje córki przez całe ich dzieciństwo, a teraz, na starość zniedołężniała, skarżyła się im na resztę świata.

Trish spojrzała na zegarek.

– Mówiła, że musi wpaść po drodze do domu, ale uważała, że zdąży – powiedziała z wahaniem, jej słowa przyćmiewał niepokój. Pomyślała, że Bert jest klinicznym przykładem utajonej agresji, ale nigdy nie powiedziałaby tego na głos. Trish rozważała kiedyś rozmowę z Jen na ten temat. Jednakże związek między siostrami i tak był już dość napięty.

– Mogłabym zadzwonić – zaproponowała Jen, ale zanim zdążyła skończyć zdanie, drzwi się otworzyły i weszła Elizabeth, przepraszając skinieniem głowy, gdyż uśmiechanie się nie leżało w jej naturze.

– Przepraszam. Musiałam omówić coś z Bertem. Ale mam kasetę.

Wręczyła ją Rinie, która wzięła też jej płaszcz i mimochodem zauważyła świeży siniak na przedramieniu Elizabeth, zanim ta zdążyła obciągnąć rękaw bluzki.

Oczy Elizabeth podążyły za spojrzeniem przyjaciółki.

– Ach to – rzuciła. – Uderzyłam się o szafę na dokumenty. Niezdara ze mnie.

Rina nic nie powiedziała. W końcu co mogłaby powiedzieć? Zobaczyła, że Cynthia przygląda się uważnie Elizabeth, a następnie odwraca wzrok. Nerwowo gniotąc chusteczkę, zaciska usta i nagle wychodzi z pokoju, a jej oczy niebezpiecznie lśnią. Może więc o to chodzi. Może Erie był agresywny, fizycznie agresywny wobec Cynthii albo nawet i dziewczynek. To mogło być rozwiązanie tajemnicy, odpowiedź na uporczywe pytanie „dlaczego”, które nurtowało je wszystkie. Z pewnością nie przyszło ono do głowy żadnej z nich. Zawsze uważały Erica za bardzo łagodnego, właściwie taki przeżytek na Manhattanie –

mężczyzna, który odnosi ogromne sukcesy, a jednocześnie jest dobroduszny i wyrozumiały. Mogłaby zapytać o to Trish. Nie, nie Trish, ona jest tak cholernie analityczna. Rina wyobraziła sobie reakcję Trish: A skąd u ciebie taki pomysł? Czy ty przypadkiem nie przenosisz na Cynthię swoich lęków? Donna. Podzieli się tą myślą z Donna.

Z łazienki dobiegł dźwięk spuszczonej wody. Cynthia wróciła; usta miała świeżo umalowane, a jaskrawożółtą apaszkę na nowo zawiązaną. Elizabeth wsunęła kasetę do odtwarzacza, po czym przygasiła lampę, a przyjaciółki nałożyły sobie jedzenie na talerze. Następnie zsunęły buty, usadowiły się na kanapie i podłodze z uśmiechem wyrażającym pełną skruchy niecierpliwość. Rozparte wygodnie, nadziewały kawałki wołowiny i homara, przeżuwały sajgonki, siorbały zupę oraz herbatę, i patrzyły, jak doktor Karol Bovary wchodzi do małego wiejskiego domku na francuskiej prowincji i zasiada wraz z piękną Emmą do tego pierwszego fatalnego śniadania. Delektowały się jedzeniem, w miarę jak historia się rozwijała; Karol i Emma się pobrali; Emma, nieuchronnie znudzona małżeństwem i macierzyństwem, zaczęła wdawać się w niefortunne romanse, aż nastąpiło udramatyzowane zakończenie, w którym jej biedny mąż zostaje doprowadzony do bankructwa, a ona decyduje się na samobójstwo. Ale tylko Donna płakała podczas tragicznego finału. Jej łzy zdziwiły i zawstydziły pozostałe. Aktorstwo było okropne, scenariusz jeszcze gorszy, a Donna należała do naprawdę wymagających krytyków.

– Daj spokój, Donno. Przecież to było tak cholernie cliwe – powiedziała Jen, a Rina dołała Donnie herbaty, ale nie spotkała się z nią wzrokiem.

– Cóż, myślę, że możemy śmiało powiedzieć, że książka jest lepsza niż film – stwierdziła cierpko Elizabeth, kiedy pojawiły się napisy końcowe.

– No, nie wiem. Film miał swoje momenty. – Cynthia nalała sobie kolejny kubek herbaty. – Byłoby lepiej, gdyby Jennifer Jones potrafiła grać, ale i tak udało jej się uchwycić charakter Emmy.

– Lub jego brak – wtrąciła Trish. – Chociaż myślę, że Flaubert był w sumie pełen zrozumienia dla swojej bohaterki. Pamiętacie? Kiedy zapytano go, na kim wzorował tę postać, odpowiedział...

– „Madame Bovary, c'est moi” – wykrzyknęły chórem i roześmiały się, zadowolone z siebie i własnej erudycji.

– No i James Mason tak właśnie zagrał Flauberta – powiedziała Trish. – Chociaż reszta filmu jest przepełniona niechęcią do Emmy i współczuciem wobec biednego Karola. Pewnie w Hollywood w tamtych czasach nie patrzono zbyt pobłaźliwie na niewierne żony. Szczęśliwe małżeństwo stanowiło część amerykańskiego mitu i według dominującej filozofii małżeństwo, jakiegokolwiek by było, należało utrzymać za wszelką cenę. Tak więc Emma, która złamała przysięgę małżeńską, musiała zostać czarnym charakterem.

– Cóż, wydaje mi się, że nawet ci hollywoodzcy ważniacy zgodziliby się, że istnieją sytuacje, w których czyny jednego z małżonków sprawiają, że rozwód staje się nieunikniony – orzekła Cynthia.

Podeszła wolno do okna i wbiła wzrok w opustoszałą ulicę.

Przyjaciółki spojrzały na nią, a między nimi przelatywała w ciszy jedna myśl. Jakież to czyny sprawiły, że jej rozwód stał się nieunikniony? Co takiego zrobił Erie? Podczas spotkań w kawiarniach, licytacji pomysłów w późnych rozmowach telefonicznych nie brały pod uwagę możliwości, że Erie ma romans. Zgodziły się, że musiałby być szalony. Cynthia była zachwycająca, a ich wspólne życie było jak sen. Ale teraz, w świetle reakcji Cynthii na niewierność Emmy Bovary, znowu wydało się to możliwe. Jednakże Cynthia rozwiązała to przypuszczenie niemal równie szybko, jak je obudziła.

– Oczywiście zwykła niewierność nie zapewniłaby hollywoodzkim rekinom odpowiednio ciekawej intrygi. Nie wystarczyłaby, żeby zniszczyć jakiegokolwiek małżeństwo, ani wtedy, ani dzisiaj – powiedziała beznamiętnie. – Potrzeba do tego znacznie więcej.

Usiadła na kanapie i na chwilę zaniknęła oczy.

Trish przyszło do głowy, że może Cynthia się z nimi drażni, igra, rzuca im tłucę się wskazówki i gasi je, zanim zdążą się rozpaścić. Nieżyczliwość tej myśli zaszokowała ją i szybko zmieniła temat.

– Flaubert był bardziej zainteresowany postaciami niż małżeństwem – powiedziała. – Sam nigdy się nie ożenił i patrzył z góry na tych, którzy żyli w małżeństwie. Nienawidził męża siostry, żony brata. Myślę, że widział w małżeństwie pewnego rodzaju więzienie, kres wolności.

– Nie jest to wcale taki absurd – mruknęła Donna. – Ja właściwie też tak uważam. Gdybym wyszła za mąż, oznaczałoby to wyrzeczenie się wolności. W tej chwili należę tylko do siebie. Mam swoją pracę, własne mieszkanie. Mogę jednego wieczoru zjeść kolację z Timem, potem wyjechać na weekend z Rayem. Żadnych wymówek, przeprosin, kłamstw.

– Emma Bovary zazdrościłaby ci twojej wolności. Potrafię ją sobie wyobrazić żonglującą kochankami, niezależną od nikogo, kobietę, która zarządza własnymi finansami i życiem. Ale w powieści postrzegala siebie jako więźnia – zauważyła Trish.

Donna zarumieniała się mocno.

– Nie żongluję kochankami – powiedziała cicho. – Po prostu tak się składa, że w moim życiu jest dwóch mężczyzn.

– I to twoje prawo, wielkie szczęście – zapewniła ją Rina. Podczas takiej wymiany zdań zawsze stawała w obronie Donny.

– Jakiego rodzaju więźnia? – zapytała Jen, patrząc na Trish, która beztrąsko kartkowała książkę w poszukiwaniu fragmentu na poparcie swoich słów.

– Więźnia nudy. Przykutego do własnych pragnień – wtrąciła Rina i uśmiechnęła się szeroko, dumna ze swojego gładkiego komentarza. Wpadła w sidła akademickiego dyskursu. Cytowała z pracy doktorskiej, gdzie opisuje Sylvię Plath jako przykutą do własnych pragnień (teza, którą musiała jeszcze udowodnić). – Ale film podkreśla – czego zupełnie nie ma w powieści Flauberta – że w tej nudzie, w tych pragnieniach było coś potwornie niewłaściwego. Pewnie, że Emma pragnęła pięknych rzeczy,

modnych strojów, kapeluszy i torebek. Czy to jakaś zbrodnia?

– Owszem, jeśli zrobisz wszystko, by je zdobyć. Kupujesz rzeczy, na które cię nie stać. Doprowadzasz męża do bankructwa. A to właśnie zrobiła Emma – powiedziała Elizabeth. – Jest wiele rzeczy, które bym chciała, ale wiem, że nigdy ich nie zdobędę. Więc obywam się bez nich. Zapewne zawsze będę się obywać. – Siedziała bardzo prosto, z zaciśniętymi ustami, i delikatnie gładziła palcami siniaka na ręce.

– Ale są kobiety, które tak nie potrafią. One zrobią wszystko, by zdobyć rzeczy, których ich zdaniem potrzebują, które im się należą – upierała się Rina. – Myślę o kobiecie, którą widziałam kiedyś w Saksie.

– Byłaś w Saksie? – zapytała kpiąco Donna. – Oszczędna Rina była w Saksie na Piątej Alei?

Rina zaśmiała się.

– Zdarza się, jak wiadomo, że podrzędni pracownicy naukowci zostają wpuszczeni do krainy wielkich bogactw. Była tam świetna jednodniowa wyprzedaż w dziale dziecięcym, a Jeremy potrzebował nowych koszul. Więc kupiłam je, a potem postanowiłam przejść się po innych działach. I wtedy ją zobaczyłam, przekopywała stojak z przecenionymi damskimi torebkami.

Rina zamilkła, a one pochyliły się ku niej wyczekująco. Anegdoty Riny, jej spostrzeżenia dotyczące życia w mieście zawsze je bawiły. Była bardzo bystra i miała błyskotliwy sposób opowiadania. Donna mówiła kiedyś, że w college’u Rina pisała krótkie teksty do gazet uniwersyteckich i brylowała w klubie studenckim. „Ale to była dawna Rina”, dodała, a one zrozumiały. Rina sprzed narodzin Jeremy’ego, sprzed okresu pełnego rozczarowań, która miała skończyć pracę doktorską w rekordowym czasie, pisać powieści w wypełnionym książkami gabinecie z grubym dywanem i poślubić kogoś tak przystojnego jak Ted Hughes Sylvii Plath. Wciąż jednak można było dostrzec ślady dawnej Riny, kiedy miała do opowiedzenia jakąś dobrą historię.

– No więc kim była i co takiego robiła? – zapytała Jen, ciekawa anegdoty i zadowolona, że na chwilę odejdą od tematu Emmy Bovary.

Mimo że Jen lubiła bohaterkę Flauberta, a nawet akceptowała jej obłudę, wiedziała, co oznacza milczenie Emmy. Rozumiała, że czasem trzeba zataić prawdę, by utrzymać spokój. A dla Jen unikanie konfrontacji i utrzymywanie spokoju zawsze było priorytetem. Tyle nauczyło ją dorastanie w jednym domu z Elizabeth. Zerknęła na siostrę, ale jej uwaga była skupiona na Rinie.

– Była atrakcyjną kobietą, o srebrzystych włosach do ramion i wyglądzie prosto z salonu piękności; koścista twarz, bardzo dobrze umalowana i bardzo smutna; długie palce, paznokcie świeżo po manikiurze, pokryte lakierem w odcieniu subtelnego koralu; wysoka, szczupła; elegancki czarny kostium i czerwony jedwabny szal, czerwone buty, prawdopodobnie z marokańskiej skóry. – Głos Riny był zamyślony, jakby starała się przypomnieć sobie każdy szczegół, ponieważ każdy szczegół miał ogromne znaczenie.

– Bizuteria? – podsunęła Cynthia, gładząc palcami własną masywną bransoletę, dotykając ciężkich złotych kolczyków.

Uwielbiała biżuterię i Erie podarował jej wiele wspaniałych klejnotów z okazji urodzin, ich rocznic, na wakacjach. Przyjaciółki zastanawiały się, czy będzie tęsknić za tymi prezentami, czy nadal będzie nosić te szpilki i naszyjniki, które stanowiły kamienie milowe ich związku. Jeśli nie mogłaś znieść obecności męża w swoim domu choćby nawet jeszcze przez jedną noc, jak udaje ci się patrzeć na te wszystkie prezenty? Trish dotknęła własnej srebrno-turkusowej bransoletki – prezentu od Jasona po narodzinach Mandy, wyrazu wdzięczności i skruchy. Zamknęła oczy. Nie chciała myśleć o tym, co sprawiło, że konieczne były przeprosiny, o jego zdradzie, o swoim tchórzostwie.

– Obrączka ślubna. Diamentowa. A szal spinała srebrna szpilka w kształcie strzały. Ale, co dziwne, nie miała przy sobie torebki.



Obiema rękami przedzierała się przez ogromną stertę wieczorowych kopert, torebek, skórzanych toreb na zakupy – wiecie, jak oni zrzucają wszystko na jedną kupę podczas tych wielkich wyprzedaży – jakby była Mojżeszem, a te torebki Morzem Czerwonym. Jakoś mnie fascynowała, więc dalej jej się przyglądałam i zobaczyłam, jak nurkuje głęboko w tej stercie i wyciąga ogromną torbę w kształcie worka, z czarnej skóry, z szylkretową rączką, i nawet nie rozejrzawszy się, czy ktoś nie patrzy...

– Co ty oczywiście robiłaś – wtrąciła ostro Elizabeth. Rina zignorowała ją i mówiła dalej:

– Nawet się nie rozejrzawszy, jednym szybkim ruchem ręki zrywa metkę, sięga do kieszeni zakietu, wrzuca do torby swój portfel, kosmetyczkę, dwa pęki kluczy i jak gdyby nigdy nic kieruje się do innego działu. I co dziwne, z jej twarzy zniknął cały smutek. Uśmiechała się.

– A ty uznałaś, że to wiąże się z naszą dyskusją o *Pani Bovary*, ponieważ... – W tonie Elizabeth brzmiało zniecierpliwienie.

– Ponieważ, tak jak zauważyła Rina i jak ja to widzę, ta kobieta cierpi na to samo uzależnienie co Emma Bovary, uzależnienie od pięknych rzeczy. Być może ma nadzieję, że posiadanie takich przedmiotów, czynienie ich częścią swojego życia rozproszy nudę, jaką odczuwa, przerwie monotonię jej codziennego życia. Pamiętajcie, jak Emma ciągle wygląda przez okno i czeka, że coś się wydarzy, ale nigdy nic się nie dzieje. W pewnym sensie reprezentuje ona wszystkie kobiety, które nie mają żadnej kontroli nad swoim życiem i starają się ją uzyskać, czasem perwersyjnymi sposobami.

Trish mówiła szybko, zaskoczona własnymi słowami, ale zrozumiała nagle, dlaczego Rina opowiedziała im tę historię. To drobne wydarzenie dało jej jasność i zrozumienie, jakich nie miała podczas lektury powieści.

Zamilkła. Jej słowa padały zbyt szybko, myśli latały różnymi nieznanymi szlakami. Czyżby przenosiła własne niezadowolenie na Emmę Bovary? Nie miało znaczenia, że jej dynamiczne życie

na Manhattanie dwudziestego pierwszego wieku w najmniejszym stopniu nie przypominało nudnej egzystencji żony wiejskiego doktora w dziewiętnastowiecznej Normandii. W miarę czytania coraz mocniej identyfikowała się z rodzącą się nudą, która stopniowo ogarniała Emmę w prowincjonalnym Yonville. Często późną nocą przewracała karty powieści, a obok spał, chrapiąc cicho, Jason, i nagle zamykała książkę, ogarnięta uczuciem, że mimo pozornego porządku własne życie i zobowiązania są poza jej kontrolą. Tak jak Emma, była bezsilna, a jej wybory podyktowane wymaganiami pacjentów, Jasona, Mandy. Wiedziała, że o to właśnie chodzi młodemu anorektycznym pacjentkom, kiedy przestają jeść, kiedy zmuszają się do wymiotów. Chcą sprawować jakiś rodzaj kontroli nad swoim życiem, swoimi ciałami. To nie przypadek, że ona, która od dzieciństwa toczy walkę, by panować nad własnym życiem, postanowiła specjalizować się w zaburzeniach odżywiania. Potrzeby emocjonalne stały się jej zawodowym kompasem. Teraz inaczej widziała Emmę Bovary, a może także i siebie. Oczywisty wniosek, ale dotychczas dziwnie się jej wymykał.

– Zakładasz, że wdanie się w romans to perwersja – powiedziała chłodno Jen. – Myślę, że właściwie mogłabyś uznać mój związek z Ianem za romans, przynajmniej według tradycyjnych standardów. Nie jesteśmy małżeństwem. Nie zobowiązaliśmy się formalnie do niczego. Ale ja nie widzę w tym perwersji.

– Nie. Oczywiście, że nie – odparła szybko Trish.

– Ale są romanse i romanse. – Głos Cynthii zabrzmiał beznamiętnie, a przyjaciółki odpowiedziały na jej słowa niezręcznym milczeniem, tłumiąc pytanie, to uporczywe, niewypowiedziane „dlaczego”. Czy Erie miał romans, który przekroczył granicę przyzwoitości? Związek z dojrzewającą dziewczyną, kobietą w podeszłym wieku, jednym z przystojnych młodych mężczyzn, których zawsze jest pełno w środowisku filmowym? Możliwości były niezliczone. W końcu, jak Cynthia sama powiedziała, są romanse i romanse.

Trish znowu dotknęła swojej bransoletki, pomyślała o tym, jak Jason szlochał, gdy ją jej dawał. Wyznał wówczas, że w czasie jej ciąży, tej trudnej ciąży, miał krótki romans ze współpracownicą w jakimś odległym mieście. Głupi, pospolity romans, powiedział. Kocha Trish, tylko Trish. Musi być szczery. To się już nigdy nie powtórzy. Obiecał, a ona mu uwierzyła, pozwoliła wsunąć sobie na rękę bransoletkę, wziąć jej dłoń i pocałować; wybaczyła mu, ponieważ wydawało jej się, że nie ma innego wyjścia. Próbowwała go nie obwiniać, wynajdywała dla niego okoliczności łagodzące. Była przykuta do łóżka, seksualnie odległa. On był daleko, samotny. Mają dziecko. To nic wielkiego, jednorazowa przygoda. Są romanse i romanse. Donna zmieniła temat.

– Wydaje mi się, że myślimy o Emmie tylko jako o żonie, sfrustrowanej mieszcance. Ale co z Emmą w roli matki? Czy równanie nie ulega zmianie, kiedy kobieta ma dziecko?

– Nieodwołalnie – odpowiedź Elizabeth była szybka i stanowcza.

Nie miały wątpliwości, że Elizabeth zostawiłaby Berta gdyby nie Adam. To nigdy nie było szczęśliwe małżeństwo. Tyle dała im do zrozumienia Jen, chociaż była zbyt lojalna wobec siostry, żeby rozwijać temat. Wiedziały, że rozeszli się, gdy Elizabeth była w ciąży, i nawet mieszkali osobno, dopóki u Adama nie zdiagnozowano autyzmu. To ze względu na jego stan, jego potrzeby, wrócili do siebie i trwali tak, schwytni w małżeńską sieć goryczy i wzajemnych oskarżeń. Rozwód był kosztowny i zajmowanie się dzieckiem takim jak Adam też było kosztowne. Dokonali wyboru, uwięzili w pułapce swoich bezpiecznych, ale niewdzięcznych zawodów, niedającego satysfakcji małżeństwa; ich życiem kierowało cierpienie Adama i ich własne.

– Ale Emma Bovary, tak samo jak Anna Karenina, nigdy nie myślała o dziecku. Myślała tylko o sobie, o własnym szczęściu – dodała Elizabeth, a w jej słowach przebrzmiewała nuta poczucia słuszności, autoaprobaty.

Ona nigdy nie była szczęśliwa, i nigdy szczęśliwa nie będzie, ale wypełnia swój obowiązek. Spojrzała na Jen, ale ta nie spotkała

się z nią wzrokiem, tak samo jak w dzieciństwie uciekała przed własnymi reakcjami, nie dawała się wciągnąć w kłótnię, która mogłaby się zacząć jako abstrakcyjna dyskusja o *Pani Bovary*, lecz z pewnością przerodziłaby się we wzajemne zarzuty i oskarżenia. Elizabeth się odwróciła, a Jen dołała sobie herbaty.

– Są takie chwile, kiedy trzeba myśleć o sobie – powiedziała Cynthia. – To nie tylko wybaczalne, ale wręcz konieczne. Matka, która chroni siebie, chroni tym samym swoje dzieci.

Zamilkła, ale one wyobraziły sobie jej myśli, niewypowiedziane słowa („co ja właśnie uczyniłam, dlatego zmusiłam Erica, by odszedł”), i dorzuciły je do kosza swoich przypuszczeń. Będą rozmawiać o tym komentarzu przez następne tygodnie w krótkich rozmowach telefonicznych, podczas szybkich posiłków w pobliskich restauracjach. Kawa całkiem im wystygnie, gdy będą dyskutować o Cynthii, analizować jej słowa, starać się zgłębić jej sekret. W jaki sposób Erie zagroził bliźniaczkom? Czy w ogóle im zagroził? Dlaczego Cynthia widziała siebie jako ich obrończynię?

Zagadka jej drastycznej decyzji stała się ich obsesją. Chwytały się każdej wskazówki podrzucanej im przez Cynthię jak magicznej nici, która jeśli się za nią uważnie podaży, poprowadzi je przez emocjonalny labirynt do wyjścia, gdzie wszystko stanie się jasne, a wisząca nad ich myślami chmura pytań i wątpliwości rozwieje się i odsłoni przejrzyste niebo jasnych odpowiedzi, – Ani Emma Bovary, ani Anna Karenina nie pragnęły chronić swoich dzieci. Emma dopiero na łożu śmierci przypomina sobie, że ma dziecko – zauważyła Donna. – Co można zrozumieć. Dzieci nie są centrum wszechświata każdej kobiety. Córka Emmy z pewnością nie była centrum wszechświata matki. Wierzcie, nie wierzcie, ale są kobiety, które w ogóle nie chcą mieć dzieci.

– Nigdy nie chciałaś mieć dzieci, Donno? – spytała Trish. Jakie to dziwne, że pracując z Donna, czując z nią tak silną więź, wiedziała o niej tak mało. Ileż kryje się pod maską opanowania i spokoju, tylko na chwilę poruszoną jej pytaniem. Przypuszczała, że Rina wie o Donnie znacznie więcej, ale oczywiście pewności

nie miała.

– Rozmawiamy o Emmie Bovary, a nie o Donnie Saunders – odparła krótko Donna. – Ale skoro pytasz, to nie jestem przekonana, czy chcę mieć dzieci. Ani też czy chcę wyjść za mąż. Może i dla Emmy Bovary byłoby lepiej, gdyby nie miała męża. Może nie umarłaby ze smakiem arszeniku na języku i pieśnią niewidomego żebraka w uszach.

Następnie dyskusja zeszła na to, jakie mogłoby być życie Emmy, gdyby nie poślubiła Karola Bovary'ego. Z entuzjazmem przedstawiały różne możliwości, chichotały z własnych wersji historii. Emma mogłaby się przenieść do Paryża, zostać drugą George Sand, odtrącić Rudolfa, swojego kochanka, a nie czekać, aż on ją odtrąci. Albo mogłaby zostać w Yonville, jej córka Berta wyrosłaby na piękną kobietę, zakochałaby się w Rudolfie i żyła tak, jak pragnęła żyć matka.

Karol Bovary mógłby udoskonalić swoje umiejętności w dziedzinie chirurgii, dostać Legię Honorową. Emma tańczyłaby na galowych balach w Paryżu, złożyłaby głęboki ukłon przed rodziną królewską, zrealizowała dziewczęce marzenia z czasów szkoły u sióstr zakonnych.

Cynthia wyobraziła ją sobie jako starą kobietę, matronę rezydującą w pięciogwiazdkowym hotelu, w eleganckiej sukni, z grubą warstwą makijażu, mocno wylakierowaną fryzurą i młodym mężczyzną u boku, który nosi za nią torebkę i płaszcz.

– Widziałam takie kobiety w hotelach na Riwierze. Znudzone primadonny z minionej epoki. Każda z nich to Emma Bovary z pieniędzmi – powiedziała. – Erie rozważał nawet, czy nie zrobić o nich filmu. – Wzdrygnęła się na dźwięk własnego głosu, gdy wypowiedziała imię męża.

Jen widziała Emmę w spokojnym związku z Karolem Bovary, pogodzoną z rolą żony i zadowoloną z roli kochanki starszych mężczyzn, którzy płacą za jej suknie balowe i lekcje muzyki.

– Mogłaby nawet zamówić swój portret u jakiegoś artysty. Albo odkryłaby u siebie talent i została malarką.

Przyklasnęła w dłonie, zachwycona losem, jaki wymyśliła dla

Emmy, a przyjaciółki skinęły, potakując. Nie chciały, by Emma się otręła, tak samo jak nie chciały, aby Anna Karenina zginęła pod kołami pociągu.

– Dlaczego kobiety zawsze muszą być ofiarami? – zapytała żalnym tonem Elizabeth.

– Mówimy o dziewiętnastym wieku – odparła Rina. – A jaka byłaby Emma wieku dwudziestego pierwszego?

Przez chwilę milczały, zastanawiały się, po czym pozwoliły swoim myślom popłynąć wartkim nurtem ożywionej dyskusji; wymieniały się pomysłami, zonglowały możliwościami – Emma na prozaku, Emma jako daytrader, Emma jako Martha Stewart.

Pobudzone własnymi pomysłami wzniosły się na skrzydłach twórczej wyobraźni, stawiały mężczyzn i kobiety z Yonville przed nowymi dramatycznymi wyborami, sprzeczały się o historyczne i społeczne realia powieści. Zanurzone w fikcyjnym świecie Flauberta oderwały się od własnego życia, zapomniały o drobnych utrapieniach i kłopotliwych dylematach, przed którymi stają każdego dnia. Na chwilę zniknął z ich świadomości problem Cynthii, Trish zapomniała o swoim emocjonalnym letargu, Elizabeth odeszła myślami od ciągłego niepokoju o Adama. Zadzwoił telefon Riny, ale nie odebrała, więc włączyła się automatyczna sekretarka. Jen gryzmoliła na papierowej serwetce rysunek kobiety i dziecka, może Emmy i Berty. Twarz Donny błyszczała podnieceniem, gdy słuchała i mówiła, i znowu słuchała.

Były czytelniczkami, dla których literatura stanowiła narkotyk, każda złożona fabuła zapewniała im nowy odłot, unosiła je ponad rzeczywistość, prowadziła w magiczną podróż – to po ośnieżonych ulicach Petersburga, to na salę pretensjonalnej opery w prowincjonalnym Rouen. Często rozmawiały z pełną smutku szczerością o tym, jak książki, które czytają, stanowią dla nich ucieczkę, otwierają przed nimi ścieżki wiodące do intrygujących i porwujących literackich krajobrazów.

Już w dzieciństwie powieści były dla nich balonami, w których wznosiły się wysoko ponad pełne złości narzekania kłócących się

rodziców, odrzucenie przez rówieśników, nudę nauki. Elizabeth i Jen, siostry skłócone w tak wielu kwestiach, łączyło uzależnienie od czytania; obie chowały zbiory baśni w dziwnych kątach ich podmiejskiego domu, dla obu pierwsze i ostatnie zdania tych historii były jak magiczna mantra: „Był sobie kiedyś...” „I żyli długo i szczęśliwie”. Kina i Trish przyznały się do czytania przy latarce pod kocami. Donna nigdy nie zasypiała bez książki pod poduszką, słuchała nagrań powieści, pracując z mamą w kuchni. Cynthia czytała w drodze do szkoły i ze szkoły, potykała się, zadrapywała sobie kolana, a po chwili wstawiała i ruszała dalej, ze wzrokiem wciąż utkwionym w książce.

Takie opowieści pobudzały je do śmiechu i tworzyły nie natychmiastowego porozumienia. Wszystkie były jakby czytelniczkami od urodzenia, miłość do książek miały zapisaną w genach, tak jak niebieskie oczy czy skłonność do alkoholizmu.

Ich klub był niezwykły, ponieważ one były niezwykłymi czytelniczkami. Każda odwiedziła kiedyś inne kluby, posłuchała płytkich komentarzy, pseudoanaliz, słów rzucanych w grach, które miały dowodzić intelektualnej wyższości. „Sądzę, że autor w gruncie rzeczy chciał powiedzieć... „ „Pomówmy o symbolizmie, który według mnie oznacza... „ „Zupełnie nie podobało mi się zakończenie... „ „Może powinniśmy w przyszłym tygodniu spróbować z jakąś biografią”.

One były inne. Literatura stanowiła ich pasję, każda książka, o jakiej dyskutowały, stawała się wyzwaniem dla serca i umysłu, każde spotkanie zamieniało się w festiwal pomysłów. Ich przyjaźń, bliskość, miała swoje źródło w tej wspólnej pasji, nie wyrażanej słowami, ale uznanej w milczeniu. Podczas dyskusji o książkach odsłaniały się nawzajem przed sobą, ujawniały swoje marzenia, najgłębsze lęki, najjaśniejsze nadzieje. Tak też czyniły teraz, choć zanurzone w świecie Emmy Bovary, której ani nie żałowały, ani nie podziwiałały.

W końcu, wyczerpane, rozsiadły się wygodniej i pozwoliły, by książki opadły na podłogę.

– A więc – powiedziała Trish – kim naprawdę jest pani

Bovary?

– Nous sommes Madame Bovary – odparły chórem i roześmiały się, rozbawione własną reakcją oraz świadomością, że to zdanie zawiera ziarno prawdy.

Cynthia znalazła torbę ciastek z wróżbą i puściła ją w obieg, Rina dołała wszystkim herbaty, a Elizabeth, która nienawidziła wszelkiego nieporządku (jak ona sobie radziła, kiedy Adam w gorączce niewytłumaczalnych napadów szału demolował pokój dzienny?), wrzuciła plastikowe talerze i sztucce do dużej czarnej torby na śmieci.

Nie uszło ich uwadze, że Rina zrzuciła resztki chińszczyzny do jednego plastikowego pojemnika, bez skrupułów mieszając krewetki w sosie z homara z wołowiną po syczańsku. Donna wiedziała, że przyjaciółka zje to później bez mrugnięcia okiem. Minilodówka w ich pokoju w akademiku zawsze była wypełniona kawałkami pizzy ocalonymi z zamówień ich znajomych, przywieđłą zieleniną wyniesioną z baru sałatkowego, nadgryzionymi batonikami czekoladowymi, które powoli pokrywały się białym nalotem. Wtedy bawiło ją nałogowe zbieranie resztek. Teraz jato martwiło i irytowało.

– Co ty, do cholery, próbujesz udowodnić? – pytała niejednokrotnie przyjaciółkę, choć nigdy nie oczekiwała odpowiedzi, nie spodziewała się, że ją dostanie. Milcząca zgoda była podstawą ich bliskości. Donna odwróciła się od Riny i podała dalej talerz z ciasteczkami. Jedna po drugiej rozłamywały małe ciasteczka i czytały na głos wyblakłe wróżby, zapisane na kawałkach cienkiej bibułki.

– „Tajemniczy mężczyzna w twojej przyszłości” – przeczytała Donna i skrzywiła się. – Właśnie tego mi trzeba, kolejnego mężczyzny, żeby dodatkowo skomplikował mi życie.

– Chcesz się zamienić? – zapytała Elizabeth. – Zresztą nieważne. Podoba mi się moja. „Czeka cię finansowa bonanza”. Chyba wolałabym finansową bonanzę niż tajemniczego mężczyznę.

Jen i Trish dostały to samo ostrzeżenie.



– „Nie rób żadnych planów do następnej pełni” – przeczytała na głos Jen.

– Naprawdę powinni wprowadzić jakąś kontrolę jakości w tej wielkiej niebieskiej fabryce ciastek z wróżbą – stwierdziła Trish. – Przypuśćmy, że cała grupa ludzi znajdzie tę samą wróżbę – mogą przestać w nie wierzyć. No, ale ja nie zamierzam robić żadnych planów do następnej pełni. To najlepsza rada, jaką dziś dostałam.

– Ja też nie – zgodziła się Jen. – Zostawię całe planowanie Ianowi.

– Jak zwykle. – Ton Elizabeth był uszczypliwy. Jen wzdrygnęła się, lecz nic nie powiedziała.

– Moja wróżba jest dość trafna – oznajmiła Rina. – „Wykonaj najpilniejsze zadanie”. – Zerknęła na stertę czekających na ocenę prac. – Staram się – powiedziała papierkowi i przedarła go na pół.

– A ty, Cynthia? – spytała Trish.

– Niewarte czytania – odparła Cynthia i wrzuciła karteczkę do torby na śmieci. – Zresztą muszę już lecieć. Nowa au pair i Mae nie mogą dojść do porozumienia; obiecałam, że wrócę wcześniej i porozmawiam z Mae.

– Kto tu pracuje u kogo? – zapytała oschle Elizabeth. Cynthia nie odpowiedziała, tylko wsunęła swoją książkę do skórzanej aktówki i zarzuciła na ramiona pelerynę z wielbłądziej wełny, harmonizującą z trapezową sukienką. Pochyliła się, by zawiązać buty, a jej kasztanowe włosy zaśniły w świetle lampy. Przez chwilę wyglądała jak reklama z jej katalogu, z logo pasującym do tego niewymuszonego spokoju. – „Kobieta Nightingale’s, jej życie i szafy w idealnym porządku”. Uśmiechnęła się do nich, jakby pozowała niewidzialnemu fotografowi.

– Niech któraś do mnie zadzwoni, jak zdecydujecie, co teraz czytamy – powiedziała i posławszy im wymaganego buziaka, wypadła z mieszkania jak strzała.

Rina wyciągnęła z torby na śmieci wyrzuconą wróżbę i przeczytała ją na głos.

– „Decyzji podjętych w pośpiechu przychodzi pożałować w spokoju”.

– Trafne. Bardzo trafne – mruknęła Elizabeth.

– Musiało to zrobić na niej wrażenie, skoro nie chciała nam przeczytać – powiedziała Trish.

– Może pomyślała, że to prawda. To szaleństwo wierzyć tym ulotnym wróżbom. Zawsze czytam swój horoskop w tych wszystkich idiotycznych czasopismach i rubrykach w gazecie i, co dziwne, zawsze przyłapuję się na tym, że trochę im ufam – wyznała Donna.

– Mogła doszukać się jakiejś prawdy w tej głupiej wróżbie. Rzeczywiście podjęła decyzję w pośpiechu i może zaczyna jej żałować. Życie bez Erica nie może być łatwe – powiedziała Rina.  
– Tyle że przynajmniej nie musi martwić się o pieniądze. Jeżeli ja sobie radzę, to i ona sobie poradzi. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym dlaczego. Co on takiego, u diabła, zrobił? I dlaczego ona nie chce o tym mówić?

Znalazły się teraz na znajomym terytorium i wszystkie ich spekulacje z ostatnich tygodni miały zostać odnowione i omówione. Każda z nich w trakcie minionych tygodni wyciągnęła rękę do Cynthii, próbowała umówić się na lunch, kolację, zadawała nieśmiałe pytania, rzucała jej emocjonalną linę ratowniczą.

– Musi ci być ciężko znosić to samej.

– Jak sobie radzą dziewczynki?

– Jak ty sobie radzisz?

Cynthia zachowywała uprzejmy dystans. Radzi sobie dobrze. Tak, to trudny okres. Dziewczynki jakoś się trzymają.

– Co o tym sądzisz? – zadawały sobie nawzajem retoryczne pytanie. Wszystkie możliwości zostały wyczerpane, wszystkie sugestie przećwiczone. Przyjaciółki skierowały dyskusję na temat następnej książki.

– Wybór należy do Donny – oświadczyła Trish po konsultacji ze swoim terminarzem. – Ty prowadzisz dyskusję, spotkanie odbywa się u ciebie, ty wybierasz.

– Czas odejść od dziewiętnastego wieku. Koniec z europejskimi bohaterkami samobójczyniami – orzekła spokojnie

Donna. – Zaczęłam czytać listy Edith Wharton. Myślę, że dostarczają one sporo materiału, nad którym warto się zastanowić. I jeśli starczy nam czasu, mogłybyśmy przeczytać jedną z jej powieści. Może *Rafę*?

– *Rafa* albo listy. Lub jedno i drugie. Tak czy owak będzie to wieczór Wharton – Trish jak zwykle przyklepała program.

Pozostałe skinęły głowami na znak zgody i niemal ulgi. Dobry wybór. Będzie treściwie. Będzie zabawnie.

– Chcę wypróbować kilka nowych przepisów – oświadczyła Donna i przyjaciółki znów się roześmiały. Donna była rasowym łakomczuchem; gotowała z wyczuciem prawdziwego smakosza. U niej nie będą zdane na chińskie potrawy na wynos. Data została ustalona i zapisana w ich organizerach i notesach elektronicznych.

– Powiem Cynthii – stwierdziła Jen. – Spotykam się z nią jutro, mamy omawiać grafikę do nowej promocji.

– Świetnie odparły jednogłośnie.

Następnego wieczoru każda znajdzie pretekst, żeby zadzwonić do Jen i dowiedzieć się, w jakim nastroju była Cynthia, czy powiedziała coś nowego, czy padło imię Erica. Zawstydzone swoją ciekawością, nie spojrzały sobie w oczy i szybko wymieniły lekkie, zdawkowe pocałunki, które zawsze naznaczały ich pożegnania.

Ponieważ wieczór był nietypowo ciepły jak na tę porę roku, Trish postanowiła wrócić do domu pieszo. Ożywiona dyskusja, myśli, które nawiedzały ją nieproszone, nieunikniona rozmowa o Cynthii – wszystko to sprawiło, że czuła się dziwnie wyczerpana, tak zmęczona, jak często bywała po wyjątkowo trudnej sesji terapeutycznej. Mijali ją późni spacerowicze. Kobieta o białych włosach, zgarbiona pod ciężarem lat, przytłoczona ciemnym wełnianym płaszczem, zbyt grubym na tę porę roku, prowadziła na smyczy małego pudła i przemawiała do niego wysokim, łagodnym tonem. Dostawca pizzy przejechał na rowerze w wielkim pośpiechu. Para ubrana w identyczne szare dresy biegła w kojącej ciszy, po czym zatrzymała się na rogu i pocałowała; dziewczyna zwróciła twarz ku górze, a kochanek delikatnie

głaskał jej głowę. Trish na chwilę zwolniła kroku, by na nich popatrzeć. Przed kamienicą zatrzymała się taksówka i wyskoczyła z niej młoda kobieta w garniturze, z aktówką w ręku, pomachała w kierunku okna na piętrze, po czym pospiesznie weszła do środka.

Dlaczego ona nie spieszy się do domu, do Jasona i Mandy? – zastanawiała się Trish, zazdrozcząc pośpiechu tej młodej kobiecie, tak jak – teraz zdała sobie sprawę – zazdrościła słodkiej spontaniczności pocałunku na rogu ulicy. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ona z Jasonem zbliżyli się do siebie, ogarnięci pragnieniem dotyku i czułości, i, zniecierpliwiona, zaniechała wysiłku.

W końcu ich związek nigdy nie opierał się na niezgłębionej namiętności i wzajemnym pociągu. Decyzja o wspólnym życiu była kwestią rozsądku; przedstawili ich sobie przyjaciele, którzy słusznie uznali, że będą do siebie pasować. Ona była na pierwszym roku stażu, po świeżym zwycięstwie w ciężkiej bitwie o ukończenie studiów medycznych, osiągniętym wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Nareszcie skończyły się lata konkurowania o stypendia, wypełniania wniosków o kredyt, przyjmowania niewdzięcznych prac dodatkowych w trakcie gorączkowej nauki. Koniec z wynajmowanymi pokojami i odgrzewanymi gotowymi daniami, jedną porcją makaronu rozkładaną na kolację i lunch. Była lekarzem. Miała kawalerkę. Widziała swoją samotność jako jeszcze jedną przeszkodę, która wkrótce zostanie pokonana.

Jason właśnie został młodszym wspólnikiem w spółce inwestycyjnej, kupił pierwszy samochód, wykupił karnet do teatru operowego w Nowym Jorku – dla dwóch osób – jakby przeczuwał, że wkrótce spotka kogoś, kto będzie podzielał jego pasję. Odczuwał perwersyjną przyjemność, gdy wypisywał czek rodzicom po tym, jak ojciec dostał udaru. Ten czek był jak oświadczenie skierowane do bliskich, którzy szydzili z jego aspiracji, do brata, który chował mu podręczniki, przedrzeźniał jego sposób mówienia, bo uważał go za pretensjonalny.

Trish i Jason, spotkawszy się w tym właśnie czasie i w tych okolicznościach, wzajemnie świadomi swojej inteligencji, dokonań, weterani obowiązkowych nieudanych romansów, dojrzelili do trwałego związku. Czuli się jakby zniewoleni tym, że mają tyle wspólnych upodobań. Oboje kochali operę, trzymali się za ręce, siedząc na zdobytych przez Jasona miejscach, płakali razem, kiedy madame Butterfly umierała (Trish wytarła mu twarz, tak, teraz sobie przypomina, zebrała jedną łzę pocałunkiem i rozczulił ją słony smak jego smutku na języku), bili brawo na stojąco, obejmowali się przy zakończeniu wspaniałych *Pajaców*. Teatr ich pasjonował, a poza tym przez pewien okres gotowali też razem, czego pamiątkę stanowiła ogromna kolekcja przypraw, która teraz zarastała kurzem na tyłach ich spiżarni.

– Mamy wiele wspólnych zainteresowań – mówili przyjaciółom i tym samym wypełniali prorocstwo pary, która ich ze sobą poznała. – Tak wiele nas łączy – mówili sobie nawzajem i brali tę wspólnotę za miłość. Nieważne, że Jason nie dzielił pasji Trish do literatury. Łączyło ich tyle innych rzeczy, a ona już znalazła sobie klub książki, który dawał jej satysfakcję i nie zagrażał ich związkowi.

Wymieniali się historiami rodzinnymi, ze smutkiem opowiadali o rodzicach z klasy robotniczej – jego w wiejskiej Pensylwanii, jej w robotniczym Delaware – którzy niespecjalnie ich zachęcali ani nie wspierali, raczej zaskoczeni ambicjami i marzeniami syna i córki, wykraczającymi tak daleko poza znaną im rzeczywistość. To rodzicielskie oszołomienie przerodziło się w gorycz, cichą rozłąkę, a w końcu chłodną obojętność. Telefony z okazji urodzin, usprawiedliwienia w Święto Dziękczynienia, byle jakie kartki świąteczne.

Zarówno Trish, jak i Jason czuli się bardzo samotni w świecie, który sobie wybrali. Kiedy się odnaleźli, wydało im się naturalne, że powinni wyzwolić się od tej samotności przez małżeństwo. Ich ślub był skromny, bez ekstrawagancji. W towarzystwie przyjaciół i współpracowników. Tylko matka Trish się pojawiła. Rodzina Jasona przysłała dużą szklaną misę na owoce, którą państwo

młodzi oddali do sklepu z artykułami używanymi.

Pracowali ciężko. Trish była pochłonięta stażem. Psychiatria stanowiła dla niej oczywisty wybór, zrodzony, jak czasem przychodziło jej do głowy, z oczarowania literaturą, potrzeby zrozumienia motywacji fikcyjnych postaci, jedynych towarzyszy samotnego dzieciństwa. Stopniowo przeniosła uwagę na pacjentów z zaburzeniami odżywiania, młodych ludzi próbujących zrozumieć tę tak znajomą próżnię, pustkę, jaką odczuwała w świecie, gdzie nikt nie mówił językiem jej myśli i serca. Rozumiała ich potrzebę przejęcia kontroli – choćby najbardziej przewrotną – nad ciałami, które ich zdradziły. Pacjenci stawali się innymi stronami jej osobowości. Związek, jaki wytwarzał się między nimi a Trish, był bardzo silny.

Pracowała do późna i często po powrocie do domu zastawała Jasona skulonego przed telewizorem, na wpół śpiącego.

On też pracował wiele godzin, zmęczony wyczerpującą wspinaczką po szczeblach kariery. Było wiele wyjazdów w interesach do odległych miast, spotkań późno w nocy z zespołami badawczymi i rozwojowymi. Widywali się coraz rzadziej. Skończyły się popołudnia wspólnego gotowania. Coraz częściej oddawali swoje bilety do opery innym parom. Ona miała dyżur pod telefonem. On musiał wyjechać.

I wtedy zaszła w ciążę. Ciąża nieplanowana, ale w odpowiednim momencie. Trish skończyła staż i dostała etat. Jason sfinalizował pierwszy z późniejszej serii świetnych interesów. W końcu mogli sobie pozwolić na wygodne mieszkanie w dobrej dzielnicy.

Ale ciąża okazała się trudna, wymagała długich tygodni leżenia w łóżku, a podróże Jasona były coraz częstsze. Trish odczuwała pierwsze oznaki niepokoju. Czy na pewno chce takiego życia? Przyznała się do znudzenia, które przypisała nieobecności męża, napięciu i samotności, jakie towarzyszyły jej ciąży. Myślała o powrocie do swojego psychoanalityka, ale terapia nie miała za zadanie leczyć z nudy. Dowiedziała się o rozwodzie Carla i Rity, pary, która ich ze sobą poznała, i poczuła zimny dreszcz

przerażenia. Rozwód nie wchodził w rachubę, zresztą dla czego miałyby myśleć o rozwodzie. Przecież tak do siebie pasowali. Mieli takie udane życie. Odsunęła od siebie samą myśl, obcięła długie ciemne włosy, teraz lekko przyprószone siwizną, w warstwową napuszoną fryzurę, która ładnie okalała jej szczupłą twarz, i kupiła jedwabną pastelową bieliznę na czas po porodzie. Była zdecydowana skierować swoje małżeństwo z powrotem na właściwe tory, uniknąć mielizn, na których rozbiło się małżeństwo Carla i Rity. Czowała przyływ nowej energii seksualnej, niecierpliwe podniecenie, jeszcze silniejsze, gdy po raz pierwszy wzięła w ramiona Mandy.

Miała na sobie nową bieliznę, w kolorze jaskrów, kiedy Jason dał jej bransoletkę i powiedział o romansie. Znowu się popłakał, ale tym razem nie zebrała jego łez pocałunkami.

Wybaczyła mu, ale coś wygasło. Wyczuwała jakby zaczyn śmierci, plamkę zgnilizny w zakamarku serca. Walczyła z nią, pogrzebała ją pod narastającym zapracowaniem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby zniszczyć życie, które ona – oni – zbudowali z takim trudem. W cichości ducha, gdy czytała o losach Emmy, zazdrościła jej odwagi w romansie z Rudolfem, planowaniu ucieczki od Karola Bovary'ego i nudnego życia, które już jej nie interesowało. Ona sama nie miałyby dość siły. Natychmiast pożałowała tej myśli. Jej życie nie jest nudne. A jednak podziwiała Emmę, tak jak niechętnie podziwiała Cynthię.

– To wymagało od niej dużej odwagi, poprosić Erica, by odszedł – powiedziała Donnie przy kawie w szpitalnej kafejce.

– Coś takiego nie wymaga odwagi, jeśli czujesz, że nie masz innego wyjścia – odparła Donna. – Erie musiał zrobić coś naprawdę okropnego. – Zamieszała kawę w zamyśleniu. – Co skłoniłoby ciebie, żebyś skończyła z małżeństwem? Co Jason musiałby zrobić?

To pytanie, zadane tak beztrąsko, sprawiło, że Trish ogarnął strach. Żołądek jej się ścisnął jak wtedy, gdy Cynthia powiedziała im spokojnie (zbyt spokojnie?) o swojej decyzji. Kruchość jednego małżeństwa uznawanego za trwałe i godne

pozadzroszczenia zagrażała innym związkom – to było jak efekt domina. Para za parą mogą się przewracać i rozpadać. Odpowiedź, jaką Trish dała przyglądającej jej się uważnie Donnie na to może jednak wcale nie tak beztrioskie pytanie, była rozbijająco niejasna.

– Nie wiem. Przypuszczam, że musiałyby to być coś ekstremalnego.

A Jason, jej ostrożny, łagodny Jason, nie ma skłonności do zachowań ekstremalnych. Nie żyje w świecie Erica – szalonego przepychu, podróży pierwszą klasą na greckie wyspy i do toskańskich wiosek, wiecznie w otoczeniu pięknych kobiet i – tak, tak – pięknych mężczyzn. Jego świat jest cichy, pełen napięć, spotkań i faksów późną nocą, podróży w interesach do miast składających się z centrów handlowych i wysokich biurowców. Czasem, bardzo rzadko, zmęczony podróżnik może szukać chwilowej ucieczki, próbować nieśmiałej wyprawy w świat pełnego skrepowania seksu, ale tego nie można nazwać zachowaniem ekstremalnym. Jego romans to sprawa jednorazowa, zupełnie dla niego nietypowa, która nigdy się nie powtórzyła.

– Może romans? – zasugerowała Donna, a Trish wzruszyła ramionami, niechętna, by wkroczyć na to jakże jej znajome terytorium spekulacji.

– Trudno to uznać za coś ekstremalnego. Teraz w świecie post Clintonowym. Hilary ustanowiła nowe normy dla nas wszystkich.

Zaśmiały się, po czym w pośpiechu dopiły kawę i pobiegły do swoich gabinetów, by stawić czoło wokandzie nieszczęść przewidzianych na to popołudnie.

Trish nie powiedziała Donnie, że nie zostawiła Jasona, nawet nie pomyślała, by go zostawić, kiedy przyznał się do romansu, zatruwając jej radość z narodzin Mandy, niszcząc nadzieję na nowy, lepszy początek. Inna kobieta zareagowałaby może wściekłością, łzami, groźbami. A ona tylko się odwróciła i pozwoliła, by jego łzy stoczyły się na bransoletkę, która, jak się okazało, była za szeroka na jej nadgarstek.

Czemu? Dlaczego nawet nie wspomniałam o separacji na



próbę? – zapytała samą siebie, gdy stanęła przed drzwiami budynku, gdzie mieszkali, a wiatr włóczęga mierzwił jej włosy. Odpowiedź okazała się zaskakująco prosta. Ponieważ nie chciałam. Ponieważ chciałam pozostać żoną Jasona. I nadal chcę nią być.

Byli sami na świecie, ona i Jason, odcięci od swoich rodzin, ich rodzice i rodzeństwo nawet nie przysyłałi Mandy kartek na urodziny. Trish miała świadomość, że być może to strach wiąże ich ze sobą ale jeśli tak, to jest to strach osadzony w rzeczywistości i przepleciony uczuciem oraz wspólną determinacją, która doprowadziła ich tu, gdzie się teraz znajdują. Trish była lekarzem, psychiatrą. Rozumiała symptomy i syndromy. Wiedziała, że kiedy nie ma lekarstwa, mogą pomóc półśrodki. I zawsze emocjonalną zgniliznę można wyciąć, tak jak mały inwazyjny guz. Ani Emma, ani Karol – mimo że był lekarzem – nie dysponowali tą wiedzą. Nagle straciła cierpliwość do Bovarych i Karenin. Nie starały się naprawdę. A Cynthia – czy ona naprawdę się starała? To pytanie przemknęło jej przez myśl, po czym znikło. Cynthia zbyt pilnie strzegła swojego sekretu.

Trish spojrzała w okno swojego mieszkania, złocisty prostokąt w ciemnościach, rozświetlony jedynie małą lampką stołową. Jason stał w tej plamie światła i patrzył w dół na ulicę. Zawsze kiedy wychodziła gdzieś późno, czekał na nią, pochylony do przodu, z niepokojem na twarzy, wysoki, siwiejący mężczyzna, który jako dziecko zaznał niewiele miłości i bał się utracić czułość, jaka była między nimi od początku. Te łzy, wylane tyle lat temu i od tamtego czasu nigdy niewspominane, zrodziły się właśnie z tego strachu.

Cofnął się do cienia, a w sercu Trish wezbrała nowa fala współczucia. Weszła szybko do budynku, nagle niecierpliwie pragnąc go zobaczyć, wejść z nim do pokoju Mandy, stać obok niego i przyglądać się ich śpiącemu dziecku. Może potem mogliby pomówić o tym domu letnim, który chce kupić. Może jutro Trish zadzwoniłaby do Cynthii i zapytała o nazwę agencji rekrutującej au pairs.

W odróżnieniu od Emmy, być może także w odróżnieniu od Cynthii, ona miała możliwość wyboru i zamierzała dobrze ją wykorzystać. Nie czekała na windę, tylko wbiegła na górę po schodach i nie zdziwiła się, że czekał na nią w drzwiach.

## Rozdział trzeci

– Jen! Jen Reardon!

Jen, która stała na rogu Madison i Pięćdziesiątej Piątej w porywach pierwszego, ostrego późnojesiennego wiatru, z ciężką czarną skórzaną teczką w ręku, i na próżno usiłowała złapać taksówkę, odwróciła się rozdrażniona. Już była spóźniona ze swoją cotygodniową wizytą w domu spokojnej starości, gdzie czekała na nią matka, o głęboko pomarszczonej twarzy wykrzywionej grymasem zniecierpliwienia i o wypłowiałych oczach, zmętniałych od życia pełnego rozczarowań. Jen myślała, że może zdąży wpaść do mieszkania i zamienić długi ciemny płaszcz i zbyt obcisły czarny beret na dżinsową kurtkę z kapturem, a przy okazji dać łanowi kanapkę z wędzonym łososiem, którą wycygała w bufecie Nightingale's. To się jej jednak nie udało. Spotkanie z Cynthią przeciągnęło się znacznie poza czas, jaki Jen na nie przeznaczyła, a nie było żadnego sposobu, by mogła wyjść. Harmonogram Cynthii miał pierwszeństwo. Jej głos brzmiał łagodnie, ale zdecydowanie, jej krytyka rysunków Jen, choć wypowiedziana przeproszającym tonem, była bezwzględna. Chciała większej wyrazistości produktów na jednym scenorysie, subtelniejszych kolorów na innym.

– Te nowe stojaki na przyprawy muszą przykuwać wzrok klientów. Każdy ma stojak na przyprawy. Sprzedajemy coś, czego tak naprawdę nikt nie potrzebuje, no może poza pannami młodymi, więc musimy postawić na stronę estetyczną. Chcemy, by osoba przeglądająca katalog zatrzymała się i z uwagą przyjrzała twojej grafice.

Jen mogła się nie zgadzać, ale zdawała sobie sprawę z tego, że Cynthia jest geniuszem marketingu, a także jej szefową, źródłem zleceń, osobą, która wypisuje czeki. Pracowały więc, dyskutując o projektach Jen, aż do lunchu. Dopiero przy kawie, kiedy wszystkie poprawki Cynthii zostały dokładnie zapisane, odprężyły się i zaczęły rozmawiać jak przyjaciółki. Cynthia rzuciła miłą uwagę

na temat ubrania Jen, pocieszego tęczowego swetra z ogromnymi kieszeniami na jej wszechobecne flamastry.

– Pasuje do ciebie, Jen – powiedziała z uznaniem.

– Właściwie to Ian go kupił – odparła Jen i natychmiast pożałowała swoich słów.

Nie chciała przypominać Cynthii, że ma kochanka, który kupił jej prezent, nie teraz, kiedy ta właśnie została sama.

Spojrzała na przyjaciółkę i zauważyła, że jest blada pod precyzyjnie nałożonym makijażem i tak chuda, że szkarłatna wełniana sukienka (odważna Cynthia, żeby wybrać kolor, który kłócił się z jej żywym odcieniem włosów) trochę na niej wisi.

– Wyglądasz na zmęczoną, Cyn. – W jej głosie słychać było nutę niepokoju.

– Cóż, to ciężki okres – przyznała Cynthia i dołączyła sobie śmietanki do kawy.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytała ostrożnie Jen. Wiedziała, że wkracza na zdradliwe terytorium emocji, ale chciała, by Cynthia wiedziała, że się o nią martwi i jest do jej dyspozycji.

Cynthia zawahała się, po czym pokręciła głową.

– Nie teraz. Jeszcze nie.

A Jen oczywiście nie nalegała; zerknęła na zegarek, po czym szybko się pożegnała i wyszła bez usprawiedliwienia. Matka. Musiała jechać do matki.

– Jen! – Ktoś znów zawołał ją po imieniu, tym razem bardziej natarczywie, właśnie gdy zatrzymała się koło niej taksówka. Odwróciła się, a kierowca, który zauważył innego chętnego, pojechał dalej.

To był Erie. Ruszył pospiesznie w jej stronę, z łopoczącymi połami rozpiętego płaszcza, twarzą zaczerwienioną od wiatru i gęstymi jasnymi włosami, które tak dobrze wychodzą na zdjęciach, opadającymi na równie fotogeniczne wysokie czoło. Zmusiła się do uśmiechu, ukrycia irytacji, niepodnoszenia głosu. Była dobrze wyszkolona w takim zachowaniu, z czego drwili na zmianę Elizabeth, jej siostra, i Ian, jej kochanek.

„Wszystko, byleby uniknąć konfrontacji”. Często powtarzane przez Elizabeth szyderstwo miało w założeniu właśnie do niej doprowadzić, ale Jen rzadko dawała się w to wciągnąć. Lata doświadczeń nauczyły ją, kiedy wyjść z pokoju, kiedy odłożyć słuchawkę, kiedy zniknąć w kuchni i zabrać się do robót domowych.

„Ludzie plują ci w twarz, a ty zachowujesz się, jakby padało”, Ian rzucał pogardliwe komentarze bez zastanowienia, gdy uważał, że przyjmowała zlecenie za zbyt niskie wynagrodzenie, gdy zgodziła się wyświadczyć komuś (zwykle Elizabeth) niezwykle kłopotliwą przysługę, kiedy kasjer wydał jej za mało reszty, a właściciel budynku ignorował jej skargi na wypalone żarówki na klatce schodowej i brak ciepłej wody pod prysznicem. Nie mówiła mu, że najczęściej on sam zalicza się do osób, które przypuszczają na nią małe słowne ataki – bo skończył się papier toaletowy, rachunek nie został zapłacony, on posiał gdzieś swój szkicownik. Rzadko mu odpowiadała. Łatwiej było kupić papier, zapłacić rachunek, znaleźć szkicownik, zadzwonić do właściciela jeszcze raz. Dobrze nauczyła się lekcji z dzieciństwa w cieniu Elizabeth, spędzonego na unikaniu gwałtownej i nieuzasadnionej złości rodziców.

– Cześć, Erie – powiedziała spokojnie, ukrywając zaskoczenie, że spotyka go pod Nightingale’s; było niemal zbyt oczywiste, że czeka na Cynthię.

Czeka czy śledzi? Kiedy mu się przyjrzała, odsunęła oskarżycielską myśl. Widok desperacji w tej jakże teraz wymizowanej twarzy obudził w niej współczucie; zasmuciły ją cienie pod jego oczami. Elegancki płaszcz z wielbłądziej wełny wydawał się za duży, chude nadgarstki sterczały z naraz za szerokich rękawów, a kiedy pochylił się, by ją pocałować, zdawało jej się, że poczuła od niego alkohol.

– Wracasz ze spotkania z Cynthią? – zapytał.

– Planujemy poświęteczną wyprzedaż.

Do Święta Dziękczynienia było jeszcze kilka tygodni, a Cynthia już myślała o styczniu. Ale taka właśnie jest –

zorganizowana, panuje nad sytuacją i zawsze myśli o wszystkim zawczasu, i dlatego też teraz siedzi wygodnie za ogromnym uporządkowanym mahoniowym biurkiem, podczas gdy Jen rozpaczliwie próbuje złapać taksówkę.

– Jak się miewa Cynthia?

Mówił lekkim tonem, ale przez jego twarz przemknął grymas bólu; współczucie Jen jeszcze się nasiliło. Zawsze lubiła Erica. Zawsze był dla niej dobry. Kupił nawet kiedyś obraz lana, choć ona wyczuwała, że nie podobają mu się te abstrakcyjne plamy koloru.

– No wiesz – powiedziała niejasno. – Radzi sobie. Nigdy nie wiedziała, co ludzie przez to rozumieją. Było to zapożyczenie z leksykonu Elizabeth. Standardowa odpowiedź siostry Jen na pytania o Adama, jej pracę, małżeństwo brzmiała: „Radzę sobie”.

Wydawało się to odpowiednią odpowiedzią dla Erica. Zresztą była to niemal prawda. Cynthia rzeczywiście sobie radziła. Mimo oczywistego zmęczenia podczas spotkania cały czas była skupiona na pracy, zgłaszała nieodmiennie celne uwagi krytyczne do grafik Jen. Dwa razy podczas poranka odebrała prywatne telefony. Rozmawiała z Mae, przypomniawszy jej, że ma podać wcześniej kolację bliźniaczkom, i z Ingrid, ponieważ ona miała wieczorne spotkanie w Nightingale's. Łosoś morski, nie hodowlany, poinstruowała Mae. Nie będzie jej w domu, nie zje kolacji z dziećmi, ale kontroluje menu. Drugi telefon był od dyrektorki szkoły dziewczynek w sprawie zebrania rodziców. Przez cały ten czas oczy Cynthii były utkwione w scenorysach Jen. Nawet współczucie przyjaciółki, jej gotowość do słuchania, do pomocy zostały delikatnie odrzucone i zepchnięte na margines własnego emocjonalnego terminarza Cynthii. Nie był to wizerunek kobiety, której wymarzone życie niespodziewanie zamieniło się w koszmar. Zdecydowanie była kobietą, która sobie radzi, która wie, jak oddzielać od siebie poszczególne sfery życia.

– Chcę z nią porozmawiać – powiedział Erie. – Muszę z nią porozmawiać.

– Nie mogę ci pomóc, Erie. Chyba rozumiesz.

– Może więc mógłbym porozmawiać z tobą. – To nie było żądanie, lecz prośba.

Jen trudniej było odmawiać prośbom, ale tego popołudnia nie miała wyboru. Obiecała Elizabeth, że będzie co tydzień odwiedzać matkę i rozmawiać z księgowym ośrodka w sprawie jak zwykle zawyżonych opłat. Od Elizabeth nie można było oczekiwać, że zajmie się sprawami matki, będzie znosić jej humory – pracując na pełny etat i musząc sprostać ciągłym wymaganiom Adama i Berta. Jen ignorowała zbyt częste przypomnienia lana, że chociaż nie pracuje w regularnych godzinach biurowych, jej zajęcie pochłania tyle samo czasu co praca Elizabeth, że Elizabeth nie ma prawa dyktować jej, jakie ma obowiązki.

Nadjeżdżała kolejna taksówka i Jen zaczęła rozpaczliwie machać do kierowcy.

– Przykro mi, Erie, ale potwornie się spieszę. Moja matka... Jestem już spóźniona.

Taksówka podjechała i Erie otworzył jej drzwi. Zawsze był miły, uprzejmość zaszczepiono mu już w dzieciństwie.

– Ale kiedy indziej... – nalegał.

– Zadzwoń do mnie.

Wiedziała, że ta zachęta oznacza zgodę. Rozmowa z nim, wspólna kawa nie zaszkodzi. W żaden sposób nie można tego odebrać jako zdradę wobec Cynthii. Jak zresztą mogłaby ją zdradzić? Nie miała żadnych informacji, nie znała żadnych sekretów, którymi mogłaby się z nim podzielić.

Kiedy się nad nią pochylił, pod wpływem impulsu pocałowała go w policzek. Gdy odjeżdżała taksówką, obejrzała się i zobaczyła, jak patrzy na budynek Nightingale's, po czym szybko odchodzi.

Sięgnęła do torby po egzemplarz dzieł zebranych Edith Wharton z serii „Library of America” i z wyraźną przyjemnością przejechała ręką po gładkiej czarnej okładce, po nowym, cienkim papierze, na którym go wydrukowano. Nie zaczęła czytać, tylko wolno przewracała strony, podczas gdy taksówka pędziła na północ. Donna zaproponowała, żeby oprócz listów Wharton

przeczytały też *Rafę*, a Cynthia powiedziała, że skończyła czytać powieść nad ranem.

– Położyłam się dopiero o trzeciej, chciałam doczytać do końca – oświadczyła, a Jen wyobraziła ją sobie, jak siedzi w tym ogromnym łóżu, które do niedawna dzieliła z Erikiem, a różowa lampka nocna rzuca snop światła na książkę i tworzy na palcach Cynthii jasne prostokąty, podczas gdy miejsce Erica, odgrodzone poduszką, kryje się w ciemnościach. Nic dziwnego, że Cynthia jest zmęczona. Samotność przepłoszyła sen.

Jen zastanawiała się, czy bliźniaczki budzą się w środku nocy i wołają ojca. Z początku tylko Rina zastanawiała się, jak Cynthia wytłumaczyła Lizie i Julie nagłe zniknięcie Erica, ale to pytanie zaczęło dręczyć je wszystkie. Jen westchnęła i przeczytała dwa pierwsze słowa *Rafy*: „Niespodziewana przeszkoda”. Wiedziała, że Cynthia doskonale rozumie ich znaczenie. W końcu to właśnie niespodziewana przeszkoda, niespodziewana katastrofa rozbiły jej małżeństwo. Jen wiedziała, że pozostałe członkinie klubu książki, świadome, że pracuje ona blisko z Cynthia, zadzwonią jak zawsze w ciągu tygodnia, spragnione cennych informacji. Jakie sprawiała wrażenie? Co mówiła? Ich pytania będą natarczywe, ich potrzeba wiedzy nieprzeparta. Nawet siostra, Elizabeth, choć wiecznie zła i pochłonięta sobą, wyłaniała się z powodzi własnego nieszczęścia, by zapytać o Cynthię. Czy zarządza działem równie sprawnie jak zawsze? Czy ma wszystko pod kontrolą? Jen wiedziała, że Elizabeth szczyci się tym, że dobrze radzi sobie ze swoją pracą mimo problemów Adama i z trudem powstrzymywanej złości Berta – nie opuściła żadnego dnia, pisze szczegółowe raporty o trudnych uczniach i ich jeszcze trudniejszych rodzicach, organizuje spotkania kadry i indywidualne narady. Zdecydowanie ma wszystko pod kontrolą. Czy Cynthia też będzie do tego zdolna?

Jen zawsze przedstawiała przyjaciółkom dokładne sprawozdanie. Mówiła im, może zbyt szorstko, że Cynthia ciągle jest tą samą kompetentną, zorganizowaną dyrektorką do spraw marketingu, którą zawsze była. Nie wspominała Elizabeth ani



pozostałym o smutku, jaki przygaszą jej zielone oczy, niegdyś tak jasne i bystre, o utracie wagi, czy o tym, jak – kiedy pochylają się nad korektą po złamaniu – jej przenikliwa krytyczna ocena przeradza się w szept, a potem nagłą ciszę. W takich sytuacjach, tak jak tego ranka, Jen czekała cierpliwie, aż Cynthia potrząśnie głową i równie nagle jak zamilkła, podejmie swoją jasną i rozsądną analizę. Cynthia nie powierzyła jej żadnych sekretów, które mogłaby chronić lub omawiać z innymi. Jeszcze nie, powiedziała. Mogła powtórzyć tę rozmowę przyjaciółkom i będą się musiały tym zadowolić.

Taksówka zahamowała na światłach i Jen zaczęła się zastanawiać, czy wspomnieć przyjaciółkom o przelotnym spotkaniu z Erikiem. Wieczorem była umówiona z Donną na kawę. Czy powinna przy okazji o tym napomknąć?

Zamknęła książkę i przypomniała sobie, żeby zjeść kanapkę z łososiem, tuż przedtem, nim taksówkarz zatrzymał się pod domem spokojnej starości, gdzie czekała matka, zastygła w afatycznym gniewie.

– To ty, Jen?

Kiedy tego wieczoru wróciła do domu, zaskoczył ją mocny głos lana, niosący się echem po ich wielkim lofcie.

– A któż by inny?

Starła się zachować pogodny ton, ukryć rozdrażnienie faktem, że go zastała. Zazwyczaj w środę wieczór prowadził zajęcia w Art Students' League i gdy wracała, nie było go w domu. Jen cieszyła się na godzinę samotności, oświetloną lampą ciszę, chwilę wytchnienia po długiej pracy nad szatą graficzną katalogu Nightingale's i jeszcze bardziej niemiłosiernie dłużącym się czasie w ośrodku, spędzonym na próbach rozmowy z matką, kłótniach z księgowym o jakieś tajemnicze koszty.

– Nie uczysz dzisiaj? – zapytała, kładąc swoje portfolio i rzucając beret na blat z twardego drewna, zaśmiecony resztkami lunchu lana.

Zaschnięte resztki zupy pomidorowej tworzyły krwawe plamy

na żółtej misce Jen, a czerstwe okruchy razowego chleba zaśmiecały pusty kubek po kawie. Jen odruchowo zaniósła miskę i kubek do zlewu, po czym, ciągle w ciężkim płaszczu, wzięła gąbkę i wytarła stół.

– Byłem zbyt zmęczony. Namówiłem Patricka, żeby mnie zastąpił.

Leżał na kanapie, wysoki chudy mężczyzna, nieco cięższy niż trzy lata temu, gdy poznała go na zajęciach z rysunku z natury. Rude włosy, zazwyczaj związane w kucyk, teraz luźno rozpościerały się na poduszce i Jen po raz pierwszy zauważyła z ukłuciem żalu, że miejscami są przyprószone siwizną. Ian, który wciąż nosił koszule w szkocką kratę i dżinsy z czasów studenckich, nadal trzymał kilka jointów w puszcze po gauloise'ach, przywiezionej z pierwszego roku studiów w Paryżu, i wciąż jeszcze nie otworzył rachunku bieżącego, nie mógł się zestarzeć. Niedawno obchodzili wspólnie trzydzieste piąte urodziny, a trzydzieści pięć to przecież niewiele. Pod wpływem impulsu pochyliła się i pocałowała go w policzek, tuż nad plamą powoli zasychającej niebieskiej farby.

Ian położył dłoń na włosach Jen i pogłaskał je delikatnie, po czym przesunął rękę na jej plecy i zaczął ugniatać palcami napięte mięśnie kręgosłupa, aż rozluźniły się i odprężyły pod jego dotykiem. W trakcie tej czynności nucił *Let U be Beatlesów*, ulubioną piosenkę Jen. To właśnie ta spontaniczna, niewymuszona słodycz, cecha, jakiej Jen wcześniej nie знаła, połączyła ich od samego początku.

– Przepraszam, że opuściłem zajęcia. Wiem, że potrzebujemy pieniędzy, ale skończyłem dziś obraz, malowałem bez przerwy może przez siedem godzin. Nie mógłbym jeszcze do tego przeprowadzić lekcji w szkole.

– Wiem. Nic nie szkodzi – powiedziała, a jednocześnie już kalkulowała wysokość sumy w swojej książeczce czekowej i zestawiała ją z czynszem za mieszkanie i nieotwartym wyciągiem z karty kredytowej, który leżał na jej biurku.

Rzeczywiście potrzebowali pieniędzy. Jen musiała wypisać w

domu spokojnej starości czek za witaminy i odżywki dla matki, a nie mogła poprosić Elizabeth o częściowe pokrycie tego wydatku. Nowy indywidualny program zalecony Adamowi wiązał się z zawrotnymi kosztami za dodatkowe godziny terapii. Ale Jen sobie poradzi. Pewien sklep z kapeluszami poprosił ją o zaprojektowanie opakowań promocyjnych, a Cynthia podała jej nazwisko firmie wysyłkowej, której szefowie zachwycili się katalogiem Nightingale's i chcieli, żeby Jen coś dla nich zrobiła. W porządku. Najwyżej przepracuje jeszcze parę godzin, może podniesie stawki. Sama Cynthia powiedziała, że żąda za mało za swoje prace.

Odwróciła się, by spojrzeć na obraz. Był duży, rozłożony aż na dwóch sztalugach, śmiała, przykuwająca wzrok abstrakcja przedstawiająca wieczorne niebo, plamy koloru przeszyte zygzakami srebra i skąpane w delikatnej pastelowej poświacie wolno zachodzącego słońca.

– Jest wspaniały, Ian.

Podeszła bliżej i przyjrzała się dokładnie, zachwycona zarówno śmiałością, jak i subtelnością pociągnięć pędzla.

– Razem z tym, co namalowałaś nad morzem, i jeszcze trzema dużymi płótnami starczy na indywidualną wystawę w Maestrato Gallery – stwierdziła.

– Jeszcze trzema dużymi płótnami? Rzuciłaś to tak, jakbym mógł je stworzyć tak szybko, jak ty produkujesz grafiki do katalogów Nightingale's.

W jego głosie zabrzmiał sarkazm i Jen się wzdrygnęła. Natychmiast, gdy wyczuł, że jest urażona, objął ją ramionami.

– Przepraszam – powiedział.

– Nic się nie stało – westchnęła.

Jego słowa ją zraniły, ale wiedziała, że mówią prawdę. Dawno poznała granice własnego talentu, zawiedziona, zdała sobie sprawę, że nie jest wystarczająco dobra, by zostać prawdziwą malarką, postawiła na rozwój w dziedzinie sztuki użytkowej. Był to wybór praktyczny i, jak się okazało, słuszny, gdyż zapewniał stałe dochody, wystarczająco wysokie, żeby Ian mógł skupić się

na swojej twórczości, a ponadto Jen decydowała, kiedy pracuje. Ten układ budził pogardę Elizabeth. Ale Jen wiedziała przecież, że każda jej decyzja spotkałaby się z ostrą krytyką siostry. To pamiątka z czasów burzliwego dzieciństwa, kiedy ciągle kłótnie rodziców zmuszały je do gorączkowego szukania schronienia w przeciwległych końcach dużego, przegrzanego domu, przypominającego bardziej pole bitwy.

Matka i ojciec kłócili się o pieniądze, a Elizabeth i Jen zamykały drzwi do swoich pokoi i czytały. Sprzeczały się o plany wakacyjne, gotowanie matki, pełną obojętności niedbałość ojca, a ich córki przewracały strony powieści i zanurzały się w losach fikcyjnych rodzin, których członkowie witali się radosnym „dzień dobry” i siadywali razem przy iskrzącym kominku. Siostry nie bawiły się ze sobą, nawet nie czytały w tym samym pokoju, ale od najmłodszych lat wymieniały się książkami i opiniami na ich temat; te wrażenia były tak podobne jak różne ich reakcje na burzliwą atmosferę panującą w domu.

Elizabeth narzuciła sobie rolę arbitra i raz krytykowała matkę, raz ojca, domagała się od nich rozsądnego postępowania, do czego nie byli zdolni, surowo wytykała błędy słabemu, gniewnemu mężczyźnie i narzekającej, emocjonalnie wygłodzonej kobiecie, których nazywały ojcem i matką. Elizabeth szukała konfrontacji, podczas gdy Jen ich unikała. Podniesione głosy ją przerażały, a bezmyślne obelgi wprawiały w drżenie. Starła się wywalczyć spokój ciszą, ugodowością. Wczesne małżeństwo Elizabeth było pewnego rodzaju ucieczką, próbą przejęcia kontroli. Niezdolna do zapanowania nad życiem rodziców, postanowiła pokierować własnym. Bert był cichym, wytrwałym zalotnikiem. Nic nie wskazywało, że pod nieruchomą powierzchnią jego milczenia może się kryć jakiś wir emocji. Ale nawet nad tym mogłaby zapanować, gdyby Adam był normalnym dzieckiem, gdyby nie patrzył przez ludzi pustym wzrokiem, gdyby drobne, delikatne dłonie kiedykolwiek zaprzestawały ciągłego stukania, a tych kilka słów, które padają z jego ust, nie stanowiło wiecznego ciągu powtórzeń. Ta sytuacja wymykała się kontroli Elizabeth, a Jen,

która rozumiała siostrę, współczuła jej i nic nie mówiła. Nie było dla niej zaskoczeniem, że Elizabeth wybrała zawód, który dawał jej władzę nad życiem uczniów. „Musisz złożyć papiery do tego college’u – mówiła im. – Koniecznie zapisz się na te kursy”. Trzeba zrobić tak a tak – oświadczała zatroskanym rodzicom. Niezdolna do pokierowania własnym losem, stała się przewodniczką i doradczynią innych. W podobny sposób narzucała swoje nieproszone rady Jen. Dokąd zmierza jej życie? Co ma z takiego układu z Ianem? Jaki jest jego wkład w ich wspólne życie? Dlaczego Jen nie chodzi na warsztaty, zamiast stwarzać Ianowi możliwości malowania?

Jen unikała odpowiedzi na pytania siostry. To nic, że Elizabeth nie lubi Iana, że uważa, iż on czerpie korzyści z ich związku.

– Czy wy rozmawiacie o małżeństwie? – pytała niejednokrotnie Elizabeth.

Jen zawsze w odpowiedzi wruszała ramionami. Nie mówiła Elizabeth, że ceni sobie właśnie ten otwarty charakter związku z Ianem, możliwość zmiany, która daje jej wolność i pewnego rodzaju władzę. W przeciwieństwie do siostry, w przeciwieństwie do matki, której rozdarłe małżeństwo skończyło się przepelnionym samotnością wdowieństwem i zniedołężnieniem, ona nie znajdowała się w pułapce. Nie zamierzała odpowiadać Elizabeth na te wścibskie słowa, mieszaninę zawiści i troski, oskarżycielskimi pytaniami o jej życie z Bertem, gorzkie przymierze, przypieczętowane ich wspólną odpowiedzialnością za Adama i zaognione coraz częstszymi gwałtownymi wybuchami gniewu. Nie zamierzała mówić siostrze, że mimo wad Iana, które dostrzega, narcyzmu, który mu wybacza ze względu na jego talent, zachwyca ją bezpieczny port, jaki dla niej zbudował dzięki swojej zdolności pocieszania i zaskakiwania.

– A, Elizabeth dzwoniła, kiedy cię nie było – powiedział Ian i odsunął się od niej, by móc przyjrzeć się obrazowi z innej perspektywy.

– Mówiła, o co chodzi? – zapytała Jen.

– Chciała się dowiedzieć, jak czuje się wasza matka. Prosiła,

żebyś do niej oddzwoniła.

Jen zauważyła, że Ian nie zapytał o matkę, no, ale w końcu nigdy tego nie robił. Jego interesowało jedynie ich wspólne życie.

– No cóż, będzie musiała poczekać do jutra. Umówiłam się z Donną na kolację i jestem już spóźniona.

– Hm, myślałem, że zamówimy pizzę i spędzimy ten wieczór razem – w jego słowach dźwięczało rozdrażnienie.

– Przykro mi. Myślałam, że będziesz na zajęciach, kiedy umawiałam się z Donną.

– No, tak.

Wzajemne rozczarowanie przerodziło się w powściągliwą uprzejmość, Ian podgrzał sobie resztki z poprzedniego posiłku, a Jen w tym czasie przebrała się w dzinsy i luźną koszulę. Odprowadził ją do drzwi i pocałował w policzek, a ona uśmiechnęła się, pełna skruchy, wybaczenia. Czułością trzymał ją przy sobie.

Donna czekała na nią w Gino's, małej włoskiej knajpce na Dziewiątej Alei, gdzie stoły stoją w takiej, i tylko takiej odległości od siebie, aby nie dało się przysłuchiwać cudzym rozmowom. Czyste, choć nie całkiem białe obrusy były naznaczone niespieralnymi plamami z sosu pomidorowego, a nigdy niezapalane świece tkwiły niepewnie w zakurzonych, obklejonych woskiem butelkach po chianti. Donna zdążyła już przesunąć wazon plastikowych kwiatków ze środka stołu na bok i teraz z ponurą miną wycierała serwetką swoją szklanę. Jedzenie było tu jednak wspaniałe, do tego szybka obsługa, a także możliwość posiedzenia długo nad kawą bez poczucia presji, że powinno się już wyjść. Przyjaciółkom podobało się też, że Gino's to nie restauracja „dla par”, ale miejsce spotkań znajomych tej samej płci. Grupy kobiet siedziały razem, rozmawiały i chichotały cicho. Mężczyźni pochylali się ku sobie i pogrążali w poważnej rozmowie lub wybuchali dźwięcznym spontanicznym śmiechem.

Gino's było odkryciem Donny i podzieliła się nim tylko z Jen. W końcu Rina narzekałaby nawet na niewygórowane ceny potraw,

wywołując w przyjaciółkach poczucie winy swoim ubóstwem, z którym obnosiła się tak, jak inne kobiety popisują się nową sukienką. Dla Trish i Cynthii ta restauracja nie była dość elegancka, a poza tym one i tak zawsze spieszyły się do domu, by skorzystać z okazji – zbyt rzadkiej, niestety – i zjeść posiłek ze swoimi rodzinami. Elizabeth właściwie nie jadła kolacji poza domem. Kilka razy, kiedy Jen i Donna postanowiły ją zaprosić, odmówiła, tłumacząc się, że to dla niej jedyna okazja, żeby porozmawiać z Bertem. Choć ta wymówka nie brzmiała przekonująco, nigdy na nią nie naciskały. Jen nauczyła się w dzieciństwie, że nie należy kwestionować żadnej decyzji siostry, a Donna przyznawała, że mimo iż szanuje Elizabeth za poświęcenie wobec syna i ciekawe spostrzeżenia podczas dyskusji klubu, w gruncie rzeczy jej nie lubi.

Było więc naturalne, że Jen i Donna, obie niezamężne i bezdzietne, z kochankami, którzy nie stawiają im wymagań, nabrały zwyczaju umawiania się od czasu do czasu na beztroską kolację i wzajemne zwierzenia dotyczące niekoniecznie beztroskich spraw.

Jen usiadła naprzeciwko Donny i również zabrała się do energicznego wycierania serwetką strzępu makaronu, który przyczepił się do jej dużej łyżki.

– Wyobrażasz sobie, co powiedziałyby na ten widok Cynthia? – zapytała Donnę.

– Pewnie popatrzyłyby z obrzydzeniem, po czym poprosiła uprzejmie o nową łyżkę. I już nigdy by się tu nie pokazała. Znasz Cynthię.

– Tak sądzisz? – mruknęła Jen.

To pytanie dręczyło ją od tygodni podczas spotkań z Cynthią nad rozłożonymi na stole grafikami, gdy słuchała jej komentarzy na temat *Pani Bovary*, kiedy przyglądała się, jak rozmawia przez telefon, omawia z Mae jadłospis na tydzień, a z au pair plan zajęć dzieci, grozi dostawcy, przekupuje drukarza pochlebstwami, zdejmuje jeden kapelusz i wkłada drugi. Czy na pewno zna swoją przyjaciółkę i klientkę, która z takim spokojem wrzuciła między

nie granat, a potem wycofała się, podczas gdy one podają go sobie z rąk do rąk, spekulują, zgadują, szukają zawlecзки, próbując uwolnić z niego odpowiedź na wieczne pytanie „dlaczego?”.

Jen przyjrzała się menu. Od razu zdecydowała się na linguini w sosie z małży i zamówiła do tego kieliszek czerwonego wina.

– To mnie pocieszy – powiedziała. – Zdecydowanie potrzebuję pocieszenia.

– Dla mnie to samo – zwróciła się do kelnera Donna, a kiedy zniknął z ich zamówieniem, zabrała się do smarowania masłem kawałka chleba. – Długi dzień?

– Nie dłuższy niż inne, gdyby nie wizyta w domu spokojnej starości u matki. Dość długa narada z Cynthią przeciągnęła się aż do godzin popołudniowych. Chociaż Cynthia wiedziała, że muszę koniecznie pojechać do matki. To do niej niepodobne.

– Ale z drugiej strony, co jest do niej podobne? Czy raczej jaka Cynthia jest naprawdę pod tą całą piękną otoczką? – zapytała Donna. To samo pytanie, choć inaczej sformułowane, zadawała sobie Jen, jej wątpliwości zostały wyrażone.

Jen zawahała się pogrążona w myślach.

– Chyba znamy podstawowe fakty – odparła w końcu. – Cynthia Anders, z domu Cynthia Simmons. Przyjemni rodzice, przyjazny dom, chociaż nigdy nie wspomina o ojcu. Kiedyś powiedziała, że był człowiekiem, który rozczarowywał, nie wiadomo, co to oznacza. Licencjat na Bryn Mawr, magisterium z zarządzania na Penn, wymarzona praca. Romantyczne zaloty we Włoszech, bajkowe małżeństwo z Erikiem Andersem, geniuszem filmu dokumentalnego, anielskie dzieci, a potem...

– To okropne rozstanie i zapewne równie okropny rozwód w przyszłości – dokończyła Donna. – Co może, ale nie musi zadać kłam wszystkim, co o niej wiemy albo myślałyśmy, że wiemy. Wstyd mi się teraz przyznać, ale zawsze trochę jej zazdrościłam – stabilnej sytuacji rodzinnej. Wspaniałego domu, artykułów o niej w magazynie „People”, pracy, Erica. Miłego, utalentowanego Erica. Zawsze go lubiłam, chyba zresztą jak my wszystkie.

– Widziałam go dzisiaj – powiedziała Jen między jednym



łykiem wina a drugim.

– Tak? Gdzie?

– Właśnie wyszłam z Nightingale's, próbowałam złapać taksówkę – wiesz, jak to jest, popołudniowa gorączka w centrum – i nagle się pojawił. Zawołał mnie po imieniu i podbiegł.

– Pod Nightingale's? Co on tam robił?

– Nie wiem, nie miałam czasu pytać.

– Pewnie śledził Cynthię. – Donna zamieszała wino w kieliszku, spróbowała go i skrzywiła się.

– Nie widzę Erica w roli prześladowcy – zaprotestowała chłodno Jen.

– Ja też nie – uśmiechnęła się posepnie Donna. Rzeczywiście. Wszystkie lubiły Erica, a on każdej z nich w jakiś sposób pomógł, dyskretnie wyświadczał od czasu do czasu przysługę, kupił obraz lana, załatwił klasie Jeremy'ego wycieczkę na plan filmu dokumentalnego, który właśnie kręcił, znalazł Donnie mieszkanie z kontrolowanym czynszem. – Jak wygląda? – zapytała.

– Smutny. Bardzo chudy. Ubranie na nim wisi.

Tak jak sukienka na Cynthii. Przygnębiająca paralela.

– Nie jest to nietypowe dla osób dotkniętych depresją. Jednym z pierwszych objawów jest brak apetytu i utrata wagi. Mam do czynienia z wieloma takimi pacjentami. Choćbym im opracowała najznakomitszy program odżywiania, i tak wiem, że skończy się na ensure albo jakiejś innej odżywce w płynie. – Donna łatwo, zbyt łatwo, przeszła na język zawodowy. Kochała swoją pracę, możliwość dokonywania oceny i wynajdywania rozwiązań. Pokarmy o niskiej zawartości węglowodanów i wysokiej zawartości białka, suplementy witaminowe. Wspólnie z Trish napisały artykuł do czasopisma psychiatrycznego zatytułowany *Depresja a odżywianie*.

– Czy w Brasserie serwują ensure bez ograniczeń? – spytała ironicznie Jen, a Donna się zaśmiała.

Każda z nich była tam kiedyś, zaproszona przez Erica przy różnych okazjach.

– Może trzymają je w wielkiej kryształowej wazie – odparła. –

O czym z nim rozmawiałaś?

– O niczym szczególnym. Powiedziałam mu, zgodnie z prawdą, że spieszę się do matki, ale zgodziłam się, żebyśmy ewentualnie porozmawiali kiedy indziej – zawahała się.

– No i? – zachęciła ją Donna.

Kelner postawił przed nimi talerze z linguini, a na środku stołu umieścił gorący aromatyczny sos czosnkowy. Jen nawinęła na widelec kilka nitek makaronu, ale nie podniosła go do ust.

– I zdawało mi się, że poczułam od niego alkohol – przyznała.  
– Oczywiście nie był pijany. Ale tak, poczułam alkohol.

Zarumieniła się, bo to było nie w porządku. Nie zamierzała mówić o tym Donnie, wydało jej się, że zdradza Erica, ale chciała zobaczyć reakcję przyjaciółki. Pragnęła, żeby Donna zadała pytania, które jej przyszły do głowy, by połączyła je ta sama ciekawość.

– Myślisz, że jest alkoholikiem? – zapytała Donna. – Sądysz, że to dlatego Cynthia wyrzuciła go z domu?

Takie przypuszczenie nie padło przez te wszystkie tygodnie spekulacji, ale zrodziło się u Jen, gdy jechała do matki, tak jak teraz u Donny, gdy przyglądała się przyjaciółce znad swojego kieliszka.

– Zawsze wydawało się, że pije tylko w towarzystwie. To znaczy, widziałyśmy nieraz, jak sący wino podczas premier, może jakieś martini na przyjęciu koktajlowym. Ale nigdy nic więcej, a czasem nawet i to nie. Zauważyłybyśmy. A gdyby jednak pił trochę za dużo, albo dużo za dużo, czy to byłby dla Cynthii powód, aby nie pozwolić mu pozostać w tym samym domu co dzieci choćby jeszcze przez jedną noc? Myślę, że byłaby to dość skrajna reakcja – zauważyła rozsądnie Jen.

– Chyba że chodzi o jakieś inne uzależnienia, z których alkohol nie jest najgorszy. Czasem stykamy się z tym w szpitalu – trwała przy swoim Donna.

– Masz na myśli narkotyki?

– Czasem dla alkoholika narkotyki to kolejny krok. Zdarza się. Najpierw trawka, potem kokaina. Heroina. Może ecstasy. Gdyby

zażywał narkotyki, Cynthia nie pozwoliłaby mu przebywać w domu, z dziećmi. A zważywszy na jego zawód, nietrudno sobie wyobrazić, że mógłby je zdobyć. Świat filmu. No wiesz. To prawdziwy narkotykowy raj. Może dlatego Cynthia zadziałała tak szybko.

Donna mówiła wolniej, jej scenariusz nabierał rozmachu, a słowa wiarygodności. Tego popołudnia do szpitala przyjęto nastoletnią aktorkę na koce, półnagą, w szaleńczym wirze, i o przetyku tak zniszczonym od ciągłego wymiotowania, że Donna musiała przygotować receptury specjalnych mieszanek białkowych, by utrzymać ją przy życiu. Przejrzała szybko historię choroby tej dziewczyny. Wszystko zaczęło się od wina, potem był silniejszy alkohol, następnie zioło i w końcu twarde narkotyki, aż wreszcie jej karta wylądowała na biurku Donny.

– Erie to nie świat Hollywood czy telewizji. Robi dokumenty. To poważna praca. Zadaje się z poważnymi ludźmi. Spotkałyśmy wielu z nich na pokazach przedpremierowych jego filmów i na przyjęciach. Trudno ich uznać za ćpunów – zaprotestowała Jen. – Słuchaj, zapomnijmy o tym. Wypił parę drinków, może dlatego że był przybity, do czego ma zresztą prawo. To nie znaczy, że jest pijakiem czy ćpunem. Nie powinnam była w ogóle o tym wspominać. Porozmawiajmy o czymś innym.

Jen znów zainteresowała się posiłkiem, ale ten nagle stracił smak. Ulżyło jej, gdy Donna umówiła się z Timem po kolacji w klubie jazzowym, gdzie miał grać.

– Chyba nie masz nic przeciw temu? – zapytała.

Jen pokręciła głową. Nie miała nic przeciwko temu. Nagle zapragnęła popędzić do domu, nie mogła się doczekać, by Ian wziął ją w objęcia, by ciepło jego oddechu na policzku, czuły dotyk dłoni dodały jej otuchy.

Ale gdy wróciła, lana nie było. Na sekretarkę nagrała się tylko Elizabeth, a w jej głosie można było wyczuć rozdrażnienie i pretensje. Jen zignorowała wiadomość. Odwróciła się, by jeszcze raz obejrzeć nowy obraz, i dostrzegła ciemne plamy chmur burzowych zbierających się na niespokojnym niebie. Poczwała

smutek i zwalczyła go tak samo, jak robiła to całe życie. Lektura zawsze przynosiła jej ukojenie.

Sięgnęła po książkę, wpełzła do bezpiecznej jaskini literatury i pochłonął ją świat, który Edith Wharton stworzyła w *Rafie*. Pograżyła się w historii Anny Leath, wdowy wyczekującej przybycia kochanka, nieświadomej, że wdał się on w przelotny romans z Sophy Viner, obecną narzeczoną jej pasierba. Czytała dalej. Tytułowa tajemnicza rafa stała się jej przepaścią; Jen przekształciła ogród domu rodziny Leath we własny krajobraz, fascynujący, ale bezpieczny. Poddała się magii powieści Wharton. Niepewność Anny Leath rozładowała jej niepewność. Dylemat Sophy Viner przesłonił smutek Cynthii, rzeczywisty ból w oczach Erica. Losy bohaterów ją wchłonęły, stłumiły niepokój. Jen zasnęła i obudziła się dopiero, kiedy usta lana łagodnie musnęły jej powieki, najpierw jedną, potem drugą. Ciężka książka osunęła się bezdźwięcznie na podłogę.

Donna przygotowała się starannie na spotkanie klubu książki. Ułożyła menu tak skrupulatnie, jak tworzyła programy żywienia dla pacjentów, uwzględniając jak zawsze kwestie smaku, wartości odżywczych i estetyki. Kupiła na włoskim targu przy Ósmej Alei nową mieszankę przypraw, którą bardzo chciała wypróbować. Mogłaby wykorzystać ją w znalezionym w Internecie przepisie na przystawkę z tokańskiego bakłażana. To danie wymagało pomidorów z puszki, ale ona zamierzała użyć świeżych, z gałązki, którą kupiła w sklepie ze zdrową żywnością. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się na myśl o wielokolorowej potrawie, która gotowała się wolno i wypełniała jasną kuchnię lekko czosnkowym zapachem. Tim, który od czasu do czasu przysiadł na wysokim stołku, zauważył kiedyś oschle, że Donna zdaje się szczęśliwsza w kuchni niż w sypialni, a ona zaśmiała się, ale nie zaprzeczyła. Rzeczywiście była najszczęśliwsza, kiedy gotowała, zwłaszcza w samotności. W końcu jej wybór zawodu to nie przypadek. Odżywianie stanowiło przeznaczenie Donny i zmierzała ku niemu bez żadnych zawirowań typowych dla kolegów ze studiów,

wiecznie dręczących się kwestią decyzji o specjalizacji. Pamiętała, jak Rina, jej współlokatorka z przypadku, a teraz najbliższa przyjaciółka, zrezygnowała ze szkoły pisania, potem przeżyła krótką fascynację historią, aż w końcu zdecydowała się na literaturę. Donna Saunders nigdy się nie wahała. Już w dniu rejestracji na pierwszym roku miała wytyczoną drogę.

Przygotowywanie potraw zawsze wypełniało ją pełnym entuzjazmu zadowoleniem. Kuchnia matki stanowiła jej osobistą baśniową krainę, zaczarowaną wyspę przesyconą zapachami ziół i przypraw, wolno gotujących się zup i złocistych bochenków rosnących w wielkim piekarniku, którego żar rozchodził się po całym domu.

To właśnie w tej kuchni matka Donny, Annę, prowadziła mały interes cateringowy i tym sposobem utrzymywała rodzinę. Było to dla niej źródło zarobku – z konieczności, nie z wyboru.

Ed Saunders, silny, dynamiczny mężczyzna, którego Annę poślubiła po zalotach tak szybkich, że pamiętała je tylko fragmentami – miejsca obok siebie w teatrze, przypięta do ubrania gardenia kupiona przez niego u ulicznego sprzedawcy, tańce w małym, słabo oświetlonym klubie, chłód metalowych guzików od munduru na jej policzku – wrócił z Korei jako cień człowieka, weteran zapomnianej wojny, o nieustannie drżących rękach i oczach nagle i bez powodu zachodzących łzami. Ed zanosił się płaczem, kiedy mała Donna pokazywała mu książkę lub zabawkę. Szlochał, gdy rozlegał się dzwonek do drzwi, gdy słyszał znaną mu piosenkę w radiu nastawionym zawsze na jedną stację, stojącym w pokoju dziennym, gdzie spędzał całe dni skulony pod kocem w zapadającym się głębokim fotelu. Dotkliwe oparzenie na lewym udzie, utrudniało mu chodzenie. Opuszczał dom tylko po to, by udać się do szpitala dla weteranów, gdzie wypisywano mu recepty, badano jego wyniszczone ciało, a nękani przez Annę lekarze wzdychali w odpowiedzi na jej pytania. Powiedzieli jej, że nic się nie da zrobić, ale ona robiła, co mogła. Była żoną i opiekunką; szykowała mu ubrania, które miał włożyć, pomagała wejść i wyjść z wanny, karmiła go, wydzielala środki

uspokajające, które nie pomagały ani na łzy, ani na drżenie rąk, ani bezcelowe snucie się między pokojami, na odkręcanie i niezakręcanie kranów, na szukanie w szafce na pościel czegoś, co musiał zgubić wcześniej, wśród prześcieradeł i ręczników, teraz porzrzucanych po całej podłodze w przedpokoju. Lekarze mówili jej współczująco, że to nerwica pourazowa. Trzeba się przyzwyczaić. Żyć z tym.

Ale ona miała też córkę, o którą musiała zadbać, a także życie, które musiała przeżyć. Comiesięczna renta inwalidzka nie pokrywała wydatków na naukę Donny, nie starczała nawet na nowe buty, a tym bardziej śliczne pastelowe ubrania, które Anna kupowała dziecku. Strojenie swojej pięknej złotowłosej córki było jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalała, jedyną radością. Tak więc gotowała, zamieniła dawne przyjemne hobby w interes przynoszący dość zysków, by założyć fundusz na studia, korzystać z kart kredytowych, na które Annę nigdy nie wpłacała należności z opóźnieniem.

Zupy i chleby, potrawy duszone w winie i pieczenie udekorowane listkami rozmarynu trafiały na obce stoły. Annę załatwiła samochód dostawczy, który dowoził je do eleganckich domów, kościołów i synagog, sal Legionu Amerykańskiego i licealnych sal gimnastycznych. Była dumna z potraw pakowanych w kartonowe pudełka własnego projektu, a Donna od dzieciństwa czuła, że ma swój udział w ich powstawaniu. Stawała na stołku, by zamieszać bulion, przypilnować zasmażki, dodać szczyptę kopru włoskiego do sosu.

Nie zastanawiała się wtedy, dlaczego matka założyła zasuwkę na drzwi kuchenne, tak że nie można ich było otworzyć od zewnątrz, kiedy Annę i Donna gotowały razem przy dźwiękach małego magnetofonu. Słuchały nagrań książek, gdy kroił w kostkę i siekały, wrzucały obgotowane warzywa do wody, a zieleninę do wirówki. To właśnie w kuchni matki Donna wysłuchiwała *Pajęczyny Charlotty*, *Stuarta Malutkiego*, *Hansa Brinkera*, *Małych kobietek*, a potem powoli dojrzała do powieści Jane Austen, opowiadań Dorothy Parker, przygód opisaną przez

Salinger rodziny Glassów. George Eliot zabierała matkę z córką do Anglii. Balzak został ich przewodnikiem po Francji.

Jako nastolatka Donna zwierzyła się Anę, że byłaby zadowolona, gdyby mogła spędzić życie na czytaniu. Matka odwróciła się do niej, a jej oczy zabłyśły strachem i złością.

– Musisz przeżywać życie, Donno. Nie wyobrażać go sobie. Nie marnować go. Nie na to pracowałam przez te wszystkie lata. Daję ci możliwości, jakich ja nigdy nie miałam. Obiecuj mi, że je wykorzystasz.

– Obiecuję. Obiecuję – wyszeptała przestraszona Donna. Nadal jednak literatura i jedzenie pozostawały ze sobą powiązane, połączone drogi ucieczki, dające schronienie, wspólna radość matki i córki, niezmacona nawet sporadycznym szczękaniem zasuwki, kiedy Ed Saunders próbował otworzyć drzwi, po czym oddalał się do innej części domu.

Dopiero wiele lat później, podczas kursu poświęconego nawykowi chorych na alzheimera lub nieuleczalną depresję, Donna odkryła, że charakterystyczne dla nich niespokojne snucie się opisywało zachowanie ojca. To strach skłonił matkę do założenia zasuwki na drzwiach, i strach kazał jej regularnie wybiegać z kuchni do pokoju dziennego i wołać piskliwym niespokojnym głosem „Wszystko w porządku, Ed?”, choć oczywiście wiedziała, że nic nie jest w porządku i nigdy nie będzie.

Ale dla Donny, w kuchni matki, wszystko było w porządku. Miała przed sobą piękno owoców i warzyw, mięs i kurczaka prosto od rzeźnika, lśniących ryb zawiniętych w gruby biały papier, zapach sosów i przypraw, światło i ciepło, opowieści płynące łagodnie z głośników magnetofonu, a obok siebie mamę. I we wszystkich kuchniach, w jakich później pracowała, kuchniach laboratoryjnych, gdzie się uczyła, kuchniach szpitalnych nadzorowanych przez nią, kiedy rozpoczęła pracę, radosnej kuchni we własnym mieszkaniu, wszystko zawsze było dobrze, zawsze czysto i porządnie, a w tle rozbrzmiewały wykształcone głosy czytające powieści i opowiadania, które kołysały ją, gdy kroila na plasterki, siekała i podlewała.

Matczyzny nakaz nie został jednak zapomniany. Donna żyła pełnią życia, tak jak życzyła sobie tego Annę. Miała pracę, przyjaciół, kochanków oraz podróże do Anglii Eliot i Francji Balzaka, książki w torbach, książki na stoliku nocnym i w kuchni, gdzie zawsze jakaś zaczęta powieść stała oparta o sekretarzyk z przepisami matki, spisanymi fioletowym atramentem na wystrzępionych kartach katalogowych.

Dzień przed spotkaniem klubu książki Donna wyszła ze szpitala wczesniej, a po drodze wpadła do gabinetu Trish, żeby podrzucić jej jadłospis dla nowo przyjętej pacjentki.

– Same płyny. Zmiksowane warzywa i owoce. Badanie gastroenterologa wykazało uszkodzenie przełyku i możliwe wrzody w gardle.

– Typowe dla bulimików – powiedziała Trish. – Ciągłe wymiotowanie robi straszne rzeczy z przełykiem. Mogłabyś dodać trochę lodów? Ta dziewczyna to narkomanka na odwyku z łaknieniem słodczy. – Z westchnieniem zamknęła akta pacjentki. – Co skłania ludzi, żeby tak się niszczyć? Taki dzieciak ma wszystko – bogatych rodziców, którzy, jak się zdaje, naprawdę o niego dbają, inteligencję, urodę, a ona uzależnia się od jakiegoś gówna. Mogłabym pracować przez sto lat, przeczytać wszystkie artykuły, jakie zostały napisane, przeanalizować tysiąc historii choroby, ale nigdy naprawdę nie rozgryzę uzależnień. Może rozumiem jeszcze, jak ich ofiarami padają ludzie z biednych przedmieść, ale nasi pacjenci nie należą do tamtego świata. Oni mają dosłownie wszystko, dlaczego sięgają po butelkę lub strzykawkę? Dlaczego muszą wciągać do nosa biały proszek i wsadzać sobie palce do gardła? Oczywiście znam podręcznikowe odpowiedzi... osobowość podatna na uzależnienia, stres, predyspozycja, pustka emocjonalna. Z tym wszystkim możemy pracować, ale to za mało.

Donna przejrzała historię choroby, dopisała ołówkiem lody.

– Powiedziałaś, że Erie ma osobowość podatną na uzależnienia? – zapytała niby od niechcenia.

Trish rzuciła jej ostre spojrzenie.



– Dlaczego pytasz?

– Jen go spotkała. Przypadkiem. A może i nie. Czekał pod Nightingale's. Poczula od niego alkohol. I powiedziała, że wygląda dość mizernie. Zastanawiała się, a właściwie obie się zastanawiałyśmy, czy to nie dlatego Cynthia wyrzuciła go z domu.

– Drink wypity po południu nie czyni z niego alkoholika – oświadczyła oschle Trish. – Prawdziwe uzależnienie, narkotyki – to by już była inna historia. Wtedy mogłabym zrozumieć, dlaczego Cynthia zdecydowała się na obronę poprzez atak.

– Myślałyśmy też o narkotykach – przyznała Donna. Ogarnęła ją fala wstydu. Było coś niewłaściwego w tym, że ona i one wszystkie do tego stopnia zaangażowały się w mały, smutny życiowy dramat Cynthii. To, co wydarzyło się między nią a Erikiem, to nie ich sprawa. Nie miały prawa snuć tej gęstej sieci spekulacji, spotykać się w kawiarniach i wymieniać poglądy, dzwonić do siebie i dzielić się nowymi nieprawdopodobnymi teoriami. To nie było w porządku. Najechały terytorium uczuciowe Cynthii, wymachując flagą przyjaźni. Oczywiście, że zależało im na Cynthii, że chciały pomóc, ale powinny były uszanować jej reguły, potrzebę prywatności. A jednak nawet z całą tą świadomością Donna wiedziała, że nie może, nie stłumi własnej ciekawości, która z każdym tygodniem zdawała się przybierać na sile. W końcu od dzieciństwa zastanawiała się, co sprawia, że małżeństwo jest nie do wytrzymania, co takiego może doprowadzić dwoje ludzi do ponurej ostateczności, stać się początkiem nieuchronnego końca? Czy musiałoby to być coś gorszego niż przytłaczający i beznadziejny stan jej ojca? Kiedy drzwi do kuchni zostały zamknięte na stałe? Tego pytania nigdy nie odważyła się zadać matce, ani za życia ojca, ani po jego śmierci. A potem nie było już czasu, żeby zapytać.

Wiedziała, oczywiście, że wiedziała – każde małżeństwo i każda rodzina, szczęśliwa czy nie, są inne. Kiedy przeczytała pierwsze zdanie *Anny Kareniny*: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”, pomyślała sobie, że w tym

względnie Tolstoj nie miał racji. Szukała wspólnego wyznacznika i sekret Cynthii dał jej jakąś odpowiedź, a jeśli nie odpowiedź, to wskazówkę.

– Nie. Nie uważam, że Erie reprezentuje typ osobowości podatnej na uzależnienia – powiedziała w końcu Trish. – Ma wyznaczone cele, jest zdyscyplinowany. Taki sukces wymaga zorganizowania i ciężkiej pracy. Zawsze wydawało się, że nie ma żadnych problemów w kontaktach towarzyskich. Jego i Cynthię otaczało mnóstwo znajomych. Pamiętasz przyjęcia, które organizowali z okazji premier filmów Erica. A do tego grono jego własnych przyjaciół, kumpli z college’u, kolegów po fachu. Oboje z Jasonem parę razy byliśmy z nimi na kolacji. Erie nigdy nie zamówił więcej niż kieliszek wina. Narkotyki? Wykluczone. Zauważyłabym.

– Jesteś pewna? – nie ustępowała Donna.

– Wiesz doskonale, Donno, że żaden psychiatra nigdy nie jest niczego pewny. Nie jestem nawet pewna, czy lody będą dobre dla naszej bulimiczki. Ale jestem gotowa na to postawić. A teraz idź już sobie. Powinnaś być na zakupach, a ja mam się spotkać z rozgniewanym ojcem jednej pacjentki i wdzięczną matką drugiej. Myślę, że lepiej mi pójdzie z rozgniewanym ojcem.

Obie się roześmiały, po czym Donna wyszła, a znalazłszy się na wietrznej ulicy, rozpuściła włosy. Zrobiła szybko zakupy, zgarnęła produkty do swojej dużej siatki, a w rękę wzięła ostrożnie pstrąga zawiniętego w znajomy gruby biały papier. Przez chwilę rozważała, czy nie przygotować dania z krewetek, ale nie była pewna, czy w tym roku Rina nie przestrzega żydowskich zasad żywieniowych. Jak wszystko inne u Riny, jej stosunek do religii charakteryzowała duża zmienność.

Tego wieczoru Donna zajęła się gotowaniem, odebrawszy przedtem telefony od Tima i Raya; obaj chcieli ją zaprosić na kolację.

– Gotuję – mówiła. – No wiesz, dla mojego klubu książki.

Żaden nie dyskutował. Rozumieli, co jest dla Donny najważniejsze, a także jej potrzebę niezależności. Współgrała ona

doskonale z ich własną potrzebą – związku bez zobowiązań, bez zadawania pytań. Tim pragnął życia bez ograniczeń, aby mógł grać w odległych miastach, improwizować do wczesnego rana. Obaj mieli niejasną świadomość istnienia drugiego, ale od początku obowiązywała zasada Donny „nie pytaj, nie mów”. Taki układ pasował całej trójce. Na teraz, na dzień dzisiejszy. Nie należeli do ludzi, którzy martwią się o przyszłość. Nie stawiali sobie nawzajem żadnych wymagań, żadnych warunków. Donna nie myślała o swoich kochankach, kiedy analizowała składniki rozłożone na blacie i wsuwała do odtwarzacza płytę CD ze *Światem zabawy*.

„Selden przystanął zdumiony” – oznajmił melodyjny męski głos, a Donna uśmiechnęła się i sięgnęła po nóż do siekania, podczas gdy narrator kontynuował historię Lily Bart.

Następnego dnia po tygodniach jesiennej łagodności była burza, dzika ulewa, która przypomniała im, że zima jest coraz bliżej. Członkinie klubu książki wpadły do mieszkania Donny z ociekającymi parasolkami, mokrymi, lśniącoymi twarzami i włosami połyskującymi od kropli deszczu. Śmiejąc się ze swoich przygód – ostrej rywalizacji o taksówkę, odważnego biegu przez kałuże, okrężnej drogi Riny, która postanowiła odprowadzić niewidomą kobietę do domu, pospiesznego powrotu Cynthii do Nightingale’s po zostawioną na biurku umowę – złożyły parasolki w wannie Donny, zawiesiły płaszcze na drążku od zasłony prysznicowej i opadły na sterty poduszek porozkładanych po salonie, po czym zabrały się do ściągania przemoczonych rajstop jak małe dziewczynki. Nawet Elizabeth szczebiotała radośnie, wilgotne włosy oklejały jej głowę, a dół długiej dzinsowej spódnicy był całkiem mokry. Z dumą opisała, jak udało jej się zatrzymać taksówkę i jak wycelowała parasolem w mężczyznę, który próbował wepchnąć się do samochodu przed nią.

– Ale udało się, udało – zakończyła radośnie, a przyjaciółki nagrodziły ją oklaskami.

Deszcz je podekscytował. Z ulgą porzuciły stanowiska pracy i

popędziły przez wiatr i wodę w jasnych płaszczach i pelerynach, spieszyły do ciepłego grona, do długiego wieczoru pełnego dobrego jedzenia i wartościowych rozmów.

A Donna, z zarumienioną od piekarnika twarzą i długimi blond włosami związanymi bladoniebieską chustką, harmonizującą z kolorem spodniemu, krążyła radośnie po pokoju i częstowała je toskańskim bakłazanem na chrupkim chlebie tostowym oraz napełniała szklanki z ceramicznego dzbanka z przyjemnie musującym cydrem, który przyniosła Cynthia.

– Specjalnie na Święto Dziękczynienia od Nightingale's – oznajmiła z dumą. – Dzbanek możesz później używać do napojów albo jako wazonu na kwiaty. Znalazłam to w Irlandii, kiedy byłam tam wiosną.

Powoli sączyły cydr. Pamiętały wycieczkę do Irlandii. Film dokumentalny Erica o rodzinach irlandzkoamerykańskich zdobył nagrodę na festiwalu filmowym w Dublinie. Cynthia wróciła stamtąd zachwycona krajobrazem, ciepłem ludzi, genialną mową Erica przed pokazem. Każdej przyjaciółce przywiozła w prezencie saszetkę lawendy w irlandzkim płótnie. Zastanawiały się, czy myśli o Ericu, kiedy pije swój cydr. Czy przyszło jej do głowy, że rozstanie z nim oznacza rozstanie z jego światem nagród i premier, jasno oświetlonych dużych namiotów i cichych ciemnych sal kinowych, przyjęć koktajlowych z tłumem pełnych uwielbienia fanów. Donna nagle przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez matkę w pewien zimowy wieczór, kiedy stała z ramionami opuszczonymi ze zmęczenia i bladą twarzą, wpatrując się przez okno w wolno padający śnieg.

– Nie poślubiasz mężczyzny – rzekła z goryczą Annę Saunders.  
– Poślubiasz określone życie.

Donna zastanawiała się wtedy i teraz, czy kiedy małżeństwo się kończy, to życie kończy się razem z nim? Gdyby matka opuściła ojca, do czego namawiało ją usilnie wielu przyjaciół i krewnych (Annę, on nawet nie wie, że tu jesteś. Byłoby mu lepiej w domu opieki – nieproszona rada stanowiła dla Donny w dzieciństwie zagadkę, przerażała ją, sprawiała, że twarz mamy zastygała w

maskę wyrażającą pełen zdumienia gniew), czy jej życie, to życie, jakie znały, również by się skończyło? Spoglądając teraz w przeszłość, wiedziała, że ci znajomi i krewni mieli rację. Matka mogłaby poznać innego mężczyznę, zacząć nowe życie. Mógłby nastać dla niej czas odpoczynku, podróży, bliskości z drugą osobą. Jej smutek mógłby minąć, zamienić się w ulotny żal.

Donna odpędziła od siebie te wspomnienia i pobiegła do kuchni. Pstrąg w sosie z białego wina był gotowy, ryżowy pilaw nabrał złotobrazowej barwy, a zielona sałata lśniła posypana perłami pinioli.

– Kolacja gotowa – zawołała, a przyjaciółki, wszystkie bose, o jasnych obmytych deszczem twarzach, zebrały się wokół stołu nakrytego zielonym lnianym obrusem i zastawionego porcelaną i srebrem, których matka Donny nigdy nie używała.

– Stół godny Edith Wharton – zauważyła z uznaniem Cynthia.

Donna się uśmiechnęła. Niełatwo było o pochwałę Cynthii, wiecznej perfekcjonistki.

– No, może w jej letnim domu w Newport, zanim zyskała sławę. Zdecydowanie nie dość elegancki na Mount, jej dom w Berkshire czy paryskie apartamenty – stwierdziła kwaśno Elizabeth, a Jen się wzdrygnęła.

Dlaczego siostra musi zniszczyć nawet najdrobniejszy komplement? Nie po raz pierwszy Jen pożałowała, że zaprosiła Elizabeth do klubu, ale żal był kluczowym elementem w ich wzajemnych relacjach. Zawsze czuła się tak, jakby balansowała na emocjonalnej linii między czułością a niechęcią, poczuciem winy i smutkiem. Nieszczęśliwe małżeństwo Elizabeth i autyzm Adama połączył te uczucia. Jen była wolna, podczas gdy jej siostra była skrepowana. Kiedy Carla, wieloletnia członkini klubu, odeszła i przyjaciółki zastanawiały się, kim ją zastąpić, Jen z lekkim wahaniem zaproponowała swoją siostrę. Powiedziała, że Elizabeth pasjonuje się literaturą, żadna nie zgłosiła sprzeciwu. Chciały zadowolić mądrą drobną Jen, zawsze wrażliwą, zawsze serdeczną.

No i w końcu spostrzeżenia i komentarze Elizabeth okazały się wartościowe. Co do tego wszystkie się zgadzały. A Jen wiedziała,

że choć Elizabeth nigdy nie podziękowała jej za zaproszenie, cieszyła ją możliwość ucieczki i towarzystwo. Krótkie chwile rozdrażnienia były niewysoką ceną za uciszenie ukrytego poczucia winy, dziedzictwa ich dzieciństwa.

– Ale ten posiłek z pewnością byłby godny stołu w jadalni zarówno w Mount, jak i w każdym z paryskich czy angielskich domów – powiedziała Trish, unosząc widelec z kawałkiem pstrąga. – Przepyszny, Donno.

– Dzięki – Donna okrążyła stół i dołała wina do kieliszków.

– Ale rzecz jasna sama Wharton nie parałaby się gotowaniem posiłków. Jej specjalnością było planowanie uroczystych obiadów, układanie list gości, jadłospisów, wybieranie zastawy, sztuców, obrusów...

– Trochę jak Cynthia – zauważyła z przekąsem Rina. – Ona proponuje, a Mae wykonuje.

– Niezupełnie – zaprotestowała chłodno Cynthia. – Nie przeszkadza mi porównanie z Edith Wharton, Rino, ale bądźmy przynajmniej precyzyjne. Mam gosposię i au pair, które przychodzą i odchodzą, głównie odchodzą. Edith – myślę, że powinniśmy nazywać japo imieniu...

– Edith! – zawołały wszystkie radosnym chórem i uniosły kieliszki. – Za Edith.

– No dobrze – ciągnęła Cynthia. – Dobrze, że zgadzamy się w tej kwestii. Tak czy owak, Edith miała służbę, ekipę pokojówek, kucharek i służących. Ja mam pod opieką dwójkę dzieci, podczas gdy Edith miała tylko te okropne małe psy.

– O których myślała jak o swoich dzieciach – przypomniała Trish. – Pamiętacie jej list do jakiegoś znajomego, napisany po śmierci psa, pełen tragizmu i smutku. Można by pomyśleć, że jest pogrążona w rozpacz po utracie dziecka. W psychologii nazywamy to przeniesieniem emocjonalnym.

– Bez medycznych terminów, Trish – powiedziała Rina. – Pamiętaj, tego wieczoru nie myślimy o pracy.

Wszystkie skinęły na znak zgody. Spotkania klubu książki były dla nich odpoczynkiem, oazą spokoju. Ograniczały je jedynie

wierność omawianej książki oraz wzajemna szczerłość w dyskusji.

– Czeka na mnie tona prac do oceny, ale nie będę o nich myślała.

Elizabeth pochyliła się do przodu, by nałożyć sobie następną porcję sałatki.

– Mimo wszystko jednak uwaga Trish była dość ciekawa – odezwała się mediacyjnym tonem, jakiego zapewne używała w rozmowach z rodzicami trudnego ucznia. – Czy tylko ja po przeczytaniu listów odniosłam wrażenie, że Wharton istotnie odczuwała jakiś brak związku z rzeczywistością? Ale cóż w tym dziwnego? Została zdradzona przez męża, a potem przez kochanka.

Jen omijała siostrę wzrokiem. Wiedziała, że Elizabeth pewnie myśli o zdradach, których sama doświadczyła – porywczosci Berta, chorobie Adama.

– Jedynie kucharka nigdy jej nie zdradziła. Księgowy też chyba był raczej wierny – zauważyła Cynthia i wszystkie się roześmiały.

– Przydałaby mi się kucharka. I księgowy – powiedziała żalonym tonem Rina. – W następnym życiu chciałabym wrócić jako Edith Wharton.

– Żydowska Edith Wharton? – rzuciła Trish i przyjaciółki znowu wybuchnęły śmiechem. – Jakoś sobie tego nie wyobrażam. Musiałabyś zorganizować koszerną kuchnię w Mount.

– I Henry James by cię porzucił. Chyba że odrodziłby się jako Żyd – dodała Jen i zachichotała.

– Heteroseksualny Żyd. To dopiero zjawisko literackie dla ciebie – całkiem nowy Henry James – heteroseksualny i żydowski – powiedziała Cynthia i sięgnęła po kolejną bułkę.

Przyjaciółki uśmiechnęły się. Cieszyły się, że je z apetytem. Wszystkie zauważyły, że schudła. Elizabeth ukradkiem wsunęła Cynthii na talerz kawałek ryby. W ten sposób karmiła Adama i czasem matkę, która często odmawiała jedzenia posiłków podawanych w domu spokojnej starości. Teraz również Cynthia, upośledzona przez swoje cierpienie, wymagała jej opieki.

– No, ale gdyby był heteroseksualny, i tym samym osiągalny, a

przy tym byłby Żydem, a więc mężczyzną zdecydowanie nie dla niej, pani Wharton rzuciłaby go – stwierdziła Trish. – To zachowanie typowe dla niej.

– Oj, nie poddawajmy biednej Edith psychoanalizie. – Donna wstała, by wynieść naczynia. – Zabiorę to wszystko do kuchni i napijemy się kawy w salonie. Wszystkie macie książki?

Skinęły twierdząco. Miały w zwyczaju przynosić książki na spotkania, tak że kiedy któraś odnosiła się do konkretnego fragmentu, każda mogła odnaleźć właściwą stronę i akapit. To także była oznaka ich poważnego podejścia do lektur, które wybrały, i głębokiego zaangażowania w ich analizę. Wstały od stołu i zgromadziły się w pokoju dziennym, każda z kubkiem w garści i książką na kolanach.

Donna dołączyła do nich z talerzem ciasteczek pistacjowych w jednej ręce i notatkami w drugiej. Postawiła ciasteczka na niskim stoliku. Krótко opisała życie autorki, jej samotne dzieciństwo, wczesnie rozwiniętą zdolność wymyślania historii i romans z literaturą, który nawiązała, gdy tylko ojciec nauczył ją czytać.

– Posłuchajcie tego fragmentu listu z korespondencji rodzinnej. Napisała, że widzi czytanie jako tajemną ekstazę duchowej bliskości. Cóż za wspaniałe wyrażenie. Tak właśnie odbierałam powieści i opowiadania, kiedy zaczęłam samodzielnie czytać i słuchać, podczas gdy mama gotowała. Pamiętam, jak mama przychodziła upewnić się, że lampa w mojej sypialni jest zgaszona, a ja potem otwierałam drzwi i czytałam przy srebrnym świetle wpadającym do pokoju z korytarza. Nie chciałam zrezygnować z tej bliskości, o której pisze Wharton. Nie chciałam znowu być sama. – Głos Donny był przepełniony smutkiem.

Niemal odruchowo zerknęła na ślubne zdjęcie rodziców stojące na regale z książkami – Annę, jak Donna, o jasnych włosach i krągłej figurze, ojciec zdrowy i silny, człowiek, którego znała jedynie, gdy był osłabiony i zniszczony przez rany i wspomnienia. Przyjaciółki podążyły za jej wzrokiem, po czym się odwróciły.

Były ciche, zamyślane. Słowa pisarki poruszyły je do głębi. Również one rozumiały, czym jest ta „tajemna ekstaza”, która



stanowi ucieczkę przed samotnością, pozwala z zaskoczeniem rozpoznać znajome myśli i uczucia.

– Ciekawe, czy w ten sam sposób patrzyła na pisanie – rzekła w zamyśleniu Rina. – Kiedy mówi o procesie tworzenia, zdaje się zawsze kłaść ogromny nacisk na związany z tym wysiłek, na to, jak jato wyczerpuje.

– I jak wydawcy ją oszukują – wtrąciła Elizabeth. – Wyraźnie widać, że zawsze miała w głowie pieniądze. A tak naprawdę ich nie potrzebowała. Najpierw ojciec, a potem matka zostawili jej znaczne fundusze powiernicze, a potem jeszcze nieoczekiwanie odziedziczyła spadek po jakimś dalekim krewnym.

Donna zajrzała do notatek.

– Ten spadek wyniósł sto dwadzieścia tysięcy dolarów. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku ogromna suma, pewnie równowartość kilku milionów dzisiaj. No tak, rzeczywiście jej obsesja na punkcie pieniędzy jest dość dziwna.

– Niezupełnie. Pieniądze dały jej wolność – ton Cynthii był beznamiętny, jej słowa rzeczowe. – Dzięki nim mogła zachować niezależność, podejmować decyzje, podróżować. Również dzięki nim mogła rozwieść się z Teddym Whartonem. Choćby nie wiem co robił, nie byłaby w stanie odejść od niego, gdyby nie miała własnych pieniędzy i możliwości zarobienia jeszcze więcej. Miałam – zawahała się, jakby szukała właściwego słowa, po czym ciągnęła – krewną, kobietę, której mąż miał kochankę, ukrywaną rodzinę. Oszukał ją, oszukał ich dzieci, zamienił ich życie w wielkie kłamstwo. Ale ona nie mogła nic zrobić. Nie mogła wystąpić o rozwód, bo nie miała pieniędzy ani zawodu. Pod wpływem jej historii podjęłam decyzję, że zawsze będę w stanie sama się utrzymać – nie żebym wtedy uważała, iż to kiedykolwiek okaże się konieczne – ale teraz...

Zamilkła i zarumieniła się, a kiedy uniosła filiżankę, dał się słyszeć dźwięk brzęczącej o spodek porcelany, dopóki udało się jej zapanować nad drżeniem rąk.

Donna zerknęła na Jen, Rina na Trish; przemknęła między nimi jedna myśl. Czy Cynthia rozstałaby się z Erikiem, gdyby nie miała

własnych pieniędzy, gdyby nie miała stałej pracy przynoszącej wysokie dochody? Bez pieniędzy, bez możliwości dobrych zarobków czy nie byłaby, tak jak jej „krewna”, uwięziona w małżeństwie, które przerodziło się w wielkie kłamstwo?

Elizabeth pokręciła swoją ślubną obrączką, zdjęła ją, po czym ponownie wsunęła na palec.

– Mimo wszystko Edith mogłaby sporo działać przeciw Teddy’emu Whartonowi, nawet bez własnych pieniędzy. Mogłaby wywalczyć jakieś alimenty. Miała mnóstwo powodów, żeby go zostawić. Zdradzał ją, defraudował pieniądze z jej kont i wydawał na prostytutki, był playboyem na jej utrzymaniu, nie przepracował w życiu ani jednego dnia – zauważyła Donna. – Prawdziwą zagadką nie jest to, że się z nim rozwiodła, ale że była z nim przez tyle lat. Nie była jakąś gorącą zwolenniczką przysięgi małżeńskiej. Napisała kiedyś list o tym, jak więzy małżeńskie potrafią dusić. Więc wydawałoby się, że ich rozwiązanie nie powinno jej sprawić żadnej trudności. Nie była też specjalnie religijna, nie to więc ją powstrzymywało. Zatem moje pytanie brzmi: jak mogła tak długo żyć z Teddym Whartonem, który nie dawał jej zupełnie nic – ani miłości, ani dzieci, ani wsparcia finansowego?

– Może nic, co robił, nie zaskakiwało Edith – zasugerowała Trish. – Znosiła jego zachowanie, a właściwie szaleństwo, od dnia ślubu. Zapewne wyczuła, jakim jest człowiekiem, już podczas pierwszego spotkania, ale uznała, że może im się udać. Zastanawia mnie to jednak, tak jak Donnę. Kiedy zobaczyła, że nic z tego nie będzie, że nic ich nie łączy, dlaczego zajęło jej dwadzieścia osiem lat, żeby się z nim rozwieść? Nawet najbardziej lękliwa, neurotyczna kobieta dałaby mu wymówienie. Przypomina mi się widziana podczas szkolenia pacjentka, która właśnie tak postąpiła.

Cynthia pochyliła się do przodu, niecierpliwie kartkując przyniesioną przez siebie biografię Wharton.

– Ponieważ po dwudziestu ośmiu latach nastąpił punkt krytyczny. Ponieważ jego nawyki się zmieniły, a złe zachowanie

nagle się zintensyfikowało i doszła do wniosku, że nie potrafi już akceptować tego, co dawniej udawało jej się przemilczać. Zdarza się. Ludzie się zmieniają. Poziom tolerancji się zmienia. Mąż, z którym żyjesz, może się okazać kimś innym niż poślubiony przez ciebie człowiek. Zasadniczo zawarłaś kontrakt z już nieistniejącym partnerem.

Wyrzucała z siebie słowa zbyt szybko, bez wahania; zastanawiała się, czy mówi o Edith i Edwardzie Whartonach, czy o własnym małżeństwie. Zawstydzone nią i sobą uciekały spojrzeniami w bok, a ona jakby wyczuła ich zakłopotanie – podniosła się gwałtownie, po czym zniknęła w łazience.

Wtedy pozostałe przyjaciółki szybko podsumowały dyskusję i Donna zaczęła czytać na głos fragmenty z korespondencji, która ją zainteresowała.

– Listy do kochanka, Mortona Fullertona, naprawdę mnie poruszyły – powiedziała. – Edith właściwie od początku wiedziała, że ich romans jest skazany na niepowodzenie, ale nie bała się rzucić w jego nurt, podróżować z ukochanym, a nawet zaprosić go do Mount.

– Oraz dawać mu porady, jak ma postąpić z poprzednią kochanką – dodała Elizabeth. – Co oznacza, że wiedziała dokładnie, jaki to człowiek – niesolidny, niegodny zaufania, zmienny. Związać się z kimś, będąc nieświadomym jego wad, to jedno, ale wiedzieć i zignorować tę wiedzę, to już coś zupełnie innego.

Jej ton był ostry, krytyczny, i patrząc na nią, Jen pomyślała, że Elizabeth jak zawsze jest pełna wyrozumiałości dla siebie, dla własnych błędów. Poślubiła Berta zbyt szybko. Nie było czasu, żeby rozpoznać jego wciąż powracające mroczne nastroje, niezadowolenie, które wywoływało irracjonalne wybuchy wściekłości, a wszystkiemu temu towarzyszył wstyd i niepokój z powodu autyzmu Adama. Nie doświadczyła luksusu takiego wczesnego rozpoznania. Jak zawsze widziała siebie jako ofiarę, ostentacyjnie i z goryczą przyjmowała połączone nieszczęścia małżeństwa i macierzyństwa.

Jen zauważyła nagle, że Elizabeth wpatruje się w nią z ustami wykrzywionymi tym przykrym znaczącym uśmiechem, który pamiętała z ich wspólnego dzieciństwa. Z drżeniem zdała sobie sprawę, że opisywany przez siostrę przypadek to nie Bert, lecz Ian; i ona, Jen. To miało sens. Elizabeth stale zarzucała Jen słabość, tolerowanie wad Iana, jego niestabilności. Odwróciła głowę, ogarnięta znajomym gniewem, jaki dusiła w sobie od małego. Cholerna Elizabeth, pomyślała. Niech ją diabli. Co przyszło mi do głowy, żeby zaprosić ją do klubu? A Elizabeth, z szyderczym wyrazem twarzy, odwróciła głowę.

– Ale ona doskonale wiedziała, co robi – upierała się Trish. – To był jej wybór. Była szczerą zarówno wobec siebie, jak i Fullertona. – Przekartkowała szybko strony swojej książki. – O, mam, w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku napisała do niego: „Moim jedynym lękiem jest, żeby miłość mnie nie zaślepiła i żeby moje serce nie szeptało «jutro», kiedy rozum mówi «dzisiaj»„. Powiedzenie czegoś takiego kochankowi wymaga sporej odwagi. Ale ona przywykła do ryzyka.

– Ponieważ była silna i świadoma tej siły – dodała Rina. – I miała pieniądze oraz talent, którymi mogła tę siłę poprzeć. Podoba mi się to, że kiedy z nim zrywa, pisze: „Myślę, że jestem warta więcej”. Dość śmiało jak na kobietę z tamtej epoki.

– A nawet jak na dzisiejszą kobietę. – Cynthia wróciła do nich ze zmytym makijażem, kasztanowymi włosami ściągniętymi do tyłu i odzyskanym charakterystycznym dla niej spokojem. – Zbyt wiele kobiet nie ma pojęcia o własnej wartości. Bierzymy to pod uwagę, tworząc kampanie promocyjne w Nightingale’s. „Kup to. Jesteś tego warta. Zaslugujesz na to”. Nasi guru reklamy mówią mi, że na świecie jest bardzo dużo kobiet, które nie wierzą, że zasługują na cokolwiek.

– W kampanii reklamowej to jest w porządku – powiedziała Trish. – Ale nie widzę siebie, jak rozmawiam w ten sposób z kobietą, która przychodzi do mnie po poradę w sprawach małżeństwa. Co miałabym jej powiedzieć: „Rozwiedź się z nim. Jesteś warta więcej. Zaslugujesz na więcej”. To nie reklama

kosmetyków, tylko jej życie. Nie mogłabym powiedzieć czegoś takiego.

– Dlaczego nie? – zapytała spokojnie Cynthia i napełniła swoją filiżankę. – Gdyby to była prawda.

Donna wstała; jej oczy błyszczały, a na policzki wypłynął rumieniec.

– Ponieważ nie wszystkie rozwiązania można tak upraszczać. Gdyby tak było, moja mama powinna się była rozwieść z ojcem w dniu jego powrotu z Korei, ponieważ doskonale wiedziała, jak od tej chwili będzie wyglądać jej życie. Miała stać się pielęgniarzką, opiekunką, ale nie żoną. Mimo to została z ojcem i zajmowała się nim aż do jego śmierci, choć tak jak Wharton musiała wiedzieć, że jest warta więcej. A była, była! Ale brała pod uwagę nie tylko własną wartość. Myślała o nim i o mnie, i – choć nikt już dziś nie używa tego pojęcia – myślała o wypełnieniu swojego obowiązku. I zapłaciła za to wysoką cenę. Ominęło ją życie. A potem, kiedy ojciec zmarł, nie chciała go już przeżywać. Była wyczerpana. Ojciec odszedł, ja się usamodzielniałam. W noc przed śmiercią rozmawiała przez telefon z moją ciocią. – Jestem zmęczona – powiedziała. – Jestem zbyt zmęczona, żeby wstać rano, a zresztą niespecjalnie mam już po co. Chcę odpocząć.

Donna powstrzymała łzy i znowu zwróciła się w stronę zdjęcia ślubnego, które znalazła na stolyczku nocnym przy łóżku matki rano w dniu jej śmierci, stojące obok pięciu małych pustych fiolek po środkach nasennych i listu napisanego fioletowym atramentem, zarezerwowanym do jadłospisów i przepisów. List zawierał prośbę o miłość i przebaczenie oraz informację, gdzie Donna znajdzie testament, książeczki bankowe i niewielki plik świadectw udziałowych. Tylko Rina wiedziała o tym liście, o tych malutkich pustych fiolkach.

Donna podniosła oprawione zdjęcie, po czym postawiła je z powrotem i wtedy przyjaciółki zobaczyły, że płacze. Zakłopotane, odwróciły wzrok. Sądziły, że znają się dobrze, że są dość blisko, by znać nawzajem swoją przeszłość. W ich wieku śmierć rodziców była zdarzeniem bolesnym, ale nie rzadkim. Starzejące

się matki i ojcowie niedołączyli, umierali na raka, ginęli w wypadkach. Matka Donny odeszła, zanim ta dołączyła do klubu, i teraz, po raz pierwszy, zaczęły się zastanawiać, jak umarła Annę Saunders. Zdały sobie sprawę, że ich bliskość ma pewne granice. Niewyjaśniony wybuch żalu Donny zaskoczył je tak samo jak słowa Cynthii, tak zdecydowane, tak tajemnicze. Przyglądały się, kiedy Rina podeszła do Donny i uściskała ją, a Jen przyniosła jej szklankę wody i zaproponowała chusteczkę. Donna wypła wszystko, wytarła oczy i uśmiechnęła się nieśmiało, przepraszająco, ale radosny nastrój wieczoru prysnął. Czują się oszołomione i bezradne.

Trish, z zawodową zręcznością, wprowadziła je znowu na bezpieczniejszy teren powieści. Podjęły dyskusję, a po chwili Donna zniknęła w kuchni i po kilku minutach wróciła całkiem spokojna, z talerzem złocistych miniaturowych gruszek, który ustawiła na niskim stoliku; była to próba przywrócenia normalności.

Zgodnie z ustaloną procedurą spotkań Trish szybko streściła powieść. Mimo że wszystkie przeczytały *Rafę*, słuchały uważnie, gdy mówiła o Darrowie, atrakcyjnym dyplomacie do wzięcia, i jego przypadkowym spotkaniu ze zubożałą Sophy Viner w Paryżu. Opisała ich krótki romans, który nawiązali, kiedy z niewyjaśnionych przyczyn opóźniła się podróż Darrowa do jego prawdziwej miłości, Anny Leath, a następnie ponowne pojawienie się Sophy w roli guwernantki córki Anny i narzeczonej pasierba.

Od czasu do czasu któraś jej przerywała. Cynthia uważała, że szczegółowe opisy strojów Sophy Viner są w powieści ważne. Rina spekulowała na temat rodziny Sophy, jej sytuacji finansowej. Elizabeth zastanawiała się nad tajemniczą postacią bezimiennej siostry.

Jak zwykle dyskusja była ożywiona. Przyjaciółki nie należały do zwykłych czytelniczek, podglądaczek intelektualnych. Książki, które je wciągały, tętniły życiem, a one zanurzały się w świecie postaci, pograżały w niuansach historii, wymieniając się pomysłami, dzieląc spostrzeżeniami.

– Wiem, o czym mówisz.

– W ogóle o tym nie pomyślałam.

Zgadzały się i sprzeczały. Śmiały się i wzdychały.

– Mimo że książka ogromnie mi się podobała – powiedziała Elizabeth – odniosłam wrażenie, że znaczna część jest mocno naciągana. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Ze wszystkich posiadłości w całej Francji Sophy Viner trafia właśnie do Givre, domu Anny Leath.

– Inaczej akcja nie mogłaby się rozwinąć – zauważyła rozsądnie Donna. – Nie byłoby *Casablanki*, gdyby Ilse nie zjawiała się w barze Ricka. Jak szła ta słynna kwestia Bogeya?

„Ze wszystkich knajp we wszystkich miastach na całym świecie ona wchodzi akurat do mojej”. Jakoś tak. Takie są prawa fikcji. A czasem i prawdziwego życia. Poznałam Raya na konferencji medycznej w San Francisco, a dwa tygodnie później spotkałam go na przyjęciu w Nowym Jorku. Żaden wybieg. Czysty przypadek. Darrow poznaje Sophy w Paryżu, a parę tygodni później ona przyjeżdża do Givre. Taka sama sytuacja. Może sama Wharton nie wiedziała, jak to się potoczy. W listach do wydawców nie pisze o akcji książek, nad którymi pracuje. Nie przedstawia propozycji.

– Jak myślicie, czy dużo życia prywatnego Wharton przeniknęło do *Rafy*! – zapytała Trish.

Rina uwielbiała takie pytania i często zadawała je swoim studentom. Motywacja stanowiła jej obsesję, wszystkie „dlaczego” dotyczące życia innych ludzi, „dlaczego” związane z jej własnymi decyzjami. Dlaczego dobrze ubrana kobieta miałaby kraść drogą torebkę, na którą wyraźnie ją stać? Dlaczego Sylvia Plath zdecydowała się na samobójstwo w ten konkretny wieczór? Dlaczego ona sama wybrała samotne macierzyństwo, kiedy miała inne wyjścia? Dlaczego bezdzielna Edith Wharton oddała swoje pióro powieści o wdowie, dla której obowiązki matki liczyły się nie mniej niż romantyczna miłość?

Pochyliła się do przodu i zaczęła przerzucać kartki zbioru listów, by w końcu zatrzymać się przy fragmencie, który chciała

zacytować.

– Oto list Wharton do Bernarda Berensona, napisany podczas pracy nad *Rafą*. Berenson zapewne zwrócił się do niej z pytaniem, czy powieść jest choć trochę autobiograficzna, a ona odpowiedziała: „W każdym razie pamiętaj, że to nie ja, choć tak myślałam, kiedy ją pisałam”. Tak więc sędzę, że odpowiedź na pytanie Trish brzmi: i tak, i nie, a także może. Pisarz pograża się w swojej pracy, wślizguje się i wymyka z osobowości tworzonych przez siebie postaci, aż granice między autorem a tematem się zacierają. Pamiętajcie stwierdzenie Flauberta: *Madame Bovary, c'est moi*. Wharton mogłaby powiedzieć: *Anna Leath, c'est moi*. To nie jej prawdziwe życie przeniknęło do powieści, ale świat wyobraźni artystki. – Rina wzięła gruszkę i wgryzła się w nią, zadowolona z własnej wypowiedzi.

– To mi przypomina stwierdzenie Flannery O'Connor: „Piszę, żeby wiedzieć, co myślę” – rzuciła w zamyśleniu Elizabeth.

Jen zerknęła na siostrę z pełnym podziwu zaskoczeniem, inne z uznaniem pokiwały głowami. To była siła Elizabeth – eklektyczne fragmenty wiedzy literackiej, które wrzucała do kotła ich dyskusji, tak jak utalentowany kucharz dodaje sekretną przyprawę. Dlatego ceniły jej wkład oraz znosiły cynizm i smugę depresji, która ciągnęła się za nią wszędzie, gdzie szła. Nie lubiły Elizabeth, ale ją szanowały.

– Może powinnam zostać pisarką – żeby wiedzieć, co myślę – powiedziała Cynthia. – I może wtedy wiedziałabym, co robię i dlaczego.

– A nie wiesz? – zapytała ją ostro Trish.

– Czasem tak, czasem nie – przyznała Cynthia. – Są dni, kiedy czuję się jak Anna Leath. Jednego dnia pragnęła poślubić Darrowa. A następnego chciała z nim zerwać. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Jakby rozgrywała sama ze sobą mecz uczuciowego pingponga. A to, co zrobił Darrow, nie było wcale takie straszne. Nikogo nie zranił. A przynajmniej nie chciał nikogo zranić. Zbliżył się do Sophy Viner, ponieważ chciał być miły. Nie stanowił żadnego zagrożenia.



– Czy chcesz powiedzieć, że ty każdego dnia wahasz się, czy podjęłaś słuszną decyzję? – zapytała Jen, bardzo cicho, jakby najmniejsza zmiana tonu mogła rozbić kruchą śmiałość przyjaciółki.

Ale Cynthia tylko skinęła głową z nieszczęśliwą miną i przycisnęła palce do ust, niczym małe dziecko przestraszone, że powiedziało coś niestosownego, zdradziło tajemnicę, której obiecało dochować.

Przyjaciółki spojrzały na siebie skonsternowane. Słowa Cynthii, choć tak enigmatyczne, obudziły nowe podejrzenia, przywołały na powrót przebrzmiałe już myśli. Cynthia powiedziała, że Darrow nikogo nie zranił, że nie stanowił zagrożenia. Czy Erie stanowił zagrożenie, skrzywdził kogoś? Rozwagały różne rodzaje zagrożeń – fizyczne, emocjonalne, seksualne, każde z osobna bądź wszystkie razem. Ale milczały, nie przekraczały wyznaczonych granic. A Cynthia, jakby w obronie przed ich ciekawością, przed trzymanym na wodzy niepokojem, zerknęła na zegarek i zerwała się.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno. Obiecałam Mae, że wrócę wcześniej. Nie lubi się kłaść, kiedy mnie nie ma, bo jej pokój jest tak daleko od sypialni dziewczynek, że nie jest pewna, czy je w razie czego usłyszy, a Ingrid, nowa au pair, to zupełne zero. Przepraszam. Muszę lecieć. Niech któraś do mnie zadzwoni i da mi znać, co teraz czytamy i gdzie się spotykamy.

Popędziła do sypialni po swoją teczkę i pelerynę; po chwili Jen ruszyła za nią i zamknęła za sobą drzwi. Patrzyła, jak Cynthia wsunęła na nogi buty i zajęła się szukaniem aktówki.

– Cynthio – powiedziała cicho Jen – spotkałam Erica. Cynthia zamarła. Wbiła wzrok w przyjaciółkę.

– I? – Jej usta ledwie się poruszyły.

– Podszedł do mnie na ulicy. Powiedział, że chce się ze mną spotkać, porozmawiać. Nie zrobiłabym tego, nie uprzedziwszy cię. – Nie powiedziała Cynthii, że to zdarzyło się pod Nightingale's, że oczy Erica przepełniał smutek, a jego głos drżał, że nie była w stanie mu odmówić.

– Doceniam to – odparła Cynthia. – Nie mam jednak prawa prosić cię, żebyś się z nim nie spotykała. Będziesz musiała sama zdecydować.

Zarzuciła na ramiona swoją przeciwdeszczową pelerynę w kolorze złota i poprawiła kaptur, tak że ułożył się we wdzięczne fałdy, które ledwie przykrywały jej płomienne włosy. Z ręką na klamce odwróciła się do Jen.

– Nie mogę powiedzieć, żeby twoje spotkanie z nim miało mnie ucieszyć, ale może... może okazałoby się pomocne.

I zanim przyjaciółka zdążyła zareagować, wyszła. Jen, rozmyślając nad tym, w jaki sposób mogłoby to pomóc, patrzyła, jak Cynthia przepływa przez salon, macha wszystkim na pożegnanie, po czym znika za drzwiami. Wyobraziła sobie jej powrót do domu, miękkość dywanu pod stopami, powietrze wypełnione zapachem żółtych róż, rząd starannie ustawionych na niskim mahoniowym stoliku nowych książek w błyszczących okładkach. Pójdzie na palcach do pokoju na piętrze, gdzie śpią córki, zobaczy ich miedziane włosy rozrzucone na poduszkach w kolorze mięty, ozdobionych rysunkami przedstawiającymi Kermita, a potem uda się do własnego pokoju, do wielkiego królewskiego łóżka, w którym będzie spała sama, przy delikatnych dźwiękach płynących z radia, ponieważ, jak zwierzyła się Jen, nie może znieść ciszy samotnych nocy.

Zebrały się wokół stołu w jadalni, a Donna napełniła ich filiżanki świeżo zaparzoną kawą bezkofeinową.

– Myślę, że Cynthia zaczyna mieć wątpliwości – stwierdziła Rina. – Nie jest już tak pewna swego jak wtedy, gdy po raz pierwszy powiedziała nam o całej sprawie.

– To nie jest dla niej łatwe. Być znowu samą po tylu latach z Erikiem. Nie jestem z łanem tak długo, ale nie potrafię sobie wyobrazić powrotu do pustego mieszkania, do pustego życia – zwierzyła się Jen.

– To chyba niewystarczający powód, by trwać w małżeństwie lub związku – zaripostowała Elizabeth. – Można być bardziej samotną z beznadziejnym partnerem niż żyjąc sama. Niezależność

oznacza wolność.

Znów obróciła obrączkę na palcu. Niezależność, którą zamierzała odzyskać po ślubie, okazała się ulotna. Nie jest wolna. Nigdy nie będzie. Stała się zakładnikiem potrzeb syna, żądań męża. Jen przynajmniej nie znajduje się w potrzasku.

Ian jest pijawką, żyje z jej dochodów, nie daje nic od siebie, ale Jen może go wyrzucić w każdej chwili. Elizabeth nigdy nie nabrała się na pozornie bierną akceptację trudnych sytuacji przez siostrę. Jen to twarda zawodniczka w sferze uczuć, a za swoją broń obrała pozorną uległość.

– Ale Cynthia i Erie zdawali się stworzeni dla siebie – powiedziała Trish. – Doskonale zharmonizowani. Ciekawe, co miała na myśli, kiedy powiedziała, że Darrow nie stanowił żadnego zagrożenia. Pewnie myślała o Ericu, ale w jaki sposób on mógłby okazać się niebezpieczny?

Gorzki śmiech Riny został zagłuszony przez zbiorowy potok słów, które nagle wypełniły pokój. Pomysły zrodzone z reakcji na wypowiedź Cynthii, jak balony dryfujące nad stołem, co pewien czas zderzały się ze sobą przy nagłych powiewach domagających się zwerbalizowania przypuszczeń. Głosy podniosły się w dziwnym podnieceniu, pod wpływem palącej potrzeby, by się dowiedzieć, zrozumieć. W braku znajomości faktów pozostały zgadywanki. Dlaczego i jeszcze raz dlaczego?

– Cynthia mówiła wyraźnie o niebezpieczeństwie – powiedziała Elizabeth. – Może Erie był agresywny wobec dziewczynek lub nawet wobec niej. Albo może nagle odkryła, że zachowywał się tak w przeszłości, na przykład w innym związku. Pojawia się dawna dziewczyna. Padają oskarżenia. A Cynthia zaczyna się martwić, że coś takiego mogłoby się powtórzyć.

– Dość drastyczny scenariusz – stwierdziła chłodno Trish. – I nie wydaje mi się prawdopodobny. Zawsze uważałam Erica za niezwykle łagodnego, aż za bardzo. Ale chyba popadał w przejściowe depresje, zwłaszcza w przerwach między projektami. Kiedyś, kiedy skończył dokument o pracownikach zakładu przemysłowego w Karolinie Południowej, ten, który przyniósł mu

nagrodę krytyki filmowej, powiedział mi, że nie potrafi cieszyć się tym sukcesem, ponieważ już się boi, że nie będzie miał nowego pomysłu. Może Cynthia uważała te depresje za zagrożenie dla dzieci, zagrożenie emocjonalne. Mam jednego pacjenta z chroniczną depresją, którego żona wniosła pozew o rozwód, jak tylko postawiłam diagnozę. „Nie chcę, żeby moje dzieci dorastały w domu dotkniętym depresją”, oświadczyła. Nie mogę powiedzieć, żebym miała jej to za złe.

– Dzieci potrafią przetrwać depresję rodziców – powiedziała smutnym głosem Donna. Jej wzrok znowu powędrował w stronę zdjęcia, a Rina jeszcze raz dotknęła ręki przyjaciółki w geście pocieszenia, opiekuńczości. – Nie sądzę, żeby Cynthia postrzegала depresję jako wyraźne i realne niebezpieczeństwo – takie, które kazałoby jej powiedzieć Ericowi, że nie może go znieść w domu choćby jeszcze przez jedną noc. To musiało być coś innego.

– W mojej szkole jest pewien przypadek – odezwała się Elizabeth. – Pracuję nad nim razem z opieką społeczną. Chodzi o dzieciaka, którego ojciec włąził w Internecie na strony z dziecięcym porno. Pracownik socjalny uważa, że jest to wystarczająco niebezpieczne zachowanie, by matka zażądała odejścia tego faceta z domu i wystąpiła o zakaz zbliżania się do chłopca.

Jen poczuła nagły przyływ gniewu. Uderzyła gwałtownie łyżeczką o filiżankę, a kiedy się odezwała, jej głos drżał.

– Posłuchajcie tego, co mówimy. Jesteśmy jak stado sępów karmiących się paroma gnijącymi słowami. Tak, Cynthia użyła słowa „zagrożenie”. Tak, powiedziała „zranić”. Ale powiedziała tylko tyle, a my pogrążamy się w insynuacjach, zupełnie bezpodstawnych podejrzaniach, mówimy o fizycznej brutalności, surfowaniu po stronach dla zбочeńców. Znamy Erica od lat. Czyż nie był zawsze wobec nas uprzejmy? Szlachetny, łagodny? Dokąd my właściwie z tym wszystkim zmierzamy? I dlaczego?

Milczały. Widziały słuszność zarzutów Jen, ale nie miały odpowiedzi. Nie mogły przeprosić, gdyż wiedziały, że ich ciekawość nie osłabnie, że nadal będą żonglować pytaniami i

odpowiedziami, że ich poszukiwania prawdy o Cynthii w jakiś sposób zamieniły się w poszukiwanie prawdy o nich samych, o ich życiu, ich decyzjach, stały się poligonem doświadczalnym dla ich poglądów. Zostały oszukane. Cynthia i Erie kręcili się po ich orbicie od lat, najjaśniejsze gwiazdy w małej konstelacji przyjaciół; latali jetami, zapraszali je na drogie przyjęcia i premiery, uśmiechali się do nich przez pięknie nakryte stoły, uginające się pod ciężarem srebra i kryształu i przyozdobione kwiatami tak świeżymi, że na ich płatkach lśniła rosa – związek Cynthii i Erica, złotej pary, godny pozazdroszczenia i budzący zazdrość. Jak mogły się aż tak pomylić? A skoro myliły się tak drastycznie w kwestii Cynthii i Erica, czy słuszne są inne ich osądy, bezpieczne ich związki? Pytanie Jen wytrąciło je z równowagi. Odpowiedzi, jakich mogłyby udzielić, odsłoniłyby ich słabości i lęki.

– Oj, dość tego – powiedziała w końcu Elizabeth. – Nie zgrywaj się na taką świętoszkę, Jen. Jesteś tak samo pochłonięta wielką tajemnicą Cynthii i Erica jak my wszystkie. Może bardziej, bo widzisz Cynthię częściej niż my. Pracujesz dla niej. Może wydaje ci się, że jesteś jej winna szczególną lojalność, ponieważ ona wypisuje ci czeki, a potrzebujesz pieniędzy, chyba że nazwisko lana pojawi się w „Art News”. Zresztą tak czy owak nie chciałybyś wywołać żadnego poruszenia. To nie jest w twoim stylu. I nigdy nie było.

Jen zarumieniła się i wstała od stołu. Zignorowała siostrę i skupiła się na ustawianiu spodków i talerzyków do ciasta jeden na drugim, tym samym prowokując inne do działania. Donna okrążyła stół i dołała wszystkim kawy. Pozostałe przyjaciółki, zawstydzone goryczą Elizabeth, ostentacyjnie skupiły się na podawaniu sobie cukru i śmietanki. Rina komplementowała dania Donny. Trish poprosiła ją o przepis na ciasteczka pistacjowe.

– Mandy uwielbia pistacje. Jason też – dodała po krótkiej chwili. Wprowadziła imię męża do rozmowy, jakby chciała przypomnieć sobie i swoim przyjaciółkom, że jej małżeństwo jest twierdzą.

– Szukamy domku letniego z naprawdę dużą kuchnią – ciągnęła. – Chcę się trochę uaktywnić w gotowaniu i pieczeniu. Przypuszczam, że to wpływ ciągłego obcowania z anorektyczkami i bulimiczkami. – Zaśmiała się z samej siebie, zaprosiła je, by podzieliły jej rozbawienie.

– A ja szukam mieszkania z dwiema sypialniami – powiedziała Rina. – Co tam letni domek. Ja chcę tylko choć na jedną noc nie rozkładać sofy. Myślicie, że Wharton w ogóle wiedziała, co to rozkładana kanapa?

Wszystkie się roześmiały, napięcie zniknęło.

– Słuchajcie – odezwała się Elizabeth – muszę lecieć. Bert pewnie na mnie czeka, bo miał dzwonić terapeuta Adama. Co teraz czytamy i gdzie się spotykamy?

Przyjaciółki wyciągnęły kieszonkowe kalendarze i notesy elektroniczne.

– Po Święcie Dziękczynienia. Przed Bożym Narodzeniem – zdecydowała szybko Trish, po czym wspólnie wybrały wieczór w połowie grudnia. – Myślę, że teraz twoja kolej, żeby nas ugościć, Jen.

– Świetnie – zgodziła się Jen.

– Jeśli ci to nie pasuje, możemy spotkać się u mnie – odezwała się Elizabeth i przyjaciółki zrozumiały, że próbuje wynagrodzić jej swoje zachowanie, przywrócić równowagę.

– Dzięki, nie ma problemu – odparła pogodnie Jen. Była osobą, która nie tylko unikała konfrontacji, ale także nie chowała urazy.

– Twój wybór autora i książki, Jen – zawołała z kuchni Donna.

– Opowiadanie *Loteria* i *Życie wśród dzikusów* Shirley Jackson. Zgarnęłam je latem razem z całą resztą innych książek na giełdzie, kiedy byłam uwięziona z łańcem w tej chałupie na Rhode Island. On malował mariny, a ja czytałam książki – wszystkie pachniały morzem, a niektórym brakowało stron, ale Shirley Jackson była nienaruszona.

– Dobrze, a więc Shirley Jackson i spotykamy się u Jen – Trish jak zwykle przyjęła rolę organizatora.

– Powiem Cynthii – zaofiarowała się Jen.

– Dobrze. I myślę też, że ważne jest, byśmy utrzymywały z nią bliski kontakt. Można by zapytać, czy nie chciałyby pójść na kolację, wybrać się do kina. Ona potrzebuje teraz naszego wsparcia.

U Trish włączył się kanał zawodowy, ale przyjaciółkom to nie przeszkadzało. Skinęły akceptująco. Każda postanowiła, że zadzwoni do Cynthii, zaoferuje jej swój czas i zrozumienie, w swobodnej rozmowie zada tylko najbardziej powściągliwe pytanie. W tych ostrożnych telefonach, dokładnie zaplanowanych na godzinę, kiedy bliźniaczki położą się już spać i będzie czas na rozmowę, ciekawość połączy się z życzliwością.

Zamknęły swoje kalendarzyki i notesy elektroniczne, pomogły Donnie posprzątać ze stołu, po czym pozbierały swoje torby i płaszcze. Donna odprowadziła je do drzwi. Przestało padać i w nocnym powietrzu drżała słodka świeżość. Przyjaciółki wyszły z mieszkania i ruszyły po schodach, machając Donnie na pożegnanie. Donna pomachała im w odpowiedzi i wróciła do mieszkania.

Gdy znalazła się sama w kuchni, włączyła odtwarzacz CD i zabrała się do porządków, znów pochłonięta historią Lily Bart. Wsłuchiwała się w jedyne zdanie, które wskazywało na pełne potępienia nastawienie autorki do swojej niefortunnej bohaterki: „Lily przyjęła z ulgą śmierć ojca”. Zadzwonił telefon, ale Donna go nie odebrała. Stała się jednością z Lily Bart; jej reakcja na wieść o śmierci ojca nie budziła w niej sprzeciwu. Donna też odczuła ulgę, gdy ojciec umarł, pełną poczucia winy szczerą ulgę. Załamała ją śmierć matki.

Telefon zadzwonił znowu, ale Donna nie ruszyła się z miejsca. To był albo Tim, który często dzwonił tylko po to, by powiedzieć dobranoc, albo Raymond, który wykrecał jej numer, kiedy miał trudności z zaśnięciem. Jej niewymagający kochankowie, jak Morton Fullerton, kochanek Edith Wharton, chcieli, by ich obecność dawała się odczuć nawet wtedy, gdy byli daleko. Donna wyłączyła dzwonek w telefonie i zaczęła się zastanawiać, czy *Świat zabawy* był wśród kaset, których mama słuchała w ciepłej

kuchni, wypełnionej zapachem przypraw, o drzwiach zamkniętych przed bezrozumnie snującym się ojcem. Kiedy włożyła ręce do przepelnionej pianą miski, po jej policzkach stoczyły się niechciane łzy.



## Rozdział czwarty

Jen nie podobała się *Loteria*. Czytała ją w college'u i pamiętała, że lektura wywołała u niej dziwne oszołomienie. Kiedy wróciła do niej latem na plaży na Rhode Island, podczas gdy Ian malował, a słońce zniknęło i wychylało się zza poruszanych wiatrem chmur, które rzucały cień na strony podniszczonej antologii, czuła niejasną złość. Świat Shirley Jackson był tak cholernie ponury; ignorancja i zło tańczyły w parze na parkiecie historii, której zakończenie naznaczyły smutek i samotność. Intrygował ją jednak język opowieści, a gdy ją skończyła, wiedziała, że będzie chciała omówić ją z przyjaciółkami z klubu, usłyszeć ich interpretacje i wrażenia po lekturze.

Przed spotkaniem przeczytała opowiadanie jeszcze raz, leżąc na zarzuconym różnymi rzeczami fotonie. Miała na sobie poplamioną farbą koszulę, którą Ian przed chwilą zrzucił, i jedną ręką przeczesywała swoje ciemne włosy, jeszcze wilgotne po prysznicu. Od czasu do czasu zerknęła na lana, który stał przed swoją sztalugą nagi do pasa i leniwymi ruchami unosił pędzel. *Wiosna z Czterech pór roku* Vivaldiego dobiegła słodkiego końca, kiedy Jen czytała przerażający ostatni akapit *Loterii*. Po raz kolejny zakończenie wytrąciło ją z równowagi i rzuciła książkę przez pokój. Wylądowała miękko u stóp lana.

Odwrócił się ze zdziwieniem.

– Hej – powiedział. – Co się dzieje?

– Nic. Mam poprowadzić dyskusję podczas następnego spotkania naszego klubu, a nie mogę rozgryźć jednej beznadziejnej historii.

Podniosła książkę i podeszła do biurka. Wzięła od niechcienia kawałek węgla i zaczęła bazgrać w swoim szkicowniku. Zmarszczyła brwi, gdy zauważyła, że gryzmoły przerodziły się w rysunek, jedną postać otoczoną przez inne, duże i małe, wszystkie z rozłożonymi ramionami.

– A co teraz robisz? – zapytał Ian.

– Wygląda na to, że rysuję tę beznadziejną historię – odparła. – Która tak naprawdę jest wspaniałą historią.

Naszkirowała kółko na każdej wyciągniętej dłoni. Kamienie, rysowała kamienie. – Nie potrafię o niej mówić, ale mogę ją narysować – powiedziała i dodała niewielką stertę u stóp każdej postaci.

– Cóż, jesteś artystką – powiedział i cofnął się, by spojrzeć na własny obraz.

– Czyżby? – zapytała.

– Och, daj spokój. Nie urządzajmy sesji uzalania się nad sobą – odłożył pędzel i podszedł do niej, po czym pochylił się, by otoczyć ją ramionami. – Skrzacie – powiedział i skubnął jej ucho, czym, jak zawsze, prowokował ją do śmiechu. – Mój skrzacie – drugie ucho. Zaśmiała się ponownie, ale rysowała dalej. Wzięła linijkę i narysowała panele.

– Komiks? – zapytał.

– Chyba na to wyjdzie.

Nie zważając na lana, jego przyspieszony oddech, zabrała się do pierwszego panelu. Uśmiechnięte słońce. Ukwieczone pole. Między pąkami wystrzeliwiają młode pędy trawy. Ryneczek, zegar na wieży pokazuje dziesiątą. Węgielek poruszał się błyskawicznie. Jen wie, że to pierwszy akapit *Loterii*, wizualizuje opis zwyczajnego miasta w idylliczny letni dzień. Pracuje szybko, bez wysiłku. Uwielbiała, kiedy rysunek powstawał z taką łatwością, jakby wyrastał z jakiegoś ukrytego źródła, niezależnie od jej świadomej woli. Tak pracował Ian; jego pędzel przenosił się z palety na płótno kierowany ładunkiem twórczej energii, ale dla niej było to rzadkie doświadczenie.

Zadzwoił telefon. Nie przerwała rysowania. Dłoń lana wśliznęła się do kieszonki jego koszuli i pokryła pierś Jen. Oparł policzek na jej pochylonej głowie.

– Nie odbieraj – powiedział. – Niech się nagra.

Skinęła głową i po trzech dzwonekch włączyła się sekretarka; po poddaszu rozniósł się echem głos Erica, przyciszony i niepewny, dziwnie zlewający się z kwartetem smyczkowym

Vivaldiego.

– Jen, przepraszam, że tak cię wtedy zaskoczyłem, ale naprawdę chcę z tobą porozmawiać. Proszę zadzwoń, żebyśmy mogli się jakoś umówić... na kawę, lunch, kolację, cokolwiek – zamilkł, jakby chciał dodać coś, co teraz mu umknęło. – No dobrze, do usłyszenia wkrótce. – Rozłączył się.

Jen odłożyła węgielek, nastrój prysnął. W głosie Erica słyszała niecierpliwość, która wywołała u niej współczucie i niepewność, Ian cofnął się o krok.

– O co chodzi? – zapytał.

– Erie. Chce się ze mną spotkać. Porozmawiać. Pewnie o Cynthii.

– Jesteś przecież przyjaciółką Cynthii, prawda?

– No właśnie. Powiedziałam jej o tym. Dla niej nie ma problemu. Uważa, że to nawet mogłoby się okazać pomocne.

– Nie chcę, żebyś się z nim spotykała – oświadczył Ian beznamiętnie.

Płyta się skończyła, Ian ostrożnie umieścił ją w pudełku. Zazwyczaj niedbały, spokojnie patrzył na stertę brudnych naczyń w zlewie, rozrzucał mokre ręczniki w łazience, nigdy nie zadawał sobie trudu, by pozamiatać kawałki rozbitego kubka, ale niesamowicie dbał o swoją kolekcję płyt CD i przybory do malowania. Jego paleta była zawsze dokładnie wytarta, pędzle zanurzone w terpentynie, każda tubka szczelnie zakręcona po zakończeniu pracy, wszystkie CD umieszczone we właściwych pudełkach i równo ustawione na stojaku. Jen wspomniała o tym kiedyś Elizabeth, która w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że dba o swoje rzeczy. To doskonale pasuje do jego ogólnej postawy.

Jen nie zapytała, o jaką postawę chodzi. Niemal od razu pożałowała swojego zwierzenia. Wiedziała, że siostra nie lubi Iana i uważa go za pasożyta. Każda jej opinia o nim była negatywna. Ale gdy Jen teraz przyglądała się, jak porządkuje swoje płyty, niemile dotknięta jego egoistyczną reakcją na telefon Erica, przypomniała sobie słowa Elizabeth.

On dba tylko o swoją własność, pomyślała. Ale ja nie jestem jego własnością. Nie chcę, żeby traktował mnie w ten sposób. Zaczęła się nagle zastanawiać, czy ta zaborczość, potrzeba kontroli, urośnie kiedyś do takich rozmiarów, że spowoduje rozpad ich związku. Co tak naprawdę mogłoby ją skłonić do decyzji podobnej do tej, którą podjęła Cynthia. Oczywiście jej sytuacja była pod każdym względem inna. Przede wszystkim nie miała z łańcem ślubu. Oboje świadomie unikali zaangażowania. Jen nigdy nie poznała jego rodziny, a on nigdy nie odwiedził jej matki. Nie mieli dzieci, żadnych jasnowłosych bliźniaczek, które byłyby zdruzgotane ich rozstaniem. A jednak, a jednak. Możliwości, nieproszone, zagościły w myślach Jen. W końcu, tak jak niegdyś Cynthia i Erie, stanowili z łańcem parę.

Zerknęła na stertę rachunków na biurku, na rozrysowane kadry na jej stole do pracy. Ponieważ Ian nie poprowadził dwóch ostatnich zajęć w League, ona musiała wziąć nudne zlecenie, zaprojektowanie ulotki o zbiórce pieniędzy dla nieznanej fundacji.

– Nic nie szkodzi – zapewniła, kiedy Ian wymruczał lakoniczne przeprosiny.

Ale w gruncie rzeczy szkodziło. Zasadność insynuacji Elizabeth dręczyła ją, przeważała szalę jej narastającego niezadowolenia. Pomyślała o bezsilnych bohaterkach Shirley Jackson, pełnych tęsknoty kobietach na łasce nieuważnych, nieczułych mężczyzn. Jen nie jest taka jak one; nigdy nie będzie.

– Dlaczego nie? Dlaczego mam się nie spotkać z Erikiem? – zapytała ze spokojem, którego nie czuła. Nauczyła się ukrywać rozdrażnienie.

– Nie wiesz, dlaczego Cynthia wyrzuciła go z domu – odpowiedział obrażonym tonem. – Mogłabyś się wpędzić w kłopoty. Jest coś, co Cynthia o nim wie, a my nie wiemy. Staram się chronić cię.

– Mówimy o Ericu – powiedziała spokojnie. – Ericu, który kupił twoją czarnobiałą abstrakcję i powiesił ją u siebie w biurze, żeby wzbudzić zainteresowanie twoją twórczością. Ericu, który przyprowadził na twoją wystawę swoich znajomych i dwóch z

nich kupiło obrazy. Ericu, który nigdy nie podniósł głosu i zawsze był dla nas miły. Myślisz, że spotkanie z nim w kawiarni lub restauracji mogłoby być dla mnie niebezpieczne? W biały dzień? Daj spokój, Ian.

Uśmiechnęła się do niego przymilnie. Łatwiej się uśmiechnąć niż kłócić. Łatwiej mówić cicho niż krzyczeć. Łatwiej ukryć gniew niż go wyrazić.

– Martwię się o ciebie, Jen – powiedział i delikatnie przeczesał jej włosy palcami, wsuwając je między ledwo wyschnięte ciemne pukle. Jesteś moim maleństwem, moim i tylko moim elfem, i martwię się o ciebie.

Odpowiedziała uśmiechem. Miło było mieć kogoś, kto się o nią martwi. Przyjemna odmiana dla osoby, która martwi się o wszystkich innych, jako dziecko martwiła się o burzliwe małżeństwo rodziców, o Elizabeth, zgorzkniałą i samotną siostrę. Teraz martwi się o siostrę, samotną i zgorzkniałą w małżeństwie i macierzyństwie, oraz o jej syna, siostrzeńca, biednego Adama o pięknych, martwych ciemnych oczach. Boi się o matkę, owdowiałą i zniedołężniałą, a także o Cynthię, Erica i ich córki. Pomyślała o dwóch rudowłosych dziewczynkach wyglądających przez wykusz ekskluzywnej kamienicy na East Side, być może czekających na Erica, tak jak niegdyś ona wyglądała przez okno, jednocześnie obawiając się jego powrotu i lękając, że mógłby się już nie pojawić. Przepełniona smutkiem, pogrążona we wspomnieniach, pozwoliła łanowi poprowadzić się z powrotem do futonu i pocieszyć się z czułością i namiętnością.

Później, kiedy wyszedł na spotkanie z kolegami malarzami w pobliskim pubie, Jen wróciła do biurka i dokończyła pierwszy panel komiksu, rysując chmurę, która lekko przesłaniała słońce, zapowiedź zbliżającej się powoli ciemności. Znowu pomyślała o *Loterii*. Obudziło się w niej nowe zrozumienie tej historii. Odłożyła węgielek i zadzwoniła do Erica do biura; umówili się, że zjedzą razem lunch pod koniec tygodnia.

Dwa dni później poszła na kolację z Donną, ale nie wspomniała jej o spotkaniu z Erikiem. Nie rozmawiała też o nim z Cynthia,

kiedy pracowały razem nad wiosennym katalogiem Nightingale's. Zauważyła, że przyjaciółka nie ma na palcu obrączki; jej nowa fryzura do ramion wydała się jej zbyt dziewczęca. Podczas ich narady dwukrotnie zadzwonił telefon i przy każdej rozmowie Cynthia sięgała po swój palmtop.

– A więc kolacja – powiedziała. – Świetnie. – A potem przepraszająco. – Mam czas tylko na jednego drinka. No wiesz, dzieci.

Odwróciła się z powrotem do Jen, do rozłożonej na stole korekty po złamaniu.

– Wygląda na to, że zaczęłam nowe życie – stwierdziła, jakby była winna Jen wyjaśnienie.

– A czy już na pewno skończyłaś ze starym? – spytała łagodnie Jen.

Cynthia nie odpowiedziała, ale kiedy przejeżdżała markerem po korekcie, jej palce drżały. Jen zauważyła dwie pomyłki w cenach, niepoprawione przez autora, coś, co zazwyczaj Cynthia wyłapywała odruchowo.

– Dobra robota – mruknęła Cynthia. – Chyba staję się nieuważna.

– Cóż, masz tyle na głowie. – Usprawiedliwienia przychodziły Jen z łatwością.

Cynthia zaczęła się bawić frędzlami jasnej wełnianej chusty w tureckie wzory, która subtelnie komponowała się z delikatnym błękitem jej klasycznej kaszmirowej sukienki z golfem.

– Bez przesady. – Uśmiechnęła się smutno, co nie wymagało ani odpowiedzi, ani komentarza.

Erie wybrał na miejsce spotkania modne bistro tuż przy Union Square. Jen zwróciła uwagę na fakt, że restauracja znajduje się daleko od Nightingale's. Zapewniało im to prywatność. Nie było szansy, żeby Cynthia czy ktokolwiek inny, kogo znają, zapuścił się tak daleko od centrum. Erie już siedział przy stole w rogu, na którym w przydymionej lampie sztormowej paliła się świeczka, mimo że dzień był pogodny, a restauracja dobrze oświetlona.

Przesadnie uczynny maître d'hôtel odsunął krzesło dla Jen i uśmiechnął się łagodnie do nich obojga, i to przypomniało jej, że Erie mimo zamętu i zawirowań w życiu osobistym dla świata ciągle jest Erikiem Andersem, człowiekiem czynu, znanym i szanowanym producentem, który urządza przyjęcia w restauracjach takich jak ta z okazji premier swoich filmów w Film Forum. Otrzymali duże oprawy w skórę jadłospisy, których nie otworzyli, i maître wycofał się dyskretnie.

– Dzięki, że przyjechałaś aż tutaj, Jen – odezwał się Erie. – Mam później pokaz niedaleko stąd, więc to miejsce wydało mi się dobre.

Miał na sobie jasnobrązowy garnitur z miękkiej wełny, nienagannie wyprasowaną żółtą koszulę i wąski jedwabny krawat w kolorze musztardowym – strój odnoszącego sukcesy filmowca w drodze na pokaz. Mógłby wystąpić jako model w ekskluzywnym katalogu. Jen pomyślała nielojalnie, że spodobałby się Cynthii. Zauważyła też jednak, że marynarka jest nieco zbyt obszerna, a jego rasowa twarz wygląda mizernie.

– Tu jest dobrze – odparła. – Wystarczająco daleko od Nightingale's.

Nie zamierzała udawać. Wiedziała, czemu wybrał tę restaurację. Erie skinął głową, odgarnął jasne kosmyki, które zawsze opadały mu tak chłopięco na czoło, i upił łyk stojącego przed nim martini. Jen zauważyła, że ma czerwone obwódki wokół oczu, i zaczęła się zastanawiać, czy to jego pierwszy drink tego dnia i czy zamówi następny.

Kelner wrócił i Erie rzeczywiście poprosił o kolejny kieliszek. Ona zdecydowała się na białe wino, po czym oboje zamówili sałatki.

– Jak tam wasz klub książki? – zapytał Erie.

– Status quo – odparła. – Czytamy dużo dobrych rzeczy i dyskusje są ciekawe, choć może trochę gorączkowe.

Wiedziała, że byłby zaskoczony, gdyby usłyszał, że ich wspólne wieczory nabrały nowego wymiaru i pod nieobecność Cynthii przyjaciółki omawiają i badają tajemnicę jego

małżeństwa. Oczywiście, że byłby zaskoczony, zaskoczony i zde gustowany, pomyślała. Ogarnęła ją fala wstydu. Elizabeth miała rację. Jen nie potrafi wznieść się na moralny piedestał i udzielić sobie rozgrzeszenia. Obsesyjna ciekawość przyjaciółek jest też jej udziałem.

– I Cynthia przychodzi na wszystkie spotkania?

– Nie było ich zbyt wiele, ale tak, Cynthia była na wszystkich. W sumie wydaje mi się, że Cynthia nigdy nie opuściła żadnego spotkania.

Jen nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale rzeczywiście tak było. Z nich wszystkich Cynthia okazała się najwierniejsza. Trish zdarzało się opuścić sesję z powodu nagłego przypadku w pracy; Donnie ze względu na sponsorowaną przez firmę farmaceutyczną imprezę wyjazdową na Karaibach z Rayem lub koncert jazzowy poza miastem z Timem; Rina nie przychodziła, kiedy Jeremy był chory albo opiekunka się nie zjawiała; Elizabeth zatrzymywał kryzys z Adamem; sama Jen czasem nie stawiała się ze względu na pilny termin albo napad lęku u matki. Ale Cynthii nic nigdy nie powstrzymało. Jen słyszała, jak przyjaciółka zmienia terminy wyjazdów w interesach i konferencji marketingowych, tak by nie kolidowały z ich spotkaniem.

– Nie dziwię się. Ten klub jest dla niej bardzo ważny – stwierdził. – Pewnie ważniejszy niż dla każdej z was.

– Dlaczego? – zapytała Jen. Erie znów pociągnął łyk.

– Może nie zauważyłaś, ale Cynthia nie ma wielu przyjaciółek. Dość dziwne jak na kobietę, która chodziła do żeńskiego college'u. Pewnie to dlatego, że zawsze była tak skupiona na karierze, tak zajęta wspinaniem się po drabinie i zawsze troszkę w obawie, że któryś współpracownik mógłby posmarować szczeble tłuszczem, żeby się pośliznęła. Od początku było dla niej ważne, by dostać się na szczyt, być w pełni niezależną. A Cynthia nie jest osobą ufną. Nikt nie wie tego lepiej niż ja.

Gorycz sprawiła, że słowa uwięzły mu w gardle. Cynthia rzeczywiście mu nie zaufała, własnemu mężowi, ojcu swoich



dzieci.

– Członkinie klubu książki nie stanowią dla niej zagrożenia – ciągnął dalej. – Wszystkie pracujecie w innych zawodach, prowadzicie odmienny tryb życia. Tylko z tobą Cynthia utrzymuje kontakty na stopie zawodowej, ale wie, że nie masz zamiaru ubiegać się o etat w *Nightingale's*, że jesteś neutralna. Ale najważniejsze, że łączy ją z wami pasja czytania, zapominania się w świecie fikcji. Kiedyś myślałem, że zamiast przyjaciół Cynthia ma książki. No wiesz, czyta, jakby była w transie. Na miesiąc miodowy zabraliśmy całe torby książek, a na jej stoliczku nocnym zawsze leży ich sterta.

A kiedy zaprosiłaś ją do klubu, po raz pierwszy zetknęła się z osobami, które dzielą jej obsesję i nie oczekują od niej niczego poza opinią na temat *Anny Kareniny*. Dano jej szansę rozmowy, podzielenia się przemyśleniami. Ona rozumie was wszystkie, a wy rozumiecie ją. Nie potrafię ci powiedzieć, jak zawsze była, jest za to wdzięczna, jak bardzo to sobie ceni. Kiedy podróżowaliśmy, wyszukiwała prezenty dla was, ponieważ Cynthia uważa, że w ten sposób, obdarowując innych, utrzyma ich przywiązanie i może pokazać, jak bardzo jej na nich zależy. – Dotknął krawata, jego palce prześliznęły się po najwyższej jakości jedwabiu. – Wiesz, ile mam krawatów? Spinek do mankietów i różnych drobiazgów od Cynthii? Wszystkie mówią: „Kocham cię. Zależy mi na tobie”.

Jen uświadomiła sobie, że ona właściwie bardzo rzadko dostaje prezenty od lana, choć sama sprawia mu wiele drobnych, pomysłowych upominków. Skórzane etui na kartę miejską, cieniowany bawełniany krawat w kolorach jego ogromnej abstrakcji, którą zakupiło muzeum w Massachusetts, bon do ulubionej kawiarni. I owszem, wszystkie te prezenty mówiły: „Zależy mi na tobie”. Jen starała się nie łączyć tego z miłością. Ale podarunki Cynthii dla Erica z pewnością były wyrazem miłości.

– A więc zależało jej na tobie. Kochała cię. Co się stało, że to się zmieniło? – zapytała ostrożnie.

Erie dopił swoje martini i wpatrywał się w parę przy stoliku

obok: młody mężczyzna i kobieta siedzieli, trzymając się za ręce, ich twarze rozświetlała miłość. Nie odpowiedział; skinął na kelnera i wskazał na swój pusty kieliszek.

– Czy ty też dawałeś jej prezenty? – dążyła Jen. Przyniesiono ich sałatki i oboje zaczęli od niechcienia rozgrzebywać drogą zieleninę. On nabił na widelec anchois, ona kawałek koziego sera.

– Dawałem jej prezenty. Kochałem ją. Zależało mi na niej. Nadal ją kocham. Nadal mi zależy. – Smutek odebrał jego głosowi dźwięczność i barwę.

– Czemu chciałeś się ze mną zobaczyć, Ericu? – zapytała.

– Chcę wiedzieć, jak się ma Cynthia. Jak sobie radzi. Ona nie chce ze mną rozmawiać. Mae też nie. Kiedy spotykam się z dziewczynkami, zawsze jest z nimi ta tępa au pair, przygląda się i słucha.

Oczy mu zabłyśły. Usta zaczęły drżeć. Jen przeraziła się, że lada chwila zacznie płakać.

– Erie, ona pewnie potrzebuje czasu, żeby móc z tobą porozmawiać. Cokolwiek wydarzyło się między wami... to nie może być aż tak straszne.

– Ale jest straszne. Dla niej. To jej określenie. Niewybaczalne. To także jej określenie – powiedział z goryczą. – Ale może ma rację. Może czas dokona jakiegoś cudu. Jednakże na razie muszę wiedzieć, jak się czuje, co czuje.

– Wszystko w porządku, Erie. Naprawdę. – Przypomniała jej się Cynthia, jak mówi cichutko do słuchawki: „A więc kolacja. Świetnie”, jak umawia się z innym mężczyzną na drinka, ostrożnie buduje nowe życie.

Jego twarz sposepniała. Czy chciał usłyszeć, że jest chora, że cierpi?

Jen odwróciła wzrok i przyjrzała się gościom przy pozostałych stolikach. Dwie młode kobiety gawędziły bez troski, a na ich elegancko wymanikiurowanych palcach lśniły diamentowe pierścionki. Trzech rumianych mężczyzn podawało sobie nawzajem przez stół dokumenty. Dobrze ubrana starsza para przeglądała menu; kobieta miała siwe włosy upięte wysoko i

diamentową broszkę przypiętą do szala z błyszczącego materiału. Trzymający się za ręce młodzi ruszyli w kierunku drzwi i, uśmiechnięci, pocałowali się delikatnie na pożegnanie. Ci ludzie kierują swoim życiem wedle własnej woli, zamożni, zadowoleni z siebie. Znaleźli już swoją drogę szczęścia. Jen pomyślała w perwersyjnym przyływie dumy, że te słowa nie opisują jej ani pozostałych członkiń klubu. Ani nawet Cynthii. Dzisiejszej. One są wiecznymi poszukiwaczkami, w drodze, nie u celu, gorliwymi czytelniczkami na tropie finałów, szczęśliwych i nie, zarówno we własnym życiu, jak i w czytanych książkach.

– A ty, Ericu? Jak ty się miewasz? – zapytała. Wzruszył ramionami, po czym rozerwał bułkę i zjadł ją tak nieuważnie, że okruchy przyczepiły mu się do musztardowego krawata.

– Ja? Mam się kiepsko. Oczywiście pracuję, czytam scenariusze, chodzę na spotkania, zachowuję pozory. Udaje mi się być fotografowanym na właściwych przyjęciach, właściwych premierach, i nikt jeszcze nie zauważył, że moja uśmiechnięta, optymistyczna, wspaniała, zorganizowana żona przestała pojawiać się u mojego boku. Nie jestem aż tak ważny, by opisywano mnie w najważniejszych plotkarskich rubrykach. Ale potem wracam do domu, a dom to podnajęte miejsce na Sześćdziesiątej Wschodniej. Nieumeblowane podnajęte miejsce, więc żyję jak student, a płacę jak yuppie. Jestem po czterdziestce, a śpię na łóżku polowym, przechowuję swoje krawaty za sto dolarów każdy w skrzynkach po mleku, a markowe koszule trzymam na kartonie, w którym przyjechał mój telewizor. Kiedy przypomnę sobie, że muszę jeść, wrzucam do mikrofalówki mrożony obiad i czasem piję szkocką prosto z butelki. Tak się właśnie miewam, Jen. – Łzy stoczyły mu się po policzkach. Sięgnął po chusteczkę i wytarł twarz, przecesał jasne włosy palcami. – Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem cię zawstydząć.

– Nie jestem zawstydzona – odparła, chociaż rzeczywiście spuściła wzrok, by nie widzieć jego łez.

Kiedyś, po gwałtownej kłótni między rodzicami (wszystkie ich kłótnie były gwałtowne), Jen zakradła się do kuchni i zobaczyła

ojca, tego drobnego, łysiejącego mężczyznę, ubranego w pasiaste spodnie od piżamy i wyświechtany biały podkoszulek, jak siedzi przy stole i szlocha. Między palcami przeciekały mu łzy, krople krystalicznego smutku. Pomyślała, że gdyby ich dotknęła, mogłyby poparzyć jej palce, gdyby podeszła, by go pocieszyć; wtedy, tak jak i teraz, odczuwała naturalny impuls, by dodawać innym otuchy. Matka podeszła do niej z tyłu i syknęła.

– Widzisz, jaki on jest? Dorosły mężczyzna, a płacze. Widzisz?

Jen rozumiała, że łzy ojca uzasadniały gniew matki, jej wściekłość na to, że poślubiła słabego i niemęskiego człowieka, mężczyznę, który płacze jak dziecko. Dopuszczała do siebie ten sam gniew. Chęć pocieszenia zniknęła, a w jej miejsce pojawiła się pełna złości pogarda. Nie miał prawa. Nie miał prawa.

Popędziła tej nocy do pokoju Elizabeth, a siostra spojrzała na nią znad swojej książki i powiedziała z zimnym spokojem:

– Po prostu po awanturze trzymaj się od nich z daleka. On płacze, a ona wrzeszczy.

Jen próbowała sobie przypomnieć, ile miała wtedy lat – dziesięć, może jedenaście. Pamięta, że tej nocy, skulona w kącie pokoju Elizabeth, czytała *Heidi*. Książki, które pochłaniała, kiedy znajdowała się na emocjonalnym rozdrożu, stawały się punktami orientacyjnymi na mapie jej pamięci. Jen zazdrościła Heidi, szwajcarskiej sierocie, która oczarowała swojego gderliwego dziadka, mimo że ze zmęczonych rozczarowaniami oczu ojca Heidi także potoczyły się łzy, ale wstręt, jaki wtedy wzbudził w niej jej ojciec, jeszcze dziś wytrącał ją z równowagi. Odwróciła wzrok, gdy Ian rozplakał się po tym, jak ważny krytyk zdyskredytował jeden z jego obrazów podczas wystawy w pewnej niewielkiej galerii, a teraz nie chciała spojrzeć na Erica. Silni nie płaczą.

Przypomniała sobie nagle, jak Cynthia patrzyła z chłodną pogardą na młodą asystentkę, która zalała się łzami z powodu błędu, jaki zrobiła w zamówieniu. Zapewne podobnie zareagowałyby na łzy Erica. Ale Jen wiedziała, że przez to nie rozpadają się związki. Co tak naprawdę mogłoby sprawić, że ona i

Ian poszliby swoimi własnymi drogami? Znowu pojawiła się ta niechciana myśl; Jen odsunęła ją na bok i spojrzała na Erica.

– Przecież łatwo możesz to zmienić – odezwała się w końcu. – Możesz sobie kupić porządne meble, ugotować domowy posiłek.

– Nie chcę – powiedział ostro. – Nie chcę kanapy, garnków, patelni, naczyń, sztucców tylko dla siebie. Nie chcę niczego, co by mi mówiło: „To się dzieje naprawdę. Tak to teraz będzie wyglądało”. Chcę odzyskać moje życie.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Twoje życie z Cynthią?

– Moje życie. Mój dom. Moje dzieci. I, tak, moją żonę. Cynthię. Chcę znów mieć to wszystko.

– Czy to możliwe? – zapytała cicho.

– O Boże, nie wiem. Nie wiem.

Jen bała się, że Erie znowu zacznie płakać, ale on zerknął na zegarek, poprosił kelnera o rachunek i wyciągnął kartę kredytową.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytała.

– Możesz wysłuchać. Mnie. Jej. To chyba jedyne, co ktokolwiek może zrobić. W tej chwili. Ale pewnie masz rację – jego głos się trochę ożywił, zabrzmiała w nim nadzieja. – Potrzebujemy czasu, by się z tym uporać. Oboje.

Był teraz bardziej opanowany, energiczny, policzki mu się zaróżowiły. Otworzył swoją dyplomatkę, zerknął na jakiś dokument i zatrzasnął ją z powrotem. Był w drodze do świata swojej pracy. Tak jak Cynthia miał umiejętność oddzielania od siebie różnych sfer, potrafił pracować wydajnie mimo wszelkich emocjonalnych przeciwności. Zapłacił rachunek, zostawił napiwek.

– Posłuchaj, Jen, bądźmy w kontakcie. To dla mnie ważne. – Znowu ta przytłumiona prośba w jego głosie ścisnęła ją za serce.

– Tak – skinęła głową. – Będziemy w kontakcie.

– Jestem już spóźniony. – Pocałował ją w policzek, po czym ruszył pośpiesznie do wyjścia, przystojny mężczyzna w kosztownym odzieniu, w drodze na ważne spotkanie. Kiedy na niego patrzyła, przypomniawszy jej się postać Jamesa Harrisa w

opowiadaniach Shirley Jackson, enigmatycznego jasnowłosego mężczyzny, który pojawia się i znika ze smutnego życia przypominających zjawy bohaterów Jackson.

Posiedziała jeszcze kilka minut nad kawą, która tymczasem wystygła i jakoś zgorzkniała. Potem sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do Donny.

– Właśnie zjadłam lunch z Erikiem – powiedziała.

– Czego chciał? – Zadała to zwięzłe pytanie tak szybko, jakby chciała stłumić ciekawość odpowiedzi.

– Nie wiem – odparła Jen. – Naprawdę nie wiem. – Szybko zmieniła temat. – Chciałabym zrobić na nasze spotkanie duszoną cielęcinę. Mogłabyś przesłać mi mej lem jakiś dobry przepis?

– Oczywiście. Mam świetny przepis na cielęcinę w papryce, pomidorach i winie.

– Brzmi wspaniale.

Obie westchnęły z ulgą, że znalazły się na bezpieczniejszym terytorium. Lepiej było rozmawiać o jedzeniu i książkach, wymieniać się swobodnymi komentarzami na temat filmów, które widziały, przyjęć, w których uczestniczyły, niż tworzyć kolejne wersje podejrzeń, które traciły na znaczeniu od ciągłego powtarzania. A tym groziło dalsze omawianie sprawy Cynthii i Erica. Tak jak podróżnicy mający wyruszyć na wyprawę starają się unikać wiadomości o wypadkach i katastrofach, one walczyły z przemożną ciekawością w kwestii rozpadu ich małżeństwa.

Jen rozłączyła się i zobaczyła, że Erie zostawił na stole chusteczkę. Zgarnęła wilgotny kawałek materiału i wrzuciła do torby, jakby chciała zatrzeć ślady jego słabości.

Kiedy kilka dni przed wyznaczoną datą zebrania klubu Jen przypomniała Ianowi, że będzie musiał przesunąć sztalugę, żeby zrobić miejsce na wieszak, był niezadowolony, choć kilka tygodni temu mówiła mu, że grudniowe spotkanie odbędzie się właśnie u nich. Do jego irytacji przyczynił się także fakt, że Elizabeth zadzwoniła i oświadczyła, że zamierza odwiedzić ich tego wieczoru, co wydało mu się życzeniem dość dziwnym. Czas rzecz jasna dogodny dla Elizabeth i wybrany z obojętnością dla

wszelkich planów, jakie mogliby mieć Jen i Ian.

– Nienawidzę przesuwac sztalugi – stwierdził Ian ze złością. – Kiedy ustawiam ją z powrotem, nie mogę uchwycić dobrego światła. A jestem w decydującym punkcie pracy nad tym obrazem. Wiesz o tym. Dlaczego spotkanie musi się odbywać tutaj?

– Ponieważ to moja kolej – wyjaśniła cierpliwie. – Każda z nas po kolei przygotowuje spotkanie. Wiesz o tym.

Nie przypomniiała mu, że podniósł taki sam sprzeciw rok temu i jeszcze rok wcześniej, a ona zawsze dawała mu to samo wyjaśnienie. Mieszkali ze sobą już prawie trzy lata, ale jego wciąż zdumiewał i irytował każdy aspekt jej życia, który zakłócał jego wygodę.

– A co ja mam niby robić, kiedy wy będziecie wymieniać się spostrzeżeniami na temat jakiegoś tam autora miesiąca.

– Shirley Jackson. Ona jest autorką miesiąca, jak to określiłeś. Rób coś, na co masz ochotę, Ian. Idź do kina, na kawę.

W głosie Jen zabrzmiała nietypowa dla niej irytacja. Kusiło ją, by przypomnieć mu, że to ona wynajmuje loft, ona płaci rachunki, podczas gdy większość miejsca zajmuje jego praca – płótna oparte pod ścianą, sztaluga, a czasem nawet dwie, rozstawione przy wielkich oknach, opromienione światłem w ciągu dnia, spowite ciemnością w nocy. Ale opanowała się. W końcu taki mieli układ, który wytworzył się jakoś zaledwie kilka tygodni po tym, jak się poznali, kiedy siedzieli obok siebie na futonie, a duża dłoń lana spoczywała na głowie Jen, jakby miał ją ukoronować swoją czułością.

Spotkali się podczas warsztatów z rysunku z natury, pracowali obok siebie, podczas gdy nagi model, drżący stary człowiek z pojedynczymi siwymi włosami sterczącymi z różowego skalpu niczym kawałki drutu, kucał przed nimi w niewygodnej pozie. Jen rysowała węglem; próba uchwycenia kształtu czaszki i wyrazu twarzy mężczyzny była dla niej prawdziwą męką, a ukończony rysunek okazał się tak nieczysty i dziwaczny, że podarła go, zanim prowadzący zajęcia zdążył się przy niej zatrzymać. Dwie sztalugi

dalej Ian pracował szybko, a jego jastrzębia twarz zastygła w wyrazie pełnego skupienia wysiłku. Używał akwareli, bo, jak powiedział później Jen, farby olejne są tak drogie, że zachowywał je na poważne prace, nie marnował na studyjne. Ukończony obraz był płynny, tragizm postaci starszego mężczyzny znalazł odbicie w bladej, żalobnej powłoce farby. Jen przez tę godzinę czuła obecność lana, rozbawiona odrobiną zielonej farby w marchewkowych włosach, wdychała z przyjemnością atmosferę gorączkowego przejęcia i podziwiała jego pracę; rozpoznała w nim talent. Uznała, że ma to, co jej ulubiony profesor Andrew West nazywał „prawdziwym darem”, a co Ian określał jako „prawdziwą pracę”. To właśnie Andrew West przeanalizował z powagą jej portfolio, kiedy kończyła studia, i powiedział, że ma talent, ale rozsądnie byłoby w dalszym rozwoju ukierunkować się na grafikę. Andrew West nie zasugerowałby czegoś takiego Ianowi. Tego pierwszego wieczoru Jen podeszła do sztalugi lana, przyjrzała się jego pracy i nieśmiało pokiwała głową z podziwem.

Nie była zaskoczona, kiedy po zajęciach zaproponował kawę ani kiedy zaprosił modela, by się do nich przyłączył. Jego uprzejmość wobec starszego mężczyzny (który odrzucił propozycję z wielką godnością) ucieszyła ją, tak jak i delikatny pocałunek, którym musnął jej policzek, gdy rozstawali się pod drzwiami mieszkania Jen. Trzy tygodnie później byli kochankami. Dwa miesiące później Ian wprowadził się do jej loftu i postawił swoją sztalugę przed wielkim oknem wychodzącym na rzekę. Ten układ odpowiadał im obojgu, przynajmniej na ogół. Jen wiedziała, że ich związek działa, ponieważ ona zadowala lana, kiedy tylko może. W końcu jest przyzwyczajona do zadowalania innych, dobrze przeszkolona w ugłaskiwaniu. Ale w kwestii klubu książki nie ustępowała. Było to dla niej zbyt ważne.

– Wychodzę – oświadczył Ian ze złością, zarzucił na siebie płaszcz i zaczął grzebać w szufladzie w poszukiwaniu szalika. – Masz rację. Zawsze mogę pójść do kawiarni albo do kina. A właśnie dzisiaj jest otwarcie nowej wystawy. Prace Eriki Manning. Może tam wpadnę.



Rozpoznała nazwisko. Młoda artystka, która niedawno przyjechała z Londynu. Ładna. Utalentowana. Czyżby to było ostrzeżenie? Nie. To nie w jego stylu.

– Wolę się wynieść, skoro przychodzi twoja cholerna siostra – ciągnął dalej. – Czego ona chce?

– Nie wiem – przyznała Jen. Pytanie Iana nie było niedorzeczne. Wizyta w środku tygodnia, kiedy Elizabeth pracuje do późna jako nadzorująca program poradnictwa w jej szkole i konsultantka w małej szkole prywatnej, była nietypowym zdarzeniem. Bardzo prawdopodobne, że jej siostra rzeczywiście czegoś chce.

Wyciągnęła do niego rękę z rękawiczkami i wełnianym beretem, który kupiła mu kilka dni temu. Gest pojednania. Stała na palcach, tak by mógł pochylić się i pocałować ją, co było ich rytuałem pożegnalnym, ale Ian ją zignorował, a w jego oczach wciąż widoczny był wyraz niezadowolenia. Wychodząc, trzasnął drzwiami, chcąc ją ukarać, a ona zadrżała. Jak zawsze, wszelki objaw gniewu, choćby łagodny, budził w niej przerażenie.

Kilka minut później odezwał się dzwonek. Jen westchnęła i wpuściła Elizabeth.

– Co się dzieje z Ianem? – zapytała. – Minał mnie pędem w drzwiach, ledwo się przywitał.

Jen wzięła od siostry długi ciemny płaszcz, włożyła koralowy wełniany szal do rękawa i przytrzymała ubranie, podczas gdy Elizabeth, która niezwykle dba o wszystkie swoje rzeczy, wsunęła dobrane pod kolor rękawiczki i beret do kieszeni. Jen dała ten komplet Elizabeth, po tym jak ukończyła fantazyjny rysunek do katalogu zimowych dodatków *Nightingale's*, gdzie szalik służył za skakankę, a rękawiczki i beret skakały na niej radośnie. Cynthii ogromnie podobała się ta kompozycja i umieściła ją na okładce, a Elizabeth podziękowała Jen na swój powściągliwy sposób. Potrzebowała czapki, potrzebowała szalika. Oczywiście nie omieszkała dodać, że koral nie jest kolorem, który sama by wybrała.

– Och, Ian żyje teraz w napięciu. Stara się zebrać tyle prac, by

starczyło na jego indywidualną wystawę. Pracuje po nocach, w technice impastu, która pozwala wydobyć efekty światła.

Dlaczego opowiada o tym Elizabeth, która nie wie zupełnie nic o malarstwie i wcale jej to nie obchodzi? Przerwała w pół zdania.

– Niemniej wytrąciło go z równowagi, kiedy powiedziałam mu, że w przyszłym tygodniu odbywa się tu spotkanie klubu.

– Wytrąciło go z równowagi? – zdziwiła się cierpko Elizabeth i pochyliła się, żeby zdjąć buty. Przeszła długą drogę od metra i będzie musiała nią wrócić, chyba że Bert zechciałby ją odebrać, co, jak Jen wiedziała, nie nastąpi. – Nie przyszło mi do głowy, że to twój loft, że ty płacisz rachunki i to daje ci pewne prawa? – Zaczęła chuchać na swoje palce zaczerwienione od zimna mimo rękawiczek.

– Posłuchaj, Elizabeth, mój układ z łanem to tylko i wyłącznie moja sprawa – powiedziała cicho Jen. – Wierzę w jego talent. Dobrze nam razem. On daje mi to, czego potrzebuję.

– A tak się składa, że to nie obejmuje czeku pod koniec miesiąca. Ani ślubu.

W sarkastycznych słowach siostry Jen usłyszała skrzeczący głos matki rozbrzmiewający w korytarzach ich domu i rozlegający się w odpowiedzi stek inwektyw ojca.

– Znam ważniejsze rzeczy – odparła cicho.

Nie zamierzała wyliczać ich siostrze. Życie z łanem nie było emocjonalną huśtawką, gdzie po jednej stronie znajduje się jego młodzińcze przywiązanie, delikatność dotyku i głosu, a po drugiej jej chęć podzielenia się swoją przestrzenią, zapłacenia rachunków, radzenia sobie ze sporadycznymi niemądrymi wyskokami ukochanego. Dla niej liczyła się ich wspólnota, jego czułe przywiązanie. Potrafiła mu się postawić, kiedy zaszła taka konieczność, jak tego wieczoru. Widziała też, że stara się dać jej oparcie, widziała wytrwałość w pracy; to było coś nowego, co może poprawić jakość życia ich obojga. Zależy jej na nim. Jemu zależy na niej. Tylko to się liczy. Poradzą sobie ze wszystkim. Już sobie radzą. Chrzanić krytyczne nastawienie Elizabeth, jej ciągłe żądania równowagi. Czy w jej małżeństwie z Bertem panuje

równowaga? Ale oczywiście nie zadałaby siostrze tego pytania. Jaki by to miało sens?

Podeszła do aneksu kuchennego, podgrzała czajnik z kawą, położyła ser i bagietkę na długim blacie, który służył im za stół, i czekała, aż Elizabeth skończy wiązać swoje jasnobrązowe włosy w surowy kok. W końcu usiadły obok siebie na wysokich stołkach; Elizabeth jak zawsze z prostymi plecami, a Jen, bosa i rozczochrana, z nogami podwiniętymi pod siebie. Czekala na nieunikniony początek rozmowy, kiedy to Elizabeth zacznie mówić o matce. Uśmiechnęła się, kiedy siostra potwierdziła, że się nie myli.

– W zeszły weekend byliśmy z Bertem w domu spokojnej starości, by się z nią zobaczyć – powiedziała Elizabeth. – Wygląda na to, że wszystko u niej w porządku.

– Wiem. Byłam tam wczoraj. Nie powiem, żeby była szczególnie przyjemna czy wyjątkowo sprawna umysłowo, ale to żadna nowość.

Jen ukroiła sobie kawałek sera i zaczęła się zastanawiać, dlaczego zawsze obie z siostrą, mówiąc o matce, używają zaimka. Przypuszczała, że to sposób dystansowania się od niej, maskowania niejednoznacznych uczuć wobec tej starej kobiety, matki, której niestabilności uczuć boleśnie doświadczały obie w dzieciństwie. „Jak uważasz, dlaczego oni w ogóle mają dzieci?“, zapytała kiedyś Jen Elizabeth. „Może dlatego, że inaczej nie mogliby ze sobą wytrzymać“, odparła z goryczą Elizabeth.

Jen przypomniła sobie te słowa, tak zjadliwie trafne, kiedy opowiadała siostrze o swojej ostatniej wizycie u matki, bolesnej, bezsensownie zmarnowanej godzinie.

– Wydaje się najszcześliwsza, kiedy jest z tą okropną opiekunką Fanią. Grubą Rosjanką o nieświeżym oddechu. Chętnie dałabym jej podwyżkę, gdybym wiedziała, że wyda ją na płyn do ust. Albo może powinniśmy kupić go jej i podarować na urodziny.

Czekała, aż Elizabeth roześmieje się na znak zgody. Od dzieciństwa rozumiały i doceniały nawzajem swoje złośliwe

komentarze. Czasem Jen myślała, że cierpki i zjadliwy humor oraz uzależnienie od książek to jedyne, co mają ze sobą wspólnego. Nie uwzględniała jako wspólnej cechy tej dziwacznej mieszaniny miłości i zazdrości, milczącego gniewu i pielęgnowanej niechęci, konglomeratu wspomnień z dzieciństwa rodem z *Rashomonu*, które ciążyą nad ich wzajemnymi uczuciami.

Ale Elizabeth się nie roześmiała. Zamieszała swoją kawę bez mleka i bez cukru.

– Właściwie to chciałam z tobą porozmawiać właśnie o opiekunkach – odezwała się. – Mamy Fanie pięć dni w tygodniu i tę Filipinkę Elenę w weekendy. Rozmawialiśmy o tym z Bertem. To nas kosztuje sporo pieniędzy.

– No, ale przecież dzielimy się wydatkami – odparła Jen. – Płacę połowę. Wiesz, że ona ich potrzebuje. Już to przerabialiśmy. Ośrodek zatrudnia szcątkową liczbę pracowników. Opiekunki muszą być, żeby pilnować posiłków o właściwych porach, czystości, spacerów. Ubezpieczenie nie pokrywa takich wydatków.

– Nie stać nas na to – oznajmiła chłodno Elizabeth. – My po prostu nie mamy tych pieniędzy. Chcemy włączyć Adama do nowego programu. Coś, co nazywa się uwarunkowaniem społecznym. Indywidualne zajęcia z dziećmi autystycznymi. Powinniśmy wynająć specjalnych terapeutów nazywanych cieniami, którzy będą pracować z nim codziennie po kilka godzin. Tę metodę zaczęto stosować w Kalifornii i tam się sprawdza. Jest bardzo droga, ale jeśli zaoszczędzimy na innych wydatkach, powinniśmy się jakoś wyrobić.

– I chcecie zaoszczędzić właśnie na opiekunkach? – zapytała Jen.

– Inaczej po prostu sobie nie poradzimy. To nawet jest nie fair z twojej strony, żeby nas o to prosić. Musimy myśleć o Adamie. Ty nie masz takich obowiązków. – Usiadła jeszcze prościej, jej twarz zastygła w maskę wyrażającą buntowniczy upór: zaciśnięte wąskie usta, zimne spojrzenie.

– Adam ma dziewięć lat. Myślicie o nim od dziewięciu lat.

Terapeuci. Rehabilitanci. Ośrodek. A teraz to „uwarunkowanie społeczne”. Naprawdę myślisz, że to zadziała, Elizabeth? – Mówiła cicho, jakby ton mógł złagodzić ostrość jej słów.

– Musimy spróbować.

– A jeśli ta terapia nie skutkuje, zaczniecie znowu dokładać się do kosztów opiekunek?

Jen chwyciła się teraz wszelkich sposobów. Już samo jej pytanie oznaczało zgodę, ale poradziłaby sobie, gdyby Elizabeth wycofywała się tymczasowo, a zakładała, że tak właśnie jest. Żaden inny program nie okazał się skuteczny. Siostrzeniec Jen, piękny ciemnooki Adam o długich, delikatnych palcach, tak bardzo podobnych do jej palców, i jasnym wysokim czole, należy do dzieci głęboko upośledzonych, dla których nie ma praktycznie żadnej nadziei. Powiedział jej to pracownik opieki społecznej w ośrodku, w którym Adam przebywa, i zasugerował, że powinna spróbować przekonać Elizabeth do zaakceptowania tej smutnej prawdy. Jen nie podjęła takiej próby. Wiedziała, że jest bezsilna wobec niezmożonej determinacji siostry.

– Nie. Jeśli ten program nie przyniesie rezultatów, będziemy musieli pomyśleć o przyszłości Adama. Co się stanie, gdy będzie już za duży na ośrodek dla dzieci. A to będzie kosztowało jeszcze więcej niż suma, jaką płacimy teraz. Bert twierdzi, że musimy zacząć na to oszczędzać i nie mogę się z nim nie zgodzić.

Jen skinęła głową. Kłótnie z Bertem kończyły się wybuchami złości, okrutnymi słowami. Co za ironia, że Elizabeth uciekła przed naładowaną gniewem atmosferą ich dzieciństwa w jeszcze bardziej nasycone gniewem małżeństwo.

„Muszę się stąd wydostać”, zwierzyła się jej Elizabeth tego wieczoru, kiedy ogłosiła swoje zaręczyny, wieczoru, który zapisał się trzaskaniem drzwiami, podniesionymi głosami, łzami i porzbijanymi naczyniami.

A potem usiłowała uciec z tego małżeństwa. Zostawiła Berta, kiedy była w ciąży, szukała schronienia przed jego napadami furii w domu rodziców mimo panującej w nim tak nieprzyjaznej atmosfery. Opowiadała Jen, że zorganizuje życie sobie i

nienarodzonemu dziecku. Miała zawód, pracę na etacie. Po urodzeniu dziecka zamierzała zatrudnić opiekunkę, znaleźć mieszkanie. Miała nie dać się już nigdy osaczyć. Wszystko to zdawało się wykonalne, dopóki nie stało się jasne, że Adam nie śmieje się ani nie gaworzy, a nawet nie płacze jak inne dzieci, nie bawi się zabawkami ani nie patrzy w oczy zatroskanym dorosłym pochylonym nad łóżeczkiem, w którym leżał bez ruchu godzinami, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Diagnoza nie pozostawiała wątpliwości i wkrótce potem Elizabeth i Bert się pogodzili. Żadne z nich nie mogło poradzić sobie z Adamem samo. On był ich podopiecznym, a oni jego więźniami, związanymi ze sobą w równym stopniu odpowiedzialnością i niechęcią. Jen patrzyła, jak Elizabeth racjonalizuje swoje położenie, ucieka w pełne goryczy przekonanie o własnej nieomyślności typowe dla wiecznej ofiary. Elizabeth mówiła krótkimi zdaniami, siedziała wyprostowana, marszczyła brwi, gdy ktoś przekraczał jej zasady. Poświęciła swoje życie, a teraz osądza życie innych. Od wstąpienia do klubu zdążyła powiedzieć Jen, że uważa Rinę za zbyt nieuważną, Trish za zbyt lekkomyślną, Donnę za zbyt swobodną, a Cynthię za zbyt rozrzutną. Jen westchnęła i dołała siostrze kawy.

– Słuchaj, Elizabeth – powiedziała. – Wiem, że jest ci ciężko. Ale nie stać mnie na to, żeby udźwignąć ten ciężar sama. Najzwyczajniej w świecie nie mam tak dużych dochodów.

– Miałabyś, gdyby Ian przyłożył się do pracy. Gdyby dokładał się do wydatków.

– Już ci mówiłam. To nie twoja sprawa.

– Ależ moja. Sama widzisz, że to mnie dotyka. Poza tym jesteś moją siostrą. Nie podoba mi się to, co się dzieje.

– A co się dzieje? – Jen starała się mówić spokojnie.

– Nie stajesz się młodsza. Twój biologiczny zegar tyka. Za pięć czy sześć lat przekroczysz czterdziestkę. A nic nie słyhać o małżeństwie, o dzieciach. Gdybyście się pobrali, mieli dzieci, twoje życie byłoby lepiej zabezpieczone, Ian zrozumiałby swoje obowiązki.

– Uważasz więc za pewnik, że małżeństwo i dzieci oznaczają większe poczucie bezpieczeństwa. Ale to się nie sprawdziło u Erica i Cynthii, prawda?

Powstrzymała się przed użyciem jako przykładu małżeństwa samej Elizabeth.

– Cynthia. Erie. Oni nie są typową parą. Oni nie prowadzą takiego życia, jakie my znamy. Są jak postacie z bajki. Mogliby równie dobrze pochodzić z innej planety. Ich córki byłyby pięknymi księżniczkami. Ich dom wspaniałym zamkiem. Lataliby srebrnymi samolotami, pływali po najbłękitniejszych morzach i uśmiechałyby się, uśmiechali i uśmiechali coraz więcej.

Elizabeth mówiła śpiewnym tonem, w którym Jen rozpoznała rytm wysokiego monotonnego głosu Adama. Czyżby autyzm był zaraźliwy? Czy opiekunowie przejmują osobliwe cechy swoich podopiecznych? Pomyślała o tym, jak Fania małpuje jęklive monosylabiczne zdania matki, po czym skarciła się za złośliwość.

– Ale nie żyli długo i szczęśliwie – stwierdziła, uciszając w ten sposób siostrę. – Dlaczego nie żyli długo i szczęśliwie? Czy kiedykolwiek się tego dowiemy?

– A co ważniejsze – powiedziała Elizabeth w przyływie tej błyskotliwej szczerości, którą tak podziwiała u niej przyjaciółki – dlaczego my tak bardzo chcemy to wiedzieć, dlaczego jest to dla nas tak ważne?

Jen przypuszczała, że nad tym pytaniem zastanawiała się każda z nich.

Nie odpowiedziała. Zsunęła się ze stołka i podeszła do swojego biurka. Szybkim ruchem przekartkowała swoją książeczkę czekową.

– Słuchaj, Elizabeth – zwróciła się do siostry. – Mogę płacić całą sumę przez kilka miesięcy. Dostałam niewielkie zamówienie od pewnej agencji reklamowej, więc pewnie mogłabym się na to zgodzić. Jeśli wystawa lana się uda, może to dla niego oznaczać sprzedaże i zamówienia – może i jedno, i drugie. Więc zgodzę się na kilka miesięcy, a potem zobaczymy.

– Doceniam to – te słowa wyrażające wdzięczność zostały

wypowiedziane zbyt cicho, jakby Elizabeth wydarła je z głębin swojego oporu. Jen poczuła, że odniosła małe zwycięstwo. Uległa żądaniu Elizabeth, ale nie bezwarunkowo.

– Jak ci się podoba Shirley Jackson? – zapytała. Chciała zakończyć temat matki i uniknąć dalszej rozmowy o Adamie.

– Zależy, o której Shirley Jackson mówisz – odparła Elizabeth.  
– Pochmurnej, posępnej pisarce, autorce prozy czy pogodnej żartobliwej narratorce rodzinnych opowieści?

– Pochmurna jest zdecydowanie zbyt pochmurna – stwierdziła Jen.

– A pogodna zdecydowanie zbyt pogodna.

Obie zaśmiały się głośno, zadowolone, że doszły do porozumienia w jakiejś kwestii, że znowu znalazły się w bezpiecznym porcie, jaki stanowi literatura, ich wieczne schronienie, nieustanna radość.

Elizabeth wyszła, a Ian wrócił za godzinę. Objął Jen swoimi silnymi ramionami, przepaszając bez słów, przycisnął zimny policzek do jej twarzy i czule wdmuchnął do ucha ciepłe powietrze.

– Nie byłem na otwarciu wystawy Eriki – powiedział cicho.

Następnego ranka, kiedy pierwsze mleczne promienie wstającego słońca wlały się do pokoju przez niezastłonięte okno, a Ian wciąż spał, Jen podeszła do biurka i otworzyła swój szkicownik. Drugi panel szybko zaludniły nowo przybyłe na rynek postaci: drobny młody mężczyzna w za dużym garniturze, zbyt chuda, sztywno wyprostowana kobieta z włosami związanymi w surowy kok (dość podobna do Elizabeth, pomyślała Jen podczas rysowania) i malutka psotna figurka z kręconymi włosami (dość podobna do niej samej, przyznała), ukryta za dużym drzewem. Zadowolona, zamknęła szkicownik, właśnie kiedy Ian się budził i nim zdążył zapytać, nad czym pracuje. Spokojnie skończy komiks przed spotkaniem klubu.

Wczesnym popołudniem Jen szykowała duszoną cielecinę na wieczór. Pracowała cicho, by nie przeszkadzać Ianowi, który



malował od świtu szybkimi i dynamicznymi ruchami pędzla. Od czasu do czasu zerkała przez okno na powoli ciemniejące niebo. Zapowiadano śnieg i martwiła się, że silne opady mogłyby zatrzymać którąś przyjaciółkę. Rina będzie – zadzwoniła do Jen, by upewnić ją, że załatwiła opiekę sąsiadki dla Jeremy'ego. To typowe dla egocentrycznej Riny, pomyślała Jen trochę zdziwiona swoim zdenerwowaniem, zakłada, że wszyscy chcą wiedzieć, jak organizuje sobie życie codzienne. Natomiast obecność Trish zależała od tego, czy Jason wróci dość wcześnie, by położyć Mandy do łóżka.

– Staramy się godzić swoje harmonogramy – stwierdziła Trish.  
– Kiedy o tym nie rozmawialiśmy, wiele rzeczy nam umykało i Jason się wściekał, że wzięłam na siebie za dużo zobowiązań, a ja uważałam, że on o mnie nie myśli, kiedy umawia się na wyjazdy zawodowe i konferencje. Teraz uzgadniamy swoje zajęcia, żeby unikać sporów.

Jen zdawało się, że z powodu Cynthii i Erica wszystkie zaczęły postępować z większą rozwagą. Przypominały kierowców, którzy zwalniają po tym, jak stali się świadkami wypadku. Między nią i Ianem od wizyty Elizabeth też panowała harmonia.

Ian skończył pracę i cofnął się, by przeanalizować owoc porannych wysiłków, podczas gdy Jen dołała wina do gotującego się wolno mięsa.

– Co o tym sądzisz, Jen? – zapytał.

Jen przeszła przez pokój i przyjrzała się płótnu. Gwiazdy lśniły jak cekiny na nocnym niebie, ciemność przechodziła szerokimi pasmami od kruczej czerni do czarnego granatu, który Ian kupił w malutkich tubkach od sprzedawcy w Chinatown. Największą gwiazdę niemal zakrywała pojedyncza perłowa chmura w kształcie pięści.

– Jest wspaniały – powiedziała szczerze.

– Prawie skończyłem. Będzie gotowy przed otwarciem wystawy. Jestem tego prawie pewny.

Wrzucił pędzle do terpentyny, oczyścił paletę. Bardzo ostrożnie przesunął sztalugę za parawan z papieru ryżowego, który Jen

kupiła, kiedy się wprowadził, a którego rzadko używał.

Była mu wdzięczna, że teraz sobie o nim przypomniał. Stała na palcach i starła mu smugę srebrnej farby z brody.

– Będę się zbierał – powiedział.

– Ale dziewczyny przyjdą dopiero za kilka godzin.

– Chcę wpaść do Maestrato Gallery i pogadać z właścicielem. A potem chyba trochę czasu zajmie mi League. Obiecałem Patrickowi, że zastąpię go dzisiaj na wieczornych zajęciach. Przydadzą nam się pieniądze.

– Owszem, przydadzą się – odparła z wdzięcznością.

Poczuła się pewniej, Ian się starał; powoli się zmieniał.

Powiedziała mu już o prośbie Elizabeth oraz własnej zgodzie, przypuszczała, że to go zdenerwuje, ale on zareagował spokojnie i przyjaźnie, a nawet zaofiarował się, że w miarę możliwości zacznie dokładać się do wydatków. I właśnie to robił. Widać więc, że tak jak Trish i Jason, świadomie starali się żyć bardziej zgodnie.

Ian pochylił się i pocałował ją w nos.

– Wrócę niezbyt późno – powiedział. – I nie za wcześnie.

– Tak czy owak – zapewniła go – ja tu będę.

– Liczę na to – zmierzwił jej włosy i energicznie zamknął za sobą ciężkie drzwi, po czym poczekał na klatce, aż usłyszy dźwięk przesuwanej zasuwy. Jen uwielbiała ten krótki moment niepokoju, przepelnionej miłością ostrożności, kiedy czuła się kochana i chroniona.

Dodała przypraw do potrawy i zamieszała ją, przebrała się w wygodny kombinezon jednoczęściowy i podeszła biurka. Przez godzinę pracowała bez entuzjazmu nad grafiką dla agencji reklamowej. Dyrektor artystyczny oświadczył, że w nowej reklamie napoju cytrusowego chcą karykatury. Jen zrobiła serię szkiców, po czym je podarła. Zdała sobie sprawę, że praca z Cynthią ją rozpuściła, bo przyjaciółka zawsze dokładnie wie, czego chce w każdym projekcie. Jen westchnęła i narysowała szlochającą pomarańczę, roześmianą cytrynę, rozżłoszczonego grejpfruta. Wyrzuciła wszystko, spojrzała na kartkę z poradami

dla autorów tekstów reklamowych i narysowała wszystkie trzy owoce trzymające się za ręce i tańczące w kółku. To będzie pasować. Wybrała czcionkę do logo, a potem, dość zadowolona, wróciła do swojej komiksowej wersji *Loterii*. Pracowała z zapalem i kiedy zaczęło się ściemniać, miała już skończone wszystkie panele; przykleiła je bardzo ostrożnie i dwa scenorysy umieściła na wolnej sztaludze lana.

Zastanawiała się, czy jest to pierwsza próba zilustrowania *Loterii*, i przez chwilę martwiła się, jak przyjaciółki na nią zareagują. Jej rysunki oddawały atmosferę opowiadania Jackson o małym miasteczku, gdzie raz do roku w drodze losowania wybierano kozła ofiarnego – zwykłego przyzwoitego obywatela – który miał zostać ukamienowany przez swoich sąsiadów, również zwykłych i przyzwoitych obywateli. W historii Jackson ofiarą była Tessie Hutchinson, łagodna żona i matka. Jen przyjrzała się krytycznie swojej pracy, przyciemniła stertę kamieni na jednym rysunku, dorysowała kratkę na fartuchu Tessie. Jackson nie opisała tego fartucha, ale Jen czuła, że byłaby zadowolona. W końcu była pisarką, która w swoich oszczędnych, lecz sugestywnych zdaniach opiera się na wizualizacji. Autorka opisująca kropki na nowej podłodze z linoleum w kuchni w *Oswajaniu demonów* nie miałaby nic przeciw temu, żeby jej skazana bohaterka miała na sobie fartuch w kratkę. Jen odwróciła sztalugę i zabrała się do szykowania sałatki.

Kiedy mieszała sos, zadzwonił telefon. To była Rina, starała się mówić tak, by było ją słychać pośród panującego wokół niej hałasu i śmiechu.

– Jestem jeszcze w college’u. Musiałam zastąpić jednego profesora i poprowadzić zajęcia. Mój plan opieki nie wypalił, więc muszę zawieźć Jeremy’ego do Cynthii. Powiedziała, że nie ma problemu. To znaczy, że trochę się spóźnię. Och, co za dzień, jeden z tych, kiedy wszystko idzie źle. No, ale kiedy idzie dobrze? – Zaśmiała się szorstko, pogodzona z nieuchronnością jej pecha.

– Podrzucasz Jeremy’ego do Cynthii? – zapytała zaskoczona Jen.

– Tak. Czemu nie? Zna dziewczynki. Chodzą razem na pozaszkolne zajęcia artystyczne w YMCA. Myślałam, by zwrócić się do Trish, ale doszłam do wniosku, że Jason nie byłby zachwycony, a Cynthia ma Mae i au pair, i powiedziała, że nie będą miały nic przeciwko temu. Zresztą pewnie by się nie przejęła, gdyby miały. Tak czy owak, spóźnię się.

Oczywiście, że Cynthia by się nie przejęła, tak jak nie przejmowała się, kiedy ich spotkania przedłużały się o ładnych parę godzin. Płaci swoim pracownikom dobrze, ale w zamian stawia im naprawdę wysokie wymagania. Może od Erica też oczekiwała zbyt wiele, więcej, niż był w stanie jej dać? Czy potraktowałyby męża tak, jak traktowała podwładnych? Co dziwne, to pytanie wcale nie wydawało się absurdalne.

Jen odłożyła słuchawkę i zobaczyła, że zaczął padać śnieg. Malutkie gwiazdki przyklejały się do szyby, a wiatr włóczęga unosił je w tańcu ku rzece. Zadzwoił dzwonek i otworzyła drzwi. Donna, z gołą głową, o zaczerwienionej od wiatru twarzy, wcisnęła jej w ręce przykrytą tacę z ciastem.

– Szarlotka – powiedziała. – Kiedy pada pierwszy śnieg, ciepła szarlotka jest niezbędna.

– Shirley Jackson nie znosiłaby kobiety, która mówiłaby tak jak ty – zauważyła Jen, niosąc ciasto do aneksu kuchennego.

– Shirley Jackson pewnie nie znosiłaby nas wszystkich. Może wyjąwszy Rinę.

– Rinę? Dlaczego Rinę? – zdziwiła się Jen.

– Ponieważ Rina bardzo przypomina bohaterki jej historii. Niezorganizowana, bezradna, wiecznie bez pieniędzy, nieustannie o tym rozprawia, bez przerwy wymyśla się na nowo. Ale jest też dobrą matką, tak jak Jackson.

– Jeśli wierzyć *Życiu wśród dzikusów* i *Oswajaniu demonów*, a ja, szczerze mówiąc, nie wierzę – odparła Jen.

– To powinno być ciekawe spotkanie. Aha, Trish może się spóźnić. Miała dyżur w izbie przyjęć i przywieziono pacjentkę w ciężkim stanie.

– A Rina na pewno się spóźni. Musi zawieźć Jeremy'ego do

Cynthii.

Ale Trish i Rina przyjechały razem, niemal o czasie, a kilka minut później pojawiła się Elizabeth i wręczyła Jen butelkę bardzo dobrego wina. Jen, która zabrała się do rozstawiania kieliszków, a następnie wrzuciła makaron do wrzątku, pomyślała, że to prezent z poczucia winy. Ucieszyło ją, że siostra przynajmniej ma świadomość, jakim obarczyła ją ciężarem. Ton Elizabeth zbyt często bywał oskarżycielski, jak w ich dzieciństwie. „Odwiedziłaś ją w tym tygodniu? Rozmawiałaś z biurem ośrodka o ostatnim rachunku? Miałaś zadzwonić i dać mi znać”.

Gotująca się potrawa pięknie pachniała; Jen zmniejszyła ogień. Według przepisu Donny mięso powinno się upiec, ale oni nie mieli piekarnika. Zamierzali kupić, kiedy Ian sprzeda swój następny obraz, ale plan pozostawał aktualnie w zawieszeniu.

Ponownie zadzwonił dzwonek i Rina otworzyła drzwi Cynthii, w eleganckiej futrzanej pelerynce z kapturem i wysokich czarnych butach.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała zdyszczym głosem.  
– Musiałam wyskoczyć z kimś na drinka.

Przyjaciółki spojrzały po sobie znacząco. Z kimś. Z mężczyzną. Oczywiście, że z mężczyzną.

Cynthia zrzuciła pelerynkę i przyjaciółki zobaczyły, że ma na sobie czarną wydekolowaną kaszmirową suknię, z szerokim dołem i obcisłą górą. Na pewno z mężczyzną.

– Dzięki, że pozwoliłaś Jeremy’emu zostać z dziewczynkami – odezwała się Rina.

– Widziałaś je, kiedy go przywiozłaś?

– Tak. Nie martw się. Wyglądały bardzo dobrze.

– Rzeczywiście się martwię. To dla nich trudny okres – odparła Cynthia zdenerwowana.

– Ale będzie lepiej, Cynthio – powiedziała uspokajająco Jen. – Może uda wam się dojść do porozumienia.

Cynthia wzruszyła ramionami.

– To zależy, co masz na myśli, mówiąc o „porozumieniu”. Tak czy owak, nie chcę o tym rozmawiać.

– Oczywiście, rozumiem – zapewniła pospiesznie Jen i zajęła się wystawianiem potraw na blat.

Nałożyły sobie na talerze i usiadły na poduszkach, które Jen ułożyła wokół małych kolorowych plastikowych stoliczków. Napełniła im kieliszki winem. Trish wzięła duży łyk i westchnęła.

– Nie przypuszczałam, że dojadę tu na czas – powiedziała. – Miałam dziś naprawdę trudny przypadek. Młoda dziewczyna molestowana seksualnie przez krewnego. Przyjęto ją w stanie szoku. Myślałam, że mi serce pęknie. Nie mogłam się uwolnić od myśli o Mandy i bezbronności dzieci.

– Czy to był bliski krewny? – zapytała Cynthia.

Na szyi wystąpiły jej czerwone plamy i musiała odłożyć sztućce, ponieważ drżały jej ręce.

– Naprawdę nie mogę o tym mówić – odparła Trish. – W ogóle nie powinnam była wspominać.

– Dziwię się, że wspomniałaś. – Elizabeth jak zwykle musiała skomentować, tym razem tonem wyrażającym poczucie wyższości. – Ja mam zasadę, żeby pod żadnym pozorem nie rozmawiać o sprawach, które wychodzą na jaw w mojej pracy zawodowej. Nigdy nic nie wiadomo.

– Cóż, ja zawsze chętnie porozmawiam o moich jadłospisach – zażartowała Donna. – Czy któraś jest ciekawa, co planuję na szpitalną kolację wigilijną?

Roześmiały, a Jen poczuła ulgę, gdy Cynthia nałożyła sobie duży kawałek jeszcze ciepłej szarlotki, którą podała. Pytanie przyjaciółki nic nie znaczyło, jej chwilowe zdenerwowanie zapewne było wywołane napięciem. Każda mogłaby zadać to pytanie. Nie sposób było myśleć o Ericu, cichym, łagodnym Ericu, jako o złoczyńcy. Chociaż oczywiście ta myśl zaświtała każdej z nich.

Posprzątały naczynia i Jen usadowiła się na jasnożółtej poduszce; obok niej leżała sterta książek, z których korzystała, przygotowując wprowadzenie. Reszta usiadła w kółku, z książkami na kolanach, twarzami do oszronionego okna i padającego za nim powoli śniegu.

Niespiesznie, przy użyciu notatek zrobionych, gdy Ian spał koło niej twardo, Jen opisała młode lata autorki, rany psychiczne zadane samotnemu, zamkniętemu w sobie dziecku przez zimną, wymagającą matkę, która pragnęła ładnej i posłusznej córki, oraz ambitnego materialistycznego ojca pochłoniętego karierą.

– Przeczytałam gdzieś, że w ich kalifornijskim domu nie było ani jednej książki – powiedziała Rina. Jen, rozdrażniona tym, że jej przerwano, pomyślała, iż Rina zawsze zapamiętuje tego rodzaju szczegóły.

– Prawdopodobnie mieli na swoim koncie cięższe grzechy – ciągnęła dalej. – Byli ograniczonymi antysemitami, niepoprawnymi snobami. Ale Shirley udało się uciec od nich w świat opowieści, które wymyślała i spisywała. Nazwała pisanie – mam tu ten cytat – „wspaniałą prywatną sprawą”. Przypuszczam, że zaznaczyłam ten cytat, ponieważ ja dokładnie w ten sam sposób myślę o czytaniu, że to wspaniała prywatna sprawa.

Skinęły ze zrozumieniem. Wiedziały o sobie wystarczająco dużo, by mieć świadomość, że dla każdej z nich tym właśnie jest czytanie. Solidaryzowały się z małą dziewczynką z Kalifornii, która kochała książki i opowiadania tak jak one. Rozumiały tę wspaniałą prywatność, tak niezbędną w jej życiu jak i w ich własnym.

Jen opowiedziała o przeprowadzce rodziny Jacksonów do Rochester w stanie Nowy Jork, o samotności Shirley w tym zimnym północnym mieście i w końcu o odkryciu społeczności podobnie myślących pisarzy i czytelników na Syracuse University. To właśnie tam Stanley Edgar Hyman, radykalny żydowski intelektualista z Brooklynu, zalecał się i zdobył serce córki uprzedzonych protestanckich, konserwatywnych naturalizowanych cudzoziemców.

– Jeśli chodzi o teściów z obu stron, było to małżeństwo z piekła rodem. Ojciec Stanleya, Moe, wręcz odprawił za niego sziwę, no, wiecie, tradycyjną siedmiodniową żydowską żałobę. Jak widać odprawia się ją nie tylko po zmarłych, ale i po niewłaściwie ożenionych. Czy nadal się to praktykuje? – zwróciła

się Jen do Riny.

– Hej, to, że jestem tu jedyną Żydówką, nie czyni ze mnie eksperta od Talmudu – odparła Rina. – Ale przypuszczam, że zdarzają się jacyś naprawdę ortodoksyjni Żydzi, którzy wyrzekliby się dzieci, gdyby te zdecydowały się poślubić osobę innego wyznania. Myślę, że moi rodzice nie byłiby szczególnie uradowani faktem, że ojciec Jeremy’ego nie jest członkiem klanu. Nie odprawiliby za mnie szywy – w końcu nie wyszłam za niego, tylko zaszłam w ciążę – ale daliby mi odczuć swoje niezadowolenie.

Przyjaciółki spojrzały na nią ze zdziwieniem. Pierwszy raz wspomniała o ojcu Jeremy’ego. Czekwały, że rozwinie tę myśl, ale nie powiedziała nic więcej, więc Jen wróciła do tematu: przedstawiła życie Shirley Jackson, od czasu do czasu zerkając do notatek.

Opowiadała o wczesnym okresie ich małżeństwa, kiedy to młoda para ocierająca się o świat bohemy Manhattanu z trudem wiązała koniec z końcem z jakichś kiepsko płatnych prac, i o tym, jak Shirley z powodzeniem przetwarzała nawet najbardziej frustrujące doświadczenia w krótkie zabawne historyjki.

– Dorywcza praca w Macy’s pod jej piórem stała się *Moim życiem z R. H. Macym* – powiedziała Jen.

– Ogromnie mi się podobało to opowiadanie – dodała Rina. – Kiedy na drugim roku studiów pracowałam jako sprzedawczyni podczas gorączki przedświątecznej, nawet je odgrywałam. Tak jak ona podpisałam wymówienie moim numerem pracownika. Myślę, że czułam się w pewnym sensie jej emocjonalną siostrą bliźniaczką.

– A ja chyba pamiętam, jak mówiłaś mi, że za jej przykładem nawet wrzuciłaś do własnej kieszeni zamiast do kasy jakieś pieniądze za sprzedany towar – dodała Donna.

– Rzeczywiście. Było tego chyba ze czternaście dolarów. Nie myślałam o tym jako o kradzieży. Uważałam to za cios wymierzony handlowemu molochowi, i przypuszczam, że Jackson, przywłaszczając sobie siedemdziesiąt pięć pensów od



jednego z klientów Macy's, traktowała to tak samo.

Zaśmiała się i zaczęła przekopywać swoją dużą czarną skórzaną torebkę w poszukiwaniu chusteczki. Donna zastanawiała się, czy któraś prócz niej zauważyła, że torebka Riny ma szylkretową rączkę. Czy tylko ona zwróciła uwagę na to, że idealnie odpowiada opisowi torebki, która w opowieści Riny padła łupem elegantki w Saks? Olśniła ją nagła pewność, że nie było żadnej elegantki. Wymyśliła ją Rina, która, jak się zdaje, wciąż wymierza ciosy handlowemu molochowi.

Donna doszła do wniosku, że Shirley Jackson poparłaby czyn Riny. Emma Bovary by go zrozumiała, a Edith Wharton uznałaby go po prostu za pomysłowy. Uśmiechnęła się na myśl o własnej wieloletniej akceptacji dziwactw przyjaciółki, po czym znów skupiła uwagę na Jen, która mówiła teraz o narodzinach syna Shirley, Lauriego, przeprowadzce do Vermontu i dziwnym podwójnym życiu, jakie Jackson wiodła w tej wiosce w Nowej Anglii, gdzie urodziła pozostałą trójkę dzieci i stała się typową matką i gospodynią.

– Dlaczego podwójne? – zapytała Elizabeth. – Powiedziałabym, że wielorakie, jak życie każdej z nas. Nasze życie zawodowe, życie prywatne. Różne role. Córki. Żony. Matki. Przyjaciółki. Siostry. – Zerknęła na Jen, która spuściła wzrok na swój zeszyt.

– To prawda, że wszyscy przyjmujemy liczne role – odezwała się Trish. – Ale wszystkie te role odgrywa jedna integralna osobowość. Myślę, że Jen słusznie zwróciła uwagę na rozłam w osobowości Jackson, i to właśnie to rozdarcie znajduje wyraz w jej twórczości. Z jednej strony mamy niesamowicie śmieszne opowiadania o dzieciach Shirley, o przyjemnych stronach codziennego życia w małym miasteczku w Nowej Anglii – Little League, przyjęcia urodzinowe, męskie gry w pokera, kobiece kawki, planowanie jadłospisów. Ale są też jej brutalne i przerażające historie o tej samej społeczności, rozpoznanie ciemnej strony tego życia, czyhającego zła, okrucieństwa, które Jackson dostrzegła w słonecznych kuchniach i pięknie

urządzonych ogrodach. Te opowieści stworzyły dwie różne pisarki. Dwie różne kobiety, może nawet więcej, dwie, ale uwięzione w ciele jednej Shirley Jackson. W szpitalu codziennie widzę takie przypadki.

– Myślę, że podchodzisz do tego zdecydowanie zbyt medycznie – zaprotestowała Cynthia. – Ja mam inne wyjaśnienie. Pieniądze. Stanley Edgar Hyman był pracownikiem naukowym. Żeby związać koniec z końcem, pisał do „New Yorkera” i „New Republic”, ale i tak mu się nie udawało. Sam powiedział, że starcza mu tylko na zapłacenie rachunków w barze, które były wysokie, bo oboje dużo pili. A więc to ona utrzymywała dom, mimo że on trzymał pieniądze i musiała go prosić o każdego pensa. Potrzebowała jego zgody, by wydać to, co sama zarobiła. Zawsze była dobrą uległą żoną, która przynosiła mężowi drinki, przygotowywała posiłki i dawała mu najwyższą władzę. Sprzedawała opowiadania o dzieciach do takich czasopism jak „Woman’s Home Companion” i „Good Housekeeping”, i dobrze jej za nie płacono, i to było w porządku. Te pieniądze pozwalały im utrzymać dzieci, duży dom, organizować wystawne przyjęcia. A potem sięgnęła głęboko do swojej duszy po te inne historie, powieści zainspirowane tym, co Trish nazywa jej ciemną stroną. Każdy artysta, który mierzy się z rzeczywistością i bieżącym życiem, czyni to na innym etapie swojego twórczego życia. Na przykład Erie – robi wspaniałe filmy dokumentalne, ale kręci też reklamy. Dla pieniędzy. Jackson również musiała pisać dla pieniędzy. Nie sprzeniewierzyła się jednak swoim ideałom, tak samo jak Erie się nie sprzeniewierza ani... – głos zaczął jej się łamać i zamilkła w pół zdania. Spojrzała na przyjaciółki ze zdumieniem, zaskoczona własnymi słowami. Mówiła o Ericu, jakby wciąż byli razem, jakby broniła jego zawodowych wyborów, a w jej głosie słychać było subtelny ton dobrej żony. Dla wszystkich, nie wyłączając Cynthii, zabrzmiało to tak, jakby on wciąż dzielił z nią dom i życie.

Donna pierwsza przerwała krępującą ciszę.

– To prawda, że Jackson trapiła się kwestiami finansowymi. W

historiach o dzieciach *zawsze* opisuje, ile co kosztowało, jak to nie mogli sobie pozwolić na to czy owo, jak nakładali na dzieci kary pieniężne lub wstrzymywali im tygodniówkę. Rzeczywiście, pieniądze mogły odgrywać jakąś rolę w jej wyborach literackich. Nie sądzę jednak, aby to one ją motywowały. Myślę, że próbowała zbudować na papierze swoją rzeczywistość, stworzyć scenariusz, który pasował do tego, jakim chciała widzieć swoje życie, swój świat. A więc wpisała się w rolę dowcipnej, rozbawionej matki, troszkę przytłoczonej, ale zawsze dającej sobie radę, a jej dzieci to te urocze nicponie, psotniki o nieokiełznanej wyobraźni; i wszyscy razem żyli sobie w tym cichym miasteczku, chodzili na mecze Little League, ona była członkinią komitetu rodzicielskiego i chadzała z innymi kobietami na kawę, a jej mąż grywał w pokera. Wymyśliła siebie na nowo, wymyśliła na nowo swoich sąsiadów, cały swój świat. Nie zgadzam się z Trish, że trzeba mieć rozdwojenie jaźni, by tego pragnąć. Wszyscy tworzymy w wyobraźni życie odmienne od tego, jakie naprawdę prowadzimy. Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że mam ojca, który chodzi codziennie do pracy, i szczęśliwą, otwartą matkę mającą dość wolnego czasu, by uprawiać ogród i czytać. I nawet teraz w pewnym sensie tworzę sobie różne oddzielne światy. Jednej nocy jestem z Timem w Blue Note, a następnej w filharmonii z Rayem. Zbyt wiele lat oglądałam uwięzioną w kuchni mamę, uciekającą w świat nagranych na kasetach książek. Nie chcę rezygnować z własnej wolności. Chcę wciąż wymyślać się na nowo. W pewnym sensie to właśnie robiła Jackson w swoich książkach.

Słowa Donny padły pospiesznie i kiedy skończyła mówić, odchyliła się do tyłu, jakby zmęczyły ją własne wnioski.

– Ale tylko w swojej tak zwanej lekkiej twórczości – powiedziała Elizabeth. – Życia, które sobie tworzysz, Donno, stanowią modele przyjemniejsze niż życie, jakie na twoich oczach wiodła matka. Ale zamiary Jackson były zupełnie inne. Weźmy na przykład *Loterię*. Małe, spokojne miasteczko, w którym rozgrywa się akcja, to z pewnością North Bennington w stanie Vermont,

gdzie mieszkała Jackson. A jego mieszkańcy biorący udział w tak zwanej loterii, aż nadto gotowi ukamienować niewinną kobietę, to ci sami mili sąsiedzi, których opisuje z pełną rozbawienia czułością w książkach o swoich dzieciach. Jeśli zgodzimy się z teorią Donny o tworzeniu idealnego świata, to co mamy zrobić z tym innym opisywanym przez nią światem, o tym samym krajobrazie, zamieszkanym przez te same postacie?

– Myślę, że rozumiała, iż niewiele trzeba, by pomocny sąsiad zamienił się w oprawcę, a dzisiejszy oprawca jutro może bez trudu stać się uczynnym sąsiadem – stwierdziła Jen. – Słuchajcie, mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko; przygotowałam coś dość niekonwencjonalnego, nawet jak na nasz klub. Narysowałam komiks na podstawie *Loterii*. Tylko dla nas.

Przysunęła i odwróciła dębową sztalugę; czekała, podczas gdy przyjaciółki oglądały rysunki. Rina podeszła bliżej, by lepiej się im przyjrzeć.

– Z pewnością uchwyciłaś nastrój opowiadania – stwierdziła Cynthia tym ostrożnym tonem, jakiego używała, gdy Jen przedstawiała jej jakiś projekt. – Czuje się powoli narastające napięcie, z każdym panelem trochę ciemniejszym niż poprzedni.

– I zmieniające się twarze – zauważyła z podziwem Donna. – Zupełnie jak w opowiadaniu. Na początku wyglądają tak, jakby zebrali się na obchody jakiegoś święta, uśmiechnięci, szczęśliwi. A na końcu ich twarze są wykrzywione, pełne złości.

– Tacy są ludzie – odezwała się Rina. – Jest w nich pewna dwoistość. Są zdolni do czynienia dobra i zdolni do czynienia zła. Tak jest chyba ze wszystkimi wszędzie na świecie. Każdy ma w sobie skłonność do uprzedzeń, może jakiś rodzaj wewnętrznego stereotypu. Na przykład kiedy mężczyzna pyta Żydówkę, czemu Żydzi są zawsze tacy smutni – zamilkła i na chwilę zamknęła oczy, a w jej pamięci pojawiło się niedbale rzucone pytanie mężczyzny, który został ojcem Jeremy'ego, który nie wie, że Jeremy istnieje.

– Jackson to widziała – ciągnęła dalej. – I musiała o tym pisać. Ostatni rysunek Jen, gdzie zbierają się wszyscy mieszkańcy,

wśród nich syn ofiary, porwany przez napierający tłum, a kobieta kuli się w środku, przypomina mi hitleryzm, rzekomo niewinni Niemcy, którzy kochali dzieci, dbali o domy, słuchali Beethovena i chodzili do kościoła, stali się tłumem morderców napierających na ofiary skulone pod ich brutalną napaścią. Było w nich dobro, dopóki nie wyzwolono nienawiści, dopóki nie uruchomiono loterii. Żydzi stali się Tessie Hutchinson, kozłem ofiarnym Shirley Jackson.

– Jesteś przewrażliwiona, Rino – zaprotestowała Elizabeth. – Spróbuj nie dopatrywać się wszędzie antysemitów.

– To, co powiedziałam, nie ma nic wspólnego z moim żydostwem – zaripostowała z żarem Rina. – Dziwi mnie, że żadna z was nie widzi tej analogii.

– Ja widzę – powiedziała cicho Trish. – I nie mylisz się w swojej interpretacji. Czytałam w Internecie esej o Jackson; kiedy ją zapytano, o czym jest ta historia, odpowiedziała, że o Żydach. I to by pasowało. Jej mąż był Żydem, jej dzieci półŻydami, i cierpiały z powodu prawdziwego antysemityzmu w swojej miejscowości. Trochę to paradoksalne, zważywszy, że nie praktykowali, ale w oczach pozostałych mieszkańców nie musieli. Byli z Nowego Jorku, byli intelektualistami, byli inni. Oczywiście sami pracowali na tę inność. Sądzę, że nie pomógł fakt, iż on chodził w pelerynie i wymachiwał laską z ukrytą szpadą, a ona ważyła prawie sto kilo i nosiła czerwono-purpurowe luźne hawajskie suknie, ale ten antysemityzm naprawdę ją złościł. Wiedziała, co to obelgi i uprzedzenia. W końcu jej rodzice byli prawdziwymi antysemitami. Jackson wiedziała, że ci dobrzy, mili ludzie, którzy żyli w jej spokojnym miasteczku, są zdolni do czynienia zła. Rozumiała, że wszyscy, nie wyłączając jej, potrafią być brutalni. Miała wybuchowy charakter. Przytulała dzieci, a za chwilę już na nie wrzeszczała. Ale walczyła ze swoim gniewem, walczyła, by kochać i być kochaną. Widziała swoją dwoistość i bała się jej. Może próbowała ją przezwyciężyć, pisząc takie opowiadanie jak *Loteria*. Myślę, że jej wyobrażenia, jej moc twórcza przerażały ją. Opowieści rodzinne to był dla niej

przyczółek normalności. Ale w końcu została z niego zepchnięta. Nawet normalna rodzina nie zdołała jej uratować.

– Ale ta rodzina nie była normalna – zaprotestowała Elizabeth.  
– Nie żeby jakaś rodzina była naprawdę normalna – dodała, nie patrząc na Jen.

– Innym wydawała się normalna. Duży dom, troskliwi rodzice, twórcze dzieci, obiad na stole o ustalonej porze. Shirley gotowała, piekła. Kto wie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami czyjegoś domu? Powinniście posłuchać historii, z jakimi się stykam podczas spotkań moich grup terapii rodzinnej. – Trish westchnęła i wstała, żeby dolać sobie kawy.

– Nie trzeba być terapeutą, żeby wiedzieć, że każda rodzina ma swoje tajemnice, że zaczarowane życie czasem okazuje się nawiedzone – powiedziała cicho Cynthia.

Przyjaciółki milczały. Przez lata ich znajomości każda zastanawiała się kiedyś, jak by to było wieść zaczarowane życie Cynthia w krainie sukcesu zawodowego i władzy. Każda milcząco przyznawała, że zazdrozczą przyjaciółce ekscytującej kariery Erica i jej własnej, małżeństwa, wystawnego domu, pięknych, grzecznych dzieci. Były w błędzie; teraz ich zazdrość przemieniła się we współczucie i poczucie własnej bezbronności. Pod wpływem impulsu Donna wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Cynthia. Ta uśmiechnęła się, podeszła do sztalugi i zaczęła uważnie przyglądać się kolejnym rysunkom.

– Myślę, że powinnaś wysłać je jakiemuś wydawcy, Jen – powiedziała. – Mogłabyś dodać komiksy oparte na innych opowiadaniach lub powieści. Niekoniecznie Jackson. To by się sprzedało.

– Naprawdę tak myślisz? – Twarz Jen rozpromieniła się.

– Komiksy właściwie stają się samodzielnym gatunkiem literackim, no, wiecie, na przykład *Maus* Spiegelmana – stwierdziła Rina.

– To mogłoby się bardzo dobrze sprzedać – powiedziała w zamyśleniu Cynthia. – Kiedy będziesz miała trochę więcej materiału, skontaktuję cię z agentem. – Stała jeszcze chwilę

przy sztaludze, po czym usiadła obok Donny.

– Interesuje mnie koncepcja wymyślania siebie od nowa – wróciła do poprzedniego tematu Rina. – Myślę, że to stanowi sedno procesu pisania, i Shirley Jackson była tego świadoma. Pamiętacie, w opowiadaniu *Charles* Laurie idzie do przedszkola, a po powrocie do domu opowiada o klasowej zmurze, chłopcu imieniem Charles. Charles był potworny, Charles był okropny, a potem Charles zaczął się poprawiać, aż w końcu stał się grzecznym chłopcem. Kiedy Jackson poszła do szkoły na zebranie, okazało się, że to Laurie robił wszystko to, co przypisywał Charlesowi. W pewnym sensie wymyślił sam siebie. To jest podstawowy akt tworzenia fikcji.

– Czyli przypisywanie wymyślonej postaci czegoś, co mogłoby się zrobić samemu – mruknęła Donna, a jej myśli znowu powędrowały ku opisanej przez Rinę eleganckiej złodziejce.

– Właśnie. – Rina z uśmiechem dotknęła swojej skórzanej torebki, przejechała dłonią po gładkiej szylkretowej rączce.

– Myślę, że to może też stanowić sedno procesu czytania – powiedziała Elizabeth. – Sądzę, że ludzie tacy jak my sięgają po książki, by móc wkraść się w inne życie, inny świat. Nie jesteśmy biernymi, powierzchownymi czytelniczkami. Są takie chwile, kiedy historie, które czytam, wydają mi się bardziej rzeczywiste niż to, co przydarza mi się naprawdę.

Skinęły na znak zgody, porozumienia. Siedziały przez chwilę w kojącej ciszy, oparte o jasne poduszki, a książki leżały obok. Elizabeth wzięła do ręki biografię autorki, z której korzystała Jen, przyjrzała się zdjęciu Shirley Jackson na okładce i zauważyła, że jego autorem jest Lawrence Hyman, starszy syn Jackson. Jej oczy zasły łzami; Jen wiedziała, że Elizabeth myśli o własnym synu Adamie, który swojej mamie nigdy, przenigdy nie będzie w stanie zrobić zdjęcia. Delikatnie wyjęła książkę z rąk siostry i położyła ją na biurku. Zadzwoił telefon, jego ostre wezwanie zburzyło słodką, niezwykłą ciszę panującą w pokoju. Jen sięgnęła po słuchawkę.

– Witaj, Mae – powiedziała. – Tak, Cynthia jest tutaj.

– O cholera! – Cynthia wzięła słuchawkę. Słuchała przez kilka minut ze zmarszczonymi brwiami, a jej twarz przybierała coraz poważniejszy wyraz.

– W porządku, Mae. Zaraz wychodzimy i złapiemy taksówkę. Przyjedziemy możliwie najszybciej.

Zwróciła się do Riny.

– Jeremy’ego boli głowa. Mae mówi, że ból jest bardzo silny. Zaczął się skarżyć jakieś dwie godziny temu; myślała, że mu przejdzie, ale wygląda na to, że jest coraz gorzej. Mae wydaje się, że ma gorączkę.

– Jeremy? Jego nigdy nie bolała głowa. – Głos Riny był pełen niepokoju. – Ból głowy? Gorączka? – powtórzyła, kiedy obie z Cynthia zarzucały na siebie płaszcze.

– Nic mu nie będzie, Rino – odezwała się Jen. – Jestem pewna, że nic mu nie będzie. Zadzwoń i powiedz, jak się czuje.

– Tak. Zadzwonię. Zadzwonimy. Dzięki.

Była już przy drzwiach, a Cynthia tuż za nią, z ręką lekko uniesioną w geście pożegnania; jej delikatne rysy zastygły w maskę niepokoju.

Przyjaciółki podeszły do wielkiego okna. W powietrzu unosiły się teraz miękkie, miotane przez wiatr tumany śniegu. Patrzyły, jak Cynthia i Rina wyszły z domu, chwilę czekały na krawężniku, a gdy zatrzymała się przed nimi żółta taksówka, wsiadły. Zauważyły, że Cynthia pochyliła się do przodu, by podać adres kierowcy, natomiast Rina siedziała sztywno w ciemności.

– Jeremy’emu nic nie będzie – powiedziała Trish, wybierając numer do swojego domu, a następnie pograżyła się w cichej rozmowie z Jasonem. – Amanda śpi? – zapytała. – Będę w domu niedługo, bardzo niedługo.

Słuchały tego bez zdziwienia. Strach był zaraźliwy, szukanie otuchy niezbędne.

Potem razem zebrały naczynia, ułożyły poduszki równo jedna na drugiej w kącie i nad ostatnim kubkiem kawy uzgodniły, że następne spotkanie odbędzie się w mieszkaniu Trish pod koniec stycznia i, zaskakująco jednomyślnie, wybrały stosunkowo nową



książkę, *Czytając Lolitę w Teheranie* Azar Nafisi. Recenzje obudziły ich ciekawość. Każda w myślach łączyła się z klubem książki irańskich kobiet i uznała te znajdujące się tak daleko czytelniczki za swoje intelektualne siostry.

– I spróbujmy też przeczytać *Lolite* Nabokova – powiedziała Trish.

– Wtedy będziemy mogły napisać kontynuację: *Czytając Lolitę na Manhattanie* – dodała Elizabeth i wszystkie się roześmiały.

Podjęcie tej decyzji przywróciło normalność. Przyjaciółki zabrały swoje płaszcze i przez chwilę przerzucały między sobą czapki oraz szaliki, chichocząc, kiedy koralowy wełniany szalik Elizabeth wylądował na pustej sztaludze. Odzyskały radość; ich niepokój przygasł. Ustaliły, że dziś nie będą już dzwonić ani do Cynthii, ani do Riny.

– Ból głowy. Zwykły ból głowy – powiedziała Elizabeth. – Wszystko mu przejdzie.

– Oczywiście. Oczywiście.

Kiedy wyszły, śnieg już nie padał, ale w cichej ulicy pogwizdywał lodowaty wiatr.

## Rozdział piąty

Ale Jeremy'emu nie przeszło. Następnego dnia wczesnie rano Donnę obudził słaby głos Riny.

– Jestem w domu – powiedziała. – Wróciliśmy wczoraj taksówką. Myślałam, że ból minie, ale tak się nie stało. Jeremy właściwie nie spał, a teraz czuje się jeszcze gorzej. Ma gorączkę – niewysoką, ale jednak. Dzwoniłam do naszego pediatry, powiedział mi, żebym go zawiozła na oddział pomocy doraźnej, ale nie chciałabym wyciągać go z domu w taką pogodę.

Donna podeszła z telefonem do oszronionego okna i wyjrzała. Miejskie pługi już przejechały i teraz na krawężnikach leżały góry bieli, pochłapane sadzą. Z wąskiego balkonu zwisały sopele, a czołgopodobne rozrzutniki toczyły się po ulicach i pokrywały gładką zamarznąłą powierzchnię warstwą piasku. Opatulona czerwoną puchową kurtką samotna kobieta, która usiłowała dotrzeć do zakrętu, toczyła walkę z ostrym, porywistym wiatrem.

– Trudno ci się dziwić – odparła Donna. – Wygląda na to, że jest dość strasznie. Twój lekarz nie przyjdzie do domu?

Rina zaśmiała się ostro.

– W którym wieku ty żyjesz? Czas wizyt domowych i wiśniowych lizaków się skończył. Nawet go nie prosiłam, a on oczywiście tego nie zaproponował. Donno, tak się martwię. – Głos jej się załamał. Zmęczenie i strach ją przytłoczyły.

– Co mogę zrobić, Rino? – zapytała łagodnie Donna. – Chcesz, żebym przyjechała?

– Nie. Ale pomyślałam, że mogłabyś poprosić Raya, że może jest u ciebie i mógłby zbadać Jeremy'ego.

– Raya u mnie nie ma. Ale mogę go złapać. Myślę, że to zrobi. Jestem pewna, że to zrobi – powiedziała z przekonaniem, jak kobieta, która wie, że jej kochanek przychyli się do każdego żądania. W granicach rozsądku. A to jest oczywiście prośba jak najbardziej w granicach rozsądku. – Zadzwoń do ciebie, jak tylko z nim porozmawiam.

Obmyła twarz zimną wodą, po czym szczotkując długie blond włosy, zadzwoniła do mieszkania Raya. Nie było odpowiedzi. Pewnie już wyszedł do szpitala. Zadzwoniła na komórkę i odetchnęła z ulgą, gdy odebrał przy trzecim dzwonku.

– Doktor Goldman.

Kiedy usłyszał jej głos, zawodowa rzeczowość ustąpiła miejsca niepokojowi. W ciągu trzech lat ich znajomości nigdy nie dzwoniła do niego rano.

– Co się stało, Donno? – zapytał zmartwiony. Wyobraziła sobie, jak jego szare oczy ciemnieją, palce przeczesują gęste siwe włosy tym znajomym nerwowym ruchem, który obserwowała, gdy dzwoniło do niego z problemem jakiegoś pacjenta lub gdy martwił się z powodu jakiejś diagnozy.

Był miłym, cichym mężczyzną, obdarzonym łagodnością, która spowijała go niczym peleryna. To ta dobroć, ta łagodność przyciągnęła do niego Donnę, kiedy się po raz pierwszy spotkali. Od początku czuła się bezpiecznie w jego towarzystwie. Lubiała siedzieć obok niego na koncertach i w teatrze, naprzeciw niego w restauracji, zawsze świadoma jego solidności, kompetencji i autorytetu, jego troskliwości. Czy jej krzesło jest wygodne, czy nikt jej nie zasłania, jak tam jej przeziębienie? Był opiekuńczy i delikatny, zawsze do dyspozycji i nigdy niewymagający uwagi. Powiedziała mu kiedyś, że będzie wspaniałym ojcem, a on skinął głową z uśmiechem i odparł, że owszem, chciałby kiedyś mieć dzieci. Nie teraz. Ale tak, oczywiście. Dzieci są dla niego ważne. Małżeństwo go rozczarowało, niewierność żony zbiła z tropu, ale nie wprawiła w rozgoryczenie.

Oboje z Donną czuli się ze sobą swobodnie, zaangażowani, ale jednocześnie niezależni. Ray wiedział, że nie jest jedynym mężczyzną w jej życiu, a ona nigdy nie pytała go o inne kobiety. Na razie wystarczało, że dobrze im w swoim towarzystwie i że w tej wspólnej strefie komfortu psychicznego oboje odnaleźli bezpieczne wyspy.

– Nic. U mnie wszystko w porządku – zapewniła go. – Chodzi o syna Riny, Jeremy'ego. Ma potworny ból głowy i gorączkę.

Rina boi się z nim wyjść w taką pogodę, a oczywiście nie może zamówić lekarza do domu. Pomyślała, że może udałoby ci się do niej wpaść.

– Ale ja jestem neurologiem, nie pediatrą – powiedział.

– Wiem. Jestem pewna, że Jeremy’emu nic nie jest. Gdybyś mógł go tylko zbadać i dodać jej otuchy. Wiesz, jaka ona bywa.

Ray widział Rinę tylko kilka razy, ale przy każdym spotkaniu zaskakiwała go na nowo jej ruchliwość, wyrazistość sądów i nagłe olśniewające błyski inteligencji. Bliska przyjaźń tej kobiety z Donna, zawsze tak zrównoważoną i zorganizowaną, dziwiła go, ale rozumiał, że jest mnóstwo rzeczy, których nie wie o Donnie, że są pytania, których nigdy nie zada. Słuchał, jak przyjaciółki gawędzą przez telefon, zachwycała go intymność ich więzi, ale czasem irytowała spolegliwość Donny, nawet gdy Rina dzwoniła podczas ich posiłku albo kiedy właśnie wychodzili. Takie telefony wynikały zazwyczaj z potrzeby dania upustu emocjom lub szukania otuchy, którą Donna bez oporu dawała. „Postąpiłaś właściwie, Rino”. „Nie martw się, wszystko się ułoży”.

Głos Donny, gdy zwracała się do przyjaciółki, był zawsze spokojny i kojący. To właśnie ten spokój cenił Ray i za nic nie chciałby go zakłócić.

Uważał, że Rina, o oliwkowej skórze, oczach w kształcie migdałów i kościstej twarzy jest bardzo piękna, ale nie wspomniał o tym Donnie, chociaż powiedział jej, że sposób, w jaki Rina się czesze, ten jeden lśniący czarny warkocz niemal do pasa, przypomina mu babcię, która go wychowała. Pamiętał, jak będąc małym chłopcem, co wieczór stawał w drzwiach jej sypialni i przyglądał się, jak zaplata długie siwe włosy w warkocz. Ruchy jej rąk miały w sobie magię, a nocny rytuał moc kojącą.

– Ona bardzo się martwi o Jeremy’ego – ciągnęła Donna niemal przepraszająco. – Niełatwo jest być samotną matką, a dla Riny to szczególnie trudne. Nie ma żadnej rodziny ani grupy wsparcia. Jest sama z Jeremym. Ma tylko mnie i jeszcze parę życzliwych osób. Więc kiedy Jeremy choruje, Rina zaczyna trochę szaleć. Byłoby wspaniale, gdyby ci się udało do nich zajrzeć.

Chociaż jestem pewna, że to nic groźnego.

– Przyjmuję dziś po południu, więc to musiałyby być rano – powiedział. – Daj mi jej adres i zawiadom ją, że przyjadę za jakąś godzinę.

– Świetnie.

Usłyszał ulgę w jej głosie, kiedy podawała mu adres i telefon Riny, i wdzięczność, gdy proponowała mu wspólną kolację tego wieczoru.

– W kwestii kolacji jeszcze dam ci znać. Mam dziś dużo pracy – odparł. – Jesteś bardzo dobrą przyjaciółką, Donno. Wielkoduszną.

Uśmiechnął się do słuchawki, wdzięczny za jej dobroć, szczodrość. Jego żona, drażliwa, gniewna dziewczyna, którą poślubił na ostatnim roku studiów i z którą rozwiódł się z pewną ulgą, kiedy oznajmiła mu, z zimną obojętnością, że ma romans, i to nie pierwszy, nie była ani dobra, ani szczodra.

W drodze do pracy Donna zatrzymała się w księgarni i kupiła dwa egzemplarze *Czytając Lolitę w Teheranie* i dwie *Lolity* Nabokova. Powiedziała Rinie, że przyniesie jej książki po południu, kiedy zadzwoniła, żeby przekazać jej, że Ray zgodził się zbadać Jeremy'ego.

– Proszę, Donno, nie jestem głodna i nie mogę nawet myśleć o czytaniu – zaprotestowała Rina rozdrażniona.

Ale Donna wiedziała, że Rina będzie potrzebowała książek. Zbuduje z nich barykadę przeciw niepokoju, drogę ucieczki przed mrocznymi lękami, które z pewnością ją dopadną w przegrzonym pokoju, gdzie leży Jeremy, słaby i blady. Jak zawsze, książki dadzą jej schronienie, historie i problemy pozwolą oderwać się od rzeczywistości. Nie będzie sama podczas lektury książki wybranej przez klub na następne spotkanie. Po drugiej stronie miasta jej przyjaciółki też będą zagłębiać się w świat Nabokova, dzielić wspomnienia i spostrzeżenia dzielnej Azar Nafisi, która przeczytała *Lolitę* w Teheranie. Nafisi, podobnie jak one, należała do społeczności czytelniczek i marzycielek, związanych słowami, zahipnotyzowanych historiami, które

dotykają każdą z nich w inny sposób. Donna przeczytała pierwszych kilka stron książki, gdy usiadła przy biurku, zanim jeszcze zadzwoniła do Riny, i wciągnęła ją ta kronika siedmiu młodych irańskich kobiet, które spotykały się potajemnie w domu swojej dzielnej pani profesor, wykładowczyni literatury Azar Nafisi. Podczas tych spotkań piły herbatę, jadły ciastka i rozmawiały o literaturze pięknej, co stanowiło niebezpieczne zajęcie w represyjnym totalitarnym społeczeństwie, rządzone bezwzględnie przez ajatollaha Chomeiniego.

– Kiedy do was przyjadę, będziesz się już czuła lepiej – powiedziała Donna. – Na pewno Jeremy też. Ray może przepisze mu jakiś antybiotyk. Powiedział, że o tej porze roku w powietrzu jest mnóstwo wirusów. Nie martw się. Nie martw się, proszę.

Nic takiego nie mówił, ale Donna jak zawsze pragnęła ukoić niepokój przyjaciółki i dodać jej otuchy; to stanowiło podstawę ich wzajemnych relacji – tak samo dzisiaj jak w czasach college’u. „Oczywiście, że zdałaś, Rino”. „Z pewnością znowu zadzwoni. Nie martw się. Nie martw się, proszę”.

Wieczne potrzeby Riny, nigdy niezaspokojone, ciągnęły się za nią jak cień.

W porze lunchu Donna wpadła na Trish w szpitalnej kafejce i przy kanapkach i kawie opowiedziała przyjaciółce o telefonie Riny.

– Z pewnością to nic strasznego. Dzieci często zimą chorują. A Rina ma skłonność do przesady.

– Nie byłabym taka pewna – odparła Trish. – U dzieci silne bóle głowy są rzadkością. Czy Rina nie mówiła, że boli go kark?

– Nie. A ja nie pytałam. Podejrzewasz zapalenie opon mózgowych?

– Przyszło mi to do głowy – przyznała Trish. – Ale to raczej mało prawdopodobne. Zapomnij o tym.

– Już zapomniałam – odrzekła Donna.

Zajęła się swoją kawą, Trish zadzwoniła do domu, ściskając kurczowo telefon, by porozmawiać z opiekunką Mandy.

– Czy Amanda zjadła lunch? – zapytała. – Wszystko z nią w

porządku? Pytam, bo była trochę zmęczona, kiedy odwoziłam ją do przedszkola, i myślałam, że może to początek jakiejś choroby. – Zamilkła i zaczęła stukać łyżeczką o talerzyk, podczas gdy opiekunka udzielała jej odpowiedzi. – Myślę, że nie powinna dziś wychodzić na dwór. Jest za zimno. Pobawcie się, może puść jakiś film. Dzięki.

Rozłączyła się i posłała Donnie zawstydzony uśmiech.

– No dobrze. Więc jestem znerwicowaną, zżeraną wyrzutami sumienia pracującą matką. Może lekarki nie powinny mieć dzieci. Za dużo wiemy.

– Więc może lekarze też nie powinni mieć dzieci. Za dużo wiedzą – zaripostowała Donna.

– Twój Ray nie ma dzieci z byłą żoną? – zapytała Trish.

– To nie mój Ray i nie, nie mają dzieci. A szkoda, bo byłby świetnym ojcem. Mówi, że ona za bardzo martwiła się o swoją figurę, była zbyt samolubna, bała się dawać. Kto wie? To jego wersja i ponieważ to Ray, wierzę mu. Ale zapewne ona mogłaby wygłosić własną jeremiadę.

Uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo. Były mądrymi kobietami, które rozumieją mężczyzn obecnych w ich życiu, zdobywają wiedzę, próbując zrozumieć mężczyzn zamieszkujących strony czytanych przez nie powieści. Tak jak zastanawiały się nad dziwactwami Wrońskiego, słabościami Karola Bovary'ego, tak mogły się zgodzić w kwestii niepełnych wyjaśnień Raya czy sporadycznego braku konsekwencji u Jasona. Dogłębna analiza książek wyostrzyła ich sceptycyzm i broniła je przez rozczarowaniami.

Trish zerknęła na zegarek. Nie chciała się spóźnić na konsultację. Odłożyły więc tace i poszły pospiesznie do swoich gabinetów.

– Zadzwoń do mnie, jak odezwie się Rina albo Ray – zawołała Trish, gdy skręcała w korytarz prowadzący do jej pokoju.

– Dobrze – odparła Donna i zatrzymała się przy kserokopiarce, by odebrać zamówione wcześniej menu na ten dzień. Eksperymentowała z nową dietą niskowęglowodanową, która,

choć jeszcze we wczesnej fazie badań, już wywołała entuzjazm wśród endokrynologów. Ray powiedział jej, że prawdopodobnie mogłaby dostać grant Narodowego Instytutu Zdrowia na prace nad tą dietą, i Donna rozważała tę możliwość. Ale to by oznaczało przeniesienie się do Waszyngtonu, a ona wcale nie chciała opuszczać Nowego Jorku. Lubiła swoje mieszkanie, pracę, spokojne wieczory z Rayem, bardziej ekscytujące nocne wypady z Timem. No i klub książki. Przede wszystkim klub.

Wysłuchiwała wiadomości nagranych na sekretarce. Tim zadzwonił, żeby powiedzieć, że ma tego wieczoru występ w Yillage. Czy Donna chciałaby pójść na obiad gdzieś w centrum? Zapisała zostawiony przez niego numer. Następnie odsłuchiwała wiadomości Raya; miał poważny głos, który Donna natychmiast rozpoznała.

– Martwię się trochę o Jeremy’ego – powiedział. – Jeśli objawy nie ustąpią w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, będzie musiał pójść do szpitala na badania. Przepisałem mu coś na gorączkę, lek na ból głowy i chciałem też przepisać Rinie środek uspokajający, ale kategorycznie odmówiła. Bardzo waleczna dama z tej twojej przyjaciółki. Dobra, do usłyszenia wkrótce. Będę pod komórką.

Donna wyczuła podziw w jego głosie, kiedy mówił o Rinie, i odnotowała ukłucie zazdrości. Oczywiście ma rację. Rina jest bardzo waleczną damą, trochę szaloną, ale zdecydowanie waleczną. To głupie i samolubne, że rozdrażniła ją swobodnie rzucona i zapewne nic nieznacząca uwaga Raya. Chcąc się zrehabilitować, zadzwoniła do Riny.

– Przyjadę po pracy – powiedziała. – Mam dla ciebie książki. Potrzebujesz czegoś do jedzenia? Mogę przeprowadzić nalot na kuchnię szpitalną albo wpaść do supermarketu.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, żebyś przyjeżdżała – głos Riny był zmęczony. – Jeremy może zakazać. Ray powiedział, że przyjedzie później. Może lepiej z nim porozmawiaj.

– Porozmawiam. Ale nie martw się. Zawsze mogę założyć maskę. Pracuję w szpitalu, pamiętasz? Więc co mogę przynieść?



– Może soki – zgoda Riny na wizytę Donny oznaczała kapitulację. – Jeremy powinien dużo pić, chociaż nie wydaje się zainteresowany ani piciem, ani jedzeniem. W ogóle nie wydaje się niczym zainteresowany. Cały czas leży. Och, Donno, tak się boję.

– Posłuchaj mnie, Rino. Nic mu nie będzie. Dzieci czasem chorują. Ray to świetny lekarz. Wszystko zawsze dobrze się kończy. Wypowiedziała wymagane komunały stanowczym tonem, ale ręce jej drżały. Nie wszystko zawsze dobrze się kończy. Ani ona, ani Rina w to nie wierzyły. Życie każdej z nich i ukochane książki nauczyły je czegoś innego. Szczęśliwe zakończenia nie są normą.

– Powiedz to Annie Kareninie. Powiedz to Edith Wharton – zaripostowała Rina i obie się zaśmiały, a wspólny gorzki humor przytłumił niepokój.

Donna zadzwoniła do Raya i zostawiła wiadomość jego sekretarce. Godzinę później oddzwonił.

– Myślę, że będziemy musieli przełożyć dzisiejszą kolację – powiedział. – Mam tu mnóstwo roboty, a potem chcę jeszcze wpaść do Riny i zobaczyć, jak się ma Jeremy. Trochę się martwię.

– Ja też do nich jadę. Zawiozę im coś do jedzenia, soki i książki na nasze następne spotkanie.

– Donna, to chyba niedobry pomysł, żebyś do nich szła. Nie mamy jeszcze diagnozy. Istnieje ryzyko zakażenia – ostrzegł ją.

– Założę maskę – zapewniła go. – Trish myśli, że to może być zapalenie opon mózgowych. Ty też tak uważasz?

– Jeszcze za wcześnie, by móc cokolwiek powiedzieć. Musimy zobaczyć, jak zareaguje na leki. Nie sędzę, żeby to było to, ale nie wykluczam. Nie chcę go poddawać badaniom inwazyjnym, jeśli nie jest to konieczne. – Był jak zawsze ostrożnym, taktownym, cierpliwym lekarzem, cierpliwym przyjacielem, bardzo cierpliwym kochankiem.

– Ray, Jeremy spędził wczorajszy wieczór u Cynthii. Bawił się z jej dziećmi. Bliźniaczkami.

– W takim razie Cynthia i jej mąż powinni zostać zawiadomieni o zaistniałej sytuacji na wszelki wypadek, gdyby u którejś z

dziewczynek wystąpiły te same objawy.

– Ale wiesz, że Cynthia i Erie są w separacji. On się wyprowadził.

– To nie ma znaczenia. Jest ojcem. Musi zostać poinformowany – stwierdził Ray z zawodową pewnością, a Donna zastanawiała się, jak Cynthia to przyjmie. Ale to również nie miało znaczenia. Wszystko, co powinno ich teraz obchodzić, to zdrowie dzieci.

– Słuchaj, Donno. Może jednak powinnaś pojechać do Riny. Była sama cały dzień. Ważne, żeby zachowywała spokój. Załóż maskę, rękawiczki. Może spotkamy się u niej.

– Dobrze.

Znowu poczuła ukłucie zazdrości. Przedłożył troskę o Rinę nad troskę o nią. I znowu skarciła się za bezpodstawne pretensje. Przecież ją ostrzegł i jest zupełnie naturalne, że martwi się o Rinę. Zarumieniona ze wstydu i irytacji, zadzwoniła do Cynthii, sterroryzowała dwie sekretarki stojące na straży spokoju szefowej i w końcu udało jej się powiedzieć przyjaciółce o chorobie Jeremy'ego, mało prawdopodobnym, choć możliwym zagrożeniu dla dziewczynek i konieczności zawiadomienia Erica.

– Erica? Dlaczego? – zapytała nerwowo, niemal szeptem Cynthia.

– Jest ojcem. Widocznie taka jest procedura, że oboje rodzice muszą być poinformowani o możliwym zagrożeniu i proponowanych środkach ostrożności. Tak przynajmniej rozumiałam z tego, co mówił Ray – odparła Donna.

Cynthia westchnęła.

– Pewnie to nie ostatnia taka sytuacja, z którą będziemy musieli się zmierzyć, jeśli... – Zamilkła.

W tle słychać było różne głosy, dzwonił telefon. Donna wyobraziła sobie ogromne założone papierami biurko Cynthii, przyniesione tego dnia kwiaty (bo na biurku Cynthii zawsze stały świeże kwiaty) w kryształowym wazonie, sekretarki i asystentki, które wbiegają i wybiegają z wyłożonego grubym dywanem biura, podczas gdy Cynthia, targana wątpliwościami, siedzi w ponurej ciszy.

– Jeśli co? – nalegała Donna.

– Jeśli nie uda się nam rozwiązać naszej aktualnej sytuacji. Jeśli. Jeśli. Jeśli. Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać – w jej słowach zadźwięczała irytacja. – Dobra, Donno. Zajmę się tym. Dzięki. No i mam nadzieję, że Jeremy poczuje się lepiej.

W tle rozdzwonił się kolejny telefon i krzyknęła na asystentkę, żeby go odebrała, na miłość boską.

Donna poszła do szpitalnej kuchni, zarekwirowała dwie porcje potrawy w tygielkach dla Riny i zawinięta w ciężką wełnianą, zieloną pelerynę wyszła w lodowatą ciemność i przywołała taksówkę. Skulona na tylnym siedzeniu, zastanawiała się nad słowami Cynthii, podczas gdy kierowca przemierzał oblodzone ulice. Powiedziała, jeśli, jeśli”. A więc nie jest pewna. Najwyraźniej coś musiało się zmienić. Cynthia zaczęła się wahać. Donnę ogarnęła fala nadziei. Jak wszyscy miłośnicy książek, pragnęła szczęśliwego zakończenia.

Donna nie została długo u Riny. Jeremy spał i kiedy Rina wkładała jedzenie i soki kupione w sklepiku spożywczym na rogu do lodówki, Donna zajrzała do sypialni. Chłopczyk leżał bez ruchu na wysokim łóżku, jego wilgotne od potu włosy były rozrzucone na żółtej poduszce, na której dobrotliwy Babar rządził swoim królestwem w dżungli. Donna przypomniała sobie, że *Babar* to jego ulubiona książka. Jeremy był blady, ale policzki miał rozpalone gorączką.

– Dobrze, że śpi – powiedziała łagodnie Rina. – Śpi i nie płacze.

Twarz miała szarą ze zmęczenia, ciemne oczy zaczerwienione, ale włosy starannie zaplecione i, co dziwniejsze, była w długiej, czerwonej, luźnej aksamitnej sukni, którą wygrzebała kilka miesięcy temu w koszu używanej odzieży.

– To ulubione ubranie Jeremy’ego – powiedziała i dotknęła wysokiego kołnierza.

Ubrała się tak, by sprawić przyjemność synowi, który nie otworzy oczu, by podziwiać głęboki kolor, nie przejedzie palcami po miękkim podniszczonym materiale.

Donna podziwiała nadzieję widoczną w tym drobnym geście. Właściwie zawsze podziwiała Rinę za jej odwagę, energię, umiejętność spontanicznego działania. Ona zawsze wybierała funkcjonowanie zgodne ze starannie obranym kursem: zmotywowana do nauki studentka, zorganizowana pracownica, ostrożnie dobrani kochankowie, starannie ograniczone zaangażowanie. Rada matki nie została zapomniana. Położyła rękę na ramieniu Riny.

– Chcę mieć czerwoną aksamitną szatę – powiedziała. – Kiedy natkniesz się na taką następnym razem, kup mi ją.

– Kupię. Ale ty nie będziesz jej nosić – odparła Rina i roześmiane weszły razem do salonu.

Donna zauważyła od razu, że pokój, normalnie zawalony czasopismami, książkami i zabawkami, z rzadko kiedy składaną kanapą, dziś jest wyjątkowo uporządkowany. Papiery na biurku Riny leżą w równych stertach, a długopisy równiutko ułożone obok siebie. Kolorowe poduszki przykrywały nędzną kanapę. Na stoliku pod komputer paliła się pojedyncza lampa, ale ekran monitora był czarny.

– Nie mogłam skupić się na pracy, więc posprzątałam.

– Dobry pomysł.

– Myślę, że twój Ray był lekko zaszokowany panującym tu chaosem.

– On nie jest mój – powiedziała po raz drugi tego dnia Donna.

Wtedy zadzwonił telefon i Rina odebrała.

– Mierzyłam mu temperaturę jakąś godzinę temu. Była niższa. Tylko trzydzieści dziewięć, ale mówił, że głowa nadal go boli.

Donna zdała sobie sprawę, że dzwoni Ray, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja, może z nadzieją, że nie będzie już musiał przyjeżdżać.

– Tak, Donna jest u mnie – ciągnęła Rina. – Dobrze, powiem jej.

Rozłączyła się.

– Co mi powiesz? – zapytała Donna.

– Mają nagły przypadek w szpitalu i musiał do niego popędzić.

Przyjedzie późno. Bardzo późno. Powiedział, że zadzwoni do ciebie jutro.

– Dobrze. W porządku. Rino, chcesz, żebym została? Potrzebujesz czegoś?

– Nie. Chyba spróbuję się trochę przespać. A potem może coś zjem i zabiorę się do którejś z książek. Dość dziwny moment na *Lolita*, nie uważasz?

– Może każdy moment jest dziwny na czytanie tej książki. – Donna się uśmiechnęła, pocałowała Rinę w policzek i wyszła, zamykając za sobą delikatnie drzwi.

Kiedy czekając na windę, szukała w torebce telefonu, zdała sobie sprawę, że zapomniała nałożyć zarówno maskę, jak i rękawiczki. To nie miało znaczenia. Stała pod budynkiem Riny i drżąc z zimna zadzwoniła do Tima, by mu powiedzieć, że owszem, chętnie zje z nim kolację i nie ma nic przeciwko posłuchaniu gitary. Pragnęła zanurzyć się w jego smutnej, nostalgicznej muzyce, siedząc w oświetlonym świecami piwnicznym klubie.

Wiadomość o chorobie Jeremy'ego wywołała niepokój u wszystkich członkiń klubu. Dzwoniły do siebie, by wymieniać się informacjami, przedstawiać swoje sugestie, rozładować niepokój, który mroził ich serca i sprawiał, że ręce im drżały. Kiedy Donna siedziała naprzeciwko Tima w małym bistro i grzebała w sałacie, na którą wcale nie miała ochoty, jej komórka dzwoniła raz po raz. Trish pytała, czy Ray się odzywał. Elizabeth, tak rzadko przystępna, chciała się dowiedzieć, czy Rina czegoś potrzebuje, no, ale przecież Elizabeth wie, co oznacza zajmowanie się chorym dzieckiem. Na koniec zadzwoniła Jen, żeby omówić swoją rozmowę z Cynthią.

– Cynthia mówiła, czego się dowiedziała od ciebie, że Jeremy może być poważnie chory i że to może dotknąć też dziewczynki. – Jen nie użyła słowa „zakażenie”. Nie mówiła o niebezpieczeństwie.

– Może – Donna spojrzała na Tima przepraszającym wzrokiem.

On skinął głową obojętnie i polał swojego hamburgera ketchupem, po czym zgarbił się jak zawsze.

Był wysokim mężczyzną i zdawało się, że wstydzi się swojego wzrostu. Tego wieczoru miał na głowie czapkę, którą wkładał przed każdym występem. Sterczała krzywo na jego niesfornych kasztanowych lokach i Donna, słuchając Jen, sięgnęła ręką przez stół i poprawiła ją. Tim zmarszczył brwi.

W przeciwieństwie do Raya Tim nie miał cierpliwości do jej przyjaźni zawartych w klubie książki. Był człowiekiem całkowicie pochłoniętym swoją muzyką. Zawierał znajomości z innymi muzykami; spędzali razem popołudnia i wieczory na wspólnym improwizowaniu albo słuchaniu nawzajem swoich kawałków. Słodkie, żalosne dźwięki klarnetu i skomplikowane aranżacje smyczkowe poruszały ich serca; kiedy siedzieli, sącząc piwo i zaciągając się własnoręcznie skreconymi jointami, ich stopy przytupywały w rytm i kiwały się głowy.

– Ty i twoje przyjaciółki za dużo mówicie – odezwał się do Donny oskarżycielskim tonem. – Uzywacie zbyt wielu słów.

– A ty wygrywasz za dużo nut – odparowała żartobliwie Donna. Nie zaśmiał się, chociaż śmiech przychodził mu z łatwością.

Donna zauważyła już na początku ich znajomości, podczas pierwszego spotkania na przyjęciu, gdzie uśmiechnięci tańczyli w milczeniu, że to właśnie ta jego oszczędność w rozmowie ją odprężyła, pozwalała odetchnąć od intensywności rozmów z przyjaciółkami i własnych myśli. Tim zapewniał jej równowagę, dziwny luksus milczenia. Lubiła nawet, kiedy wyjmował płytę z nagraniem książki z jej odtwarzacza i zamiast niej puszczał nową żywą wersję *Cumberland Gap*. W takich chwilach posyłał jej chłopięcy uśmiech, kładł duże dłonie na jej talii i tańczył z nią po małej kuchni energetyczną gigę, która wprawiała Donnę w entuzjizm i uniesienie. Ale teraz się nie uśmiechnął, a ona rozmawiała dalej z Jen.

– Ray uważa, że Cynthia powinna powiedzieć o tym Ericowi – mruknęła do telefonu.

– Cynthia chce, żebym była przy tym, jeśli będzie musiała spotkać się z Erikiem – powiedziała Jen. – Nie mam ochoty, ale nie mogę odmówić.

Donna westchnęła.

– Trudna sytuacja. Ale może Jeremy do jutra wyzdrowieje i wtedy nie będziesz musiała podejmować tej decyzji. Zadzwoń do ciebie, kiedy się czegoś dowiem.

Rozłączyła się i z poczuciem winy wyłączyła dźwięk w telefonie.

– Cynthia chce, żeby Jen była przy tym, jak spotka się z Erikiem, by powiedzieć mu, że dziewczynki mogły mieć kontakt z jakimś czynnikiem, który wywołał gorączkę u Jeremy'ego, że może będą musiały przejść jakieś badania – wytłumaczyła. – To stawia Jen w niewygodnej sytuacji.

– Dlaczego? Ty i twoje przyjaciółki od miesiący bez przerwy omawiacie sprawę Cynthii i Erica. To niemal jak refren starej folkowej piosenki. Co on takiego zrobił, że zrobiła to, co zrobiła? – zaczął nucić kpiąco.

– To nie fair – zaprotestowała Donna, uśmiechnięta wbrew woli.

– Prawda nie zawsze jest fair. Teraz więc Jen spotka się z nimi, a potem wszystko wam opowie. Cóż za gratka. Co on powiedział. Co ona powiedziała. Jak na siebie patrzyli. Hej, mam trzy kolejne refreny, wszystkie z podkładem gitary basowej.

Spiorunowała go wzrokiem z udawaną złością, a on uśmiechnął się i zmienił temat.

– Słuchaj – powiedział i wziął ją za rękę. – Na jednej z wysp na Florydzie odbywa się w święta festiwal bluegrass i mam tam prowadzić warsztaty. Będzie świetnie. Ośrodek odnowy biologicznej na Florydzie w zimie. Będę mógł pograć, pouczyć, zabrać ze sobą osobę towarzyszącą, i jeszcze dostanę za to czek na kupę forsy. Co ty na to, Donno? Chcesz być tą osobą? Dałabyś radę wziąć urlop?

Jego nie ograniczał żaden harmonogram pracy. Wybierał, gdzie da występ, na chybił trafił, jedną ofertę przyjmował, inną

odrzucał. Pojawiał się w klubach w centrum, gdzie otrzymywał wysokie wynagrodzenie, a potem grał za darmo w zadymionych dziurach Village, ponieważ chciał pobyć z jakąś konkretną grupą ludzi. Nagrywał płyty, z których część się sprzedawała, a część nie. Jego swobodne, beztroskie podejście do życia stanowiło miłą zagadkę dla Donny, przyzwyczajonej do szczegółowego planowania każdego kroku.

– Nie wiem. Przemyślę to. Jeszcze się nie zastanawiałam nad feriami. Ale to brzmi interesująco.

Brzmiało lepiej niż interesująco. Brzmiało wspaniale. Wyobraziła sobie, jak siedzi na plaży, a słońce pokrywa cętkami strony otwartej na jej kolanach książki. Donna zastanawiała się, czy Ray ma jakieś wakacyjne plany. Przypomniała sobie, że w zeszłym roku był z nią na wystawnym przyjęciu wigilijnym organizowanym co roku przez Cynthię i Erica. Członkinie klubu książki zawsze były zapraszane. Sączyły ajerkoniak, zajadały truskawki w czekoladzie i wraz z grupami zachwyconych gości spacerowały po jasno oświetlonych pokojach, udekorowanych świątecznie gałązkami sosny, ozdobionymi czerwonymi wstążeczkami i jemiolą; w każdym oknie paliły się długie świece. Zbierali się wokół ogromnego świerku, na którego gałęziach wisiały delikatne ozdoby kupione przez Cynthię w małych toskańskich wioskach i nadmorskich irlandzkich miasteczkach, i patrzyli, jak rozpromieniony Erie podsadza Lizę i Julie, zarumienione z radości i śmiechu, z kawałkami srebrnej lamety, błyszczącej w kasztanowych włosach, by zawiesiły na drzewie ostatnią gwiazdę i ostatniego anioła. Ale w tym roku Erica tam nie będzie, a według wszelkiego prawdopodobieństwa Cynthia nie zorganizuje przyjęcia świątecznego bez niego. Nie żeby Rayowi miało tego brakować. Powiedział jej na ucho, że Boże Narodzenie to nie jest jego święto. „Jestem Żydem. Niezbyt ortodoksyjnym, ale na tyle Żydem, by nie obchodzić Bożego Narodzenia”, powiedział, nieświadomy, że jest to powtórka z Riny, która nieraz dawała wyraz podobnym uczuciom.

Mimo to pamiętał wtedy, by kupić Donnie broszkę ze



szlachetnym kamieniem. Tim rzecz jasna nigdy nie dał jej żadnego prezentu.

– OK. Przemyśl to. Chodźmy stąd. I proszę, wyłącz swój cholerny telefon. Nie chcę, żeby któraś z twoich przyjaciółek zadzwoniła podczas solówki klarnetu.

– Dobrze.

Dotrzymała obietnicy i dlatego też dopiero kiedy wróciła do mieszkania, wymknąwszy się podczas ostatniej wiązanki Tima, odebrała wiadomość Raya. Słuchała jego poważnego głosu, kładąc się do łóżka, opatulona w najcieplejszą koszulę nocną.

– Jeremy’emu nie spadła gorączka i wygląda na to, że ból głowy się nasilił. Myślę, że nie możemy już dłużej czekać. Jeśli jutro rano nie będzie poprawy, zapiszę go na nakłucie lędźwiowe. Nie dzwoń do Riny. Dałem jej środek nasenny. – Głos mu się łamał ze zmęczenia. – Trzymaj się, Donno – dodał, jakby po namyśle. To były u niego nowe słowa. Niemal zawsze kończył nocną wiadomość, mówiąc: „Będę o tobie myślał”.

Niejasno zaniepokojona, Donna otworzyła *Czytając Lolitę w Teheranie*, którą zaczęła czytać rano. Po raz kolejny weszła do domu w stolicy Iranu, gdzie kobieta żyjąca wśród książek i kwiatów słucha, jak młoda studentka żartobliwie opowiada jej o pewnym wierszu. Dzieci pisarki bawią się w przyległym holu; rozmawiające kobiety czekają na wyśmienitą świeżo zaparzoną kawę po turecku. Tę wdzięczną, idylliczną scenę, tak zręcznie odmalowaną przez autorkę, zakłócił złowieszczy dźwięk dzwonka.

Donna przerwała czytanie. Nie chciała wiedzieć, kto zadzwonił do domu w Teheranie. Chciała, by kobiety dalej rozmawiały, a dzieci się bawiły. Ale wiedziała, że tak być nie może. Zamknęła książkę i zerknęła na budzik. Było późno, zbyt późno, żeby zadzwonić do Raya, zbyt późno, żeby zadzwonić do kogokolwiek. Westchnęła i zgasła nocną lampkę.

Rina obudziła się w półświatle świtu. Nie poruszając się, przez chwilę zaskoczona, słuchała rytmicznego oddechu Raya. Leżał w

swobodnej pozie na prowizorycznym łóżku ułożonym z koców na podłodze w salonie. Zapomniała, że zdecydował się zostać na noc, co jednocześnie ją przestraszyło i uspokoiło. Spał teraz mocno, chociaż w nocy słyszała, jak cicho wchodzi do sypialni. Jego obecność pozwoliła Rinie pograżyć się na powrót w głębokim, magicznym śnie, w który zapadła kilka minut po tym, jak połknęła dużą różową pigułkę od Raya. Jeśli pozwolił sobie na sen, to na pewno gorączka spadła i Jeremy'emu nic nie jest. Ożywiona nadzieją, rozbudziła się zupełnie, przeszła na palcach obok Raya i zakradła się do sypialni.

Prostokąty porannego światła tańczyły na chudej twarzy Jeremy'ego; Rina podeszła pospiesznie do okna i zaciągnęła roletę, by do pokoju nie wpadała poranna zimowa jasność. Pochyliła się nad łóżkiem, odgarnęła opadający na czoło kosmyk ciemnobrązowych włosów i dotknęła ustami wysokiego bladego czoła syna. Nadal było rozpalone, ale wydawało jej się, że nie aż tak jak poprzedniego wieczoru. Nie oddychał też tak ciężko. Ręce Jeremy'ego, które wcześniej zdawały się drżeć spazmatycznie, teraz leżały spokojnie na kołdrze. Jego stan się poprawił, zdecydowanie się poprawił. Nie powinna wpadać w panikę. Powinna mieć odwagę tych młodych kobiet w Teheranie, którym w każdej chwili groziło niczym nieuzasadnione niebezpieczeństwo, utrata wolności i rodziny, i które poradziłyby sobie z chorobą dziecka z tą samą niezłomnością, z jaką radziły sobie z chorobą ich społeczeństwa. Zaczęła czytać o klubie książki w Teheranie, kiedy Jeremy spał, i mimo woli porównywała siebie i swój klub do grupki kobiet dyskutujących o *Lolice*, podczas gdy na ulicach ich miasta wyły syreny policyjne. Potrzebuję ich dzielności, powiedziała sobie i pomyślała, że mogłaby dołączyć tę książkę do listy lektur w następnym semestrze. Ale teraz musi się ubrać i wrócić do życia.

Przeszła szybko na palcach po pokoju i zgarnęła świeżą bieliznę, czyste džinsy i bluzę sportową. Potem wzięła długi gorący prysznic i ubrała się szybko, otworzywszy uprzednio drzwi do łazienki, by usłyszeć Jeremy'ego, gdyby ją zawołał. Kiedy

zaplatała swoje długie czarne włosy, uniosła wzrok i zobaczyła, że w drzwiach stoi Ray i patrzy na nią. Zarumieniła się, jakby przeszkodził jej w jakiejś intymnej czynności i, co dziwne, jemu również rumieńce wystąpiły na policzki, i spuścił oczy.

– Przepraszam – powiedział łagodnie. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Nic się nie stało. Wielkie dzięki za to, że zostałeś na noc. I za pigułkę. Czuję się jak nowo narodzona. Ale to pewnie dlatego, że Jeremy wygląda znacznie lepiej.

Uśmiechnęła się, ale Ray miał poważną minę.

– Rzeczywiście wygląda lepiej, ale wciąż ma gorączkę. I to mnie martwi.

– Ale jest znacznie niższa. Poczułam to.

– Na pewno nie jest już tak wysoka. Jednakże przy tych wszystkich antybiotykach, jakie dostał, powinna już całkiem ustąpić, gdyby to była zwykła infekcja bakteryjna. A tymczasem gorączka się utrzymuje. Nie chcę ryzykować.

– A jakie to ryzyko? – Skończyła zaplatać włosy, ale nie spojrzała w lustro.

– Chcę mieć pewność, że to nie jest zapalenie opon mózgowych. – Słowa te padły ciężko z jego ust.

– Zapalenie opon mózgowych.

Rina starała się usilnie przypomnieć sobie, co wie na temat tej choroby. Pamiętała, że to jakaś infekcja. I że jest niebezpieczna. Prezenterzy wiadomości mówili o niej poważnym tonem.

– To groźna choroba, prawda? – zapytała w końcu.

– Bardzo.

– Zagrożająca życiu?

Zadrzała. Jeremy nie może umrzeć, nie mogą zostać rozdzieleni. Jest jej dzieckiem, jej małym chłopcem, jej synkiem, tylko jej. Objęła się ramionami i zaczęła się kołysać, tak jak jego kołysała i chroniła przez każdy dzień, każdy rok jego krótkiego życia. Był jej, był wszystkim, co ma, być może wszystkim, co kiedykolwiek będzie mieć. Nie rozplakała się. Łzy pochłoneła próżnia strachu.

– Może zagrozić życiu, jeśli nie wykryje się jej dostatecznie wcześnie. Poza tym to tylko moje przypuszczenie. Dlatego czekałem. Jeremy nie ma żadnych klasycznych objawów. Nie występuje u niego sztywność karku ani nadwrażliwość na światło. Nie ma wymiotów ani drgawek. Ale gorączkuje i boli go głowa. Wolę zgrzeszyć nadmiarem ostrożności. Dlatego też zaleciłbym nakłucie lędźwiowe. Wtedy wiedzielibyśmy na pewno. – Mówił z pełną delikatności cierpliwością.

– Czy nakłucie lędźwiowe jest niebezpieczne?

– Nie. Ale bolesne. To kolejny powód mojego wahania. Nie chcemy zadawać cierpienia małemu dziecku.

– A jeśli rzeczywiście ma zapalenie opon mózgowych... co wtedy robimy?

– Jeżeli to postać bakteryjna, mamy silne antybiotyki. A postać wirusowa jest łagodniejsza i choroba przechodzi samoistnie.

– A co się stanie, jeśli nie rozpocznie się leczenia natychmiast?

Rozumiał, że Rina prosi go o czas, czas, by temperatura zdażyła spaść, ból głowy ustąpić, czas, by wszystkie objawy zniknęły, a Jeremy, psotny, rozbrykany Jeremy, wrócił do niej. Ale czas to luksus, jakiego nie mógł jej zagwarantować.

– Może nastąpić upośledzenie umysłowe, porażenie mózgowe. I Rino, muszę ci powiedzieć, że czasem, gdy kuracja była mocno opóźniona, pacjenci umierali.

– W takim razie jeśli zalecasz nakłucie lędźwiowe, to oczywiście zostanie ono wykonane – odrzekła.

Oparła się o futrynę, jej ciało było bezwładne, gardło suche. Zamierzała, musiała, ulec jego autorytetowi, trosce.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się z wahaniem.

– Tak?

– Ojciec Jeremy'ego. Czy należy go powiadomić?

– Ojciec Jeremy'ego nie wie, że on istnieje – odparła. A potem, choć nie miała ku temu żadnego powodu, opowiedziała mu o tej jednej nocy spędzonej z ascetycznym wykładowcą, po którym Jeremy odziedziczył jasne niebieskie oczy.

– Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłam – powiedziała. –

Nawet Donnie. Nie chciałam, by mnie oceniano.

– Ja bym cię tylko ocenił jako odważną – odparł poważnym głosem i na chwilę położył rękę na jej ramieniu, dotknął jej po raz pierwszy. Ciepło promieniujące z jego czułości stopiło lodowaty strach, który ścisnął ją za serce.

Ray podszedł do telefonu i zadzwonił do szpitala. Rina słuchała, jak ustala termin, wybiera konkretną pielęgniarkę, laboranta. Powiedział do słuchawki, że sam przeprowadzi zabieg, i znowu poczuła przypływ wdzięczności. Było jasne, że odstąpił od swojego ustalonego porządku rzeczy, by osobiście zająć się Jeremym.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do niej.

– Będzie dobrze – powiedział. – Wszystko układa się dla nas korzystnie. Dostanę najlepszą pielęgniarkę, najwyższej klasy laboranta. Mój oddział jest gotowy.

A więc mieli razem stoczyć bitwę, lekarz i matka, kochanek Donny i jej przyjaciółka.

Stanęli w drzwiach sypialni i przypatrywali się dziecku, małemu Jeremy'emu, który ciągle spał, nieświadomy czyhającego na niego niebezpieczeństwa. Ray objął Rinę ramieniem i zaprowadził ją do sofy. Siedzieli razem w półświecie poranka; ona oparła mu głowę na ramieniu, on wziął w palce jej długi jedwabisty warkocz. Książka, porzucona wśród pościeli z nocy, osunęła się cicho na podłogę i Rina spojrzała w dół, na zdjęcie dwóch irańskich kobiet, ubranych na czarno, z chustami przysłaniającymi włosy, zapewne tak ciemne jak jej własne. Smutek wyryty na ich pięknych twarzach przestraszył ją i siłą woli oderwała się od ich rozpacz, tak odległej i tak innej od jej własnej. Będzie silna, musi być silna, dla Jeremy'ego i dla siebie.

Cynthia i Erie mieli się spotkać u Jen i ta decyzja rozżłościła lana. Gniewnie starł z płótna całą swoją poranną pracę. Niespiesznie, z zaciśniętymi ustami zeskrobywał pozostałe ślady farby, trwałą seledynową zieleń, której nienawidził marnować, bo jest bardzo droga i tak trudno ją dostać.

– Czemu tutaj? – zapytał. – Dlaczego nie w ich zamku Śpiącej Królowej, gdzie gruba gospodyni może im podać herbatę i sprzątnąć chusteczki higieniczne, gdyby przypadkiem pan lub pani Dysfunkcyjne Małżeństwo zdecydowali się dać popis hysterii?

– Właśnie dlatego, że nie chcą, by do Mae dotarło coś z ich rozmowy. Boją się, żeby ona lub au pair nie wpadły w panikę z powodu możliwej zakaźności choroby – odparła cierpliwie Jen. Nie zamierzała dopuścić, by Ian rozdmuchał ten konflikt, rozpalił jej złość w odpowiedzi na jego złość. W końcu miała wprawę w gaszeniu płomieni emocji.

– To dlaczego nie spotkają się w jej biurze; no dobra, rozumiem, że to by nie wyszło. No, ale dlaczego nie w kawiarni, restauracji?

– Ponieważ nie chcą, by zauważył ich dziennikarz z jakiejś plotkarskiej gazety i w następnym numerze umieścił złośliwy artykuł na ich temat. No, wiesz, „wielokrotnie nagradzany reżyser Erie Anders i jego piękna żona, dyrektorka do spraw marketingu w Nightingale’s, którzy ostatnio nie pokazywali się razem, zostali zauważeni w Orsini’s... „. Niepotrzebne im to, by ich nazwiska pojawiły się w rubrykach towarzyskich. Nie mają ochoty na krótki wywiad w wiadomościach wieczornych – odpowiedziała wciąż spokojnym głosem. – Będą tu niecałą godzinę, a poza tym...

– Rób, jak chcesz. To twoje mieszkanie – przerwał jej z goryczą.

Dokończył jej myśl słowami, przed którymi sama się zawahała, ale kiedy już padły, podtrzymała je.

– Słusznie. To moje mieszkanie – powiedziała, powstrzymując narastający gniew.

Poprzedniego dnia zapłaciła rachunki za ten miesiąc i chociaż Ian obiecał, że dołoży się do czynszu, a nawet poprowadził dodatkowe zajęcia w tym właśnie celu, na ich konto nie wpłynęły z tego tytułu żadne pieniądze. Kiedy zapytała czemu, odpowiedział obrażonym tonem, że musiał kupić nowe farby, specjalne płótno, zestaw pędzli z sobola. Nic nie powiedziała, w milczeniu zdusiła niechęć. Ale teraz przełamała milczenie. Nagle

stało się dla niej jasne, że jeśli nie będzie stawiać Ianowi żadnych wymagań, nic się nie zmieni. I przyznała, że w tej jednej kwestii Elizabeth ma rację. I jeżeli mają dalej iść wspólną drogą, jakkolwiek droga by to była, on musi się zmienić. Westchnęła. Rzecz jasna, że wiedziała, co to znaczy. To zaangażowanie się, może ślub, dzieci. A to oznacza, że odpowiedzialność Iana musiałaby dorównać jej odpowiedzialności.

Patrzyła, jak Ian zarzuca na siebie płaszcz z lodenu. Jeden kołeczek się oderwał i Jen zamierzała go przyszyć. Może dziś. Akt pokuty, choć i bez Elizabeth z całą pewnością wiedziała, że nie ma za co pokutować. Nie żałowała swoich słów.

Ian wyszedł i głośno zamknął za sobą drzwi. Jen podniosła przesiąkniętą terpentyną szmatkę do czyszczenia, którą rzucił na podłogę. Została po niej plama na deskach z twardego drewna, co ją zezłościło. Zmyła ją w ponurym nastroju. – Nie, powiedziała sobie twardo. Nie przyszyję tego cholernego kołeczka. Na jej ustach zagościł cień uśmiechu; zastanawiała się, czy ta nowa determinacja przypominała tę odczuwaną przez Cynthię, kiedy poprosiła Erica, by opuścił ich dom. Co ona mogłaby powiedzieć Ianowi? „Nie zniosę cię na moim poddaszu ani chwili dłużej, ponieważ nie płacisz swojej części, trzaskasz drzwiami, niszczysz podłogę i dlatego, że chcesz rządzić przestrzenią, która należy do mnie”. Oczywiście, że nie postawiłaby mu takiego ultimatum. Wybaczała mu wiele ze względu na jego talent i dlatego że potrzebuje czułości jego dotyku, uwodzicielskiej miękkości głosu, kiedy się między nimi układa. A układa się częściej, niż się rozpada, przypominała sobie. On się stara. To wiedziała.

Kilka minut po tym, jak wyszedł Ian, przyjechała Cynthia. Była ubrana do podróży – kasztanowe włosy ukryła pod kapeluszem w kształcie hełmu z nerek, długi czarny płaszcz z postawionym kołnierzykiem z nerek sięgał do czarnych butów z miękkiej skóry. Miała w ręku ciężką, odpowiednio dobraną torbę na zakupy i ciągnęła za sobą niedużą walizkę na kółkach. Jen wiedziała, że kiedy Cynthia dotrze na lotnisko, zostanie natychmiast zaprowadzona do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy.

Mężczyźni będą się do niej uśmiechać, a potem spuszczać wzrok. Wyczerpane stewardesy będą się jej przyglądać z nieskrywaną zazdrością.

Ale Jen widziała, że pod precyzyjnie nałożonym makijażem twarz Cynthii jest napięta ze zdenerwowania, a zielone oczy zwężone od braku snu. Nie zdjęła płaszcza, ale ściągnęła rękawiczki. Na jej wypiełgnowanych paznokciach błyszczał szkarłatny lakier. Jen pomyślała nagle o Sanaz, jednej z członkiń klubu książki w Teheranie, która malowała sobie paznokcie na znak protestu przeciw religijnemu zakazowi. Sanaz nosiła czarne rękawiczki, by ukryć swoje nieposłuszeństwo; malowanie paznokci było jej małym, ale wymagającym odwagi aktem buntu. A Cynthia – zajęta, zorganizowana i często przepracowana Cynthia – malowała paznokcie, by przewyciężyć niepokój i smutek, na przekór niezliczonym obowiązkom i rosnącemu wahaniu, które odbiera jej sen.

To także mały akt odwagi. Jen uśmiechnęła się do niej ze współczuciem i podziwem.

– Wybierasz się w podróż? – zapytała.

– Tak. Lecę do Los Angeles. Tylko na dwa dni. Nightingale's otwiera nowy sklep na Rodeo Drive i mam się spotkać z kierownikami, by ułożyć plan marketingowy. Nie robiłaś tej promocji?

Jen skinęła głową.

– Kilka miesięcy temu. Przed wakacjami.

To słowo wisiało między nimi. Zanim małżeństwo Cynthii eksplodowało w tak tajemniczy sposób, niczym mały dotychczas uśpiony wulkan, i spowodowało wstrząsy wtórne w życiu jej przyjaciółek. Zanim otoczyła je zima, z całym towarzyszącym jej niezadowoleniem, groźnymi chorobami. Zanim członkinie klubu książki opętała ciekawość dotycząca tego rozpadającego się małżeństwa. Zanim Erie siedział naprzeciw Jen ze łzami w oczach.

– Ale co jeśli dziewczynki będą musiały przejść te badania, Cynthio? Donna powiedziała, że jeśli to zapalenie opon



mózgowych, może okazać się u nich konieczne takie samo nakłucie lędźwiowe, jakie będzie miał Jeremy, ponieważ zetknęły się z nim. Czy wtedy też polecisz?

Chciała, żeby Cynthia powiedziała, że nie, by wygłosiła krótką mowę o tym, że córeczki są dla niej najważniejsze, że nie mogłaby wyjechać z Nowego Jorku, gdyby miały zostać poddane bolesnemu badaniu inwazyjnemu. Ale Cynthia usiadła na fotonie i przyjrzała się swoim dłoniom. Jen zauważyła, że nie ma na palcu obrączki ślubnej. Jej miejsce zajął pierścionek w kształcie węża, który owijał się wokół palca.

– Nie wiem – powiedziała. – Przypuszczam, że między innymi o tym porozmawiam dziś z Erikiem. W razie czego będziesz musiała pełnić rolę arbitra.

– To nie będzie konieczne – odparła Jen.

Zdała sobie sprawę, że nigdy nie słyszała, żeby któreś z nich powiedziało coś w gniewie, ani do siebie nawzajem, ani do dzieci. Ich małżeństwo zawsze odznaczało się przyzwoitością i uprzejmością. Ich było małżeństwo, poprawiła się.

– I będziemy musieli podjąć tę decyzję szybko – ciągnęła dalej Cynthia. – Samochód, który ma mnie zawieźć na lotnisko, przyjedzie za godzinę. – Zerknęła na zegarek. – Erie się spóźnia – powiedziała, ale zanim zdążyła skończyć zdanie, odezwał się dzwonek do drzwi.

– Nie – zawołała z ulgą Jen i pobiegła otworzyć. – Przyszedł dokładnie o czasie.

Erie cmoknął Jen w policzek i przeszedł pośpiesznie przez pokój do Cynthii.

Cynthia się odprężyła i zdjęła kapelusz, tak że włosy otoczyły jej smukłą twarz jakby świetlistym płomieniem. Jen obserwując, jak Erie dotyka lekko ręką głowy Cynthii, po czym delikatnie ujmuje ją za podbródek, pomyślała nieżyczliwie, że przyjaciółka zarezerwowała ten dramatyczny gest na moment jego wejścia.

– Witaj, Cynthio.

– Cześć, Ericu.

Wypowiedzieli swoje imiona miękko, wpatrywali się w siebie

badawczo. W końcu nie widzieli się od końca lata, kiedy ich skóra miała jeszcze na sobie złote ślady śródziemnomorskiego słońca, a słowa, jakie wtedy padły między nimi, musiały zarzyć się gniewem i żalem. Teraz była zima, stali przed oszronionym oknem, oczy w ich bladych twarzach przygaszone były niepokojem.

Jen zrobiła herbatę, napełniła kubki, przyniosła ze spiżarni włoskie ciasteczka i ułożyła je na talerzu ceramicznym. Podczas wykonywania tych czynności słyszała ich głosy, ciągły potok słów, które, jak się zdawało, przychodziły im z zaskakującą łatwością. Po tych długich miesiącach milczenia spodziewałyby się kłopotliwych pauz w rozmowie. Wiedziała, że się nie widzieli, ale chyba musieli rozmawiać. Trzeba było ustalić terminy spotkań Erica z dziećmi, omówić kwestie domowe i finansowe, może zorganizować spotkanie ich adwokatów – chociaż Jen ze zdziwieniem nagle zdała sobie sprawę, że ani Cynthia, ani Erie nie wspominali nic o adwokatach.

Ta myśl jej nie opuszczała, gdy stawiała przed nimi zastawioną tacę. Cynthia, tak przyzwyczajona do obsługi, tak pewna, że Jen wie dokładnie, jaką lubią herbatę, wzięła kubek i napiła się gorącego płynu. Skinęła na Jen, żeby usiadła, ale ona pokręciła głową i poszła do swojego biurka. Wybierała czcionkę do nowego projektu, kiedy dobiegły ją ich słowa.

– Popytałem trochę – powiedział Erie. – Panuje powszechna zgoda co do tego, że zapalenie opon mózgowych jest na tyle niebezpieczne, że nakazuje zachować najwyższą czujność, jeśli był jakikolwiek kontakt z chorym. Ludzie, z którymi rozmawiałem, ten brytyjski lekarz, który współpracował ze mną przy filmie dokumentalnym o chorobach zakaźnych w krajach Trzeciego Świata, i specjalista z Cleveland Clinic, wszyscy zgadzają się w tej kwestii. Jeśli u Jeremy’ego zostanie rozpoznane zapalenie opon mózgowych i jeśli dziewczynki bawiły się z nim tego wieczoru, kiedy zachorował, istnieje zagrożenie i będą musiały mieć nakłucia lędźwiowe. Myślę, że nie mamy wyboru – był dobrze wyszkolonym, wytrawnym badaczem, troskliwym i

ostrożnym ojcem. Przemyślał wszystko i podjął decyzję.

– Masz rację – powiedziała stłumionym głosem Cynthia. Nie było tu żadnego pola bitwy. Zgadzała się ze sobą w pełni.

– Mówiłaś przez telefon, że musisz lecieć do Kalifornii?

– Nie muszę. Nikt nie umrze, jak nie będzie mnie na tym spotkaniu.

– Ale nie ma żadnego powodu, żebyś miała nie jechać. Ja jestem wolny. Pracę nad następnym filmem zaczynam dopiero za tydzień.

– Powinam być przy nich.

– Ależ Cynthio, opiekowałaś się nimi tak często, kiedy ja wyjeżdżałem. Teraz mogę zrobić dla ciebie chociaż tyle.

Cynthia milczała. Jen czekała, aż zaprotestuje, wyrazi niepokój, postawi warunki. Czy pozwoli mu zostać w domu pod jej nieobecność? Czy mu zaufa? Próbowała przypomnieć sobie dokładnie, co powiedziała wtedy Cynthia. „Odkryłam coś, co nie pozwala mi z nim żyć. Nie mogę się zgodzić, by przespał w tym domu choćby jeszcze jedną noc”. To albo coś bardzo podobnego. Czyżby coś w tym tajemniczym, potwornym odkryciu straciło na znaczeniu albo może wyjaśniło się w ciągu tych kilku miesięcy? Czyżby częściowo wróciło zaufanie, że teraz nie niepokoi jej już myśl o zostawieniu dzieci z Erikiem?

Jen odłożyła cienkopis. Cisza się przeciągała. Samochód Cynthii miał zaraz przyjechać. Będzie musiała zdecydować – zostaje czy jedzie. Jen przyszło do głowy, że może czekają, aż ona coś powie, i próbowała wymyślić, co by to mogło być. Elizabeth wiedziałyby intuicyjnie. W końcu jest matką.

Zadzwoił telefon, jego ostry zew przebił grubą powłokę pełnej napięcia ciszy, jaka ich otaczała. Jen sięgnęła po słuchawkę. Cynthia i Erie zerwali się na równe nogi. To była Donna, mówiła zbyt szybko, z trudem łapała oddech z powodu przytłaczającego ją uczucia ulgi.

– Wszystko w porządku. Najzupełniej w porządku. Jeremy obudził się z długiego snu. Ból głowy minął, temperatura prawie w normie. Ray mówi, że nie ma żadnej obawy, że na pewno to nie

jest zapalenie opon mózgowych, tylko jakaś infekcja. Odwołał nakłucie łądźwiowe. Och, Jen, Rina się rozplakała, a ja... czuję ogromną ulgę. Nareszcie odetchnęłam.

– Wiem, jak się czujesz – odparła Jen. – Cynthia i Erie są tutaj. Powiem im wszystko. Pogadamy później.

Podbiegła do nich radośnie.

– Wszystko dobrze. Z Jeremym wszystko dobrze. Zupełnie wyzdrowiał. Nie ma żadnego zagrożenia. Nie ma dla niego, więc nie ma i dla waszych dziewczynek.

Złapali ją za ręce, a ich twarze się rozpromieniły.

– Och, Jen, to wspaniale. Dzięki Bogu.

– Och, Erie, nic im nie jest.

– Nasza Julie.

– Nasza Liza.

Ich głosy zlały się w chórek czułości, który zaraz zakłócił dobiegający z ulicy dźwięk klaksonu. Przyjechał samochód Cynthii. Złapała swój kapelusz, torbę, a Erie wziął jej walizeczkę. Oboje szybko, z wdzięcznością uścisnęli Jen, po czym zniknęli za drzwiami.

Jen patrzyła z okna, jak Erie podał walizkę kierowcy, jak przytrzymał przed Cynthią drzwi samochodu. Pochylił się ku niej i przez chwilę Jen pomyślała, że może rzucą się sobie w ramiona, że może się pocałują, ale Cynthią tylko wyciągnęła do niego dłoń w rękawiczce i zniknęła w samochodzie, ukryta za przyciemnianymi szybami pojazdu. Kiedy kierowca odjeżdżał, Erie stał i patrzył, potem postawił kołnierz swojego długiego płaszcza z wielbłądziej wełny, zawiązał sobie na szyi miękki, żółty wełniany szalik i zebrałszy siły przeciw szalejącemu wiatrowi, ruszył szybko przed siebie.

Tego wieczoru przyjaciółki zebrały się w mieszkaniu Riny; to było nadzwyczajne nieplanowane spotkanie klubu. Nie przyszły jednak, by rozmawiać o książkach, chociaż w teczkach i torbach na zakupy ciążyły im egzemplarze *Czytając Lolitę w Teheranie* i powieści Nabokova. Będą czytały podczas jazdy autobusem i

metrem, w kolejce do kasy, będą kradły minuty, by pochłaniać żarłocznie akapity i strony. Kiedy spotkają się u Trish, lektury będą przeczytane, a one gotowe do dyskusji. Ale dziś zebrały się, by przekonać się, że Jeremy rzeczywiście wyzdrowiał, i żeby dać Rinie chwilę wytchnienia i wsparcie.

A Jeremy, owszem, wyzdrowiał. Siedział na łóżku z łobuzerskim uśmiechem, a jego ciemne włosy, gęste jak mamy, były wilgotne po kąpieli. Miał na sobie nową niebieską pizamę z najdelikatniejszej flaneli, w tym samym kolorze co jego przeszywające błękitem oczy.

– To podarunek z Nightingale’s, przysłano dziś po południu – oświadczyła Rina i wyprostowała mu kołnierzyk, po czym szybko cofnęła rękę, by uniknąć żartobliwego wyrażającego sprzeciw trzepnięcia. – Cynthia działa szybko.

– Pewnie zleciła to w drodze na lotnisko – spekulowała Jen.

Wyobraziała sobie Cynthię opartą o skórzane siedzenie w samochodzie, trzymającą w ręku telefon, przez który podaje swojej asystentce rozmiar Jeremy’ego, określa kolor, literuje nazwisko i adres. Profesjonalna, zorganizowana Cynthia, obecna nawet, gdy jej nie ma. Przyjaciółki spojrzały na jej prezent z uznaniem. Wiedziały, że niedługo zaczną o niej rozmawiać, o niej i o Ericu. Będą wypytywać Jen o szczegóły ich spotkania, próbując dopasować ten skrawek informacji do układanki, której nie mogły złożyć w całość.

One również przyniosły upominki. Elizabeth wręczyła Jeremy’emu składany samolot i patrzyła, jak łączy ze sobą części na leżącej na łóżku tacy. Sprawnie złożył skrzydła, głowił się nad ogonem. Elizabeth umieściła cienką listewkę z balsy we właściwym miejscu i uśmiechnęła się smutno. Adam nigdy nie zdoła złożyć modelu samolotu. Jedyne co ta nowa droga terapia obiecywała, a nawet tę obietnicę sformułowano w sposób bardzo ostrożny i niejednoznaczny, to „wrażenie normalności”. Złożenie samolotuzabawki zapewne wykraczało zdecydowanie poza to „wrażenie”.

Donna przyniosła duszoną potrawę z Mopsikami, którą zjadły z

papierowych talerzyków. Rina naląła czerwonego wina, które przyniosła Jen, do plastikowych kubeczków i wzniosły toast za siebie i za Jeremy'ego.

– I za Raya – powiedziała Rina. – Był wspaniały.

– Za Raya – powiedziały wszystkie jednogłośnie, a Jeremy zawołał z drugiego pokoju.

– Kto to jest Ray? Nie znam Raya. Mogę dostać trochę wina?

Kobiety się roześmiały.

– Ray to przyjaciel Donny, ten miły lekarz, który zajmował się tobą – odkrzyknęła Rina. – Wiesz doskonale, że nie dostaniesz wina. Pij swój soczek.

Rina znów napełniła swój kieliszek i zwróciła się do przyjaciółek:

– Widać już całkiem wyzdrowiał. Świetne wino, Jen.

– Właściwie to od lana. Podarunek na zgodę. Posprzeczaaliśmy się, ponieważ pozwoliłam Cynthii i Ericowi spotkać się u nas, i pewnie było mu przykro, że dał mi się we znaki. Malował zimowy pejzaż i nie mógł wykorzystać najlepszego światła.

Jen zamieszała wino w swoim kieliszku i pomyślała o żalonym uśmiechu lana, kiedy wrócił do domu z barwnie zapakowaną butelką.

– Nie miałem racji – powiedział i przytulił ją, a ona dotknęła ręką jego twarzy w geście wybaczenia.

– To się już nie powtórzy – dodał, ale ona nic nie odpowiedziała.

Dorastała w domu, gdzie takie obietnice były składane codziennie, zarówno przez ojca, jak i przez matkę, ale nigdy nie dotrzymywane. A jednak ton lana brzmiał zdecydowanie, oczy patrzyły miękko pełnym żalu. Rozumiał, co ryzykuje. Jen, w uczuciu ulgi, uściskała go.

– Biedny Ian – mruknęła sarkastycznie Elizabeth.

Jen rzuciła jej gniewne spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

– A jakie wrażenie sprawiali Erie i Cynthia? – zapytała Trish, rozkładając ciastka, które przyniosła.

– Było dobrze – odparła Jen. – A przynajmniej tak to

wyglądało. Trochę dziwnie. Dziwnie dla mnie. Zachowywali się niemal tak, jakby nic się między nimi nie wydarzyło. Byli względem siebie bardzo uprzejmi. Okazywali troskę o dzieci i o siebie nawzajem.

– Książę i księżniczka wdzięku i dobrego wychowania – skomentowała Elizabeth, po czym, zbyt szybko, przeprosiła za ostrość swoich słów. – Przepraszam. Zastanawiałam się, jak by to wyglądało, gdybym ja kiedyś przeprowadzała rozmowę z Bertem w takiej sytuacji. Aż strach pomyśleć.

Milczały. Wiedziały o napięciach w małżeństwie Elizabeth; współczuły jej jako żonie Berta i matce Adama. Rozumiały, że uzbroiła się w strzały gniewu, że surowy sarkazm służy jako tarcza przeciw ich współczuciu i jej melancholii. Usprawiedliwiały ją, ceniły sobie jej opinie, podziwiały przenikliwość spostrzeżeń, ale jej nie lubiły. Patrząc na siostrę, Jen zapragnęła nagle z całej siły, żeby to Elizabeth, a nie Cynthia, ogłosiła rozpad swojego małżeństwa. Nie musiałyby wtedy zgadywać, jakie były przyczyny.

– Więc myślisz, że poprawiło się między nimi, że mogą do siebie wrócić? – zapytała Donna.

– Nie wiem – odparła niecierpliwie Jen. – Skoro nie mamy pojęcia, dlaczego się rozstali, skąd możemy wiedzieć, czy się pogodzą? Wiem tylko, że myślę o tym zdecydowanie za dużo. Wszystkie myślimy za dużo.

– Ja też się nad tym zastanawiałam – odezwała się Trish. – Gdybym miała przeprowadzić ocenę kliniczną, powiedziałabym, że wszystkie dokonujemy pewnego rodzaju przeniesienia.

– Przeniesienia? – zapytała ostro Elizabeth.

– Tak. Chodzi mi o to, że zapewne przeniosłyśmy na sytuację Cynthii wiele własnych lęków. Może nawet w procesie projekcji wyobraziłyśmy sobie siebie same jako Cynthię. Gra w zamienianie się miejscami. Będę zupełnie szczerą. Zauważyłam, że sama właśnie to robię.

– Mówisz, że Cynthia i Erie stali się Trish i Jasonem? – Jen zadała pytanie niepewnie, ale uznawała słuszność słów Trish. W

pewnym sensie ona też zamieniła się miejscami z przyjaciółką. Podczas ostatnich miesięcy dość często przykładała zachowanie lana do tajemniczej miarki Cynthii. To dlatego w końcu dała odczuć ukochanemu swoje niezadowolenie, swój gniew. Ale jak może korzystać z tej miarki, skoro nie wie, co zrobił Erie. Wzięła do ręki pusty papierowy talerzyk, podniosła z podłogi kredkę Jeremy'ego i narysowała od niechcienia grupę postaci, mężczyzn i kobiet, trzymających się za ręce w kółku; kobiety patrzyły w jedną stronę, a mężczyźni w przeciwną. Pomyślała o swoim komiksie na podstawie *Loterii*. Zastanawiała się, dlaczego nigdy nie pokazała go Ianowi. Pewnie dlatego, że bała się jego krytyki. Przyjrzy mu się, kiedy wróci do domu, może jeszcze nad nim popracuje. I wtedy ewentualnie mu go pokaże.

– Myślę, że się mylisz, Trish – powiedziała cicho Donna. – Uważam, że nasza fascynacja bierze się z czego innego. Cynthia w naszym klubie to coś jak królowa college'u w korporacji zwykłych studentek. Chce się być blisko dziewczyny, którą każdy pragnie móc nazywać swoją przyjaciółką, bo ma wszystko. Piękna, to oczywiste, ale też jakoś tak się składa, że królowa to też świetna studentka, laureatka nagród dziekańskich, członkini Phi Beta Kappa – przynajmniej tak to wyglądało na naszym uniwersytecie. Pamiętasz, Rina?

Rina skinęła głową.

– I w dodatku była bogata. Chyba wszystkie nasze królowe miały bardzo chudych, arystokratycznie wyglądających rodziców, którzy jeździli najnowszymi długimi, eleganckimi samochodami. Królowa nosiła prawdziwe perły i miała szufladę pełną kaszmirowych swetrów.

Uśmiechnęła się i podeszła do drzwi sypialni, by sprawdzić, jak tam Jeremy. Chłopiec spał i Rina delikatnie przełożyła części modelu samolotu na stolik nocny. Zgasiła światło i zamknęła za sobą drzwi.

– Czy wszystkie swetry były w pastelowych kolorach? – zapytała Trish.

– Owszem. I oczywiście królowa zawsze na kimś wisiała.



Zazwyczaj na przewodniczącym samorządu, który też był przystojny i genialny. Nic dziwnego, że każdy chciał siedzieć obok niej w stołówce albo wracać z nią do domu z biblioteki lub pracować nad jednym projektem. Może część magii jej życia przeszłaby na innych – ciągnęła Donna.

– A Cynthia to królowa naszego klubu – zgodziła się bezbarwnym głosem Elizabeth. – Ma życie, jakiego pragnie każda z nas.

– Miała. Miała takie życie – poprawiła ją Donna. – Ale rzeczywiście. Była królową naszego dorosłego życia. Piękna, diabelnie inteligentna, wspaniałe małżeństwo, wspaniała praca, wspaniałe dzieci, wspaniały dom. Dodatkowe informacje można znaleźć w rubrykach towarzyskich.

– Kupa pieniędzy – dorzuciła Rina i wszystkie się roześmiały.

– Tak. Kupa pieniędzy. No i jeszcze na zakończenie tej długiej listy jest wspaniałą przyjaciółką. Wspaniałą przyjaciółką dla nas wszystkich.

– Z doskonałym gustem w kwestii chłopięcych pizam – stwierdziła Rina i znowu się roześmiały.

– Ona w pewnym sensie wprowadziła nas w swoje pełne przepychu życie. A przynajmniej czasem nas wprowadzała. Dostawałyśmy zaproszenia na premiery Erica i na specjalne akcje w Nightingale's, prezenty z jej wyjazdów nad Adriatyk i na Karaiby. I do tego jeszcze te przyjęcia wigilijne. Przyjemnie było nawet zobaczyć jej zdjęcie w dziale mody w niedzielny ranek i powiedzieć „Hej, to moja przyjaciółka”. W pewnym sensie ona była całym naszym życiem. Będę równie szczerą jak Trish. Ja robiłam to samo. W wyobraźni zamieniłam swoje życie na jej. To ja odlatywałam odrzutowcem na Riwierę. To ja mieszkałam w tym wielkim domu, ja układałam żółte róże w miedzianych wazonach, nim wyszłam do swojego fantastycznego biura. To ja miałam to wszystko.

Może to właśnie Trish nazywa przeniesieniem – stwierdziła Donna.

– Nie – zaprotestowała Trish. – Nie o tym mówiłam.

– Ale mów dalej, Donno. Twoja koncepcja podoba mi się bardziej niż teoria Trish – powiedziała lekkim głosem Rina.

– No i wtedy Cynthia mówi nam, że poprosiła Erica, by odszedł, i w pewnym sensie cały domek z kart się rozpada. Jesteśmy rozczarowane. Może nawet czujemy się zdradzone. Jakbyśmy się dowiedziały, że królowa wypycha sobie stanik i ściąga na egzaminach. W pewnym sensie mamy osobisty interes w tym, by się dowiedzieć, dlaczego tak się stało. Ale trochę się też boimy. Jeśli to spotkało Cynthię, może spotkać i nas. Każdy związek może się rozpaść. Tim, który ma dość słuchania o tym wszystkim, nawet ułożył z tego coś w rodzaju ballady. – Zaśmiała się i zaczęła naśladować jego cichy śpiew: „Co on takiego zrobił, że powiedziała to, co powiedziała?”. A więc tak – ciągnęła – popadłyśmy w obsesję. Ale myślę, że nie powinnyśmy się tego wstydzić. Nie kieruje nami zawiść. – Odchyliła się do tyłu, jakby chcąc odpocząć.

Zaskoczyła samą siebie. To dla niej nietypowe mówić tak długo, z taką pasją. Od dzieciństwa pielęgnowała wewnętrzną ciszę, narzuciła sobie spokój, który pozwalał jej odnosić się z łagodnością do wiecznie pobudzonego ojca i pracować obok matki w pełnym ciepła milczeniu. W tej niezwykle czystej kuchni z zamkniętymi na zasuwę drzwiami razem kroiły w kostkę, siekały i mieszały, zasłuchane w melodyjne głosy czytające powieści, które podtrzymywały je na duchu. Rzadko wypowiadały na głos swoje myśli, ponieważ bały się otwarcie je wyrazić.

Mówienie do przyjaciółek z taką szczerością było czymś innym. Odwagę dała jej intelektualna bliskość, która je łączy, szczerość rozmów prowadzonych przez te wszystkie lata. Pomyślała nagle o klubie książki w Teheranie. Przy lekturze książki Nafisi zdała sobie sprawę, że to nie otaczające je zagrożenia i okrucieństwo poruszało te kobiety, ale emocjonalne wsparcie, jakie sobie nawzajem dawały. Chociaż różniły się od jej przyjaciółek, ich życie się różniło, łączyło je poczucie solidarności. One też spekulowały na temat wzajemnych sekretów i zastanawiały się nad prywatnymi odkryciami, które przeciekały

do ich dyskusji o Henrym Jamesie i Jane Austen. One również rozumiały i wybaczały sobie nawzajem słabości, a także ceniły szczerłość, która nie ma na celu ranić.

– Myślę, że masz rację, Donno – powiedziała Jen. – Ale zapomniałaś o jednym. Według mnie wszyscy musieli zazdrościć królowej balu. Nie powiedziałaś nic o naszej zazdrości wobec Cynthii.

– Ależ to jasne, że jej zazdrościliśmy. Donna nie musiała mówić. Wszystkie wiemy, że to prawda – wtrąciła Elizabeth. – Jak mogłybyśmy jej nie zazdrościć? Miała wszystko. Nadal ma więcej niż niektóre z nas. – Jej słowa przenikała gorycz. Cynthia ma zdrowe dzieci. A gdyby zachorowały, stać ją na najlepsze leczenie. Oczywiście, że Elizabeth jej zazdrościła.

– Ale nikt, nikt w tym pokoju nie cieszy się z tego, co dzieje się między nią a Erikiem. – Trish spoglądała na wszystkie po kolei, a one przyznawały jej rację skinieniem głowy. – A więc nie jest to przypadek Schadenfreude. Myślę, że możemy sobie z tego powodu pogratulować.

– Nawet jeśli nie umiemy powstrzymać ciekawości – powiedziała Jen, po czym odwróciła talerzyk na drugą stronę i odłożyła kredkę.

– Chyba zgadzam się zarówno z Trish, jak i z Donną. Jesteśmy – a przynajmniej ja jestem – tkwiąc jedną nogą w przeniesieniu, a drugą w syndromie królowej balu. Mimo tego, że w mojej szkole artystycznej nie było królowej balu.

– Nie musisz znać królowej, żeby jej zazdrościć – stwierdziła Rina i wszystkie się roześmiały.

Trish zaproponowała moratorium na wszelkie dalsze rozmowy o Cynthii i Ericu.

Dyskusja przeniosła się na temat planów na wakacje zimowe. Elizabeth i Berta zaprosili znajomi z Vermontu, ale Elizabeth niepokoiło to, że byłiby tak daleko od Adama.

– Vermont to nie biegun południowy – stwierdziła Jen. – Jedź, Elizabeth. Działanie to znakomite antidotum na zazdrość.

Spojrzały na nią z ciekawością. Jen rzadko rzucała wyzwanie

siostrze. Zaskoczyło je, że Elizabeth nie odpowiada atakiem, tylko siedzi nieruchomo, z plecami jak zawsze idealnie prostymi.

– Czekamy na telefon od terapeuty Adama. Zaczął teraz nowy program; lekarze myślą, że może łatwiej się przystosuje, jeśli przez jakiś czas nie będziemy go odwiedzać, więc zależnie od tego, co powiedzą, może rzeczywiście pojedziemy do Vermontu – powiedziała. – To by oczywiście znaczyło, że moja matka zostanie na święta sama.

– Nasza matka – poprawiła ją Jen. – Jeśli wyjedziecie, to ja tak zorganizuję swoje plany, żeby być w Wigilię w domu. Tyle że droga mamusia nigdy nie poddawała się świątecznemu nastrojowi.

Jen powiedziała, że myśli o tym, by spędzić kilka dni w Meksyku, jeśli uda jej się to załatwić.

– Wzięłabym tam ze sobą rysunki do *Loterii* i popracowałabym nad nimi. Mam też zrobić ulotkę reklamującą jakiś podkład, więc mogłabym zabrać również tę pracę. Marzy mi się, żeby przez kilka dni popracować na słońcu.

Nie wspomniała o lanie, a one nie pytały.

Powoli, z rozmysłem, przedarła na pół papierowy talerz, na którym bazgrała.

Trish i Jason mieli na oku przyjazny dzieciom rejs na Karaiby.

– Staramy się teraz od czasu do czasu gdzieś wyrwać, dobrze się bawić. Gromadzić zapasy dobrych chwil. I to działa. W końcu zrywamy z rutyną, w którą wpadliśmy – powiedziała.

Potakiwały ze zrozumieniem. Nie musiały pytać, kiedy Trish dostrzegła, że ona i Jason popadli w rutynę, i co ją zmotywowało, żeby się od tego uwolnić. Wszystkie doświadczyły takiego samego przebudzenia.

Donna rozważała wyjazd na festiwal bluegrass na Florydzie z Timem.

– Odbędzie się to w jakimś spa w Keys, a ja nigdy nie byłam w Keys. Ani w spa, skoro już o tym mowa.

– Czy nie miałabyś w takim razie nic przeciw temu, żebym zaprosiła Raya na Chanukę? Zamierzam urządzić małe przyjęcie, kilku kolegów z klasy Jeremy’ego i ich rodzice – powiedziała

Rina. – Mogłabym w ten sposób podziękować Rayowi. Tak wspaniale zajął się Jeremym.

– Nie, oczywiście, że nie mam nic przeciw temu – odparła cicho Donna. Byłoby miło. Byłoby wspaniale. Ani Ray, ani Rina nie obchodzą świąt Bożego Narodzenia, a Chanuka pewnie jest dla nich ważna, mimo tego, że każde z nich z osobna powiedziało jej, że nie należy do „ortodoksyjnych Żydów”. – Pewnie. Życzę wam udanego przyjęcia. Mam nawet kilka świetnych przepisów na oładki, mogę ci dać.

Trish wpatrywała się w nią ze zdumieniem. Sądziła, że spokój Donny to tylko pozory. Współpracowała z nią blisko w szpitalu i zauważyła niemal niewyczuwalną zmianę w jej tonie, delikatną nutę zdenerwowania w głosie, która oznacza lekkie rozdrażnienie. Ale to rozdrażnienie nigdy nie przeradza się w złość. Uświadomiła sobie, że nawet w najbardziej drastycznych sytuacjach, nigdy nie widziała, żeby Donna straciła panowanie nad sobą. Z powodu tego spokoju pielęgniarki nazywały ją czule „Madonną”. Trish patrzyła, jak Donna idzie z ceramiczną miską po klopsikach do zlewu i myje ją w skupieniu. Potem szybko zmienia temat.

– Posłuchajcie – mówi – gdziekolwiek będziemy, w Meksyku, Vermoncie czy na Karaibach, musimy skończyć czytać książki na następne spotkanie. Chociaż *Lolita* to niekoniecznie lekka wakacyjna lektura.

– Od kiedy to obowiązuje u nas sezonowa zgodność lektur? – zapytała Rina.

Ziewnęła, a przyjaciółki, spojrzawszy na zegarki, zdziwiły się, że jest już tak późno.

Włożyły płaszcze, przekopały torebki w poszukiwaniu kart miejskich. Zadzwoił telefon Trish; zapewniła Jasona, że jest już w drodze do domu. Donna włożyła pustą miskę po potrawie do plastikowej torby na zakupy, która okazała się jednak za mała i Rina dała jej zniszczoną reklamówkę z Saksa na Piątej Alei, z której wypadł na podłogę jakiś skrawek papieru. Donna go podniosła. Był to paragon za czarną skórzaną torebkę. Pokręciła głową ze znużeniem. Znały się tyle lat, że Rina nie zaskakiwała jej

ani nie rozczarowywała, ale wciąż pozostawała zagadką. Przyszło jej do głowy, że powinna powiedzieć Rayowi o tym, że Rina czasem przedkłada fantazję nad rzeczywistość, ale odsunęła od siebie tę myśl. Są dorośli. Ona nie jest za nich odpowiedzialna. I dlaczego Raya miałoby to obchodzić, skąd w ogóle ten pomysł, że mogłoby go to obchodzić? Zgniotła paragon, zwolniona przez samą siebie z wszelkiej odpowiedzialności, ale świadoma nowego i niesprecyzowanego smutku, który spowalniał jej ruchy, kiedy zarzucała na plecy ciężki zimowy płaszcz i chowała długie włosy pod beretem.

Elizabeth zadzwoniła do Berta i choć mówiła bardzo cicho, przyjaciółki usłyszały, jak dwukrotnie wspomina imię Adama.

– Czy terapeuta powiedział jeszcze coś innego o Adamie? Jak Adam reaguje? – Syn, który nie potrafi im spojrzeć w oczy, zawsze pozostaje w ich myślach.

Rozłączyła się i Jen podała jej płaszcz, wręczyła koralowy szalik, a Elizabeth zawiązała go zbyt ciasno wokół szyi.

– Dobranoc, Rino.

Ich pożegnalne okrzyki złożyły się na czułą pieśń, a reakcja Riny wyrażała radosną energię i wdzięczność.

– Wielkie dzięki, że przyszyście. I za wszystkie prezenciki.

– Trzymaj się.

– Ucałuj Jeremy'ego. Powiedz mu, że nie wolno mu mieć więcej żadnych bólów głowy.

Rina stała w drzwiach i machała, kiedy one ze śmiechem wciskały się do windy. Zadzwonił telefon i wróciła szybko do mieszkania, by go odebrać.

– Och, ma się dobrze. Zupełnie dobrze. Dzięki za telefon, Ray.

Uśmiechnęła się, odkładając słuchawkę, po czym poszła do sypialni, gdzie spał Jeremy, czoło miał chłodne, a oddech regularny. Dotknęła głowy syna i delikatnie zawinęła sobie ciemny loczek wokół palca. Po raz pierwszy od lat poczuła, że czas na szczęście.

## Rozdział szósty

Trish nienawidziła stycznia. W tym miesiącu ludzie porzucają choinki o nagich, suchych gałęziach na poszarzałych zaspach śniegu wzdłuż chodników. Z wysokich kubłów na śmieci wypiętrzają się rozmiękłe kartony po dużych plastikowych zabawkach. Zgniecione pudełka po prezentach, pochłapane fusami i sosem pomidorowym, tworzą pokracczne piramidy na krawężnikach. Krótka euforia świąteczna minęła i piesi brną przez błotniste kałuże z głowami nisko pochylonymi przed wiatrem. W styczniu ciemność zapada zbyt wcześnie, a dzień pracy kończy się zbyt późno. W oknach biur w wysokich budynkach fluorescencyjne żarówki emitują sztuczne jasne światło, niosące obietnicę ciepła i przyjemnej atmosfery, ale ci, którzy wpatrują się beznamiętnie w ekrany komputerów i odbierają dzwoniące telefony, nie dają się nabrać.

Blade kobiety zaciągają zasłony w oknach, jakby chciały ochronić swoje domy przez groźbą zimna i ciemności. Dzieci siedzą zbyt blisko telewizorów i ciągle się kłócą. Zmęczone. Znudzone. Dni wloką się długo, a tygodnie jeszcze dłużej. Styczeń to miesiąc nieprzerywany żadnymi chwilami nadziei. Nie ma wakacji; nic nie przełamuje monotonii zimowego chłodu. Okrucieństwo stycznia wytrąca z równowagi, mrozi pamięć, przytępia pragnienia.

Trish miała wypełniony terminarz. Styczeń to miesiąc, kiedy uczucie rozczarowania osiąga powoli temperaturę wrzenia, kiedy przygnębienie ścina się w przegrzanych pokojach. Pacjenci w depresji dzwonili do niej, by umówić się na dodatkowe spotkania. Po każdej sesji terapeutycznej jej biurko zaśmiecały kawałki chusteczek higienicznych, porzuconych przez szlochające kobiety. Tych kobiet nikt nie rozumie. Nikt ich nigdy nie zrozumie. Mężczyźni walili pięściami w oparcia skórzanych foteli, wychodząc, trzaskali za sobą drzwiami, wściekli, że ich zły nastrój nie minął, że zdradliwe napady szału nie zostały magicznym

sposobem okiełznane. Trish nie dysponowała czarodziejską różdżką, ale wypisywała recepty na paxil, zoloft i prozac wyraźnym charakterem pisma, jakiego ją nauczono w wiejskiej szkole, gdzie spodziewano się, że uczniowie, szukając pracy, będą składać odręcznie napisane listy motywacyjne.

Rozmawiała cicho z nastoletnimi dziewczynami, które nie są w stanie usiedzieć na miejscu podczas sesji, lecz wędrują nerwowo po pokoju, podnoszą i odkładają książki i czasopisma. Wpatrują się w okno, po czym nagle odwracają się, by znowu usiąść naprzeciw niej; ich twarze są blade, a ręce drżą. Nie pytała o myśli, które tłoczą się w głowach tych nastolatek, kiedy patrzą na wietrzną ulicę. Myślała, że jest prawdopodobne, iż zastanawiają się nad tym, czy popłynęłyby przez szare powietrze z lekkością piórka, aż do przywołującej je otchłani nicości, którą starają się jej opisać. Wiele z nich było chudych niemal jak szkielety. Kruche kości nadgarstków prześwitywały przez cienkie warstwy różowego ciała, częściej niż rzadziej pokrytego pręgami powoli gojących się blizn.

Ton głosów, często jedynie szeptów, był zabarwiony goryczą. Ich wakacje okazały się do dupy. Ich życie jest do dupy. Zamierzały zagłodzić się na śmierć. Z wysiłkiem szukała słów, które przywróciłyby je normalności, a w końcu poddawała się i proponowała im leki, których zazwyczaj nie brały.

– Nienawidzę stycznia – wrzasnęła dziewczyna z Barnard na zwolnieniu lekarskim; jej głos był piskliwy, przepełniony gniewem i niezadowoleniem. Trish pomyślała o jęczącym głosie Lolity, młodziutkiej nimfetki z książki Nabokova.

– Ja też nienawidzę stycznia – odparła Trish i tym samym złamała zawodową zasadę, co doprowadziło do zawodowego przełomu. Dziewczyna się rozpląkała. Uwolnił się potok słów. Trish przedłużyła godziną sesję i spóźniła się na lunch z Donna.

– Nienawidzę stycznia – powtórzyła i usiadła na krześle naprzeciwko przyjaciółki w szpitalnej stołówce. – Liczba samobójstw pewnie się w tym okresie podwaja. Liczba przyjęć wzrasta w zawrotnym tempie. Mój telefon nie przestaje dzwonić.



– Depresja sezonowa – stwierdziła spokojnie Donna. – Czy ktoś porównał kiedyś liczbę przypadków depresji w klimatach zimnych i cieplejszych?

– Na pewno. A jeśli nawet nie, to teraz, kiedy o tym rozmawiamy, na biurku dyrektora jakiejś fundacji z pewnością leży prośba o fundusze na takie badanie. – Trish wgrzyła się w swoją kanapkę z kurczakiem. – Tak czy owak, cieszę się, że klub spotyka się w tym miesiącu u nas. Pozwala mi się to czymś zająć, zapomnieć o natłoku pacjentów. Chociaż właściwie czytanie *Lolity* to pewnego rodzaju doświadczenie kliniczne.

– To powinno być ciekawe spotkanie – stwierdziła Donna. – Dyskusja o *Lolice* na Manhattanie zapewne będzie się znacznie różnić od dyskusji o *Lolice* w Teheranie.

– Skończyłaś obie książki? – spytała Trish.

Donna skinęła głową. Przeczytała obie powieści wyciągnięta na perłowobiałej plaży w Sunset Key, a jej palce rzucały cień na strony rozpalone światłem słonecznym. To był prawdziwy luksus móc tak czytać, zamyślić się na chwilę, i znowu wracać do lektury, a od czasu do czasu odpływać na krótko w słodki sen. Pozwalała Timowi prowadzić się do oceanu, tańczyła z nim wśród fal, ale zaraz znowu brała do ręki książkę; nie chciało jej się nawet porządnie wytrzeć, nie zwracała uwagi na mokre ślady po ociekających wodą palcach na cienkim papierze. Obie książki ją wciągnęły, powiodły w głąb jej duszy. Szczególnie podobało jej się *Czytając Lolitę w Teheranie*, opis spotkań tajnego klubu książki: młode kobiety, które studiowały literaturę u autorki na uniwersytecie, potem, gdy przestała wykładać, spotykały się w jej salonie w geście odważnego intelektualnego protestu.

Podczas pobytu w Sunset Key zadzwoniła raz do Raya, ale nie zastała go w domu i nie zostawiła wiadomości. Następnego dnia wykręciła numer Riny, ale odłożyła słuchawkę, zanim jeszcze usłyszała sygnał.

– Przypuszczam, że pewnie wszystkie przeczytałyśmy – stwierdziła. – Jen powiedziała, że skończyła obie książki przed Nowym Rokiem, a potem przeczytała je jeszcze raz. Mówiła też,

że Elizabeth nie jest zachwycona Nabokovem. Nie wiem, jak Cynthia, ale prawdopodobnie skończyła je w przerwach między dekorowaniem domu, pakowaniem prezentów, przygotowywaniem wyśmienitego obiadu i zapewne negocjowaniem z Erikiem, kto spędzi z dziećmi wakacje. Przy czym oczywiście utrzymywała stały kontakt ze swoim biurem. Znasz Cynthię. Ona daje sobie radę ze wszystkim.

– Jak to królowe balu. Może dlatego tak sobie radzą, że mają tyle dam dworu – zażartowała Trish. – Nie żeby gruba Mae czy ta au pair z przekłutym pępkiem miały uchodzić za damy dworu.

Donna się zaśmiała.

– Myślę, że już zawsze będzie mnie prześladować ta analogia.

– To dlatego, że była tak trafna. Trafne spostrzeżenia wytrzymują próbę czasu. Pierwsza lekcja psychoanalizy. Nie. Nie pierwsza. Może druga albo trzecia. Rozmawiałaś z Riną?

– Krótko. Bardzo krótko. Jeremy ma się dobrze. Wyzdrowiał zupełnie. Ray uważa, że to była jakaś niegroźna infekcja – odparła Donna z typowym dla siebie spokojem, ale Trish wyczuła w jej słowach pewien dystans.

– A Ray, jak on się miewa? – zapytała ostrożnie.

– Dobrze, rzecz jasna. Całkiem dobrze – w głosie pojawiła się obronna nuta i przez chwilę Donna zawahała się, jakby miała zamiar powiedzieć coś więcej, ale zamiast tego zajęła się układaniem talerzy na tacy. – Muszę lecieć. Spotykam się z pielęgniarkami od dializy. Nowe wytyczne dietetyczne. Trish, piszę podanie o grant. Znalazłabyś czas, żeby na nie zerknąć?

– Nie ma problemu.

Trish patrzyła, jak Donna przechodzi przez stołówkę niespiesznym krokiem, kołysząc biodrami. Jej biały fartuch był nieskazitelnie czysty, a bujne blond włosy upięte w luźny kok, który układał się miękko na karku. Jak zawsze pozostawała spokojna i rozluźniona, ale też dziwnie powściągliwa. Trish zwróciła uwagę, że Donna mówiła bardzo niewiele o Timie i praktycznie nic o Rayu. Ale z drugiej strony ona sama też nie wspomniała o Jasonie i Mandy. W styczniu słowa nie

przychodziły łatwo. Rozgoryczona, obarczyła winą miesiąc. Wszyscy zamykali się w sobie.

Wyciągnęła notatnik i zaczęła się zastanawiać nad jadłospisem na spotkanie klubu. Coś innego, coś wyszukanego i na tyle barwnego, by dać odpór ponuremu zimowemu nastrojowi. Bouillabaisse. Sama nazwa ją zaintrygowała, oderwała myśli od szlochających dziewcząt i zaśnieżonych ulic.

Spotkanie miało się odbyć w poniedziałek wieczorem. Trish, Jason i Mandy spędzili sobotę na radosnych zakupach. Była to tego typu wycieczka, jaką Trish świadomie starała się zaplanować od kilku miesięcy.

– Musimy się nauczyć dobrze razem bawić – powiedziała Jasonowi.

– Czy zabawę można zaplanować, wpisać w rozkład zajęć? – zapytał ostrożnie. – Mogłabyś napisać poradnik terapeutki dla rodzin: „Wspólna zabawa to wspólna przyszłość”, a ja zająłbym się sprzedażą. Daj spokój, Trish. Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli aranżować jakieś sztuczne chwile bliskości.

– Musimy spróbować czegoś innego – powtarzała z uporem i w końcu zgodził się z nią. Nie rozmawiali o separacji Cynthii i Erica, ale wisiało to między nimi niczym mglista zasłona, złowieszcze przypomnienie o czyhających niebezpieczeństwach. Jak właściciele domu, którzy instalując alarm przeciwwłamaniowy po kradzieży u sąsiada, wdrożyli w życie nowe programy ochronne, naraz świadomi własnej bezbronności.

Skupili się. Oboje wcześniej wracali z pracy i organizowali swój wolny czas tak, by spędzać go z Amandą. Szczegółowo zaplanowane poszukiwania nowego mieszkania, domu letniego zamieniły się w fascynującą przygodę. Gotowali razem, tak jak na początku ich małżeństwa, i włączali córkę do zabawy. Trish zorganizowała dodatkową pomoc domową. Irene, sprawna Finka, z chęcią zastąpiła opiekunkę Mandy późniejszymi popołudniami, a także zajęła się drobnymi pracami domowymi. Jason ograniczył wyjazdy w interesach. I ku ich wspólnemu zdziwieniu to działało.

Powoli wytworzyło się między nimi nowe poczucie swobody, a Amanda też wydawała się szczęśliwsza. Już nie budziła się nagle w środku nocy, z piskliwym krzykiem przerażenia, cała spięta. Rejs na Karaiby w święta jednocześnie odprężył ich i ożywił. Wspomnienia złotych dni na morzu, długich godzin na pokładzie spędzonych na czytaniu chroniły Trish przed ostrym zimowym chłodem, dodały sił w wyścigu z depresją, która jej groziła w tym ciemnym i ponurym miesiącu otwierającym nowy rok.

Jako zdolny diagnostyk własnych objawów, mający zawsze w pamięci odczuwaną w dzieciństwie samotność, oraz smutek i niepewność towarzyszące jej latom studenckim, walczyła już z pierwszymi oznakami przygnębienia. Zorganizowała weekend tak, by rozproszyć narastającą melancholię, i skupiła uwagę na klubie. Nie mogła się doczekać, kiedy spotka się znowu z przyjaciółkami, wymienią się wrażeniami z ich zimowych ucieczek, zdadzą cierpką relację z trosk i zabawnych sytuacji minionych tygodni.

W toku rozmyślań nad własną melancholią i idącą z nią w parze chęcią, by usiąść w przyjacielskim kręgu w jej oświetlonym wieloma lampami salonie, Trish przyszło do głowy, że kluby książki przypominają grupy poświęcone uwrażliwianiu we wczesnych dniach feminizmu. Te godziny szczerej dyskusji stanowiły pewnego rodzaju schronienie, bezpieczny port, w którym można porozmawiać absolutnie o wszystkim. Z książkami i zeszytami w rękach, pokrzepione jedzeniem i przyjaźnią, mogły wypowiedzieć każdą myśl bez obawy o odrzucenie lub wyśmianie. Życiorysy pisarzy i ich fikcyjnych bohaterów poszerzały horyzonty przyjaciółek, nadawały nowy wymiar ich samoświadomości. Trish zauważyła, że czeka na spotkanie podniecona niemal jak dziecko, radośnie planuje przygotowania, robi listy zakupów, późno w nocy bada półkę z przyprawami w poszukiwaniu składników, które nagle wydały jej się potrzebne.

– Zakupy zrobimy w sobotę – oświadczyła Amandzie i Jasonowi – a gotować będziemy w niedzielę.

– A ja będę pomagać – zgodziła się z entuzjazmem Amanda. – Będę robić zakupy. Będę gotować.

– Wszyscy będziemy robić zakupy. Wszyscy będziemy gotować – stwierdził Jason.

Entuzjazm Trish okazał się zaraźliwy.

Tej soboty udali się na Fulton Street i przechadzali się po targu rybnym, śmieli się, kiedy Amanda zatykała sobie nos przed przykrymi zapachami, uśmiechali się, gdy podziwiała sterty lśniących makreli o pobłyskujących srebrem oskrzelach na tle gór lodu.

– Patrz, mamusiu, ich skóra jest jak lejoty – zawołała.

Jej przekręcanie słów zachwycało ich. Trish uścisnęła córkę i pozwoliła jej położyć gładkie białe kawałki soli na warstwach gazety, podczas gdy sama wybrała jędrne, lśniące steki z halibuta i długi płat płastugi. Jason dołożył jeszcze małego rdzawca, a sprzedawca dorzucił im za darmo dwie cytryny. Amanda powąchała swoje palce i skrzywiła się, a Trish i Jason się roześmieli, po czym każde z nich wytarło małą rączkę wyciągniętymi z kieszeni chusteczkami.

Trish rozbawił fakt, że zupełnie przypadkiem ubrali się podobnie tego ranka – w znoszone džinsy, grube swetry i watowane kurtki. Ona nałożyła też czerwoną wełnianą czapkę na swoje gęste, lekko siwiejące ciemne włosy, z których stylistka z Madison Avenue (fryzjer Cynthii) tak pracowicie stworzył stylową cieniowaną fryzurę. Cieszyła ją jej obojętność względem mody.

– Homar? – zapytał Jason. – Pamiętam, że Cynthia zrobiła tę potrawę z homarem.

– Bez homara – zdecydowała. – Nie jestem Cynthią.

Cynthia oczywiście zdecydowała się na skorupiaka, który przydał barwy i blasku tej prostej potrawie, egzotycznej w Nowym Jorku, a codziennej w żywieniu rybaków, ale przecież ona tylko wybrała przepis. Uroczystą kolację u Andersów, na którą podano bouillabaisse, ugotowała Mae. Cynthia nie kupowała też oczywiście ryb, chociaż mogła złożyć zamówienie telefoniczne u Citarelli.

Trish próbowała wyobrazić sobie Cynthię i Erica, z

drepczącymi za nimi dziewczynkami, jak idą rojnym targiem rybnym na Fulton, popychani przez tłumy kupujących. Cynthia, ubrana ze swobodną elegancją, w rozpiętym płaszczu i długim wełnianym szaliku, szła kilka kroków przed Erikiem. Trish wyobraziła go sobie w miękkiej skórzanej kurtce i włoskich butach, a bliźniaczki w identycznych błyszczących płaszczykach przeciwdeszczowych i jaskrawoczerwonych kaloszach. Pokręciła głową. To nierealny obraz. Rodzina Andersów była zbyt elegancka, żeby brnąć przez wysypane trocinami miejsce, pełne krwi i flaków wypatroszonych ryb. Bliźniaczki, małe rozpieszczone dziewczynki, które grają na skrzypcach w salonie pełnym kwiatów, zaczęłyby jęczeć. Cynthia nakryłaby głowę szalikiem, by chronić włosy przed deszczem rybich łusek, unoszących się w cuchnącym powietrzu.

Erie przyglądałby się może tej scenie przenikliwym okiem zawodowego filmowca z zainteresowaniem, ale bez uśmiechu.

Trish zaczęła się nagle zastanawiać, dlaczego przykładła do swojej przyjemności nieodczytywalną miarkę utraconego życia Cynthii. Ta myśl ją zaniepokoiła i, jakby chciała się jej pozbyć, ściągnęła z głowy czapkę i wcisnęła ją Jasonowi do kieszeni. On w odpowiedzi wziął ją za rękę, wdzięczny za ten mały akt czułości.

Tego wieczoru mieli iść do teatru. Klient Jasona zainwestował w przedstawienie spoza Broadwayu i zaproponował mu bilety; Jason doskonale rozumiał, że to nie zaproszenie, lecz rozkaz.

– Pójdę sam, jeśli jesteś zmęczona – zaproponował.

– Nie. To może być niezła zabawa – odpowiedziała.

Po cichu pogratulowali sobie tej nowej determinacji, by się nawzajem zadowalać.

Pojechali taksówką do East Village. Sztuka, jak oboje przewidzieli, była rozwlekła i pretensjonalna; klient Jasona z żoną ewakuowali się przed końcem pierwszego aktu.

– Żadnego do widzenia, dzięki, że przyszliście – szepnęła Trish.

– Kiedy jest się tak bogatym, nie trzeba być uprzejmym –

odparł Jason.

– W takim razie nigdy nie chcę być tak bogata.

– Wezmę to pod uwagę.

Oboje się roześmieli. Jason zanurzył palce w wielowarstwowej gęstwinie włosów żony, a potem położył dłoń na jej karku, czuły gest z czasów ich krótkich zalotów.

Podczas przerwy oni też wyszli z teatru. Na tej samej ulicy znajdowało się małe bistro. Weszli do środka i zajęli boks na tyłach zadymionego pomieszczenia. Sączyli kawę z mlekiem i przyglądali się leniwie innym gościom. Młoda para siedziała blada, milcząca, nad nietkniętymi daniami, a potem nagle, bez słowa, mąż rzucił na stół banknot i wyszedł. Żona patrzyła za nim oczami pełnymi łez. Otworzyła usta, być może żeby go zawołać, ale nie wydała żadnego dźwięku. Skupiła uwagę na swoim omlecie, zjadła go, po czym przyciągnęła talerz męża i skonsumowała również jego porcję. Wytarła dokładnie usta, osuszyła oczy tą samą serwetką, włożyła płaszcz i wysliznęła się z restauracji.

– Styczeń – powiedziała z goryczą Trish.

Uznała tę kłótnię za kaprys zimy, skutek niesionego przez wiatr ostrego i zimnego smutku.

– Mężowie i żony sprzecząją się też wiosną i latem – zaprotestował Jason.

– I jesienią – dodała i pomyślała o cyniach w kolorze bursztynu, które przyniosła Cynthii na to pierwsze powakacyjne spotkanie klubu książki, kiedy przyjaciółka przekazała im szokującą wiadomość. „Rozwodzę się z Erikiem”, powiedziała. Ale nie wspomniała nic o kłótniach, różnicy zdań, a Trish nie użyłaby słowa „sprzeczką” w odniesieniu do Cynthii i Erica. Właściwie było to dość przestarzałe pojęcie i w ogóle by go nie używała, ale wydało jej się zabawne, a nawet urocze, że Jason je wybrał. Uśmiechnęła się do niego, niesiona przez falę przywiązania, wdzięczna, że udało im się na nowo odkryć siebie. Przypuszczała, że to ponowne odkrycie w pewnym sensie zawdzięcza Cynthii i Ericowi.

Dwaj mężczyźni przy sąsiednim stoliku wstali i trochę nieśmiało podszli do ławy, gdzie siedziały dwie młode kobiety. Trish patrzyła, jak kręcą się niepewnie wokół stolika, dopóki nie skinęły na nich ręką w geście przyzwolenia. Niższy zarumienił się. Pochłonięta tą sytuacją, zastanawiała się, czy czwórka nieznajomych mogłaby połączyć się w dwie pary, i nie zauważyła, że przy stoliku zwolnionym przez młodą bladą kobietę usiadło właśnie dwóch odwróconych tyłem mężczyzn.

Jason złapał ją za rękę.

– Trish, właśnie wszedł Eric – powiedział. – Eric i jakiś facet. Bardzo młody facet.

Zobaczyła, że mężczyzna, który studiuje wielkie menu, to rzeczywiście Eric. Włosy mu trochę urosły i pojawiły się na nich srebrne refleksy, a pojedynczy nieposłuszny lok jak zwykle opada na czoło. Jego twarz o bystrym wyrazie sprawiała teraz wrażenie bardziej pociągłej. Był elegancko ubrany, w jasnobrązowe sztruksowe spodnie, zielony kaszmirowy sweter wycięty w serek, z którego wyłaniała się żółta koszula z miękkim kołnierzykiem. Towarzysz Erica miał na sobie typowy strój studenta – wyblakłe spodnie, szary sweter, pionierki. Jasnozłote włosy były jak włosy Erica, miał też podobne do niego dziwnie podłużne oczy o gęstych rzęsach. Ich wzajemne podobieństwo zaskoczyło Trish i przypomniało jej pacjenta sprzed wielu lat, który między innymi mniej ciekawymi wyznaniem zwierzył jej się, że może się kochać jedynie z kobietą przypominającą go bardzo pod względem fizycznym, kobietą o podobnych rysach i kolorycie.

– Najwyższa forma narcyzmu – stwierdził superwizor, kiedy przyszła do niego na konsultację. – Mężczyzna, który chce się kochać z samym sobą.

Ale Trish nigdy nie zauważyła u Erica żadnych narcystycznych skłonności; ponadto, powiedziała sobie zdecydowanie, absurdem jest wyciąganie wniosku, iż ten młody mężczyzna to jego kochanek. Fakt, że dwóch mężczyzn je razem kolację, nie oznacza, że są parą. To byłby całkiem nowy wymiar homofobii. Ale jeszcze zanim zdążyła przeanalizować obie te myśli, Eric



zamknął menu i położył rękę na ramieniu chłopaka.

– Co robimy? – zapytał z niepokojem Jason.

Uważał Erica za przyjaciela. Oboje z Trish czasem jadali obiady z Erikiem i Cynthią i przez jeden sezon korzystali ze wspólnego karnetu na koncerty. Mężczyźni, połączeni przyjaźnią żon, lubili się i Jason nawet od czasu do czasu udzielał Ericowi porad w kwestiach inwestycyjnych. Ale nie widział Erica od jego separacji z Cynthią, choć raz czy dwa myślał, by do niego zadzwonić. Fakt, że tego nie zrobił, zawstydział go. Byłoby okrutne, gdyby go teraz zignorowali.

– Nie wiem. Pewnie powinniśmy się przywitać – odparła Trish, ale nim skończyła mówić, kelner przyniósł ich rachunek, a gdy Jason płacił, Eric wstał od stolika i skierował się do łazienki.

Trish i Jason bez słowa opuścili bistro, zbyt szybkim krokiem. Przy drzwiach Trish odwróciła się i spojrzała na młodego człowieka, który siedział sam przy stole, w skupieniu składając i rozkładając serwetki.

– Myślisz, że... ? – zapytała Jasona w drodze do metra i choć bała się dokończyć zdanie, wiedziała, że on się domyśli.

– Nie wiem, co myśleć – odparł ostro.

– To tłumaczyłoby wszystko – mruknęła.

– Albo nic – odparował z niecierpliwością, prawie ze złością. – Na Boga, dlaczego ty i twoje przyjaciółki nie możecie zostawić tej całej cholernej sprawy w spokoju? Cokolwiek się wydarzyło, to sprawa Cynthii i Erica. Nie ma to z wami nic wspólnego.

Ależ to ma z nami mnóstwo wspólnego, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Położyła mu rękę na ramieniu i ruszyli do domu pogrążeni w ciszy.

Tej nocy kochali się szybko i czule, a potem zapadli w sen spleceni w opiekuńczym uścisku.

W niedzielę Trish zajęła się gotowaniem. Amanda przysiadła na stołku obok, podczas gdy ona siekała czosnek i kroїła pory w pierścionki. Kiedy ogarnęła ją nuda, poszła do parku z Jasonem, który był w radosnym i spolegliwym nastroju, gdyż fuzja

przygotowywana przez niego od wielu tygodni właśnie doszła do skutku. Wymachiwał niedawno otrzymanym faksem, jakby to był sztandar oznaczający zwycięstwo. Żadne nie wspomniało o Ericu.

Trish myślała, by zadzwonić do Jen, łagodnej, spokojnej Jen, która cieszy się zaufaniem zarówno Cynthii, jak i Erica. Podniosła słuchawkę, po czym ją odłożyła. Jaki to miało sens? Co mogła jej powiedzieć? Czy to Rina zasugerowała, że Erie jest gejem, czy też był to tylko jeden z licznych domysłów wrzuconych do dyskusyjnego tygla ich przypuszczeń? Nie mogła sobie przypomnieć. Doprowadziła wywar do wrzenia, włożyła do niego rybę i dodała zioła oraz przyprawy; uśmiechnęła się, kiedy aromatyczny zapach potrawy rozniósł się po kuchni. Przepełniona uczuciem zadowolenia, zostawiła potrawę na małym ogniu i zaczęła rozmyślać nad tym, jak to jej nowe szczęście zostało łatwo osiągnięte. Jednak nie tak łatwo, poprawiła się z zawodowym obiektywizmem. To strach skłonił ją i Jasona do restrukturyzacji ich życia i ten strach trwał. Nie zamierzali tak łatwo rezygnować z ostrożności.

Tej nocy, gdy Amanda zapadła już w bezpieczny sen, Trish przeczytała jeszcze raz swoje notatki z *Lolity*. Opowieść oczywiście skupiała się na seksualnej obsesji Humberta, mężczyzny w średnim wieku, na punkcie młodziutkiej Lolity, oraz na ich transamerykańskiej odysei. Jednakże Trish dziwnie pociągała postać Charlotte Haze, matki zalotnej nimfetki. Biedna, stłamszona, zmagająca się ze swoim życiem Charlotte. Czytelniczki z Teheranu, równie stłamszone i zmagające się z losem, powinny dobrze ją rozumieć, ale wyglądało na to, że Charlotte w ogóle ich nie interesuje. Trish zastanawiała się, czy Charlotte, uśmiercona przez Nabokova w tak dogodnym momencie, rozbudzi wyobraźnię jej przyjaciółek. Niecierpliwie ciekawa ich reakcji, wypisała na kartce imiona. Donna. Jen. Elizabeth. Rina. Cynthia. Podkreśliła imię Cynthii jedną kreską, a potem drugą. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy w świetle podejrzeń wobec Erica wybór *Lolity* nie był z ich strony nietaktem. Zdawała sobie sprawę, że jest wielce prawdopodobne,

iż skłoniła je do tego jakaś podświadoma perwersja. Pomyślała o Ericu, z ręką na ramieniu pochmurnego młodego mężczyzny, siedzących razem w słabo oświetlonym bistro, i zaraz skarciła się za tę myśl. Głupio przyrównywać Erica do Humberta. To porównanie było idiotyczne.

No cóż, dobrze, że nie wybrałyśmy *Maurice 'a* – powiedziała na głos, przypomniawszy sobie szok, jakiego doznała na studiach podczas lektury powieści Forstera, zawierającej obrazowe, erotyczne opisy męskiego homoseksualizmu. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jaka była wtedy naiwna; zamknęła książki i razem z notatkami położyła je na końcu stołu, by wykorzystać je podczas spotkania.

– Co mówiłaś? – zawołał z łazienki Jason.

– Nic.

Wzruszyła ramionami, zgasiła lampę i poszła do sypialni, gdzie czekał na nią Jason z zarumienioną twarzą i powoli siwiejącymi włosami, jeszcze wilgotnymi po prysznicu.

Kiedy Trish wróciła do domu następnego dnia, od wejścia doleciał ją aromat bouillabaisse. Ten zapach w jednej chwili rozładował wszystkie popołudniowe napięcia, pośpiech, by zdążyć podyktować oceny pacjentów, zbyt szybką i być może zbyt stanowczą rozmowę z matką dziewczyny z Barnard. Zdenerwowanie na rezydenta, który źle zrozumiał wytyczne. Trish była zdecydowana opuścić dziś szpital wcześniej i udało jej się. Zajmie się naprawianiem wszystkiego jutro, ale tego wieczoru czeka ją wspaniała kolacja, najnowsze plotki i literacka ucieczka w nieznane światy stworzone przez Nabokova i Nafisi.

Zaciągnie zasłony, by odciąć się od ciemności zimy, i zasiadłszy w jasno oświetlonym salonie razem z przyjaciółkami, będzie podążać śladami sióstr czytelniczek z odległego kontynentu po niebezpiecznych ulicach Teheranu. Tak jak te irańskie kobiety będą się starały zrozumieć mroczne fantazje i jeszcze mroczniejsze czyny Humberta Humberta. Poczwała dreszcz emocji na tę myśl i radość, połączoną z poczuciem winy, że

Amanda nocuje u koleżanki, a Jason ma do późna spotkanie. Ten wieczór będzie należał do niej.

– Dzięki za podgrzanie potrawy, Irene – zawołała do przyjemnej rumianej gosposi, która właśnie odkurzała salon. Trish pogratulowała sobie zatrudnienia Irene. Powinna była pójść za przykładem Cynthii i zrobić to wieki temu.

Postawiła zakupy na blacie kuchennym i przez chwilę napawała się zmieszanymi zapachami wysokich żółtych róż i świeżo upieczonych bagietek. Kiedy Irene nakrywała do stołu, Trish przygotowała sałatę, pokroiła bułki i rozłożyła kwiaty do dwóch wazonów, które ustawiła w pokoju dziennym. Intrygowało ją, że pomimo całej niepewności i nieprzyjemności związanych z życiem w mieście kontrolowanym przez muzułmańskich fundamentalistów dom Azar Nafisi, gdzie zapraszała swoje uczennice, zawsze pachniał świeżo ściętymi kwiatami. Urocze było też to, że dziewczęta, choćby przerażone i niespokojne, zawsze przynosiły ze sobą na spotkania słodkie ciastka.

Na ten wieczór Cynthia miała zapewnić ciasteczka. Zadzwoiła do Trish wcześniej tego dnia i zgłosiła się na ochotnika.

– Będę jak teherańskie dziewczę i przybędę z pudełkiem ekierok – oznajmiła i obie zaśmiały się krótko.

– Biedne dziewczyny – stwierdziła Cynthia.

– Biedne dziewczyny – zgodziła się Trish.

Trish zastanawiała się, czy Cynthia porównuje smutek w jej życiu z tym, który towarzyszy młodym kobietom zmuszanym do zakrywania twarzy, chowania włosów pod ciemnymi chustami i ukrywania ciał w fałdach ciężkich szat. Ale nieszczęście oczywiście nie jest względne. Żałobnika nie pociesza to, że inni też tracą bliskich. Smutek Cynthii jest tylko jej, równie dla niej przytłaczający jak smutek kobiety z Teheranu, którą bije mąż, albo jej przyjaciółki porzuconej przez kochanka.

– Chce pani, żebym została i pomogła przy zmywaniu? – zapytała Irene.

– Nie. Ale i tak bardzo dziękują – odparła Trish. – Do zobaczenia pod koniec tygodnia.

Miło by było mieć Irenę do pomocy, ale Trish chciała побыć sama z przyjaciółkami, tego jednego wieczoru sprawować niepodzielne rządy w swoim domu.

– To właśnie kocham w moim życiu – powiedziała przy lunchu Donna. – Kiedy wchodzi do mieszkania i zamykam za sobą drzwi, jestem sama i wolna.

Trish poczuła ukłucie zazdrości. Samotność nie jest udziałem kobiet z mężami i dziećmi. Ich domy rzadko należą tylko do nich. Brakuje w nich miejsca, w którym nie groziłaby inwazja innych domowników.

– Życzę udanego przyjęcia – powiedziała smutno Irenę i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Trish wiedziała, że mąż Irenę pracuje na nocną zmianę, a dzieci już dorosły, że jej wieczory są długie i samotne. I oczywiście przydałyby jej się dodatkowe pieniądze. Zrobiło jej się żal tej kobiety, tak jak żałowała Tahere chanum, służącej wędrującej w kapciach po mieszkaniu Nafisi w Teheranie, a także Louise, pokojówki, która sprzątała dom Charlotte Haze trzy razy w tygodniu, zbierała śmieci po Lolicie, oskrobywała zbyt długo niemyte talerze. W książce nie było ani słowa o losie Tahere chanum po wyjeździe Nafisi do Ameryki. Louise zniknęła z powieści Nabokova po śmierci Charlotte.

Trish pomyślała o profesjonalnej, pochmurnej Mae, która przemierza się po domu Cynthii na East Side w tenisówkach pod kolor dresu, przygotowuje posiłki, wygładza pościel. Mae oczywiście zna sekrety Cynthii, sprawuje władzę nad jej domem, ale nawet ona nie jest niezastąpiona. W życiu, jak w książkach, służące poruszające się bezszelestnie w kapciach lub tenisówkach stają się domowymi duchami; znikają bez słowa protestu i zabierają ze sobą mroczne sekrety domostw pogrążonych w chaosie, trzymają pod sercem wszystkie swoje spostrzeżenia i urazy.

Zadzwoił dzwonek i Trish pobiegła otworzyć drzwi. Roześmiane i rozgadane, podekscytowane ponownym spotkaniem po długiej przerwie, przyjaciółki otoczyły ją, zrzuciły ciężkie

ciemne zimowe płaszcze, wcisnęły jej w dłonie część prezentów, a resztę położyły na niskim stoliku między obowiązkowym serem i krakersami oraz małymi barwionymi kieliszkami na wino. Ciastka od Cynthii w dużym białym pudełku Trish zaniosiła do kuchni. No i jeszcze pędzone narcyzy od Jen i Elizabeth, egzemplarz *Pnina Nabokova* od Riny, która chwaliła się, że znalazła go w księgarni na jednej z głównych ulic Londynu, perłowa muszla od Donny, przywieziona przez nią aż z Keys.

– Kiedy przyłoży się ją do ucha, śpiewa, ale nie wzdycha – powiedziała żartobliwie Donna. Trish bardzo często skarżyła się, że jej pacjenci wzdychają i milczą.

Kobiety rozgościły się w salonie. Ich swetry w żywych kolorach, lśniące jedwabne chusty tworzyły odważną tęczę na tle beżowej kanapy Trish i takich samych krzeseł. Gdy przyjaciółki sęczyły wino, śmiały się i trą jkotały, ich policzki jaśniały różowym blaskiem. Donna rozpuściła włosy. Jen zdjęła buty. Ich rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona, głosy nabrały melodyjności, śpiewności. Niegroźna im była szarość stycznia.

Wymieniały się historiami wakacyjnymi, opowiadały sobie anegdoty z pracy, omawiały świąteczne kolacje. Jen wykonała okrutną parodię obchodów Wigilii u matki w domu spokojnej starości.

– Dwie staruszki z balkonikami, dwóch staruszków na wózkach i nasza matka, pierwsza w konkursie nieszczęść, wszyscy zebrani wokół mizernego drzewka ubranego przez grube harcerki, które nie umiały zapalić lampek i nie znały słów żadnej kolędy. No i w końcu nasza droga, uprzejma matka powiedziała im oczywiście: „Idźcie do domu, dziewczęta. I tak jesteśmy głusi. I zabierzcie swoje ciastka. Wszyscy jesteśmy cukrzykami”.

Roześmiały się, nawet Elizabeth, choć smutno kręciła głową.

– Mogłabyś być miłsza, Jen – mitygowała ją, starsza siostra, ustanawiająca normy zachowania.

– Nie muszę być miła. Byłam tam. To daje mi prawo do złośliwości – broniła się Jen, a kiedy dolewała sobie wina, dodała, śmiejąc się: – Dało mi to też prawo do wyjazdu do Meksyku z

czystym sumieniem.

– I Ian przeżył – zauważyła zimno Elizabeth.

– Nigdy nie wątpiłam, że przeżyje. Nawet udało mu się sporo zrobić. Jego wystawa staje się coraz bardziej realna. Hej, jak ci się udało Chanuka, Rino? Bądźmy ekumeniczne. – Jen zwróciła się do przyjaciółki.

– Była świetna zabawa. Jeremy’emu się podobało. Dla mnie to pierwszy raz. Musiałam nawet pożyczyć menorę – odparła Rina. – Ale dobrze było nawiązać kontakt z przeszłością, która jest naprawdę moja. – Przejechała palcami po swoim warkoczu, zaczęła bawić się drewnianymi guzikami rozpinanego swetra w kolorze jaskrów.

Donna spojrzała na nią ostro. Nigdy przedtem nie słyszała, żeby Rina przyznała się do swojej skłonności do wymyślania się na nowo, do odłączania się i ponownego łączenia.

– Ray mówił, że dobrze się bawił – odezwała się lekkim głosem, pochłonięta układaniem krakersów.

W rzeczywistości powiedział więcej. Zaprosił Donnę na kolację do bardzo dobrej małej francuskiej restauracji, w której często bywali, i oświadczył jej, że w okresie świątecznym kilka razy spotkał się z Rina, że dobrze się z nią czuje i uważa ją za bardzo interesującą osobę.

– A Jeremy to wspaniały dzieciak – dodał.

Donna zawsze wiedziała, że Ray pragnie zostać ojcem, czego odmówiła mu była żona, w trosce o swoją figurę i przestraszona perspektywą bólu.

– Rina to bardzo interesująca dziewczyna – zgodziła się z nim.

– I wspaniała matka.

– Tak. Wspaniała matka.

Spojrzeni na siebie ze smutkiem; zdawali sobie sprawę, co pozostało niewypowiedziane.

Kiedy odprowadził ją do domu, nie wszedł ani nie pocałował jej na dobranoc. Przycisnął tylko delikatnie rękę do policzka Donny w geście czułości, a także – wiedziała – pożegnania. Była zasmucona, ale nie zaskoczona. Zastanawiała się, jak to jest, że

może tak głęboko przeżywać utratę czegoś, czego właściwie nigdy za bardzo nie pragnęła. Ona i Ray od początku rozumieli, że dają sobie nawzajem pociechę, towarzystwo i niewiele więcej. A jednak. A jednak. Nie potrafiła wyrazić swojego smutku.

– Tak, sprawiał takie wrażenie.

Rina zarumieniła się i odwróciła wzrok. Wkrótce będzie musiała porozmawiać z Donna. Im szybciej, tym lepiej.

Ta powściągliwa wymiana zdań między Rina a Donna zaniepokoiła pozostałe przyjaciółki. Zamieszały wino w kieliszkach. Znów stanęły przed problemem kruchości przyjaźni, nietrwałości miłości; bezbronność Cynthii i Erica uczyniła je wszystkie bezbronnymi. Zaczęły nerwowo przerzucać się strzępami rozmowy. „Czy ta zima się kiedyś skończy?”. „Nadchodzące wybory to czyste wariactwo”. Skarżyły się na napięcia w pracy, wymieniały się historiami o wojnach między przełożonymi i podwładnymi. Spontaniczność, towarzysząca ich spotkaniu i powitaniu, gdzieś się ulotniła.

Trish pospieszyła do kuchni, sprawdziła, jak tam bouillabaisse, i poprosiła je do stołu. Podały jej talerze, pracownicy posmarowały kawałki bagietki masłem, po czym zabrały się do aromatycznej duszonej ryby i chwilowe napięcie minęło.

– Pyszne.

– Wspaniałe.

– Cóż za fantastyczny pomysł, Trish.

Ich entuzjazm był autentyczny. Te kobiety kochały dobre jedzenie, z przyjemnością czytały książki kucharskie, miały w pamięci stoły ze słynnych powieści – wystawne śniadania w angielskich wiejskich posiadłościach Henry’ego Jamesa, skąpe staropanieńskie kolacje bohaterki Barbary Pym, obfite żydowskie szwedzkie stoły Philipa Rotha, kulinarne orgie Toma Jonesa.

Z rumieńcami dumy i przyjemności na twarzy Trish podała zieloną sałatę, opowiedziała, jak bardzo Amandzie podobała się wycieczka na targ rybny, zapytała z niepokojem, czy nie dodała za dużo czosnku.

– W sam raz – zapewniła ją Cynthia i zamoczyła w zupie piętękę



bagietki. – Erie zawsze chciał wziąć dziewczynki na targ, ale jakoś nigdy tego nie zrobiliśmy.

– Może jeszcze się uda – odezwała się Jen, która pamiętała miękkość ich spojrzeń, kiedy spotkali się u niej, szlachetność Erica, wdzięczność Cynthii.

Czekały, co odpowie Cynthia, ale ona tylko skinęła głową w milczeniu.

Zawiedzione, zebrały się w pokoju dziennym, z kubkami kawy w rękę i książkami na kolanach. Trish wyłożyła ciastka na duży talerz i ustawiła go na niskim stoliku, z którego już zniknęły ser i wino.

– Nie wydaje wam się dziwne, że kobiety w Teheranie nigdy nie jadają wspólnych posiłków. Zawsze mają tylko ciastka lub herbatniki – zauważyła Donna.

– Zważywszy, że prowadziły tak ciężkie życie, pewnie były spragnione słodczy – zasugerowała Elizabeth, po czym wgrzyła się w ekierkę i zlizwała śmietanę, która wydostała się ze środka. Jej życie też było ciężkie. Ona też pragnęła słodczy.

Trish krótko opowiedziała o autorach obu książek, podkreślając podobieństwo między środowiskami, z jakich się wywodzili.

– Zarówno Nafisi, jak i Nabokov byli uchodźcami. Może nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, no, wiecie, nie targał nimi „westchnień do wolności bezład”, o którym pisała Emma Lazarus – stwierdziła.

– I z całą pewnością nie cierpieli też z powodu „wszystkich odrzuceń, nędzy, całej życia schedy” – dodała Rina. – Próbowałam analizować ten wiersz ze studentami; brali go do siebie. To w większości imigranci albo dzieci imigrantów, ale w żaden sposób nie czują w sobie „westchnień do wolności bezład” czy „odrzuceń, nędzy, całej życia schedy”.

– Biedna Emma Lazarus, według dzisiejszych standardów politycznie niepoprawna. Tak czy owak, miałam na myśli, że nasi autorzy byli uchodźcami w dosłownym znaczeniu tego słowa mimo tego, że mieli niejako arystokratyczne pochodzenie – ciągnęła Trish. – Rodzina Nabokova należała do rosyjskiej

szlachty. Ojciec Nafisi był burmistrzem Teheranu, a jej matka członkinią parlamentu. Schronili się w naszym kraju przed represyjnymi reżimami, jakie zapanowały w krajach ich pochodzenia. Nabokov uciekł przed bolszewikami, Nafisi przed ajatollahami. Zostali pracownikami naukowymi i byli zafascynowani Stanami i amerykańską kulturą. *Lolita* to rodzaj książki podróżniczej, wędrówka przez cały kraj, z Pensylwanii na zachód, literackie okno na kulturę amerykańskich szkół średnich, prowincjonalność życia w małych miasteczkach, dziwne motele i jeszcze dziwniejsze rodziny, a wszystko to w stu procentach amerykańskie. Nafisi wybiera *Lolite* dla swojego klubu, ponieważ ta książka ma wydobyć z nich szczerłość, obudzić zrozumienie, że nawet w swojej odwadze, by uczestniczyć w tajnych spotkaniach, przypominają *Lolite*, która w typowo amerykański sposób łamała wszystkie zasady i jeszcze kilka.

– A co z innymi omawianymi przez nie książkami? – odezwała się Elizabeth. – *Wielki Gatsby*, *Daisy Miller* i Jane Austen, jedyna nieAmerykanka wybrana przez pisarkę. Zakładam, że uznajesz Nabokova za Amerykanina?

– Myślę, że *Lolita* to typowo amerykańska powieść – potwierdziła Trish, a pozostałe pokiwały głowami na znak zgody.

– W pewnym sensie to nawet nie jest powieść. Bardziej przypomina baśń – zauważyła Jen. – Nabokov powiedział, że każda wielka powieść jest baśnią – walka dobra ze złem, niewinni potrzebujący ochrony, złe czarownice i dobre matki chrzestne. Nafisi nawet go cytuje.

– Na tej zasadzie każde życie jest baśnią – wtrąciła Cynthia głosem tak cichym, że musiały się pochylić, by pochwycić jej słowa. – Wszyscy tkwimy między dobrem a złem. Chcemy bronić niewinnych. Ale czasem nie wiadomo, jak to zrobić. Czy *Lolite* można było ochronić? Czy można było ochronić dziewczynę z teherańskiego klubu książki, która pojechała z przyjaciółkami na wycieczkę, została zatrzymana i poddana przymusowemu badaniu dziewictwa. Czy jesteśmy w stanie ochronić nawet własne dzieci? Jedyne, co możemy zrobić, to próbować, a czasem, podejmując

ten wysiłek, popełniamy błąd.

Głos Cynthii był naznaczony cierpieniem. Każde słowo wyrwane z uporczywego bólu i niepewności, która zamieszkała w jej sercu. Pochyliła głowę i włosy zasłoniły jej twarz niczym ognista kotara. Nie mogły nic wyczytać z oczu przyjaciółki.

– Pewnie głupio z naszej strony, że wybrałyśmy te książki, Cynthio – powiedziała przeproszającym tonem Jen. – Zważywszy, że...

– Że co? Zważywszy, że co? – zapytała zdumiona Cynthia. Nie odpowiedziały, zawstydzone jej konsternacją, nieświadomością ich obsesyjnych domysłów.

Ciszę przerwała Elizabeth.

– Cynthia ma rację. Rzeczywiście musimy próbować – odezwała się. – Tragizm leży w niepróbowaniu. Humbert nie próbował zapanować nad swoimi odruchami. Nie zamierzał chronić Lolity. Zamierzał ją wykorzystać. Był równie nikczemny jak ogry z baśni. I w pewien sposób taka jest również Charlotte, jej matka, która była gotowa ją odesłać, wypędzić z domu.

– Ale co jeśli podejmie się decyzję, a ona okaże się niewłaściwa? – zapytała z wahaniem Rina.

Cynthia, kartkując powieść, spojrzała na nią ostro, po czym natychmiast spuściła wzrok.

– Decyzje można cofnąć – powiedziała Donna. – To się zdarza codziennie. Separacje i pojednania. Dodatki do podpisanych już kontraktów. Zerwane umowy najmu. Powództwo wniesione, a potem wycofane. Zażegnane spory. Pisarze o tym wiedzą. Zaczynają nowy rozdział, zmieniają zakończenie. Jeśli mają tyle szczęścia co Nabokov i Nafisi, przenoszą się do innego miasta, innego kraju i piszą kolejną książkę.

– Nie wszystkie zakończenia można zmienić – zaproponowała Rina. – W prawdziwym życiu nie wszystko jest pod naszą kontrolą. – Choroba Jeremy'ego, jego bezbronność, a więc i jej własna, nadal ją prześladowała. Wiele tygodni potem budziła się w nocy, by dotknąć czoła syna, posłuchać regularnego oddechu, pochylić się i poczuć słodki mydlany zapach jego skóry i włosów.

– Ty może tego nie rozumiesz, Donno. Nie masz dzieci. Nie jesteś mężatką – stwierdziła Elizabeth.

Wybaczyły jej tę niedelikatność. Nie przepadały za nią, ale jej współczuły. Wiedziały, że właśnie życie Elizabeth wymknęło się spod kontroli, dokładnie obmyślony plan spalił na panewce z powodu autyzmu Adama. Donna spokojnie nalała sobie kolejny kubek kawy.

Jen rozpoznała protekcyjny ton siostry, znany jej dobrze z dzieciństwa. Elizabeth używała go w rozmowach z obsługą w domu spokojnej starości, a także, jak przypuszczała Jen, podczas spotkań z rodzicami trudnych uczniów. Pewnie dlatego pomoce i pielęgniarki w ośrodku matki nie lubiły jej i wołały rozmawiać z Jen. Czekala, że Donna zareaguje rozdrażnieniem, zacznie się bronić.

Ale Donna tylko się uśmiechnęła.

– Masz rację, Elizabeth – powiedziała spokojnie. – Oczywiście, że istnieją zakończenia, których nie można zmienić. Ale ja mówię o sytuacjach, w których zmiana jest możliwa. Weźmy na przykład dziewczęta z klubu książki Nafisi. Część z nich, w tym sama pisarka, dokonała wyborów, które odmieniły ich życie. Nasrina uciekła do Anglii. Mitra wyjechała do Kanady. Najmłodsza, Jasmina – uwielbiam to imię – mieszka teraz w Teksasie, a ta efektowna Azin w Kalifornii. Pamiętajcie, że Azin miała córkę, którą zostawiła w Teheranie, by móc żyć własnym życiem. Myślę, że odwagę konieczną do podjęcia tych decyzji czerpały z przeczytanych książek, z umiejętności wyobrażenia sobie innych światów niż ich własny, traktowania bohaterów powieściowych jako przykładów tego, jak mogą odmienić swoje życie.

– A co z bohaterami niepowieściowymi, prawdziwymi młodymi kobietami z klubu książki w Teheranie? Czy one też służą za przykład? Azin zostawia córkę w Teheranie, by zacząć życie z nowym mężem w Kalifornii? Czy możemy popierać matkę, która opuszcza dziecko, i nazywać to odwagą? – zapytała ostro Elizabeth.

Wiedziały, że myśli o Adamie, którego potrzeby uwięziły ją w

małżeństwie i przykuły do pracy. Czy mogła go porzucić i zgłosić pretensje do własnego życia?

– Istnieje coś takiego jak odpowiedzialne porzucenie. Były mąż Azin odebrał jej córkę i sam ją wychowywał. Gdyby Azin została, mąż i tak nie pozwoliłby jej przekazać córce własnych wartości. Więc uratowała swoje życie. W pewnym sensie nie miała wyboru. Nawet Charlotte Haze, okropna matka Lolity, choć tak zdecydowana, by pozbyć się córki ze swojego życia, załatwiła jej szkołę z internatem. Nie było to rozwiązanie doskonałe, ale na swój sposób odpowiedzialne porzucenie – stwierdziła Trish. – Zastanawiałam się wczoraj w nocy, co myślicie o Charlotte.

– Nie cierpię jej – powiedziała Cynthia. – To wulgarna, pretensjonalna suka.

– Mnie było jej żal – przyznała Donna. – Wdowa z romantycznymi marzeniami uwięziona w prowincjonalnym miasteczku.

– Zdecydowanie nie jest to postać powieściowa, która mogłaby służyć za przykład dla tych biednych młodych kobiet w Teheranie – stwierdziła Rina. – Natomiast sama Lolita mogłaby stać się takim przykładem.

– Lolita? Jak Lolita mogłaby służyć komukolwiek za przykład? Była ofiarą. Ofiarą Humberta, tak jak kobiety z Teheranu były ofiarami popleczników ajatollahów – zaprotestowała Jen.

– Ale nie była uległą ofiarą – zauważyła Trish. – Walczyła. Odszczekiwała się. Była humorzasta i ordynarna i odpłacała mu pięknym za nadobne – a czasem nawet piękniejszym. Chciałabym ją mieć jako pacjentkę. Ta nasza Lolita to nie pasywnoagresywna anorektyczka. Nafisi mówi nawet gdzieś o tym. Opowiada o ich drobnych aktach buntu, pokazywaniu odrobiny włosów, robieniu sobie manikiuru. Małe kroczyki, ale asertywne.

– A co z postaciami z innych czytanych przez nie książek – *Gatsby* 'ego Fitzgeralda, *Daisy Miller* Jamesa, z dziewczętami polującymi na mężów z utworów Jane Austen? Nazwałabyś je odważnymi? – zapytała cicho Cynthia.

Zareagowały na jej wypowiedź z dużym ożywieniem. Posypała

się lawina odpowiedzi. Góra słów. Przerzywały sobie nawzajem, przepaszwały, znowu przerywały. Kręciły się w wirze pomysłów, oczy im błyszczwały, twarze się zarumieniły. Jak zwykle cieszyła je płynność ich wymiany poglądów, radowała zarówno zbieżność, jak i rozbieżność zdań. Rozgorączkowane, kartkowały książki w poszukiwaniu zdania, ustępu, które potwierdziłyby ich teorię.

– Tak, Gatsby był odważny. Człowiek, który całkowicie wymyślił się na nowo. – Donna zerknęła na Rinę, a ta uśmiechnęła się chytrze i odwróciła wzrok.

Każda z nich miała coś do powiedzenia o Gatsbym.

– Wytrwały w swojej miłości do Daisy – stwierdziła Jen, a Trish skinęła głową.

– Ryzykant, nie bał się przestawać z przestępcami, być przestępcą. – Dziwne spostrzeżenie u Elizabeth.

– A Daisy Miller, biedna Daisy, była naprawdę śmiała. Amerykańska dziewczyna opierająca się snobizmowi europejskiej arystokracji, na tyle odważna, by błąkać się po Forum Romanum w chłodnych i niebezpiecznych ciemnościach nocy. Może nawet igrać ze śmiercią – westchnęła tęsknie Rina. Zawsze kochała uparte bohaterki Henry’ego Jamesa.

– Myślisz, że granie ze śmiercią wymaga odwagi? – zapytała cicho zarumieniona Donna, a Rina się wzdrygnęła. Przeklęła pod nosem swój brak wrażliwości i sięgnęła po rękę przyjaciółki, ale ta wstała gwałtownie, podeszła do okna i zaczęła wodzić palcem po wilgotnej lśniącej szybie.

– No i jeszcze siostry Bennet, takie dumne i uprzedzone. Austen naprawdę świetnie to uchwyciła – powiedziała Cynthia. – Zdecydowanie wolę Austen od Nabokova, choć muszę przyznać, że był znakomitym obserwatorem.

Roześmiały się, zadowolone z samych siebie i siebie nawzajem. Wymieniły swoje ulubione sceny z każdej z książek, te małe literackie skarby, które ukryły w bezpiecznym sejfie pamięci. Cynthia przeczytała fragment posłowie Nabokova, zamieszczonego w jej wydaniu, w którym autor z wielką zręcznością odmalowuje swoje ulotne fantazje – ulubione obrazy,

martwe natury w jego wyobraźni, dźwięki, które rozbrzmiewają echem w pamięci.

Trish zaparzyła nowy dzbanek kawy i napełniła im kubki.

Odprężyły się. Zaczęły już spokojniej rozmawiać o drugoplanowych postaciach w książkach, spekulować na temat innych możliwych zakończeń. Co stałoby się z Lolitą, gdyby Humbert Humbert nie pojawił się w jej życiu? Rina uważała, że mogłaby zostać kasjerką w supermarkecie. Donna, z większą życzliwością, wysłała ją do college'u, gdzie poznałaby i poślubiła studenta farmacji.

– Pomocnica pielęgniarki w domu spokojnej starości – stwierdziła Jen.

– Która uwodzi staruszka po amputacji – dodała Elizabeth w rzadkim przypiływie żartobliwej złośliwości.

Roześmiały się.

– Ja się nie bawię – oświadczyła Cynthia. – Wiecie, że nie lubię wkraczać na terytorium „co by było gdyby”? Podniosła się z niskiego krzesła, poprawiła szeroki golf od swojego szkarłatnego swetra i wyjrzała przez okno. Dziwiła je śmiałość wyboru takiego koloru przy typie urody przyjaciółki, ale Cynthia wiedziała, co robi. Wyglądała wspaniale. Oczywiście, dyrektorka do spraw marketingu w Nightingale's w kwestii mody nie miała marginesu błędu.

– Na dole czeka na mnie samochód. Jutro wcześniej rano mam spotkanie. Podrzucić kogoś?

Pokręciły głowami, patrzyły, jak zarzuca na siebie płaszcz i bierze dyplomatkę.

– Wspaniałe ciastka, Cynthia – powiedziała Trish.

– Mnie też bardzo smakowały. – Uśmiechnęła się, uprzejma, szczodra Cynthia, której precyzyjnie nałożony makijaż stał się trochę, odsłaniając cienie pod oczami, uwydatniając chudość jej twarzy. – Gdzie się spotykamy następnym razem?

– U mnie – odparła Elizabeth. – Jestem prawie pewna, że teraz moja kolej.

– U Elizabeth – potwierdziła Trish. – Datę jeszcze ustalimy.

Ale przypuszczam, że jakoś w marcu.

Odprowdziła Cynthię do drzwi, pocałowała ją w policzek i wróciła do salonu, gdzie nagle zapanowała upiorna cisza. Siedziały wszystkie bez słowa, dopóki nie usłyszały dźwięku otwieranych i zamykanych drzwi od windy. Jen podeszła do okna, zobaczyła, jak Cynthia wsiada do czekającego na nią czarnego samochodu, i wróciła na kanapę. Jej kawa zdążyła wystygnąć, ale i tak ją wypila, dziwnie zadowolona z jej goryczy. Milczenie przerwała Trish.

– Widzieliśmy wczoraj Erica – powiedziała łagodnie. – Byłam z Jasonem.

– Gdzie? – zapytała nieufnie Jen.

Jak zwykle chciała chronić Erica. Planowała do niego zadzwonić po powrocie z Meksyku, ale jakoś nie było na to czasu. Wzięła dodatkowe zlecenie od agencji reklamowej i spędzała długie godziny nad komiksem *Loterii*. A poza tym jej nieobecność jakoś chyba zmobilizowała Iana. Skończył kolejny duży obraz i zaczął pracę nad cyklem akwareli na podstawie szkiców z Rhode Island. Pojawiły się plany ważnej wystawy. Jen odbierała telefony od właściciela galerii, projektowała program, musiała też reagować na nagłe prośby, by oceniła postępy w jego pracy.

– Czuję, że wreszcie zbliżam się do punktu, w którym chciałem się znaleźć, co oznacza, że zbliżam się do punktu, gdzie chciałem, byśmy się oboje znaleźli – powiedział jej Ian, przytuliwszy ją mocno, a w jego czułych słowach dało się słyszeć nowe postanowienie.

Wszystko to oznaczało, że Jen ledwo miała czas, by odwiedzić matkę, i w ogóle go nie miała, żeby umówić się na spotkanie z Erikiem, który zostawił jej kilka wiadomości na sekretarce. Obiecała sobie, że niedługo do niego zadzwoni. Bardzo niedługo.

– W bistro w East Village – odparła Trish. – Był w towarzystwie. Młodego mężczyzny. Bardzo młodego.

Wbiła wzrok w dłonie. Nie była zdecydowana, czy podzielić się z grupą tym, co Jason sarkastycznie nazywał „objawieniem Erica”, ale impuls okazał się zbyt silny. Gdyby im nie



powiedziała, byłby to rodzaj zdrady. Wszystkie miały udział w tych tajnych rozważaniach, współpracki w równym stopniu obciążone winą za węszenie wokół sekretu Cynthii, sekretu jednocześnie kuszącego i niebezpiecznego.

– Mężczyźni miewają przyjaciół tej samej płci. To nie znaczy, że są gejami – stwierdziła Jen.

– Dość długo był mężem Cynthii. Mają dzieci. To coś mówi o jego seksualności.

Rina zgmiotła chusteczkę. Żałowała, że Trish nie milczała. Żałowała, że Trish widziała Erica. Jej życie właśnie się ułożyło i nie chciała, żeby życie przyjaciółek teraz się komplikowało.

– A ileż to razy słyszałyśmy o żonatyh mężczyznach, część z nich w długich i pozornie szczęśliwych związkach, którzy nagle ujawniają, że są gejami i że prowadzą podwójne życie? – zapytała Elizabeth. – Bert ma kolegę z pracy, nudnego mężczyznę z nudną żoną i nudnymi dziećmi, który nagle okazał się wcale nie tak nudny. Przyznał się do swojej orientacji, oświadczył, że od dwudziestu pięciu lat prowadzi podwójne życie, a teraz, kiedy jest na emeryturze, przeprowadza się ze swoim partnerem na Key West. Nudna żona i nudne dzieci też dostały emeryturę, bo zdaje się, że partner jest zamożny, i wszyscy będą żyć długo i szczęśliwie. Albo też długo i nieszczęśliwie, zależnie od okoliczności – zaśmiała się ostro. Dobrze znała nieszczęśliwe zakończenia.

– No i są jeszcze zamężne kobiety, które nagle przyznają się do homoseksualizmu – dodała Donna. – Obie z Trish znamy pielęgniarkę z naszego szpitala, która właśnie tak zrobiła. I w atmosferze dzisiejszych czasów nikogo to nie obeszło.

– No, ale pewnie obeszło to jej męża – powiedziała Trish. – I Cynthię też by obeszło.

– Jeśli to prawda – stwierdziła rzeczowo Jen. – A przecież nic nie wiadomo. Erie mógł być z bratankiem, współpracownikiem, studentem z prowadzonych przez niego zajęć o filmie. Istnieje wiele możliwości. Słuchajcie, przecież wszystkie znamy go od lat. Czy któraś kiedyś pomyślała, że jest gejem?

Pokręciły głowami. Uważały, że jest łagodny. Opiekuńczy i uczynny. Atrakcyjny. Podziwiały jego karierę zawodową, życie w luksusie, którym tak szczerze się dzielił. I uznawały go też za dobrego męża i ojca, najwłaściwszego małżonka dla królowej balu.

– Ale z drugiej strony, do jakiego stopnia można naprawdę poznać drugiego człowieka? – Wzrok Donny znów powędrował ku Rinie, współlokatorce z college’u, przyjaciółce od serca. Rina stała obok niej na pogrzebie matki i tylko ona wiedziała, jak zmarła jej matka. Pamiętała długą noc porodu Jeremy’ego spędzoną w szpitalnej poczekalni, w niepokoju o Rinę, której odwagę podziwiała, której pochopnych decyzji się obawiała, której dziecko stało się tak bliskie jej sercu.

Rok w rok piekła Jeremy’emu urodzinowe torty, kupowała mu buty, zabierała go do muzeum dla dzieci.

Była ciocią Donna, najlepszą przyjaciółką mamy. A jednak do jakiego stopnia znała Rinę, kobietę, która wiecznie wymyśla się na nowo, nie zdradza swoich tajemnic, a teraz siedzi naprzeciwko Raya w restauracjach i obok niego na koncertach? Widziała dziwaczność tego, że tak łatwo zaakceptowała fakt, iż jej najlepsza przyjaciółka i łagodny, uroczy mężczyzna, który był jej kochankiem, zbudowali razem głęboką, nieprzeniknioną intymność. Do jakiego stopnia w takim razie znała siebie?

Więc w gruncie rzeczy czy rzeczywiście znała inne – Cynthię i Trish, Elizabeth i Jen? Czy kobiety z klubu książki w Teheranie naprawdę znały się nawzajem? Czy też czytane przez nie powieści służyły za tarcze, obronę przed głębszym zaangażowaniem emocjonalnym? To pytanie ją zasmuciło. Spojrzała na przyjaciółki, pogrążone w pełnej refleksji ciszy.

Powoli, jedna za drugą, zamknęły swoje książki. Elizabeth, która robiła notatki podczas każdej dyskusji, założyła ostrożnie skuwkę na długopis i wrzuciła go do torby. Trish wyniosła resztę ciastek.

– Następna książka? – rzuciła Elizabeth.

– Ty wybierasz. Spotykamy się u ciebie – powiedziała Rina.

– Miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy przeczytały *Szklany klosz* i tom wierszy *Ariel*? – odpowiedziała pytaniem. – Wiem, że to twój konik, ale pomyślałam, że Sylvia Plath byłaby interesującą lekturą zimową.

Jen dostrzegła powokacyjną przebiegłość w pytaniu siostry.

– Nie mam nic przeciwko – odparła Rina. – Może mi się to nawet przyda, chyba że któraś z was sprzeciwi się, żebym wasze spostrzeżenia wykorzystała w swojej pracy.

– Byłybyśmy zaszczycone – powiedziała Trish i wszystkie się roześmiały.

Nastrój im się poprawił. Uśmiechnęły się do siebie nawzajem, uwolniwszy myśli od Cynthii i Erica, po czym zebrały swoje płaszcze i torebki.

– Wspaniała kolacja – Donna pochwaliła Trish, kiedy ścisnęła ją przy drzwiach.

– Wspaniała – potwierdziły jednogłośnie przyjaciółki.

– I fantastyczna dyskusja – dodała Jen, a pozostałe pokiwały z zapalem głowami.

Kiedy tak stały w przedpokoju, w zamku zadźwięczał klucz Jasona i przybysz został powitany z sympatią i ze śmiechem. Jego obecność postawiła ostateczną kropkę na końcu ich wspólnego wieczoru. Objął Trish ramieniem, jakby chciał w ten sposób odzyskać nad nią władzę, i tak mąż i żona stali razem w drzwiach i machali, podczas gdy rozgadana gromadka wsiadała do windy.

## Rozdział siódmy

– Hej Jen, możemy popatrzeć, jak pracujesz?

Jen, siedząca przy stole kreślarskim w pracowni działu artystycznego Nightingale's, podniosła wzrok i ze zdziwieniem zobaczyła w drzwiach bliźniacze córki Cynthii.

– Hej Liza, hej Julie, co wy tu robicie? Nie ma dziś szkoły? Czy może wagarujecie?

Dziewczynki zachichotały i energicznie pokręciły głowami, tak że ich lśniące kasztanowe kucyki zaczęły podskakiwać w górę i w dół. Włosy Lizy były związane błękitną wstążką pod kolor jej bladoniebieskiego Tshirtu, natomiast Julie miała różową gumkę dobraną do jej różowej bluzki. Jen nie musiała nawet spojrzeć w dół, by wiedzieć, że skarpetki Lizy są niebieskie, a Julie różowe. Cynthia miała obsesję na punkcie takich szczegółów. Nawet jeżeli rano nie ma jej na miejscu, by osobiście czuwać nad ubraniem dzieci, ich szkolne stroje zawsze doskonale się komponują. Taka już jest Cynthia.

– W naszej szkole pękł bojler. Mae poszła na zakupy, a Ingrid gdzieś wyszła. Ma wolne, kiedy my jesteśmy w szkole. Więc zadzwonili do mamy, a ona przysłała po nas samochód i powiedziała, że możemy tu pobyc, dopóki nie zabierze nas do domu. Powiedziała nam, gdzie cię znaleźć – oświadczyła rozpromieniona Liza, dumna z dokładności tego sprawozdania. – Mówiła, że możesz nauczyć nas czegoś o swojej pracy. Boja chcę być artystką.

– Ja nie chcę być artystką, ale popatrzę. – Julie przysunęła się bliżej do stołu i utkwiała wzrok w rysunku Jen.

– Świetnie – powiedziała Jen, ukrywając rozdrażnienie. Co Cynthia sobie wyobraża? Wezwała Jen w ostatniej chwili (naprawdę ostatniej), by doprowadziła do porządku rysunek do reklamy, który sknocił jeden z ich grafików, a teraz oczekiwała od niej, że będzie się bawić w opiekunkę do dzieci. Było to coś nowego. To nie w stylu Cynthii tak ją wykorzystywać – a może

jednak. W końcu kiedy zdaniem Cynthii projekt musi być ukończony, musi być ukończony natychmiast i do diabła z czymkolwiek planami. Możliwe, że wykorzystwała Erica o jeden raz za dużo, a on, w odpowiedzi, zrobił coś mściwego i może, być może, niewybaczalnego z punktu widzenia Cynthii. Niemal natychmiast zrozumiała, jak nielojalna jest ta myśl. Cynthia to jej przyjaciółka, bardzo dobra przyjaciółka; w geście zadośćuczynienia przyciągnęła do siebie dziewczynki i ucałowała każdą w policzek.

– A więc co robię – powiedziała. – Mam tu zdjęcie kilku rzeczy, które wasza mama chce wystawić na sprzedaż: przycisk do papieru, podpórki do ustawiania książek na półkach, świecznik. Moje zadanie polega na tym, żeby je jakoś ułożyć, a potem tę kompozycję narysować, tak żeby ludzie, którzy będą czytać gazetę, zobaczyli mój rysunek i powiedzieli: „Hej, to wygląda wspaniale. Chyba kupię ten przycisk do papieru”, a potem popędzili po niego do Nightingale’s. Podczas gdy im to mówiła, przejrzała zdjęcia, po czym sprawnie naszkicowała trzy książki między podpórkami, dodała świecznik z płonąca cienką świeczką, a na koniec narysowała przycisk do papieru na otwartej książce.

– A dlaczego w gazecie nie mogłyby być po prostu te zdjęcia? – zapytała Liza.

– Dlaczego nie robisz tego na komputerze? – Julie pochyliła się do przodu. Ona była poważniejszą z bliźniaczek. – Dlaczego nie rysujesz ich w cieniu? Zapalone świeceki wyglądają najlepiej, kiedy są w cieniu – Była córką swojego ojca. Miała po Ericu zmysł do kompozycji i szczegółów.

Jen zerknęła na telefon. Erie zostawił jej dwie wiadomości, jego głos brzmiał lekko przeprasząco. Obiecała sobie, że zadzwoni do niego niedługo, jeszcze przed końcem tygodnia. Uśmiechnęła się do jego córek i po raz pierwszy zauważyła, że ich rzęsy, tak jak jego, są długie i wywinięte, a płomienne kosmyki rzucają cienie na ich policzki.

– Masz rację – zgodziła się Jen i dorysowała cień. – Wasza mama woli rysunki niż fotografie, ponieważ uważa, że skuteczniej

przyciągają uwagę. Mnie tego typu rzeczy lepiej wychodzą odręcznie niż na komputerze. A czy wy, dziewczynki, kiedykolwiek przestajecie pytać „dlaczego”?

– Ale jest dużo rzeczy, które chcemy wiedzieć – odparła Julie.

– Ty nam odpowiedziałas, ale nie każdy to robi. Ciągłe pytamy „dlaczego” o różne sprawy, ważne sprawy, ale nikt nam nic nie mówi.

– A o co na przykład pytacie?

Jen opryskała rysunek utrwalaczem, po czym wkleiła tekst, który miał być nagłówkiem tej reklamy. „Niech twoje biurko mówi: romantyczna”. Pomyślała cierpko, że jej biurko nie mówi „romantyczna”. Sterty niedokończonych szkiców i niezapłaconych rachunków mówią „przeciążona”.

– Na przykład dlaczego nasz tatuś już z nami nie mieszka. Dlaczego odszedł?

Dziewczynki wbiły wzrok w Jen, ich oczy lśniły niebezpiecznie, policzki się zarumieniły.

– Przykro mi. To pytanie będziecie musiały zadać mamie – powiedziała Jen i odwróciła się.

Gdyby się rozpląkały, z jej oczu też mogłyby potoczyć się łzy. Pomyślała, że ich pytanie bardzo różni się od „dlaczego”, które prześladowało jej dzieciństwo. Dlaczego muszą być razem? Dlaczego się nie rozstaną? – pytała samą siebie, kiedy kłótnie rodziców osiągały przerażające apogeum. Nieraz chciała, żeby byli osobno, pragnęła dźwięku zatrzasniętych drzwi, nieodwracalnego odejścia.

– Jakie pytanie? – Cynthia stała w drzwiach pracowni, swobodnie elegancka w czarnym spodniem. Ścisnęła mocno podkładkę do pisania i wyłączyła dźwięk w komórce zwisającej z jej cienkiego srebrnego paska.

Podeszła miękko do stołu, przestudiowała rysunek Jen i uśmiechnęła się.

– Właśnie tego chciałam – powiedziała. – Mam nadzieję, że te moje urwisy nie dały ci się za bardzo we znaki.

– Nie. Były bardzo grzeczne – odparła Jen.

– Świetnie. Liza, Julie, udało mi się skontaktować z Mae, przyjedzie was odebrać. A teraz, o co miałyście mnie zapytać?

– Chciałyśmy wiedzieć, czy mogłybyśmy pójść na lody – odpowiedziała Julie i zerknęła chytrze na Jen.

– Powiem Mae, że się zgadzam. Ale tylko po jednej gałce dla każdej. Podziękujcie Jen.

– Dzięki, Jen – zawołały zgodnym chórem i wypadły pędem z pracowni.

– Ja też ci dziękuję, Jen – odezwała się Cynthia. – Skończyłaś na dzisiaj?

– Nie. Mam jeszcze jedno spotkanie, a potem chcę pójść do księgarni i zobaczyć, czy dostanę *Szklany klosz*. Jeszcze nawet nie zaczęłam czytać na następne spotkanie.

– Powodzenia. Moja sekretarka nie mogła tego znaleźć w sklepach. W końcu kupiła na Amazonie. Nie wiem, czemu tak mi się spieszyło. Ta książka potwornie mnie przygnębia.

Cynthia odwróciła się i już miała wyjść, ale nagle zatrzymała się, zamyślona.

– Twoim zdaniem z dziewczynkami wszystko w porządku, prawda? – zapytała. – Dobrze sobie radzą z tą sytuacją, nie sądzisz?

Jen się zawahała.

– Sprawiają takie wrażenie – powiedziała w końcu. – Ale i tak myślę, że to dla nich trudne. – Nie zamierzała kłamać, a prawdy nie знаła.

Cynthia uniosła brwi. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Nie takiej odpowiedzi chciała.

– Rozumiem – powiedziała zimno. – Cóż, nie pracuj za ciężko, Jen.

– Postaram się.

Ale jednak pracowała ciężko. Z Nightingale's popędziła na spotkanie z kolejnym dyrektorem artystycznym pewnej agencji reklamowej, który potrzebował natychmiast zupełnie nowej wersji jakiejś makiety. Kiedy w końcu ruszyła przez zabarwioną kobaltem ciemność późnego zimowego wieczoru do księgarni na

Dziesiątej Ulicy, było bardzo późno. Szczęśliwa pośród pełnych półek, przechadzała się po zatłoczonym sklepie, oglądała przeczytane i kochane książki, przekartkowała jedną, potem następną, aż w końcu znalazła zniszczony egzemplarz *Szklanego klosza*. Obok niego stały dzienniki Sylvii Plath, o wciąż nieprzeciętych kartkach; z okładki uśmiechała się poetka – zbyt radośnie, na dziwnym zdjęciu pokazującym rękę niewidzialnego adoratora ofiarowującą jej różę. Jen zawahała się, nim postanowiła kupić obie książki. Dziesięć dolarów to dużo, wzięwszy pod uwagę, że znowu u niej krucho z pieniędzmi. Wycieczka do Meksyku, choć tania, to jednak luksus, a rachunki za opiekę nad matką piętrzyły się na biurku. Mimo to jednak chciała mieć te dzienniki. Wystawa lana prawie na pewno odbędzie się późną wiosną i nie wątpiła, że większe obrazy szybko się sprzedadzą. Tak czy owak, gdy skończy pracę nad obrazami, będzie mógł wrócić do nauczania w League, co przyniesie im jakiś stały dochód. To jej obiecał, a ostatnimi czasy dotrzymywał przecież obietnic.

– Stać mnie chyba na książkę za dziesięć dolarów – mruknęła pod nosem i zajęła miejsce w kolejce do kasy. Stojąca obok niej z książką *Jak osiąść sztuką francuskiej kuchni* dziewczyna z kucykiem i twarzą zaczerwienioną od wiatru zerknęła na Jen i odwróciła wzrok.

– Nasz klub książki będzie omawiał Sylvię Plath – powiedziała Jen i zaczęła się zastanawiać, czemu czuje, że musi się tłumaczyć. Czytanie Sylvii Plath nie robiło z niej osoby cierpiącej na depresję. No, ale przecież zawsze chciała wszystko tłumaczyć, by unikać nieporozumień, nawet podczas najbardziej przelotnych spotkań.

– Och. To świetnie – powiedziała dziewczyna. Machnęła wybraną przez siebie książką. – Kupuję to, bo właśnie uczę się gotować. Mój chłopak spędził pierwszy rok studiów w Paryżu i uwielbia francuskie jedzenie.

– Cóż, to dobra książka na początek – powiedziała z uznaniem Jen. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przygotowała



posiłek, by sprawić przyjemność Ianowi. Potem próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jedli razem. Zdała sobie sprawę, że to było kilka tygodni temu. Dodatkowa praca, którą przyjęła, by pokryć ich wydatki, oznaczała, że wracała późno i oczywiście zbyt wyczerpana, żeby gotować. Od czasu do czasu, kiedy przychodziła wieczorem do domu, Iana nie było, a na jej biurku leżała nabazgrana karteczka z wyjaśnieniem. Musiał się spotkać z właścicielem galerii albo może wczesny seans jakiegoś artystycznego filmu. Czasem odwiedzał wystawy innych malarzy.

Zbyt często Jen gniotła te wiadomości z rozdrażnieniem, po czym je rozprostowywała i wrzucała pod swoje rysunki, karząc się za własne zdenerwowanie. Przyznawała, że nie może go winić za chęć wyjścia z mieszkania po całym dniu malowania, cieszyła się z kilku godzin samotności, które daje jego nieobecność. Dzięki temu miała czas, by zająć się własną pracą, poczytać w ciszy przy obiedzie kupionym na wynos.

Kiedy patrzyła, jak kasjerka wrzuca książki Plath do torby, zdała sobie sprawę, iż niemal ma nadzieję nie zastać Iana, kiedy wróci do domu. Pragnęła bardzo ostrożnie przeciąć strony dzienników, zaciągnąć się zapachem szeleszczącego papieru dobrej jakości, nietkniętego wcześniej przez żadnego innego czytelnika. Książki lśniące nowością zawsze napełniały ją dreszczem podniecenia i oczekiwania. Wyobraziała sobie stonowane bursztynowe światło rzucane przez jej lampkę nocną na wyraźny druk, kiedy powoli przewraca strony i wkłada się w życie młodej poetki, które skończyło się tak tragicznie. Jen próbowała sobie przypomnieć, ile lat miała Sylvia Plath, kiedy w zimną londyńską noc popełniła samobójstwo. Przypuszczała, że musiała być w wieku zbliżonym do członkiń klubu.

Zadrzała i pomyślała, że zacznie czytać dzienniki tej nocy. Przy odrobinie szczęścia uda jej się skończyć w rekordowym czasie i przekazać Elizabeth przed spotkaniem klubu. To by przynajmniej uzasadniło ten wydatek.

– Wesołego gotowania – zawołała do dziewczyny, kiedy wyszły razem z księgarni.

Kiedy przyszła do domu, lana nie było, a na lodówce znajdowała się kolejna jego wiadomość. „Jestem na wykładzie z impresjonizmu w Cooper Union. Czekałem na ciebie, bo myślałem, że może będziesz chciała pójść”. Podpisane samym inicjałem. Żadnego czułego żalu. Żadnego „kocham cię” albo „bez ciebie to nie to samo”.

Poczuła przyływ słusznego gniewu, dotychczas jej nieznanego, ale inspirującego. Wróciła późno, bo pracowała – za pieniądze na czynsz za następny miesiąc. I mówiła mu o tym rano. Nie miał prawa jej obwiniać. Ta nagła gwałtowność ją przeraziła. Przeczytała wiadomość jeszcze raz i uspokoiła się. Zareagowała zbyt ostro, Ian nie sugerował, że to czyjaś wina. Zadzwoił telefon i Jen podniosła słuchawkę drżącymi palcami, zirytowana samą sobą, pełna nadziei, że to Ian.

– Jen – powiedziała Elizabeth, jak zwykle krótko i na temat. Zwykle „Hej, jak się masz?” stanowiło stratę czasu.

– Hej, Elizabeth – odparła spokojnie.

Siostra zawsze potrafiła wyczuć w jej głosie najmniejszy niepokój czy rozdrażnienie, i zawsze szybko wykorzystywała nawet najbardziej przelotną bezbronność. Trish powiedziała Jen, że rodzeństwo instynktownie wyczuwa nawzajem swoje najczulsze miejsca, posiada zbyt intymną wiedzę o ranach i słabych punktach z dzieciństwa, nieuchronnie przeniesioną w dorosłe życie. Nie zamierzała mówić Elizabeth o liściku. To by tylko dołało oliwy do wiecznie tłącego się ognia dezaprobaty siostry dla lana, pogardy wobec ich związku.

– Właśnie o tobie myślałam – powiedziała zbyt szybko. – Kupiłam dzienniki Sylvii Plath i pomyślałam, że może chciałabyś je przeczytać, kiedy skończę. Mogłabyś się nimi podeprzeć w swoim wprowadzeniu do dyskusji.

– Wypożyczyłam je już z biblioteki. Jestem prawie w połowie i raczej nie pomagają mi pokochać naszej pani poetki. Ale nie w tej sprawie dzwonię.

Pewnie, że nie, pomyślała Jen. Elizabeth nigdy nie dzwoniła, żeby tak po prostu pogadać. Nic nie odpowiedziała i podarła

karteczkę lana na maleńkie kawałeczki.

– Czy dzwonił do ciebie ktoś z domu spokojnej starości? – zapytała Elizabeth.

– Nie. Coś się stało?

– Nie bardzo wiadomo. Jest podejrzenie, że mogła mieć serię miniudarów. Mówi trochę od rzeczy, a Fania, ta rosyjska opiekunka...

– Wiem, kim jest Fania – przerwała jej Jen. – Co miesiąc wypisuję jej czeki.

Elizabeth zamilkła na chwilę, zaskoczona pełnym irytacji wybuchem siostry nie mniej niż ona sama.

– Więc co z tą Fanią? – zapytała już łagodniej Jen.

– Mówi, że zauważyła u niej jakiś niedowład prawej strony. Ma problemy z posługiwaniem się sztucami.

Jen odnotowała w myśli, że ani razu nie użyły słowa „matka”. Choć w tej jednej kwestii są zgodne. Spełniały obowiązek wobec kobiety, która je urodziła, ale nie udawały, że ją kochają. Ona w końcu nigdy nie okazała im miłości. Całe dzieciństwo musiały się bronić przed jej irracjonalnymi napadami wściekłości. Elizabeth, uzbrojona w posępną niechęć, zatrzaśniała drzwi swojej sypialni przed porannymi humorami, wieczornymi awanturami, a Jen wycofywała się w powściągliwą uległość. Obie znajdowały schronienie w świecie książek. Wszystko, byleby uniknąć sceny, powstrzymać kłótnię.

Matka zaskoczyła je gwałtownością, niemal histerycznością swojego żalu, kiedy ojciec, ten słaby, nieudolny mężczyzna, zmarł nagle na zawał serca. Dopiero później zdały sobie sprawę, że żałowała samej siebie, ponieważ straciła obiekt gniewu. Odarta z furii, pogrążona w goryczy, skupiła się na chorobach, które nawarstwiały się przez mijające lata – nadciśnienie, wyczerpanie, anemia – nieuchronne chroniczne dolegliwości dotyczące starzejących się i samotnych. Jej twarz zasuszyła się w formie maski zapadniętych rysów, ciało się skurczyło, wypluwała z siebie inwektywy i oskarżenia, obwinała córki za swoje choroby, tak jak ich ojca za swoje niepowodzenia. To przez okrutną obojętność Jen

i Elizabeth ma nadciśnienie i wysoki poziom cukru. Jej irracjonalne krzyki niosły się po korytarzach, a towarzyszyły im ciekawskie spojrzenia obsługi.

Otępiałe po latach ataków, Elizabeth i Jen już nie zastanawiały się nad źródłem jej rozgoryczenia. Wiedziały, że był kiedyś inny mężczyzna, przed ich ojcem. Porzucił ją, a gdzieś w mrocznej mitologii rodziny kryła się też historia zdrady jej ojca, ich dziadka. Siostry przypuszczały, że życie matki było jednym pasmem niepowodzeń. Ale każda z osobna uznawała, że to nie tłumaczy cierpień, jakie im zadała.

Sumiennie zorganizowały dla niej opiekę, zajęły się jej sprawami, dbały, żeby nikt jej nie dokuczał, i składały wymagane wizyty. Nigdy im nie podziękowała. A one z kolei cieszyły się z braku wdzięczności. To zwalniało je z obowiązku miłości.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytała Jen.

– Chyba jedna z nas powinna tam pojechać. Ale ja naprawdę nie mogę. W pracy panuje szaleństwo i dostaliśmy telefon od terapeuty Adama. Chce się z nami naradzić. To ważna część tego nowego programu. Więc ty będziesz musiała to zrobić.

– Nie mogę – odpowiedziała stanowczo Jen. – Miotam się teraz między trzema pracami, nie licząc zwykłych zleceń. Cynthia ustaliła ostateczny termin oddania grafik do letniego katalogu. Słuchaj, Elizabeth, niewiele możemy zrobić. Ona ma przyzwoitą opiekę. Co by to zmieniło, gdybyśmy się tam pojawiły?

– Pewnie masz rację. – W zgodzie Elizabeth słysząc było nutę zarówno ulgi, jak i niechęci.

– Zadzwonię do nich i wytłumaczę im, jak to wszystko wygląda – powiedziała Jen. – A jak podoba ci się twórczość Plath, wiersze, dzienniki? – Chciała zmienić temat, uciec przed cieniem ich wspólnej przeszłości. Jak zwykle książki dawały im azyl, pozwalały się schronić na neutralnym terytorium.

– Różnie – odparła ostrożnie Elizabeth. – Część jej twórczości wydaje mi się mocno niepokojąca. Nie tylko *Szklany klosz*, ale też wiersze z tomu *Ariel*; no i sposób, w jaki obraża w dziennikach matkę.

– Matkom nieźle się obrywa – powiedziała lekko Jen, zachęcając siostrę do solidarności. – Wyjąwszy naszą matkę. Ona sobie zasłużyła.

– Według Berta matki są źródłem wszelkiego zła. – Słowa Elizabeth były ciężkie od zmęczenia. – A przynajmniej kiedyś tak myślał. Teraz, kiedy wiemy trochę więcej na temat autyzmu, zaczął śpiewać inaczej. Właściwie wydaje mi się, że zmienia się też w innych kwestiach.

Jen westchnęła. Wiedziała, że Bert obwiniął Elizabeth za chorobę Adama. Zasypał ją esejami Bettelheima poświęconymi odrzuceniu przez matkę, pościągał ze stron internetowych materiały o toksycznym wpływie zimnych, obojętnych kobiet na ich małe dzieci, Ian powiedział jej, że Bert ostrzegał go, by nie decydował się na dziecko z Jen.

– Ich matka okaleczyła je psychicznie. Elizabeth okaleczyła Adama. Chyba nie chcesz powtórki.

Ian zacytował go dosłownie.

– I co mu powiedziałaś? – zapytała Jen.

– Powiedziałem mu, żeby nie wtykał cholernego nosa w nie swoje sprawy.

Jen poczuła przyływ dumy. Tam, gdzie ona unikała konfrontacji, Ian był nieustraszenie bezkompromisowy. Jego siła rekompensowała jej słabość. Zapewniali sobie równowagę. Wtedy z wdzięczności stanęła na palcach i pocałowała go w brodę, zachwycona gładkością jego skóry pod jej ustami.

– Czy w takim razie ja jestem twoją sprawą? – zapytała.

– No pewnie, że tak – zapewnił ją i wsunął poplamione farbą palce między jej ciemne loki.

– Och, Bert – powiedziała teraz Jen. – On potrafi być takim dupkiem. – Zgniotła skrawki wiadomości lana w kulkę i wyrzuciła ją.

– Owszem, potrafi, potrafi – zgodziła się Elizabeth. – Ale teraz jest dużo lepiej niż kiedyś.

– Naprawdę?

Elizabeth rzadko rozmawiała z nią o Bercie, a jeśli już, to

przybierała ton obronny, usprawiedliwiała jego zachowanie, tak jak zapewne usprawiedliwia własne. Stan Adama, ciężar opieki nad nim, uzasadniał pełną goryczy złość, która spowijała ich życie, niechęć dostrzegalną w każdej rozmowie.

– Zamierzam zrobić serowe fondue na spotkanie naszego klubu – oświadczyła Elizabeth, zmieniając temat. Gotowanie było jeszcze bezpieczniejsze niż literatura. – Co o tym myślisz?

– Weź do tego angielski cheddar. Będzie w sam raz do dyskusji o Sylvii Plath, zważywszy na tę całą jej obsesję angielskości. No i do tego Ted Hughes, jej mąż, otrzymał tytuł brytyjskiego Poety Laureata, więc trafisz w sedno – stwierdziła Jen. Może powinniśmy w przyszłym roku tak robić. Dobierać menu do omawianych książek. Na przykład na kolację z *Anną Kareniną* mogłybyśmy przygotować bliny albo straganowa. – Ta myśl ją rozbawiła i uśmiechnęła się do słuchawki.

– To tego używa się do fondue? – zapytała Elizabeth. – Angielskiego cheddara?

– Nie wiem. Fondue raczej nie gościło co dzień na naszym stole w domu rodzinnym. – Roześmiały się, odprężone i swobodne.

– Sprawdzę, co z tym serem – powiedziała Elizabeth. – Dobranoc.

– Dobranoc. I nie martw się o nią.

– Dobrze. Nie będę się martwić.

Jen odłożyła słuchawkę i pomyślała o matce, jak leży bezbronna w łóżku, usiłuje podnieść prawą rękę, zgiąć palce prawej dłoni. Starła się obudzić w sobie zrozumienie, pozory współczucia (jest stara, jest chora, jest twoją matką, mówiła sobie surowo), ale jedyne, co czuła, to przytłaczający nieokreślony smutek. Westchnęła i wyciągnęła z lodówki miskę spaghetti, które zjadła na zimno. Nie przecięła tej nocy stron dziennika; gdy położyła się do łóżka po gorącym prysznicu, otworzyła *Szklany klosz*.

„Sylvia Plath – przeczytała we wprowadzeniu – napisała tę książkę pod pseudonimem Victoria Lucas, by chronić matkę”.

Jen przeczytała to zdanie jeszcze raz, po czym uniosła ołówki.

„By chronić matkę przed czym?”, zanotowała na marginesie. Zadała to pytanie na spotkaniu klubu. Zamknęła oczy i przyszły jej na myśl córki Cynthii, zobaczyła błysk w dwóch parach zielonych oczu, usłyszała ich głosy słodko podniesione, gdy kłamały na temat lodów, by chronić matkę przed ich rozpaczliwą potrzebą zrozumienia, co dzieje się w ich domu. Dlaczego tatuś już tu nie mieszka? Dlaczego?

Dzieci Cynthii, tak jak jej przyjaciółki, domagały się wiedzy, której im odmówiono. Dlaczego i jeszcze raz dlaczego? Słyszała ich pytanie niczym refren piosenki z jakże wielkim smutkiem śpiewanej w duecie przez bliźniaczki o lśniących włosach, rozpuszczonych i opadających im na ramiona. Z tym obrazem tańczącym w wyobraźni Jen zapadła w lekki sen i obudziła się dopiero, gdy poczuła muśnięcie ust lana na powiekach, a jego ręka spoczęła delikatnie na jej czole.

– Przepraszam, że poszedłem bez ciebie – szepnął. – Nie jesteś zła, prawda?

– Nie, nie jestem zła.

Pociągnęła go na łóżko obok siebie; książka spadła na podłogę.

– Dzwonili z domu spokojnej starości – powiedział. – Zapomniałem zostawić ci wiadomość. Jakiś problem z twoją matką.

– Wiem – odparła.

– Wszystko będzie dobrze.

– Wiem. – Kłamstwo przyszło jej bez wysiłku.

Ian zgasił światło, jego ręka wciąż spoczywała na czole Jen i leżeli tak obok siebie, bezpiecznie otuleni podnoszącą na duchu ciemnością.

W dniu, kiedy miał się u niej spotkać klub książki, Elizabeth nie poszła do pracy. Zadzwoiła do szkoły, poinstruowała sekretarkę, by zaznaczyła jej nieobecność jako urlop na życzenie, oparła się o poduszki i patrzyła, jak Bert się pakuje na dwudniową podróż do Waszyngtonu. Robił to, tak jak i wszystko inne,

rozważnie i metodycznie. Wyłożył dwie pary skarpetek, dwie pary szortów, dwa podkoszulki, dwie koszule, chociaż miało go nie być tylko przez jedną noc. Ale on zawsze przewidywał małe katastrofy: opóźniony lot, rozlany drink, plama od jedzenia, nagły napad potliwości, który zarysuje kłopotliwe koła pod pachami. Dzięki tym zabiegom jego pesymizm (który Trish trafnie i złośliwie określiła jako obsesyjny – nie lubiła Berta, żadna z członkiń klubu go nie lubiła) trochę tracił na ostrości. Elizabeth przyglądała się, jak wybiera dwie chusteczki, a potem jeszcze dwie. Uznała, że poziom jego napięcia musi być dziś szczególnie wysoki, ale nic nie powiedziała. Nauczyła się milczeć przez te wszystkie lata.

– Czemu bierzesz wolny dzień? – zapytał. – Zdawało mi się, że oszczędzasz urlop? Może być potrzebny.

– Daję sobie wolne – odpowiedziała mu lekko. – Nazbierałam więcej dni urlopowych, niż będę w stanie kiedykolwiek wykorzystać. Potrzebuję czasu, by zrobić zakupy i ugotować. Wiesz, że dziś spotyka się tu nasz klub książki.

– Ach, klub książki. Święty klub książki. – Zatrzasnął swoją małą walizkę. – Dobrze, że mnie to ominie. To jakaś rekompensata za konieczność wyjazdu do Waszyngtonu. Nienawidzę tych podróży. Nienawidzę tego całego szukania dziury w całym, grzebania w sprawozdaniach i samotnych posiłków w cholernych hotelach.

– Może następnym razem pojechałabym z tobą – powiedziała ostrożnie.

– Chciałabyś? – Jego odpowiedź była równie niepewna jak jej propozycja.

Zawstydzony własnym zdziwieniem, odwrócił się do lustra i skupił uwagę na wiązaniu krawata, drogiego, wełnianego, o supełkowej fakturze i morskiej barwie, który Elizabeth kupiła, bo uznała, że harmonizuje z jego kolorem oczu. Teraz z dziwną przyjemnością zdała sobie sprawę, że rzeczywiście tak jest. Głęboko osadzone oczy Berta zachowały swój odcień, choć włosy w kolorze piasku przerzedziły się, a rozczarowania przydały jego



rysom nowej ostrości.

Pamiętała jeszcze, jak ją oczarował podczas ich pierwszego spotkania, na randce w ciemno, zorganizowanej przez koleżankę z Hunter College. Jego głęboki głos, duże dłonie, pewnie i sprawnie trzymające kierownicę. W restauracji kłócił się otwarcie i zdecydowanie z kelnerem, który policzył za dużo za jedną jedyną pozycję na ich rachunku, a ona, córka słabego i płacznego ojca, podziwiała jego upór. Tej pierwszej nocy powiedział jej, że ma plany. Radził sobie dobrze z liczbami, świetnie z komputerami. Rozważał otwarcie własnej firmy specjalizującej się w analizie statystyk spółek. Jego ambicja ją ekscytowała, asertywność oczarowała. Uważała go za atrakcyjnego, uwielbiała dotyk jego dużych dłoni na swoim ciele. Po trzech miesiącach byli zaręczeni. Sześć miesięcy później wzięli ślub. Elizabeth udało się uciec z domu, którego nienawidziła, od rodziców budzących w niej pogardę. Z miejsca, gdzie spędziła dzieciństwo, wzięła jedynie ubrania i karton książek. Lampkę nocną zostawiła Jen. Dzięki małżeństwu mogła czytać gdziekolwiek i kiedykolwiek zechce.

Nim minął rok, wiedziała, że popełniła błąd. Siła Berta była podszyta niecierpliwością, upór, który przedtem tak podziwiała, okazał się zarówno agresywny, jak i obsesyjny. Bert chciał ją kontrolować, śledził jej ruchy, przywłaszczał sobie jej czeki, pakował pensje w interes, który uparcie nie chciał się rozkręcić. Kłótnie małżeńskie Elizabeth zdawały się żywą powtórką gniewnych sporów towarzyszących jej dzieciństwu. Mimo że już była w ciąży, uciekła. Nie zamierzała żyć tak jak rodzice. Powiedziała to Jen, kiedy opuściła Berta, z typową dla siebie małomównością i zdecydowaniem. Nie wzięła pod uwagę, że może urodzić upośledzone dziecko, że głęboki autyzm Adama będzie wymagał opieki obojga rodziców, że potrzebne będą dwie pensje, by opłacić armię lekarzy i opiekunów. Obowiązek – a zarówno ona, jak i Bert są obowiązkowi, to jedno ich łączy – przeważał nad wszystkimi innymi względami.

Bert zwinął więc bardzo obiecujący interes i zatrudnił się jako urzędnik służby cywilnej. Ona zrezygnowała z marzeń o

niezależnym życiu i wróciła do męża. Adam, o pięknych głębokich i pustych oczach i długich, smukłych nadrucliwych palcach, zdominował ich dni, niszczył noce, zatruewał ich sny i rzeczywistość. Wkroczyli na arenę winy, rzucali w siebie oskarżeniami, a potem jednoczyli się na krótko, kiedy zamigotała przed nimi iskierka optymizmu – nowy program, nowy lek, nowa metoda terapeutyczna. Jak teraz. Łączyła ich miłość do syna, nadzieja, choćby najwątlesza, na jego przyszłość.

– Zadzwonisz do doktora Theobalda i umówisz nas na następne spotkanie? – zapytał Bert, zajęty sprawdzaniem, czy ma wszystko w aktówce. – Czy też przygotowania do sesji twojego klubu pochłoną cię bez reszty?

Zignorowała jego sarkazm. Nie lubił uczestniczek klubu książki, żywił niechęć do światów, jakie otwierały przed Elizabeth. Nazywał je lekceważąco pseudointelektualistkami.

Nie zastanawiał się, dlaczego Cynthia zmusiła Erica do opuszczenia ich domu. Twierdził, że ma wiedzę absolutną.

– Dlatego, że jest pieprzoną egoistką i manipulatką – ogłosił kiedyś. – To jasne dla każdego, tylko nie dla twoich rozdzielających włos na czworo, uzalających się nad sobą przyjaciółek. – Elizabeth nie zaprzeczała. Nie miałyby to sensu. Szybko, może zbyt szybko, poprawił się. – Ciebie nie zaliczam do tej kategorii. – Zawahał się, jakby chciał coś dodać, ale ona nie słuchała.

– Porozmawiam z Theobaldem – obiecała teraz. – Chociaż to pewnie jeszcze za wcześnie, żeby miał dla nas jakieś wiadomości.

W ostatni weekend pojechali na południe New Jersey, by odwiedzić Adama i spotkać się z doktorem Theobaldem, który kieruje nowym programem. Mimo że obojgu wydawało się, że widzą w synu jakąś zmianę, lekarz był daleki od entuzjazmu.

– Odczucie moje i całej ekipy jest takie, że terapia oparta na uwarunkowaniach społecznych została zastosowana zbyt późno w jego rozwoju – powiedział, nie patrząc im w oczy, głosem tak cichym, że z trudem go usłyszeli.

Był to niewysoki mężczyzna w ciężkim tweedowym garniturze,

który wydawał się na niego za duży, jakby jego ciało skurczyło się pod naporem nieszczęść innych ludzi. Ciemną krzaczastą brodę i gęste, rozburzone włosy przetykały pasma siwizny, mimo że był jeszcze młody, koło czterdziestki, według biogramu, który Bert znalazł w Internecie. Elizabeth przypuszczała, że wie, skąd to przedwczesne siwienie – doktor Theobald miał nie jedno, lecz dwójkę autystycznych dzieci, syna i córkę. Ta informacja pojawiła się w poświęconym mu artykule napisanym na podstawie wywiadu. Zezłościło ją, że tak prywatne dane wyświetlają się na ekranie komputera. Mimo wszystko jednak była w tym pewna pociecha, że to problem z własnymi dziećmi legł u podstaw tego programu, że doktor Theobald jest osobiście zaangażowany. Elizabeth zastanawiała się, czy udało się pomóc jego dzieciom, ale doszła do wniosku, że może one też były już za duże.

– Odnieśliśmy wrażenie, że w Adamie zaszła pewna zmiana – zaprotestowała podczas ich spotkania. – Ręce miał spokojniejsze. I zdawało się, że nawiązuje kontakt wzrokowy.

– Państwo chcą widzieć zmianę – odpowiedział jej cierpliwie doktor Theobald. Jego własne ręce były w ciągłym ruchu. Zginał, splatał i prostował palce. Unikał też ich wzroku.

– Wiemy, co widzieliśmy – oświadczył Bert tym samym zdecydowanym tonem, który słyszała u niego w rozmowie z kelnerem podczas ich pierwszej randki. I znowu Elizabeth dojrzała cień mężczyzny, którego poślubiła.

– Wiem, że udział w tym programie to dla państwa wielki wysiłek finansowy – powiedział lekarz. – Nie chcę, żeby poszedł na marne.

– To nasza sprawa, nie pańska. – Głos Berta stwardniał.

– Rozumieją państwo, że istnieje pewne ryzyko. Będziemy wyprowadzać dzieci ze szkoły, z jej bezpiecznej atmosfery. Chcemy poszerzać ich horyzonty. Planujemy zabierać je do parków, może nawet do centrum handlowego. Oczywiście stopniowo i zawsze w towarzystwie cieni.

Elizabeth się wzdrygnęła. Wiedziała, że grapę opiekunów pracujących z dzieckiem indywidualnie, towarzyszących im w

każdej godzinie każdego dnia, nazywano „cieniami”, ale to określenie wydawało jej się obraźliwe. To tak, jakby Adam i pozostali pacjenci byli niczym Peter Schlemihl, legendarny bohater niemieckiej baśni ludowej, który oddał diabłu własny cień. To byłby kolejny brak w życiu, którego jakoś wyznaczają braki.

W głowie Elizabeth nagle pojawił się, nieproszony, wers z wiersza Sylvii Plath, który przeczytała poprzedniego wieczoru: „I widzę siebie płaską, śmieszna jak cień wycięty z papieru...”. Przypomniała sobie, nagle i bez związku, że wiersz nosi tytuł *Tulipany*. Może Plath bała się utraty własnego cienia, tak jak bała się tylu innych rzeczy. I to ten strach w końcu ją przytłoczył i pchnął do samobójstwa. Mimo że w gabinecie było bardzo ciepło, Elizabeth zadrżała.

– No więc jakie jest ryzyko? – zapytał Bert.

– Adam potrafi być nieprzewidywalny, czasem głuchy na najprostsze polecenia.

– Ale czasem je rozumie? – odezwała się znów Elizabeth i zobaczyła, że Bert z uznaniem kiwa głową.

– Czasem.

– Nie jest pan pewny, że nie ma żadnego postępu, prawda? – Bert był teraz w ofensywie.

– W tej dziedzinie nie istnieją żadne pewniki.

– W takim razie, mimo tego, co pan powiedział, chcemy kontynuować terapię Adama. Niech się pan nie martwi. Ostrzegł nas pan. Pański tyłek jest bezpieczny – Bert wstał.

– Bert – zaprotestowała Elizabeth.

Gwałtowność jego tonu, niegrzeczne słowa zawstydziły ją, ale jednocześnie podziwiała go za odwagę, za niepokój o Adama. Ich syna. Czowała więź z Bertem, więź rodzicielskiej miłości.

Lekarz uspokajająco położył rękę na jej dłoni.

– Rozumiem frustrację pani męża, pani Crawford. A nawet ją podzielam. A więc w porządku. Na razie będziemy kontynuować terapię. Ale proszę zadzwonić w przyszłym tygodniu. Ważne, żebyśmy utrzymywali stały kontakt.

Powiedziała sobie, że zadzwoni do niego po powrocie z zakupów. Porozmawia z nim w trakcie gotowania. Zapach jedzenia, świadomość, że ma przed sobą przyjemny wieczór poświęcony wymianie spostrzeżeń, da jej komfort psychiczny, jakiego będzie potrzebowała. Patrzyła, jak Bert sprawdza, czy zabrał bilety lotnicze.

– No dobrze. Do zobaczenia jutro wieczorem.

– Tak. I Bert...

– Słucham?

– Udanej podróży. Owocnej pracy. Spojrzał na nią z nową łagodnością w oczach.

– Dzięki. Mam nadzieję, że spotkanie klubu też będzie udane.

A potem zaskoczył ich oboje, gdy pochylił się, by dotknąć policzka żony, a ona poczuła ciepło jego palców na skórze. Wyszedł, z walizką w jednej ręce, aktówką w drugiej. Drzwi frontowe zamknęły się za nim cicho i została sama.

Wstała z łóżka i przez krótką chwilę zatrzymała się w srebrnych promieniach słońca, które tańczyły po podłodze sypialni. Patrzyła, jak ich jasność obmywa książki ułożone przez nią wczoraj jedna na drugiej koło łóżka – *Szklany klosz*, pełne wydanie dzienników Plath, tomik poezji *Ariel*. Gęsto zapisany zeszyt, gdzie zanotowała starannie wszystkie kwestie, które chciała poruszyć podczas wieczornej dyskusji, leżał otwarty na nocnym stoliku. Zamknęła go. Zamierzała do niego zajrzeć, kiedy upora się z zakupami, gotowaniem, sprzątaniem małego, w gruncie rzeczy już czystego mieszkania. Nieporządek nie panował w domach, gdzie prowadzono skromne życie. Mimo to, gdy umyła naczynia po swoim śniadaniu i kubek pozostawiony przez Bertę w zlewie, Elizabeth kilka razy zdecydowanymi ruchami przejechała po meblach ścierką do kurzu. Dopiero wtedy wyciągnęła nieskazitelny egzemplarz *Radości gotowania*, rzadko otwierany, ponieważ przygotowywanie posiłków dla Bertę nigdy nie dawało jej najmniejszej radości. Znalazła przepis na serowe fondue; nigdy wcześniej tego nie robiła, ale zainspirowały ją barwne opisy jedzenia Plath, jej podniecenie zakupami żywnościowymi,

przyjemność czerpana z siekania i krojenia w kostkę. Z domku w Hiszpanii, gdzie Sylvia Plath mieszkała z Tedem Hughesem podczas krótkiej idylli miesiąca miodowego, zanim rzeczywistość zatruli ich małżeństwo, napisała, że kocha gotować.

Elizabeth wyobraziła sobie Plath jako młodą mężatkę mieszającą bulgoczący ser z winem i przypomniała sobie o zestawie do fondue, który dostała w prezencie ślubnym od nauczycieli z jej szkoły, a który nieużywany leżał w szafce kuchennej. Oboje z Bertem mieli być parą, która jada kolacje z przyjaciółmi, zanurza długie widelce w aromatycznej złotej miksturze. Nigdy nawet nie otworzyła tego opakowania, ale też go nie oddała.

Czemuż by nie? – zapytała samą siebie. – Dlaczego nie miałabym spróbować?

Nie mogła się doczekać, kiedy zacznie szykować potrawę, cieszyła się na myśl o przyjemności, jaką zrobi przyjaciółkom swoją odważną decyzją, o ich pochwałach. Fondue oczywiście wyjdzie wspaniale. Tego była pewna. Elizabeth robiła dobrze wszystko, do czego się zabierała. Jej sprawozdania co roku otrzymywały najwyższe oceny, to przyznawał nawet Bert w najpodlejszym nastroju. Wprowadziła do tej oceny gorzką poprawkę: robię dobrze wszystko, co zależy ode mnie. Urodzenie zdrowego dziecka nie zależało od niej.

Ta nagła myśl skierowała ją do telefonu; zadzwoniła do doktora Theobalda i z ulgą przyjęła informację, że jest niedostępny – właśnie towarzyszy dzieciom w wycieczce poza kampus. Wdzięczna za taki obrót spraw, opuściła mieszkanie, podekscytowana tą kradzioną wolnością oraz przygodą, jaką stanowiło kupowanie różnych nowych dla niej produktów.

Minęła obojętnie duży supermarket, gdzie zwykle robiła zakupy, i skierowała się do małych ezoterycznych sklepików porzucanych po okolicy Inwood. Mieszkali tak daleko na północy, gdyż było tam taniej niż na dolnym Manhattanie, ale miało to też inne dobre strony. Chociaż Elizabeth nigdy nie przyznałaby się do tego przed Bertem, uwielbiała zapach rzeki,

obfitość dzikolistnych drzew, rosnących na wzniesieniach wokół Hudsonu, i klimaty grup etnicznych, z restauracjami i targami żywności. Ulice pulsowały energią. Kobiety z pękatymi torbami na zakupy witały się nawzajem po hiszpańsku, rosyjsku, portugalsku. Pełna wdzięku Hinduska w jaskraworóżowym sari, wirującym wokół jej szczupłych kostek, szła ulicą z dużym pudełkiem pizzy w rękach. Robotnicy nawoływali się w językach, których Elizabeth nie rozpoznawała.

Odwróciła wzrok od kobiet prowadzących wózki i trzymających za ręce małe dzieci. Przeszła na drugą stronę ulicy, by ominąć miejscowy plac zabaw, gdzie roześmiane maluchy zjeżdżają ze srebrzących się w słońcu zjeżdżalni, a ich śmiech i kłótnie tworzą wdzięczną symfonię. Adam zaparł się tuż przed wejściem na plac, przywarł do otaczającego go ogrodzenia tak kurczowo, że musiała podważyć mu palce, by je puścić.

Elizabeth zatrzymała się przy sklepie z serami, żeby kupić parę plasterów gruyere'a (przeczytała z żalem, że fondue raczej nie robi się z cheddara), spróbowała różnych serów wyłożonych na marmurowej ladzie i pod wpływem impulsu dodała do swojego zamówienia czarne oliwki i kapary. We włoskiej piekarni kupiła jeszcze ciepły chrupki chleb prosto z pieca, a w małym sklepie, gdzie sprzedawano tylko wina, zdecydowała się na wytrawne chablis i w odruchu buntu wybrała dwie droższe butelki. U starej pomarszczonej Włoszki, której sękaty dłonie przekopywały płody rolne i ze złością odrzucały zwiędłe liście oraz uszkodzone owoce, Elizabeth napełniła siatkę sałatą rzymską i rukolą, z których zamierzała zrobić surówkę, i dołożyła jeszcze melona, choć nie był to sezon, przypomniawszy sobie opis deseru na urodzinowym lunchu Plath: „... świeży zielony melon kasaba... dziki zimny miąższ melona o miodowym smaku... „. Elizabeth zapamiętała te barwne ustępy i pomyślała, że może zaskoczy pozostałe członkinie klubu, kiedy przytoczy je, podając owoc.

Wiedziała, że sama kolacja będzie dla nich niespodzianką, no, ale wszystkie się nawzajem zaskakiwały od tego jesiennego wieczoru, gdy Cynthia przekazała im sensacyjną wiadomość. Jej

ogłoszenie, owiane tajemnicą, tak szokujące i niespodziewane, wpłynęło na każdą z nich, rozpałiło ukryte lęki, zainspirowało je do nowych wyzwań. Kruchość małżeństwa Cynthii i Erica uczyniła wszystkie ich związki kruchymi, zawiodła każdą z nich na nieznane rozstaje dróg. Elizabeth pomyślała o porannym pożegnaniu z Bertem, o tej nowej i niewiadomo skąd płynącej łagodności między nimi. To może oznaczać pojednanie; może oznaczać rozstanie. W którym kierunku chcę pójść? – zastanawiała się. – Jaką drogę muszę wybrać? Zobaczyła oczami wyobraźni Berta na pokładzie samolotu do Waszyngtonu, jak z niepokojem jeszcze raz czyta swoją prezentację, a na jego wysokim czole już lśnią krople potu, i ogarnęła ją fala współczucia.

Odsunęła tę myśl i dodała do zakupów warkocz czosnku. Zamierzała powiesić go w kuchni na haku, tak jak to zrobiła Plath na początku swojego małżeństwa, zanim przekonała się, że jej miłość zniszczyje niczym te pokryte cienką łuską główki, które uważała za tak piękne. Elizabeth nie mogła pretendować do takiej niewinności. Jej rodzice byli znakomitymi nauczycielami.

Pospiesznie wróciła do domu, z zakupami, twarzą zarumienioną od zimna, okoloną krótkimi jasnymi włosami, które potargał wiatr. Ne sekretarce były dwie nowe wiadomości i serce Elizabeth zaczęło bić szybciej, gdy czekała, by się odtworzyły. Każdy telefon napawał ją niepokojem. Adam. Oby tylko nie działo się coś złego z Adamem. Ta tak często powtarzana mantra natychmiast rozbrzmiała w jej umyśle.

Z ulgą usłyszała Jen, mówiła, że rozmawiała z przełożoną pielęgniarzek w domu spokojnej starości, matka, jak się zdaje, jest w dobrym stanie. Z jeszcze większą ulgą wysłuchiwała, jak łagodny głos doktora Theobalda informuje ją, iż rzeczywiście Adam chyba reaguje pozytywnie na terapię. Może potrzebował tylko trochę więcej czasu. Doktor się usprawiedliwiał, przykro mu, że miał tak negatywne nastawienie podczas ich spotkania. Adam stosuje się teraz do poleceń. Należy do grupy, która tego popołudnia wybiera się na wyprawę poza ośrodek. Mają pójść na pobliski plac zabaw.



Doktor nie martwi się już, że to ryzykowne. Elizabeth odetchnęła. Odsłuchiwała wiadomość jeszcze raz. Jego podnoszący na duchu głos uspokoił ją.

Zgodnie z obietnicami książki kucharskiej fondue okazało się łatwe do przygotowania. Elizabeth pracowała powoli, mieszała wino, kirsz, dodała więcej czosnku, niż przewidywał przepis.

„... Gdy spokojnie gotuję” – napisała Plath w wierszu *Prezent urodzinowy*.

– „... Gdy spokojnie gotuję” – powtarzała na głos Elizabeth, krojąc chleb, przygotowując sałatę i nakrywając stół.

Kiedy skończyła, zadzwoniła do Jen i nagrała podziękowanie za jej telefon. Potem zadzwoniła do Berta i zostawiła mu w hotelu wiadomość o nowej opinii doktora Theobalda. Wiedziała, że obie te wiadomości sprawią odbiorcom niespodziankę. Siostra, nie bez przyczyny, nie spodziewała się jej wdzięczności. Mąż nie spodziewał się dobrych wieści.

Następnie położyła się na łóżku i zaczęła przeglądać swój zeszyt, co pewien czas sięgała po dzienniki Plath, to znowu kartkowała leniwie tomik *Ariel*, ale ani razu nie otworzyła *Szklanego klosza*. Ten podniszczony egzemplarz powieści, leżący na nocnym stoliku, przeczytała po raz pierwszy w domu rodzinnym przy akompaniamencie krzyków matki i jęków ojca, a potem przez te wszystkie lata wielokrotnie do niego wracała w chwilach cierpienia. Książka była fikcyjną relacją z kilkunastoletniej odysei autorki ku szaleństwu, zakończonej nieudaną próbą samobójczą.

Dla Elizabeth było to literackie upomnienie, ostrzeżenie przed nadciągającym niebezpieczeństwem, przed tym, co może się wydarzyć, jeśli nie zapanuje nad emocjami, jeśli nie oprze się rozpacz, która tak często zagląda jej w oczy.

Przeczytała swoje notatki, dodała jedną myśl, wykreśliła inną. Musi być bardzo ostrożna. Rina studiuje Plath od lat i z pewnością wie o niej znacznie więcej niż Elizabeth. Ale z drugiej strony uwaga Riny była ostatnio nieco rozproszona. Elizabeth zaczęła się zastanawiać nad Riną i Rayem. Czy tylko jej w ich grupie ten

związek wydaje się zagadkowy? Ray był wcześniej kochankiem Donny, a Rina jej najlepszą przyjaciółką. A jak sądziła, Ray był takim wygodnym kochankiem, który odpowiadał pozbawionej namiętności, spokojnej Donnie. Czy ona żałuje tej straty? A czy Elizabeth żałowałaby Berta, gdyby go straciła? Kiedyś potrafiłaby odpowiedzieć na to pytanie z przekonaniem, ale teraz nie, nie dzisiaj. A co z Cynthią? Czy ją nęka żal? Czy myśli o Ericu ze współczuciem i ze smutkiem? Te pytania ją drażniły, ale nie raniły.

Zadzwoił telefon. Jen oświadczyła, że przyjedzie taksówką z Cynthią. Powiedziała też, że Cynthia kupiła cannolo, i zapytała, czy Elizabeth potrzebuje czegoś jeszcze.

– Nie. Wszystko gotowe – odparła Elizabeth. – Pewnie Trish i Donna przyjadą razem ze szpitala.

– Pewnie tak. Nie wiem, jak z Riną.

– Może Ray ją podwiezie.

– Może.

Jen też miała problem z myśleniem o Rinie i Rayu jako o parze. Zaskoczyło ją, że Donna pogodziła się z tym związkiem, ale z drugiej strony wiele rzeczy w Donnie dziwiło i zdumiewało.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedziała Jen. – Aha, dostałaś moją wiadomość? O informacji z ośrodka.

– Tak. Zadzwoiłam, żeby ci podziękować.

– Naprawdę? – Jen nie próbowała ukryć zdziwienia.

– To ulga, że wszystko z nią w porządku.

– Tak. Na to wygląda.

Elizabeth wzięła prysznic i ubrała się szybko. Czarne spodnie i czarny golf, ulubiony strój Plath i przypuszczalnie też jej własny. Wystawiła dipy, oliwki, kieliszki do wina i właśnie układała serwetki, kiedy odezwał się dzwonek do drzwi. Okazało się, że pierwsza przyjechała Rina. Szybko się przywitała, po czym pobiegła do okna i pomachała. Elizabeth podeszła za nią i zobaczyła Raya w eleganckim, małym żółtym samochodzie sportowym, którym tak często odwoził Donnę na spotkania klubu. Pomachał w odpowiedzi i odjechał, a Rina, z błyszczącymi

oczami, uśmiechnęła się i zarumieniła. Uwolniła długie ciemne włosy z pojedynczego warkocza i pozwoliła im swobodnie opaść na ramiona. Zrzuciła płaszcz.

– Martwi się o mnie – powiedziała. – Muszę mu mówić, dokąd idę i kiedy wrócę, machać mu na znak, że dotarłam bezpiecznie do twojego mieszkania – zaśmiała się. Niepokój Raya ją cieszył, nadawał ważność jego miłości.

– Myślisz, że martwił się tak o Donnę? – zapytała Elizabeth z nagłym chłodem.

– Nie. Między nim a Donną sprawy miały się nieco inaczej.

– A ty to wiesz, ponieważ...

– Ponieważ Ray mi powiedział. – Rina zawiesiła swój płaszcz.

– A Donna? Donna też tak powiedziała?

– Będziemy z Donną o tym rozmawiać. Ale wiesz, Elizabeth, to naprawdę nie twoja sprawa. – Mówiła spokojnie, choć walczyła z gniewem wywołanym tym pytaniem.

– Masz rację – zgodziła się Elizabeth. – Przepraszam.

Jej przeprosiny zaskoczyły Rinę, która uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Wygląda na to, że dałyśmy się okropnie omotać naszym problemom – stwierdziła Rina. – Wszystkie. Jesteśmy splątane. Przypuszczam, że to z powodu Cynthii i Erica.

– Tak. Nie dalej jak kilka godzin temu myślałam o tym, jak to na nas wpłynęło – przyznała Elizabeth i zerknęła na zegarek. Bert skończył już prezentację. Teraz siedzi sam w hotelowej kawiarni. Jej serce drgnęło, gdy wyobraziła sobie, jak bez entuzjazmu czyta menu, a samotność sprawia, że ma skwaszoną minę. Z ulgą popędziła do drzwi, gdy rozległ się kolejny dzwonek.

Donna i Trish weszły razem, wciąż rozbawione uwagą taksówkarza pod ich adresem.

– Nazwał nas słodkimi dziewczynami – emocjonowała się Trish. – Nas. Słodkimi dziewczynami. To najmiłsze, co dzisiaj usłyszałam. Jedna pacjentka powiedziała, że jestem suką w białym fartuchu. Inna nazwała mnie zgorzkniałą starą babą. A moja córka stwierdziła, że jestem niedobrą mamusią, bo nie przyjdę do domu

na kolację. Ach, ale ten taksówkarz zobaczył mnie taką, jaka jestem. Słodką dziewczynę.

– Myślę, że chciał tylko dostać duży napiwek – studziła jej zapal Donna. – Elizabeth, czyja czuję fondue? Wyglądasz świetnie, Rino. Nie widziałam cię z rozpuszczonymi włosami od wieków.

Rina dygnęła, przerzuciła włosy na jedno ramię, potem na drugie. Z uśmiechem cmoknęła Donnę w policzek. Donna też się uśmiechnęła i dotknęła włosów przyjaciółki, po czym przesypała długie ciemne pasma między palcami.

Cynthia i Jen wpadły, nie dzwoniąc przedtem do drzwi. One również się śmiały. Z trudem przekonały taksówkarza, by dowiózł je aż tutaj, a z jeszcze większym trudem wytłumaczyły mu, jak ma wrócić na autostradę.

– Ciągłe powtarzał: „Nie, nie, drogie panie, wy nie chcecie tam jechać”. – Jen skrzywiła się, naśladowując jego akcent.

– Chciałabym być tak pewna tego, co powinnam robić, jak on był pewny, gdzie powinniśmy jechać – powiedziała Cynthia, wręczając Elizabeth białe tekturowe pudełko z piekarni, do którego brzegów przyczepiły się kryształki cukru i lśniły niczym małe diamenty. – Na deser, do dyskusji. Będziemy potrzebowały czegoś słodkiego i kremowego, by zneutralizować gorycz naszej Sylvii. Dlaczego, och dlaczego, ją wybrałaś, Elizabeth? – zapytała żalnym tonem.

– No, no. Mówisz o pisarce, od której zależy cała moja kariera naukowa – zauważyła Rina. – Chociaż robię sobie od niej przerwę; długą przerwę.

Sączyły wino, skubały oliwki; Elizabeth przyniosła sałatę, a na koniec bulgoczące fondue.

– Wspaniale.

– Pyszne.

– Strzał w dziesiątkę – pochwaliła Rina. – Z ducha Sylvii Plath, jak by powiedziały uczestniczki mojego seminarium. Wiecie, że Plath stała się bohaterką nowego pokolenia feministek: kobieta wykorzystywana, ofiara, przepracowana matka artystka. Jej mąż

Ted Hughes publikował jak szalony, a ona zmieniała pieluchy.

– Umówmy się, że będziemy jej współczuć po kolacji – zaproponowała Donna. – Umieram z głodu.

– Ja jej nie żałuję – powiedziała stanowczo Elizabeth, kiedy usadawiały się wokół stołu.

Nadziwały kawałki chleba na długie widelce, nurzały je w serowej mieszance, popijały schłodzonym winem i jadły powoli, a ich twarze promieniały zadowoleniem.

– To jedna z niewielu ciepłych rzeczy w Plath – orzekła Donna. – Kochała jedzenie, uwielbiała gotować, chociaż nawet w tej kwestii miała obsesję, by przygotować wszystko idealnie.

– Cóż, to was łączy – zauważyła Trish. – Nie obsesyjność, ale miłość do jedzenia i gotowania.

– Łączy nas znacznie więcej – powiedziała łagodnie Donna. Spojrzała na Rinę i nie zabrała ręki, gdy przyjaciółka przykryła ją swoją dłonią. Zauważyły ten gest, ale nie komentowały.

– Ale nawet gotowanie było dla niej polem do rywalizacji. Rywalizacji i nienawiści wobec matki. Kiedy obierała ziemniaki, zawsze przypominała sobie, jak matka wiecznie krytykowała jej sposób trzymania noża, grubość obierków. Przypuszczam, że bardzo trudno jest wybaczyć rodzicom ich błędy – stwierdziła Cynthia. – Rozumiem to. – Oblizwała widelec i zainteresowała się sałata.

Cynthia rzadko wspominała o swoich rodzicach. Przyjaciółki zawsze uważały, że jej dzieciństwo było równie bajkowe jak dorosłe życie, w które po nim wkroczyła – królewna balu bez trudu przeistoczyła się w królową. Aż tu nagle... Te słowa, niewypowiedziane, błąkały się w ich myślach.

– Nietrudno to zrozumieć, jeśli miało się surową, nieczułą matkę – zauważyła cicho Elizabeth i wymieniła z Jen szybkie spojrzenie. Zebrała puste naczynia, rozłożyła talerzyki do deseru i wniosła melona przybranego trójkącikami cytryny.

– Wzięłam go ze względu na opis melona, który Plath kupiła na hiszpańskim targu – wyjaśniła Elizabeth. Otworzyła dzienniki i przeczytała na głos fragment, który przypominała sobie wcześniej.

– Trochę to przesadne, jak znaczna część jej twórczości – oświadczyła Cynthia. – Wiem, że to profanacja, ale muszę powiedzieć, że ten opis przypomina mi trochę slogan reklamowy; mogłabym wykorzystać coś takiego do reklamy linii kremów do twarzy.

– A ona mogłaby ci to sprzedać. Taką miała obsesję na punkcie pieniędzy, tak bardzo pragnęła zobaczyć cokolwiek, co napisała w druku, gdziekolwiek, jakkolwiek – stwierdziła Rina.

– Rino, piszesz o niej pracę doktorską – upomniała ją Donna.

– Co nie oznacza, że muszę ją lubić. – Rina przeczesła palcami włosy. Uwielbiała, jak opadały jej luźno na ramiona, muskały plecy, i kochała, kiedy Ray się uśmiechał, patrząc, jak ona je zaplata, pasmo po paśmie, jej zwinne palce odprawiają taniec, który poprzedza pożądanie.

– No dobra, przejdźmy do rzeczy. – Trish zerknęła na zegarek, idąc do pokoju dziennego z kubkiem kawy w rękę. Wiedziała, że ta dyskusja potrwa, a nie chciała wrócić do domu bardzo późno. Jason będzie na nią czekał, niecierpliwy, żeby porozmawiać o nowym mieszkaniu, którego zakup rozważają, ciekawy jej rady, opinii. A ona chciała mu opowiedzieć o przyjętej dziś szczególnie interesującej pacjentce. Chyba przekroczyli emocjonalną przepaść, która tak długo między nimi zionęła. Trish zdawała sobie sprawę, że to wymagało świadomego wysiłku, ale ten wysiłek okazał się owocny. Podczas gdy dawniej upajała się chwilami spędzonymi z dala od niego, teraz cieszyły ją chwile spędzone razem z nim.

Jak zawsze po skończonym posiłku przyjaciółki usiadły w kółku. Cynthia i Trish przysunęły swoje fotele nie od pary bliżej siebie. Jen przysiadła na pufie, a Rina i Donna usadowiły się razem na surowej, twardej beżowej sofie. Książki leżały w zasięgu rąk, na kolanach przy stopach. Wszystkie z wyjątkiem Elizabeth miały na sobie jasne wełniane spodnie i swetry w delikatnych pastelowych odcieniach wczesnych wiosennych kwiatów, jakby chciały pospieszyć zbyt powoli zbliżającą się porę roku.

– Jesteśmy w kwietnym klimacie – stwierdziła z uznaniem

Cynthia, po czym rzuciła swój kardigan w kolorze gencjany na krzesło i poprawiła dobrany pod kolor krótki sweterek z golfem.

Delikatne odcienie ich ubrań ożywiały bezbarwną surowość pokoju, w którym żarówki pod abażurami lamp paliły się za słabo, a okna były tak wąskie, że nawet za dnia wpadało przez nie niewiele światła. Jen od dawna myślała, że to w stylu Elizabeth i Berta mieszkać w mroku, jakby chcieli w ten sposób odtworzyć tajemniczą ciemność świata emocji ich syna.

Elizabeth usiadła na drewnianym krześle, z otwartym zeszytem na kolanach, jej książki leżały na niskim stoliku, gdzie Cynthia położyła też ciastka przekładane słodką ricottą oraz stosik papierowych talerzyków i plastikowych widelców z działu jednorazowych akcesoriów stołowych w Nightingale's.

– Cynthia zawsze pomyśli o wszystkim – stwierdziła Rina, sięgając po talerzyk.

Przypomniała sobie jednorazowe miski do chińskiej zupy, które Cynthia przyniosła do niej. Biedny Erie. Zapewne niełatwo mieć za żonę kobietę, która myśli o wszystkim. Uśmiechnęła się przelotnie na myśl o rozbawieniu Raya jej roztargnieniem. Ray. Spojrzała na Donnę i odwróciła wzrok.

Elizabeth zerknęła do swojego zeszytu i zaczęła od krótkiego przedstawienia biografii Plath.

– Zanim jeszcze poszła do Smith College, jej wiersze publikowano w czasopismach „Seventeen” i „Christian Science Monitor” – poinformowała przyjaciółki.

– Dziewczyna, której się spieszyło – stwierdziła Trish. – Pewnie już wtedy wiedziała, że nie ma przed sobą długiego życia, że nie chce żyć długo. Wyczuwam to u wielu moich pacjentów o skłonnościach samobójczych. Bardziej niepokoją mnie ludzie, którzy mają obsesję aktywności, niż ci bierni.

– A w college'u rzuciła się w wir: zajęcia, kółka, gazetka uniwersytecka, weekendy w Yale, czy gdzie tam dziewczyny ze Smith jeździły się bawić – ciągnęła Elizabeth. – Jedna z jej przyjaciółek powiedziała, że Plath zachowywała się tak, jakby nie mogła się doczekać, aż życie jej coś przyniesie. Pędziła naprzód i

sama sprawiała, że wiele się działo – relacjonowała za książką monotonnym głosem. Rozumiała pośpiech Plath, jej niecierpliwość. Jej małżeństwo z Bertem też wynikało z pośpiechu, dążenia, by wyjść naprzeciw światu, uciec z domu rodziców, od ich gniewu. Ona też nie potrafiła czekać, aż życie przyniesie jakąś zmianę.

– Pospieszyła się nawet ze związkiem z Tedem Hughesem. Życie musiało się dla niej toczyć bardzo szybko – dodała.

– Ale przez ten cały czas igrała ze śmiercią – przypomniawszy cicho Trish. – Fikcyjna bohaterka *Szklanego klosza*, Esther Greenwood, i prawdziwa Sylvia, obie odgrywały jakąś rolę. Czy któraś zwróciła uwagę na to, co Sylvia napisała w dziennikach, że kiedy pracowała w Nowym Jorku jako stypendystka „Mademoiselle”, wśród pisarzy, których najbardziej chciała poznać, była Shirley Jackson? Shirley Jackson! To dość znamienne. Dziewczyna postrzegająca siebie jako wieczną ofiarę chce spotkać autorkę *Loterii*, klasycznej opowieści o prześladowaniu.

Trish rozkręciła się w temacie, słowa padały szybko, pomysł gonił pomysł. Przyjaciółki słuchały uważnie, ożywione jej interpretacją, nowymi dla nich spostrzeżeniami profesjonalistki. Jak zawsze dyskusje klubu poszerzały ich horyzonty, rodziły ożywcze podniecenie myśli i uczuć.

– Pisała gościnnie artykuły wstępne do „Mademoiselle” – ciągnęła Trish – w których używała takich wyrażeń jak „łowcy gwiazd” i „wieczorny błękit”. Cynthia ma absolutną rację – Plath miała talent do tekstów reklamowych. Tak czy owak, kilka tygodni później zapomniawszy zupełnie, że jest łowcą gwiazd, cokolwiek to właściwie znaczy, wpadła w potężną depresję i zaczęła zachęcać mamę, żeby razem umarły. Gdybym miała ją zdiagnozować, powiedziałabym, że nie była w stanie dłużej dźwigać ciężaru podwójnego życia. Samobójstwo stanowiło dla niej drogę ucieczki, egoistyczne rozwiązanie – Trish odchyliła się w fotelu i nadziała na widelec cannolo. Zjadła je powoli, po czym zlizwała jedwabistą śmietankę, która osiadła jej na wargach.



– Uważasz, że wszystkie samobójstwa wynikają z egoizmu? – zapytała cicho Donna.

– Może nie wszystkie. Ale większość – odparła Trish. – Tak przynajmniej mówi moje zawodowe doświadczenie. Samobójstwo to akt narcystyczny. Większość samobójców myśli tylko o tym, by położyć kres własnemu bólowi. Nie myślą za bardzo o bólu, jaki sprawią tym, którzy ich przeżyją.

– Moje osobiste doświadczenie mówi coś innego – odparła bardzo łagodnie Donna, patrząc w dół. – Wie o tym tylko Rina, ale moja matka popełniła samobójstwo. Połknęła za dużo pigułek przy wtórze wierszy Emily Dickinson. Myślę, że zrobiła to z wyczerpania. I uważam, że kierowała nią bezinteresowność. Zrobiła to dla mnie. Chciała, żebym była wolna. Żebym żyła bez żadnego obciążenia, żebym uniknęła pułapki niewoli uczuciowej. Nie chciała dla mnie takiego życia, jakie miała sama, które karmiło się historiami z nagranych na kasety wierszy i powieści obcych ludzi, których słuchała, przygotowując posiłki dla nieznajomych. Bała się, że jej samotność, smutek staną się dla mnie przeszkodą. Zostawiła mi list, w którym napisała, żebym prowadziła życie, jakie jej nie było dane przez chorobę ojca. Chciała, żebym żyła nieskrępowana żadnymi zobowiązaniami. Istnieje możliwość, że Plath zabiła się, aby oszczędzić swoim dzieciom ciężaru własnego potwornego smutku. Rozumiała, że jest chora, że psychiatria jej nie pomogła. To uczyniłoby samobójstwo Plath aktem bezinteresownym, takim jak śmierć mojej matki.

Oczy Donny zaszklily łzy, które stoczyły się po policzkach, łzy, których nie wytarła.

Przez krótką chwilę siedziały zszokowane, w zupełnej ciszy. Zawsze uważały Donnę, tak opanowaną, spokojną, sprawną i zadowoloną, za najsilniejszą z nich wszystkich. Myślały z podziwem, że ma swobodne podejście do mężczyzn, z którymi spędza czas, czuła się dobrze z Rayem, czuje się dobrze z Timem. Robi, co chce, zawsze tolerancyjna, zorganizowana, ma dokładnie poukładane życie. Nigdy nie podejrzewały, że śmierć matki

rzuciła długi cień na jej świat i że to, co uważały za niezmacony spokój, to w rzeczywistości otepienie, dziwne posłuszeństwo wobec melancholijnego nakazu wydanego na łożu śmierci. Nie zamierzała wpaść w pułapkę. Została ostrzeżona przez matkę, która się w niej znalazła.

– Och, Donno!

Smutek złagodził ich głosy, ręce im drżały. Rina pochyliła się ku niej i delikatnie wytarła chusteczką łzy z policzków, pełna czułości wobec przyjaciółki, której opiekuńczości doznawała przez tyle lat. Zebrały się wokół niej, uklękły, tworząc krąg współczucia. Trish położyła rękę na ramieniu Donny.

– Kochana, tak mi przykro. Powinam była się zorientować. Powinam była wiedzieć.

Jej głos był słaby, żalony ze wstydu i żalu. Oczywiście, że powinna była wiedzieć. Wszystkie powinny. Dostawały wystarczająco dużo sygnałów.

Donna pokręciła głową.

– Nic się nie stało. Nic mi nie jest. Wracajmy do rozmowy. – Uśmiechnęła się do Riny, sięgnęła po swoją książkę.

Elizabeth zerknęła na swoje notatki, po czym dzielnie mówiła dalej, skupiając się teraz na *Szklanym kloszu*.

– Plath wyraźnie oparła tę powieść na własnym życiu, ale jej bohaterce Esther Greenwood brakuje czegoś, co uważam za jeden z kluczowych elementów emocjonalnej sylwetki Sylvii.

– A cóż to takiego? – zapytała z lekką ironicznie Rina. – Badałam Plath i jej twórczość od lat i jeszcze nie udało mi się wyodrębnić tego, jak ty to nazywasz, kluczowego elementu.

Jen posłała Rinie gniewne spojrzenie. Nagle poczuła przypływ opiekuńczości wobec siostry. Ale Elizabeth nie dała się zbić z tropu.

– Zazdrość – powiedziała. – To napędzało Sylvie Plath, choć nie pokazuje tego Esther Greenwood.

– Zazdrość – powtórzyły jednogłośnie, jakby prawdziwość tego stwierdzenia nagle i jednocześnie stała się dla nich wszystkich oczywista.

– Napisała to w swoich dziennikach – wyjaśniła Elizabeth. – Przyznała się, że zazdrości każdemu, kto ma głębsze przemyślenia, pisze lepiej, prowadzi lepsze życie niż ona. Zazdrości każdej osobie ładniejszej od niej i myślę, że zazdrościła też własnemu mężowi. Jej słowa są dość jednoznaczne.

– Tak się składa, że zaznaczyłam ten fragment w moim egzemplarzu – Cynthia pokazała im w swojej książce stronę, z fragmentem tekstu podkreślonym jej ulubionym fioletowym kolorem. – Ale dalej przeczytałam – ostatnio sporo czytam długo w noc – prawie dziewięć lat później, że pokonała zazdrość, gdyż czerpie radość z samej siebie. A więc widziała niebezpieczeństwa wiążące się z zazdrością i walczyła z nią.

– Ale nie wygrywała tej walki. Gdyby zwyciężyła, żyłaby do dziś, a feminizm nie miałby w niej literackiej ikony – odparła Rina. – Elizabeth ma rację. Zazdrość leży u podstaw jej życia, jej twórczości. Teraz to widzę. To uczucie ją niszczyło, okaleczało psychicznie. Cieszę się, że to dostrzegłaś, Elizabeth.

Elizabeth uśmiechnęła się blado. Szczodrość Riny w kwestiach intelektu stanowiła niespodziankę – to pewnie wpływ Raya.

– Nie wydaje mi się, żeby była prawdziwą ikoną dla dzisiejszych feministek – Donna odzyskała panowanie nad sobą i mówiła pewnym tonem, który zawsze podnosił je na duchu. – Ale zgadzam się, że zazdrość jest dość trudno opanować, i chociaż nie zatruwa ona życia każdego człowieka tak, jak wyraźnie zatruwała jej życie, nie sądzę, żeby ktokolwiek był od niej wolny. Mogłybyśmy teraz wypowiedzieć się po kolei i gdybyśmy były uczciwe, każda z nas ujawniłaby ziarno zazdrości, które dość trudno wyplenić.

– No to spróbujmy – zarządziła Cynthia. – I skoro ty przywołałaś tę grę, zaczynaj. Czego i komu zazdrościsz?

– Nie jesteśmy trochę za stare, by grać w „prawdę albo rozkaz?” – zapytała rozdrażniona Elizabeth. Zerknęła na swoje notatki. Jeszcze tyle różnych spostrzeżeń, o których nie powiedziała. Ale przyjaciółki już przygotowały się do gry, pochylili ku Donnie.

– Cynthia ma rację. To powinno być ciekawe – stwierdziła Rina.

Donna zawahała się, zamieszała kawę.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Jesteśmy bezwzględnie uczciwe.

Zwróciła się do Riny, która nagle zbladła. Już pod wpływem samego uważnego spojrzenia Donny spuściła wzrok.

– Nie bój się, Rino – powiedziała łagodnie Donna. – Nie zazdroszczę ci Raya. Zazdroszczę ci twoich uczuć wobec niego, twojej zdolności złączenia się z nim silną więzią emocjonalną. Ja angażuję się tylko do pewnego stopnia, z nim, z Timem, z innymi mężczyznami, z którymi się spotykałam. Zawsze byłam zbyt ostrożna, zbyt przerażona, że może poczuje coś zbyt głęboko, dam się złapać w pułapkę życia, którego bym tak naprawdę nie chciała. Uznałam los matki za przesłanie, przyjąłem jej wskazówki: „Żyj, bądź wolna, nie rezygnuj z niezależności”. Bo ona nigdy nie żyła, nigdy nie była wolna, niezależna. Więc stałam się ostrożna, zbyt ostrożna. Zachowywałam dystans. Zazdrościłam ci, kiedy miałaś odwagę urodzić Jeremy’ego i nie martwiłaś się o swoją niezależność, a teraz zazdroszczę ci, ponieważ jesteś wystarczająco wolna, by przyjąć miłość Raya i dać mu w zamian swoją. Nauczyłaś mnie czegoś. Tak naprawdę cały ten rok, wszystkie nasze rozmowy, książki, uświadomiły mi, że muszę wziąć życie w swoje ręce, nie mogę czekać, aż jakiś wstrząs zmusi mnie do podjęcia decyzji.

Przeniosła wzrok z Riny na Cynthię, którą oczywiście właśnie nagły wstrząs zmusił do podjęcia decyzji.

Powoli podarła papierową serwetkę, której długie, cienkie białe paski przylgnęły do jej miękkiego, żółtego wełnianego swetra. Donna nie powiedziała przyjaciółkom, jak zamierza odmienić swoje życie, a one nie zapytały. Jej słowa stanowiły dla nich zaskoczenie i wyzwanie. Miały poważne wyrazy twarzy. Wiedziały, że w swoich wyznaniach będą musiały dorównać jej bolesnej szczerości.

– Elizabeth. – Cynthia klasnęła w dłonie; wieczna kierowniczka

z talentem do przydzielania zadań objęła kontrolę nad grą, która nie była już zabawą.

Elizabeth mówiła powoli, każde słowo wypowiadała ostrożnie, z bólem.

– Zazdroszczę każdej matce zdrowych dzieci. Zazdroszczę matkom, które przychodzą do mnie, by się poradzić, do jakiego college’u powinny iść ich córki i synowie albo czy potrzebne im korepetycje z matematyki, lub też co można zrobić z ich spóźnialstwem, niskim poczuciem własnej wartości, ewentualnym problemem z marihuaną. Zazdroszczę matkom na placach zabaw, nawet tym, które bez przerwy wrzeszczą na dzieciaki. I czemuż one tak wrzeszczą? Czy nie zdają sobie sprawy, jak powinny się cieszyć, że ich dzieci nie są takie jak Adam?

Elizabeth była bardzo blada i Jen po raz pierwszy dostrzegła słabość siostry. Rozejrzała się po jej salonie, pozbawionym rodzinnych fotografii, nawet zdjęcia ślubnego czy portretu Adama. Meble i zasłony były w kolorach stonowanych beżów i brązów. Na jasnych ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia jesiennych lasów i wietrznych pustych plaż. Jen zobaczyła Elizabeth i jej życie z nowej perspektywy. Siostra zneutralizowała swój dom, tak jak w dzieciństwie neutralizowała własne emocje, więziła je pod twardym pancerzem ochronnym szorstkiej bezbarwnej wyniosłości. Jen zawsze odbierała jej cyniczną zwięzłość jako odrzucenie. Ale podczas gdy Jen uciekała w zgodną uległość, Elizabeth po prostu się wycofywała, najpierw przed goryczą rodziców, potem przed nieszczęśliwym małżeństwem, tragedią syna. Emocjonalny dystans chronił ją przed zranieniem uczuciowym. Ale dzisiaj, a nawet w ciągu ostatnich kilku miesięcy pojawiały się oznaki zmiany; swobodny śmiech, nowa łagodność, a teraz ta nagła otwartość.

– Przykro mi – powiedziała Trish. – To dla ciebie trudne, naprawdę trudne, Elizabeth.

Pokiwały głowami, jej ból, rozpoznany i zrozumiany, stał się ich udziałem. Od kiedy Elizabeth przyłączyła się do klubu, przyjaciółki tolerowały ją, najpierw dlatego, że jest siostrą Jen, a

potem ze względu na jej wiedzę i eklektyczne obserwacje, które wzbogacały ich dyskusje. Ale dziś ta konieczna tolerancja przerodziła się w pełną współczucia sympatię. Cynthia wyciągnęła rękę i dotknęła lekko głowy Elizabeth.

– Oczywiście zazdrozczę też innych rzeczy – Elizabeth starała się odzyskać lekki ton. – Zazdrozczę ludziom, którzy nie są tak niezdarni jak ja. Ciągłe się przewracam, wpadam na coś albo parzę się lub kaleczę. Czasem wchodząc do łóżka, dostrzegam siniaka i nawet nie wiem, kiedy go sobie zrobiłam. Więc można by powiedzieć, że zazdrozczę innym wdzięku.

Jen nagle przypomniała sobie, jak matka kpiła z niezdarności Elizabeth, z jej nieśmiałych prób opanowania tańca towarzyskiego; każda taka krytyka pogłębiała niepewność siostry, aż w końcu doprowadziła do tego, że poniechała wszelkich wysiłków.

Donna i Trish spojrzały na siebie, przypomniawszy sobie te wszystkie jej stłuczenia, kiedy w milczeniu obwinały Bertę za siniak na ramieniu, pręgę na nodze. Rozmawiały o tym, zmartwione, w szpitalnym bufecie, rozważały, czy nie poruszyć tego tematu z samą Elizabeth albo przynajmniej z Jen. Obie westchnęły. Ulżyło im, że się myliły i że zachowały milczenie.

Rina sięgnęła po cannolo, ale odłożyła je, kiedy Cynthia cicho wywołała jej imię. Jej kolej. Zachowa ciastko na później; to nagroda w depozycie, nagroda za własne bolesne wyznania.

– Muszę wam powiedzieć, że wydaje mi się, iż identyfikuję się z mnogością zazdrości Plath. Teraz zdaję sobie sprawę, że może właśnie dlatego wybrałam ją na temat mojej pracy. W którymś miejscu Plath mówi, że chciała żyć wieloma życiami.

– Ona ciągle to powtarza – wtrąciła szyderczo Trish.

– Cóż, ja również tego pragnęłam. Chciałam wiedzieć, jak to jest żyć w biedzie, więc udawałam, że jestem bez pieniędzy. Byłam jedynym dzieckiem, więc wymyśliłam sobie rodzinę, braci i siostry. Tak naprawdę ciągle się wymyślałam, a potem znowu wymyślałam na nowo, szkicowałam portret tajemniczej osoby, którą nie jestem, zmyślałam historie – o złodziejce w sklepie,

kochanku, który gdzieś zniknął. W jednym miesiącu byłam żarliwą Żydówką, już w następnym zupełnie nie obchodziło mnie nic, co trąciło religią. Wyobrażałam sobie rodziców jako ludzi bardziej interesujących niż moja matka i ojciec. A potem, kiedy zginęli w wypadku, zazdrościłam wszystkim, którzy w ogóle mają rodziców, ciekawych czy nudnych. Nie mogłam znieść myśli o samotności na tym świecie, jedyne dziecko jedynaków, bez żadnych krewnych. Zazdrościłam ludziom z rodzinami, i tak Jeremy stał się moją rodziną; wtedy zaczęła się prawdziwa zazdrość. Zazdrość wobec kobiet, które mają mężów, pieniądze; które nie muszą zebrać o miłość i resztki jedzenia; zazdrość wobec studentów, którzy szybko zrobili doktorat, ponieważ ktoś się nimi opiekował, opiekował się ich dziećmi, a do tego też zapewne nieukierunkowana zazdrość. Nie jestem z tego dumna, ale taka właśnie byłam.

– Byłaś? – zapytała Trish swoim badawczym, rzeczowym tonem.

– Byłam – odparła stanowczo Rina. – A teraz już nie jestem. Ponieważ przy Rayu czuję się bezpieczna. Bezpieczna, kochana i związana z nim. A nawet więcej. Kocham. Chronię i łączę się. Mam Raya, mam Jeremy’ego, mam Donnę i mam was wszystkie. Zawstydzają mnie własne szczęście. Pewnie na nie nie zasługuję.

– Zasługujesz. – Donna spojrzała na przyjaciółkę i uśmiechnęła się. – Byłaś bardzo dzielna, Rino. Właściwie to kiedy mówiłam, że zadroszczę ci twoich uczuć do Raya, powinnam była powiedzieć, że pamiętam, jak siedziałam w szpitalu w nocy, gdy urodził się Jeremy, i myślałam o odwadze, którą musiałaś mieć, by urodzić to dziecko i wychowywać je samodzielnie. A teraz cieszę się, że nie będziesz musiała, że Ray będzie z tobą. Naprawdę. Cieszę się z was, z siebie i nas wszystkich. To wspaniałe, że potrafimy być ze sobą tak szczerze.

– Twoja kolej, Jen. Komu zazdrościsz? I czego? – zapytała łagodnie Cynthia. Wszystkie obchodziły się delikatnie z Jen, ich drobną elfowatą przyjaciółką, która teraz przeczeswała palcami burzę ciemnych loczków okalających jej twarz i zaczęła się bawić

kołnierzykiem bladozielonego swetra.

– To proste. Zazdroszczę ła nowi talentu – powiedziała cicho.

– Ale przecież ty też jesteś utalentowana – zaprotestowała Cynthia. – Jesteś najbardziej utalentowaną artystką, z jaką mam do czynienia w Nightingale's.

– Och, mam coś w rodzaju pomniejszego daru. Jestem zdolna, sprawna i naprawdę dobra w tym, co robię. Natomiast Ian to artysta. Prawdziwy talent. Chciałabym posługiwać się pędzlami tak jak on, ale nie potrafię, i wiem o tym. Nigdy nie mogłabym z nim konkurować. Nie tak jak Sylvia Plath rywalizowała z Tedem Hughesem. Ona uważała się za równie dobrą poetkę jak mąż i może nią była albo mogła być. Ja jestem realistką. Widzę prace Iana i swoje, i wiem, że w dziedzinie twórczości należymy do dwóch różnych światów. Zazwyczaj cieszę się, że mogę mu pomóc, by dotarł tam, gdzie zmierza, pomóc mu zorganizować wystawę, osiągnąć wielkość. Ale oczywiście nie zawsze. Nie jestem żadną świętą. Czasem jestem wściekła jak cholera, kiedy ja go wspieram ze wszystkich sił, a jemu nie chce się nawet zebrać brudnej bielizny, złościę się, że zajął większość przestrzeni do pracy w mieszkaniu. I zaczęłam z tym walczyć, skarżyć się i stawiać wymagania. Mówię ła nowi, jak się czuję, a on mnie słucha. Zmienia się. Lepiej się między nami układa. Nie jestem Sylvią Plath. Ona udawała świętą, pełną poświęcenia żonę, pełną poświęcenia matkę. Hughes odszedł z kochanką, a ona została w zimnym mieszkaniu z dwójką małych dzieci i skarżyła się wszystkim, tylko nie jemu. Nie mogła mu wybaczyć nieuczciwości. Tak właśnie napisała. Jak się wydaje, mniej ją bolało to, że on rżnie inną, niż to, że skłamał w tej kwestii.

– Nieuczciwość w małżeństwie bardzo trudno wybaczyć, może to nawet niemożliwe – powiedziała cicho Cynthia, kartkując dzienniki. – Plath mówi też, że nie ma miłości bez zaufania. Rozumiem, co ma na myśli. Kiedy w małżeństwie umiera zaufanie, małżeństwo też umiera. Wiele by trzeba, żeby je ożywić.

Jej głos osłabł. Zamknęła książkę, znów ją otworzyła i patrzyła niewidzącym wzrokiem w pustą pierwszą stronę.



Przyjaciółki spojrzały po sobie; pragnęły, żeby mówiła dalej – żeby może powiedziała o nieuczciwości Erica, sekrecie lub sekretach, które tak długo przed nią ukrywał. Co takiego zrobił, żeby zawieść jej zaufanie, by zamienić ich wzajemną miłość w kłamstwo? Znowu wróciły podejrzenia, których tyle nagromadziło się przez ostatnie miesiące. Myślały o tym, jak Trish spotkała go w kafejce z tym młodym człowiekiem, jak Jen poczuła od niego alkohol. Teraz może Cynthia powie im, dlaczego mieszka sama w ich pięknym domu i w nocy czyta pełne udręki dzienniki poetki. Ale Cynthia zamknęła oczy i milczała.

Jen odczekała chwilę, westchnęła, po czym skierowała rozmowę z powrotem na Sylvię Plath.

– Jeśli się nad tym zastanowić, Plath nie różniła się tak bardzo od Shirley Jackson – stwierdziła. – Jackson pisała, by zapłacić rachunki, gotowała, piekła, zajmowała się dziećmi, a jej mąż w tym czasie czarował studentki z Beddington. Plath była następczynią Jackson, kolejną ofiarą loterii. A skoro już o tym mowa, mam pewną wiadomość. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Sprzedałam komiks *Loterii*. Dostałam pisemną informację, że został przyjęty. Wygląda na to, że to, co nazywa się literaturą graficzną, jest teraz bardzo popularne. Drobną twarz Jen promieniała zadowoleniem.

– To wspaniale, Jen.

– Fantastycznie.

– Ekstra, dziewczyno!

Ich miłość, entuzjazm, szlachetne przywiązanie spłynęły na Jen. Wszystkie ją uściskały, ucałowały, otoczyły tanecznym kręgiem przyjaźni.

– Czemu tak długo trzymałaś to w tajemnicy? – spytała Elizabeth.

– Chciałam pochwalić się na pożegnanie. Cieszę się, że najpierw zrzuciłam z siebie wyznanie zazdrości. A dzięki temu, że wy byliście pierwsze, żadna nie mogła powiedzieć, że mi zazdrości.

Roześmiały się.

– Kto został? – zapytała Rina. – Każda musi odkryć swoje serce.

– Ja. I Cynthia. – Trish uniosła wzrok znad notatnika. Wyćwiczona w umiejętności rozjaśniania sytuacji, odhaczała ich imiona. – I mogę mówić pierwsza.

Zarumieniła się i zaczęła bardzo powoli, ze wzrokiem utkwionym w Cynthia.

– Oto dawna zazdrość. Zazdrościłam tobie, Cynthia. Zazdrościłam ci twojego życia, tego, że zawsze potrafiłaś zorganizować sobie pomoc, że nigdy nie żałowałaś pieniędzy na to, by otaczało cię piękno, twojej ekscytującej pracy. Zazdrościłam ci, chociaż wiedziałam, że pewnie mogłabym sobie pozwolić, by żyć tak, jak ty żyjesz, albo prawie tak, chociaż wiedziałam, że moja praca jest ważna i że jestem w niej dobra.

Nie patrzyła na Cynthię, kiedy to mówiła.

– A moje małżeństwo? Czy zazdrościłaś mi też małżeństwa? – zapytała chłodno Cynthia.

– Myślę, że wszystkie ci go zazdrościłyśmy – odpowiedziała Jen niepewnym głosem. – Miałaś wszystko. Doskonałe życie.

– Ja też tak myślałam. Z perspektywy czasu sama go sobie zazdrozczę – zaśmiała się gorzko Cynthia. – Było wspaniałe, więcej niż wspaniałe. Budziłam się z uśmiechem. Nie mogłam się doczekać początku kolejnego dnia. Teraz nie mogę się doczekać, aż kolejny dzień się skończy. Oto moja odpowiedź na pytanie, komu i czego zazdrozczę. Zazdrozczę życia, które było moje.

– To dlaczego... ?

Pytanie zamarło na ustach Jen. Nie uzyskają na nie odpowiedzi. Cynthia zamknęła się w sobie, jej twarz, jednocześnie smutna i rozgniewana, przypominała maskę.

– Kończymy grę – odparła Cynthia. – Prawda albo rozkaz. Wykonałam rozkaz. Powiedziałam prawdę. To wszystko.

Jen rozpoznała zimną stanowczość jej tonu. Tak Cynthia kończyła spotkania, kiedy zniecierpliwiała ją prezentacja, kiedy chciała zamknąć sprawę jakiegoś projektu.

– No dobrze. Cynthia odpowiedziała na pytanie. Wszystkie

odpowiedziałyśmy.

Rina, przepelniona nowym szczęściem, wolna od ciężaru własnych zawiści, chciała, by gra się skończyła, gdyż osiągnęła swój najniższy punkt. Trish przebiła bańkę zazdrości, która otaczała je wszystkie, zazdrości wobec Cynthii, teraz już wygasłej. Wiedziały dlaczego. Po prostu życie Cynthii nie było już godne pozazdroszczenia. Cynthia była samotna, a zawiść przyjaciółek przerodziła się we współczucie. Nie rozumiały, co się stało z nią, z Erikiem. To pytanie wciąż je dręczyło, ale podczas tych długich miesięcy i tygodni spekulacji uległo przeobrażeniu; wyparło ich własne pragnienia, odmieniło plany na życie i codzienne rytuały.

Elizabeth wstała i podeszła do okna. Wyrzała na ulicę, gdzie kobieta szła samotnie przez ciemność i patrzyła w górę w oświetlone okna mieszkań. W domu po drugiej stronie Elizabeth zobaczyła, jak matka siada obok syna w kręgu światła lampki nocnej. Obserwowała ich już wcześniej. Chłopiec, rudzielec, był w wieku Adama, może o rok młodszy lub starszy. Adam. Myśl o synu przebijała jej serce niczym strzała. Na pewno wrócił bezpiecznie z wycieczki na plac zabaw. Zastanawiała się, ile minął ulic i czy kosztowny pomocnik nazywany jego cieniem był przy nim przez cały czas, prowadził go bezpiecznie od jednego krawężnika do drugiego. Zamknęła oczy i słuchała Trish, która, już w tonie żartobliwym, wymieniała teraz mniej poważne obiekty swojej zazdrości.

– Zazdroszczę Mirandzie Richardson, ponieważ sypia z Liamem Neesonem. Zazdroszczę też kobietom z węższymi taliami, posłuszniejszymi włosami, matkom o większej cierpliwości niż moja. Zazdroszczę wszystkim, którzy mają wielopokoleniowe rodziny, i tym, którzy umieją upiec tort urodzinowy – zakończyła z twarzą zarumienioną z zakłopotania i ulgi.

– My jesteśmy twoją wielopokoleniową rodziną – stwierdziła Donna. – Możesz zapraszać nas na Święto Dziękczynienia, Dzień Matki, Boże Narodzenie.

– Umowa stoi – odparła, śmiejąc się Trish. – Macie stałe zaproszenie.

Skinęły głowami i uśmiechnęły się zadowolone, że gra się skończyła, że podzieliły się swoimi wyznaniem i bólem, który dzięki temu stracił na ostrości. Były jednocześnie dumne ze swojej szczerości i zaskoczone nią. Udało im się coś osiągnąć, przekroczyć emocjonalną barierę, ale nie były jeszcze gotowe, by rozejrzeć się po tym nowym miejscu, w którym się znalazły.

– Co teraz czytamy? – zapytała Trish.

– Chyba kogo teraz czytamy? – zariipostowała Rina. – Mam wrażenie, że zajmujemy się bardziej autorami niż ich książkami. Ale to dobrze – dodała łagodnie. – Czyja teraz kolej?

– Cynthii. Pierwsze spotkanie u Cynthii, ostatnie spotkanie u Cynthii – Trish wszystkiego pilnowała, orzekała o kolejności.

– No to Cynthia wybiera.

– Koniec z pisarzami o skłonnościach samobójczych. Koniec z ofiarami. Potrzebujemy szczęśliwego zakończenia. Miałyśmy już naszą kolację z Anną Kareniną. Musimy teraz odzyskać niewinność – Cynthia się zawahała. – Co byście powiedziały na powrót do książkowej przeszłości? Co byście powiedziały na *Małe kobietki*”?

Przyjaciółki klasnęły w dłonie z radosnym entuzjazmem.

– Louisa May. Nasza wspaniała Louisa May.

– Doskonale.

– Świetnie.

– Nie mogę się doczekać.

Tryskały entuzjazmem. Ten pomysł je zachwycił. Każda przypomniała sobie swoje dzieciństwo, kiedy wkroczyły w świat sióstr March, bohaterek sagi Alcott. Radośnie wymieniły imiona każdej z dziewcząt. Jo! Meg! Biedna Beth! Amy!

– Och, Amy. Zawsze chciałam być nią – powiedziała smutno Cynthia.

Zaśmiały się. Nie zdziwiły ich słowa Cynthii. Amy uwielbiała ubrania i luksusowe drobiazgi, kwiaty i meble. Amy, tak jak Cynthia, po ślubie rozpoczęła bogate i fascynujące życie. Tyle że,

inaczej niż u Cynthii, Amy „żyli długo i szczęśliwie” trwało.

Nadszedł czas, by wyciągnąć kalendarze i notesy elektroniczne. Ustaliły datę. Elizabeth zaproponowała, że omówi publikacje, w których Louisa opisała wysiłki ojca, Bronsona Alcotta, by założyć utopijną transcendentalną społeczność. Elizabeth, dziwnie eklektyczna czytelniczka, znalazła na jakiejś wyprzedaży egzemplarz dziennika Louisy.

– Mogłybyśmy się z niego wiele dowiedzieć – powiedziała, jakby zdecydowała się przywrócić odrobinę powagi celowi spotkań. Ale nic nie mogło przygasić ich nowej radości.

Roześmiane, znów napełniły kubki kawą i zabrały się do cannolo. Pochłaniały je łakomie, przebijały szybkimi małymi ugryzieniami, tak że nadzienie zaczęło się z nich wylewać, i dyskutowały o tym słodkim deserze z samozadowoleniem typowym dla kobiet dumnych ze swojej wiedzy o jedzeniu.

– Lepsze niż te, które kupuję w naszej włoskiej piekarni – orzekła Trish.

– Za dużo cynamonu – stwierdziła Rina.

– Za mało cynamonu – zaprzeczyła Donna.

Jen sięgnęła po ostatnie ciastko, kiedy nagle rzuciły się na nie wszystkie ręce i rozpoczęła się żartobliwa walka; chichocząc, zgmiotły cannolo, a słodkie kremowe nadzienie wylało im się na palce. Pozlizywały je chciwie, roześmiane niczym małe dziewczynki, które psocą na przyjęciu.

Kiedy Elizabeth rozdawała im serwetki, zadzwonił telefon. Niechętnie sięgnęła po słuchawkę.

– To pewnie Bert – powiedziała. – Chce się dowiedzieć, co z Adamem. Wie, że rozmawiałam dziś z jego terapeutą.

– Co z Adamem? – zapytała szybko Jen.

Czuła szczególną więź z siostrzeńcem. Trzymała go w ramionach, kiedy był niemowlęciem, i już wtedy uderzała ją nienaturalna sztywność jego małego ciała, opór przed czułością. Żałowała go i wówczas, i teraz. Przysunęła się bliżej do siostry, która trzymała słuchawkę tak kurczowo, że zbiegały jej palce, a usta poruszały się bezgłośnie.

– Chodzi o Adama? – zapytała ze strachem Jen. – Czy coś się stało Adamowi?

Ale Elizabeth nie odpowiedziała. Zakołysała się, jakby miała się ugiąć pod ciężarem własnego smutku. Jen ścisnęło się serce. Coś było nie tak, potwornie nie tak.

– Kiedy? – zapytała Elizabeth głosem tak cichym, że Jen ledwo ją usłyszała. – Jest pani pewna, całkowicie pewna? Czy był już lekarz?

– Elizabeth, o co chodzi? Co się stało?

Jen uklękła obok niej. Wyciągnęła rękę do siostry, a ona ścisnęła ją mocno, a jednocześnie mówiła dalej mechanicznym głosem pozbawionym wszelkich emocji.

– Mąż wyjechał. Postaram się z nim skontaktować. Ale jest u mnie moja siostra. Razem zdecydujemy, co robić. Trzeba będzie się wszystkim zająć. Oddzwonię do pani. Tak. Dziękuję.

Delikatnie, zbyt delikatnie, odłożyła słuchawkę i usiadła sztywno.

– Elizabeth, powiedz mi! – Krzyk Jen był rozdzierający. Jej oczy wypełniły się łzami, a twarz wykrzywił ból. – Czy chodzi o Adama?

Elizabeth pokręciła głową.

– Nie. Dzięki Bogu to nie Adam. To ona, nasza matka. Dzwonili z ośrodka, rozmawiałam z kierowniczką. Ona umarła. Nie żyje. Przełożona pielęgniarek powiedziała, że to się stało nagle. Nie można było nic zrobić. Ona, matka, po prostu spadła z krzesła, upadła twarzą do podłogi. Kiedy do niej dobiegli, już nie żyła. Jest im przykro. Tak powiedziała kobieta, która dzwoniła. „Przykro nam”. Och, Jen, to wygląda tak, jakby siłą woli zmusiła się do śmierci.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, rozłożyła ramiona, a Jen się w nie wślizgnęła. Siostry się rozplakały, przytłoczone smutkiem wywołanym śmiercią kobiety, której nie kochały, wszystkimi małymi i potwornymi stratami w ich życiu, od dni pełnego strachu dzieciństwa, aż po tę zimową noc, kiedy ich matka wybrała śmierć, tak gorzką i karzącą wobec córek jak całe jej życie.

Przyjaciółki zebrały się wokół nich, szeptały wyrazy współczucia, deklarowały pomoc. Trish zadzwoniła do Iana, a Cynthia znalazła butelkę brandy i skłoniła siostry, by wypić po odrobinie złotego płynu, który palił je w gardła i łagodził ból. Kiedy zadzwonił telefon, odebrała Trish; rozmawiała z Bertem spokojnym, wyważonym tonem. Poinformowała go, co się stało, i przekazała jego odpowiedź Elizabeth. Powiedział, że przyleci pierwszym porannym samolotem. Zaraz zadzwoni do ośrodka. Zajmie się wszystkim. Jego zachowanie zaskoczyło je, ale przecież cały ten wieczór był pełen niespodzianek.

Wiedziały, że kraina Plath to zdradliwy teren, ale nie przypuszczały, że podróż do niej sprowokuje zwierzenia, które prześladowają i przytłaczają. Najpierw spowiedź Donny, potem ich dziwna konfesyjna gra, a na koniec śmierć starej kobiety, matki Elizabeth i Jen, niekochającej i niekochanej. W tajemniczy sposób jej córki czuły się osamotnione. A może znowu nie tak bardzo tajemniczy. Nie była dobrą matką, ale była ich matką. Jej śmierć, śmierć z własnej woli, odebranie im szansy pojednania, oznaczała, że zostały przez nią porzucone na wyspie straty i cierpienia.

Przyjaciółki zaskoczyło, że Bert, mężczyzna, którego nigdy nie lubiły, którego nawet się bały, nagle przyjął nową rolę. Sam w pokoju hotelowym, w odległym mieście, zajął się wszystkim, wziął na siebie odpowiedzialność, uwolnił Elizabeth i Jen od ponurej konieczności zajęcia się logistyką następstw śmierci. A może, przyznały niechętnie, nie była to taka nowa rola. Po raz pierwszy zobaczyły mężczyznę, którego poślubiła Elizabeth – człowieka zdecydowanego i asertywnego. Teraz przyznały niechętnie, że ten mężczyzna nie porzucił syna i żony, nawet gdy ona porzuciła jego, zna i zawsze będzie znał swoje obowiązki. Elizabeth, smutna, zgorzkniała Elizabeth, zawsze to rozumiała. Od tej nocy będą o nim myśleć inaczej.

W ciszy, na palcach, posprzątały resztki jedzenia i zmyły naczynia. Jedna po drugiej zebrały swoje książki, jeszcze raz wymruczały cicho wyrazy współczucia, uściśniły Jen, dotknęły ręki Elizabeth i wyszły. Została tylko Trish.

– Chcesz zostać tu dziś z Elizabeth, Jen? – zapytała łagodnie. – Jeśli nie, to zabiorę cię do domu. Jason przysyła samochód.

Jen spojrzała na siostrę.

– Nic mi nie będzie, Jen – zapewniła Elizabeth. – A ty będziesz chciała być dziś z Ianem. On się tobą zajmie.

Jen skinęła głową. Nie była zaskoczona, że siostra to wie. Oczywiście Elizabeth, z siostrzaną przenikliwością, rozumiała ją doskonale, może nawet lepiej niż ona sama. Jen uścisnęła ją z wdzięcznością, zebrała swoje książki i ruszyła za Trish w ciemność nocy.



## Rozdział ósmy

Następnego ranka Jen została nagle wyrwana ze snu.

– Jen, tak mi przykro, tak bardzo przykro. Czy mogę coś pomóc?

Jeszcze nieprzytomna z rozespania, rozpoznała głos Erica. Przypomniła sobie ponaglące dzwonienie telefonu, ale nie pamiętała, żeby go odbierała. Przypuszczała, że to za sprawą małej różowej pigułki, którą Trish dała Ianowi, a on włożył do ust Jen, po czym przyłożył jej do warg szklanekę z bardzo zimną wodą, żeby popiła lekarstwo. Trish jest lekarzem. Zawsze nosi ze sobą na wszelki wypadek antidotum na smutek.

– Nie. Nie sędzę, ale dziękuję – odpowiedziała Ericowi i uniosła drżącą dłoń, by zerknąć na zegarek. Myślała, że nie będzie w ogóle spała, a tymczasem był już późny ranek. Zastanawiała się z roztargnieniem, dlaczego jej odpowiedź na pytanie Erica zabrzmiała tak dziecinnie. Nagle pomyślała, że może to dlatego, że właśnie została sierotą. Sierota. To słowo ją intrygowało. Jako dziecko marzyła, by zostać osieroconą, zaadoptowana przez jakiegoś łagodnego „tajemniczego opiekuna”, pobłażliwego Olivera „Daddy’ego Warbucks”. Taki opiekuńczy ojciec zastępczy zabrałby ją z jej nieszczęśliwego domu, hołubiłby ją i rozpieszczał; ach, ci wspaniali powieściowi rodzice. Usiadła na łóżku, uśmiechnęła się na to wspomnienie i zaczęła się zastanawiać, kto ubrał ją w długą białą koszulę nocną, Ian czy Trish, która odwiozła ją do domu. Było to bez znaczenia.

– Wiem, że będzie mnóstwo spraw do załatwienia, trzeba wszystko zorganizować – nalegał łagodnie Erie.

W złotych dniach ich małżeństwa Cynthia opowiadała z podziwem o nieustępliwości Erica. „Tak właśnie zdobywa fundusze na swoje filmy, wymusza współpracę na swoich podwładnych. Nikt nie lubi odmawiać Ericowi”, mówiła z dumą.

– Chcę pomóc, Jen – nie dawał się zbyć.

Przyszedł jej do głowy brzydki pomysł, że może chce czegoś

więcej. Bliski kontakt z Jen oznaczałby bliski kontakt z Cynthią. Natychmiast pożałowała tej myśli. Erie zawsze był szczodry, zawsze gotowy do pomocy. Wiedziała, że on darzy ją szczególnym sentymentem, a ona darzy tym samym jego. Połączyła ich spontaniczna, instynktowna przyjaźń, niezależna od Cynthii, niezależna od Iana. Śmiali się z tego samego, opowiadając sobie o swoich myślach i uczuciach; wśród fal radości na dużych wakacyjnych przyjęciach oni spotykali się ze sobą na wysepce intymności. To właśnie do Jen zwrócił się Erie, kiedy przytłoczyła go potrzeba porozmawiania o Cynthii. Oczywiście, że nie kierował nim żaden ukryty motyw.

– To bardzo miłe z twojej strony, Erie – powiedziała łagodnie.  
– Ale Bert i Ian wszystkim się zajmują. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że Ian mówił coś o spotkaniu z Bertem, by omówić kwestię pogrzebu, ustalić, co trzeba załatwić. Była w półśnie, kiedy chodził po lofcie oblanym mlecznym światłem wczesnego poranka. Przypomniała sobie też, że dzwoniła Elizabeth, i Ian rozmawiał z nią, a jego ręka spoczywała na głowie Jen. Nawet przez sen zauważyła, że ta rozmowa jest inna. Ian i Elizabeth rzadko się do siebie odzywali, ale najwyraźniej dzisiejszy dzień był wyjątkowy. W obliczu śmierci zobaczyli swoje życie z nowej perspektywy. Mieli przed sobą wspólne zadanie, Elizabeth i Bert, Jen i Ian.

Teraz, w jasności poranka, wydawało się zupełnie naturalne, że Ian zdecydował się w to zaangażować, że Elizabeth zwróciła się do niego, a on z kolei postanowił pomóc Bertowi. Trzeba było zorganizować pogrzeb, podpisać papiery, wykonać telefony. To sprawa rodzinna, a Ian jest jej rodziną, tak jak – Bert jest rodziną Elizabeth. Trzeba było śmierci matki, żeby jej siostra to zrozumiała.

W czym mógłby im pomóc Erie, właśnie niedawno pozbawiony własnej rodziny?

Patrzyła bezradnie na słuchawkę, myślała nad słowami, które uprzedziłyby jego kolejne podejście, i wtedy zobaczyła na stoliku

nocnym notatkę napisaną zamaszystym pismem lana.

– Zaczekaj chwilkę, Erie.

Szybko przeczytała notatkę, Ian miał się spotkać z Bertem w domu spokojnej starości. Dyrektor chciał się zobaczyć z rodziną, prawdopodobnie, żeby ich zapewnić, że ośrodek nie dopuścił się żadnego zaniedbania, Ian zadzwoni do niej, jak tylko dowie się czegoś więcej. „Odpocznij, skarbie. Kocham cię”.

W miejscu podpisu narysował słonecznik z długą łodygą i zawiniętymi płatkami, tajemny symbol ich miłości. Przeczytała wiadomość jeszcze raz, po czym wetknęła kartkę do kieszeni koszuli.

– Bert i Ian są teraz w domu spokojnej starości. Poczekam na telefon od nich. A potem może się spotkamy.

– W takim razie zadzwonię później. Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, dobrze. Ale, Erie, skąd wiesz o mojej matce?

– Cynthia zadzwoniła i powiedziała mi.

– Cynthia? – Nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Tak. Ona wie, jak bardzo mi na tobie zależy. Rozumie, że ty i ja jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Pomyślała, że może mógłbym się do czegoś przydać, zrobić coś dla ciebie. Pożonglować. Stanać na głowie. Zaprosić cię na elegancki lunch.

– To miło z jej strony.

– Cynthia to bardzo dobra osoba – powiedział Erie. – Wiem to, zawsze wiedziałem. Powinienem był zaufać jej dobroci.

Jen usłyszała w jego głosie żal, przestraszyła się, że może się znowu popłakać, a jego łzy sprowokują i ją.

– Naprawdę powinniście porozmawiać – odezwała się ostrożnie. – Może udałoby się wam jeszcze wszystko naprawić?

Wiedziała, że nie ma żadnego prawa zadawać tego pytania. Nie zdziwiło ją, że na nie nie odpowiedział.

– Zadzwonię wkrótce, Jen – powiedział łagodnie. – Powinnaś coś zjeść. Lunch. Spotkajmy się na lunch.

– Może. Zobaczymy. – Ale już kiedy odkładała słuchawkę, wiedziała, że się z nim spotka. Nie miała innego wyjścia niż przyjąć jego dobroć.

Wybrała numer Elizabeth. Nie odpowiadał. Była przekonana, że siostra poszła do pracy. To w jej stylu. Elizabeth łatwiej poradzi sobie z osobistym smutkiem w miejscu publicznym, gdzie sterty papierów służą jej za tarczę, a cichą rozpacz rozpraszają pilne telefony, notatki służbowe od współpracowników, spotkania i podziw kolegów. „Jakie to wspaniałe, że przychodzi do pracy pomimo takiej straty. Cóż za poświęcenie”.

Jen nie zamierzała iść do Nightingale's. Ich letni katalog może poczekać dzień, dwa dni, tydzień, wieczność.

Wzięła prysznic, wrzuciła na siebie szlafrok, zrobiła kawę. Nie było chleba testowego. Masło zjełczało. Ian obiecał zrobić zakupy, ale zapomniał. Jen podeszła do jego sztalugi i przyjrzała się obrazowi, który ukończył zapewne poprzedniego wieczoru. Niebo nad miastem późną zimą, zderzające się ze sobą szare chmury, przebite iglicami, uderzające o walcowate cysterny na dachach wieżowców. Obraz był wspaniały. Sprawił, że wzniosła się ku niebu. Wybaczyła Ianowi, że nie zrobił zakupów. Nie, nie zapomniał. Był pochłonięty pracą. Nie mógł przerwać, żeby kupić chleb i masło. Dotknęła płótna. Farba była sucha.

Zadzwoił telefon, Ian odezwał się czułym głosem, zdradzającym niepokój.

– Wszystko w porządku? Wyglądałaś na zupełnie padniętą, kiedy wychodziłem.

– To wpływ małej różowej pigułki Trish. Nic mi nie jest. Co się dzieje?

– Chcą przeprowadzić autopsję. Mówią, że to wymóg. Sprzeciwiasz się?

– Nie. Czy Elizabeth się sprzeciwia?

– Bert nie przypuszcza, żeby tak było. Jest w pracy. Bert właśnie do niej dzwoni. Twarda sztuka z tej twojej siostry, żeby iść do pracy w taki dzień.

– Nie. Nie jest twarda. Ona radzi sobie z trudnymi sytuacjami na swój sposób.

Zamierzała podzielić się z nim swoim nowym spojrzeniem na

Elizabeth, ale nie teraz, nie dzisiaj, nie przez telefon.

– No dobrze, skoro tak twierdzisz. Wrócę do domu za dwie, trzy godziny. Mamy spakować rzeczy twojej matki, pojechać do szpitala, podpisać papiery.

– Dziękuję, Ian. I namalowałeś przepiękny obraz.

– Ach, mój obraz. Tak. Jest w porządku. Właściwie to myślę, że więcej niż w porządku.

Jen usłyszała zadowolenie w jego głosie i wiedziała, że się uśmiecha, przeczesuje palcami jasne włosy. Skończył trudną pracę, przeskoczył kolejny płótek. Będzie wystawa. Jest już prawie na mecie.

– Dobrze, ja idę na lunch z Erikiem.

– Z Erikiem?

– W domu nie ma nic do jedzenia. Zadzwoił. Chce pomóc, coś zrobić. A ja jestem głodna.

– No to smacznego. – W jego głosie słychać było rozbawienie, nie złość.

– Bardzo podobał mi się twój słonecznik.

– A mnie podobasz się ty.

Rozłączył się, a kiedy zadzwonił Erie, Jen podziękowała mu za zaproszenie i zapytała, o której i gdzie mogą się spotkać.

– Bryant Park Grill – powiedział. – Dwunasta trzydzieści. Jestem tam z kimś umówiony tuż przed południem, ale do tej pory skończę. To jak, dwunasta trzydzieści ci pasuje?

– Owszem – przytaknęła.

Cynthia zadzwoniła, gdy Jen właśnie wychodziła. Wysłała czarną suknię w jej rozmiarze, pochodzącą z kolekcji zdjęciowej do katalogu.

– Będzie ci potrzebna – powiedziała Cynthia. – No wiesz.

– Tak. Na pogrzeb – zgodziła się Jen.

To słowo jej nie przerażało. Matka zmarła i zostanie pochowana. Odbędzie się pogrzeb, zorganizowany przez Berta i Iana.

Nie była też zdziwiona gestem Cynthii. To w jej stylu, żeby martwić się o odpowiednie ubranie, dbać o szczegóły. Ubierze Jen

na pogrzeb, tak jak codziennie ubiera swoje córki w skarpetki i koszulki w tym samym kolorze, tak jak przez tyle lat wypełniała szuflady Erica pastelowymi koszulami i tureckimi krawatami. Ubierze ich wszystkich w szaty swojej miłości. To właśnie robiła najlepiej i kochała to robić. Jen wiedziała o tym i była za to wdzięczna.

– Dzięki, że się tym zajęłaś, Cynthio – powiedziała, zaskoczona, że głos jej się załamał. Dobroć przyjaciół, zarówno Cynthii jak i Erica, zburzyła jej spokój.

– Czy powinnam poszukać czegoś dla Elizabeth? – zapytała Cynthia. – Myślałam o gładkiej czarnej lnianej spódnicy.

– Nie. Nie sędzę.

Elizabeth nie ucieszyłby prezent Cynthii, mogłaby go uznać za wtrącanie się, niemile widzianą próbę przejęcia kontroli.

– Znasz Elizabeth – dodała przepraszająco. – Ale dzięki, że o niej pomyślałaś, Cynthio. Dzięki, że pomyślałaś o nas obu.

Kiedy Jen wyszła na blade słońce kończącej się zimy, przyszło jej do głowy, że nie powiedziała Cynthii o spotkaniu z Erikiem. Niewinne przeoczenie, ale dręczyło ją, kiedy powoli przedzierała się przez zatłoczone ulice do Bryant Park.

Mimo chłodnej pogody w parku były tłumy. Szachiści pochylali się nad planszami na małych stoliczkach i przesuwali pionki palcami w rękawiczkach. Miejscy czytelnicy, z płóciennymi torbami przepelnionymi książkami, siedzieli na ławkach i przewracali karty powieści. Młode matki w kolorowych szalikach luźno owiniętych wokół szyi popychały przed sobą wózki spacerowe i wołały na dzieci w grubych kurtkach, które biegly przed nimi. Te unosiły twarze do przekornej platynowej kuli słońca, która próbowała się uwolnić z pułapki mgły tworzonej przez cienkie jak pajęczyna chmury. Jen zobaczyła artystę, z którym chodziła na zajęcia z rysunku z natury; siedział na stołku, a na kolanach miał rozłożony szkicownik. Chciała zobaczyć, co rysuje, ale przeszła szybko, zanim zdążył ją rozpoznać. Nie chciała, by pytał, jak się miewa. Co by mu powiedziała? Jest mi dziś smutno, ponieważ wczoraj zmarła moja matka i nie wiem, jak

ją opłakiwać. Wyobraziła sobie jego zdumienie, pełen zażenowania uśmiech.

Skierowała się szybko do restauracji, gdzie mimo chłodu na tarasie ustawiono stoliki dla kilku nieustraszonych gości. Trzy kobiety otulone w futra przeglądały leżący przed nimi wzornik kolorów, sączyły kawę i przewracały strony dłońmi w rękawiczkach. Jen zerknęła na siedzących obok siebie starszego mężczyznę i kobietę. Słońce opromieniało ich siwe włosy, a oni uśmiechali się do siebie, mieszając gorącą czekoladę. Czy matka i ojciec kiedykolwiek się do siebie uśmiechali, czy kiedykolwiek zachwycali się godziną odpoczynku w zimowy poranek? Ta myśl ją zasmuciła; skierowała się do północnej części tarasu, gdzie przy stoliku ustawionym w plamie słońca siedziało dwóch mężczyzn zwróconych do niej plecami.

– Kelner, rachunek proszę.

Jednym z mężczyzn był Erie. Rozpoznała jego głos, jeszcze zanim się odwrócił, i zobaczyła go z profilu. Niezauważona, patrzyła z przejścia, jak skinął na kelnera i sięgnął po aktówkę. Towarzysz Erica wstał. Był to bardzo młody mężczyzna, właściwie chłopak, o równie jasnych włosach i szlachetnych rysach jak Erie. Miał na sobie typowy strój studenta – wytarte spodnie, gruby szary sweter ze skórzanymi łatami na łokciach, sfatygowany, choć drogi. Kelner podał Ericowi rachunek, a chłopak męczył się z zakładaniem plecaka. Przygarbiony pod jego ciężarem, pochylił się i pocałował Erica w policzek. Erie wygrzebał kartę kredytową po czym wyjął z portfela kilka banknotów i wcisnął je chłopcu do ręki, zacisnął wokół nich jego oporne palce. Potem się uścisnęli, tworząc niezgrabną plątaninę męskich ramion i rąk. Jen weszła do środka z bijącym sercem i zarumienioną twarzą. Próbowała sobie przypomnieć, co Trish mówiła o młodym człowieku, którego ona i Jason widzieli z Erikiem w East Village. Wspomniała, że był to blondyn, szczupły, dziwnie podobny do Erica. Opis się zgadzał.

– W czym mogę pani pomóc?

Młoda kobieta pochyliła się w jej stronę, ale odpowiedział jej

Erie, który nagle pojawił się obok Jen.

– Mamy rezerwację. Erie Anders.

Wziął rękę Jen i uścisnął ją w geście wyrażającym przyjaźń i współczucie.

– Tak. Oczywiście, pan Anders.

Posłusznie udali się za nią do stolika z widokiem na miejsce, które Erie przed chwilą opuścił. Jen utkwiała wzrok w pozostawionej przez niego filiżance po kawie, trzepoczącej na wietrze serwetce. Na stoliku leżał żółty ołówek, zapomniany przez młodego człowieka, który pocałował Erica na pożegnanie.

Jen otworzyła menu. Nie zdawała sobie sprawy, jaka jest głodna. Pospiesznie zamówiła omlet i croissanty.

– Dla mnie to samo – powiedział Erie.

Nalała sobie kawy, po czym sięgnęła po filiżankę przyjaciela.

– Ja poczekam – powiedział. – Przed chwilą wypilem kawę.

– No tak. Widziałam ciebie i twojego... przyjaciela. Właśnie wychodził, kiedy przyszedłam. Czy to... ktoś, z kim pracujesz? Przygotowujesz nowy film? – zapytała, nienawidząc siebie za podstępność tego pytania. Erie zasługiwał na coś lepszego z jej strony.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

– To nie było spotkanie zawodowe, Jen – odpowiedział krótko, a ona poczuła ulgę i wstyd, że nie skamlał.

Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

– To muszą być dla ciebie bardzo ciężkie chwile.

Jego głos zabrzmiał łagodniej, chwilowe rozdrażnienie poszło w niepamięć. W końcu zaofiarował się, że pocieszy ją w tym dniu, pierwszym dniu żałoby.

Skinęła głową.

– To trudne, ponieważ wszystko stało się tak nagle. Była stara i nie czuła się dobrze, ale nigdy nie przypuszczałyśmy, że jest tak chora. Tak, to dla mnie szok. Ona, moja matka, była trudną kobietą i nigdy się między nami dobrze nie układało, ale jest mi smutno, bardzo smutno. Jest mi smutno, bo jej życie przepełniała gorycz. Bo nie umiała kochać. Wydaje mi się, że to nie jej śmierć



mnie boli, lecz jej życie.

Oczy Jen wypełniły się łzami. Erie trzymał mocno dłoń przyjaciółki. Pocieszy ją, tak jak ona go pocieszyła. Jego współczucie przynosiło ulgę, sprawiało, że słowa przychodziły łatwiej. Zawsze istniała między nimi szczególna więź.

– Wiesz co – powiedziała – nigdy nie słyszałam, żeby się śmiała. Ani ona, ani ojciec. Czy to nie straszne, mieszkać w domu z matką i ojcem, którzy nigdy się nie zaśmiali?

– Straszne i smutne – zgodził się Erie i zamilkł, kiedy przyniesiono ich dania, a kelner z wielką starannością porozstawiał przed nimi talerze.

– Straszne i smutne dla rodziców. Straszne i smutne dla dzieci – powtórzył.

Znów pojawił się kelner, postawił przed nimi koszyk z chlebem, po czym zniknął.

– Mówi się, że rozwód wyrządza dzieciom potworną krzywdę – powiedziała Jen. – Ale ja uważam, że znacznie gorzej jest dorastać w domu, gdzie rodzice żywią dla siebie nienawiść, a dzieci żyją w strachu. Elizabeth i ja zamykałyśmy drzwi do naszych sypialni, by odciąć się od ich kłótni. Uciekałyśmy w książki. Pragnęłyśmy, by słowa widniejące na papierze zagłuszyły te, które wykrzykiwali rodzice, jego obelgi, jej oskarżenia. Modliłam się, żeby się rozstali, żeby nie przebywali w tym samym domu, żebym ja mogła żyć z dala od nich obojga. Rozwód, separacja – nic nie może być gorsze niż dzieciństwo spędzone na polu bitwy.

Erie zbladł i odłożył widelec.

– Tak. Pewnie masz rację – powiedział tak cicho, że musiała się wysilić, by usłyszeć jego słowa.

– Och, Erie, tak mi przykro – jej głos drżał z żalu. – Głupio z mojej strony, że tak mówię. Wiem przecież, co przeżywacie oboje z Cynthią. – Słowa Jen padały niezręcznie jedno po drugim. Nie chciała sprawić mu bólu.

– Nie, nic się nie stało, Jen. To, o czym mówisz, nie odnosi się do nas, do mnie i do Cynthii – powiedział cicho, ale spokojnie. – Między nami nigdy nie było gniewu. Julie i Liza nigdy nie

obawiały się żadnego wybuchu z naszej strony. Żadnych krzyków. Żadnych głośnych kłótni. Dziwnie to brzmi w świetle tego, co się wydarzyło, ale byliśmy bardzo szczęśliwą rodziną. W tym tkwi cała ironia. To dlatego nasza separacja jest tak szokująca, tak niepojęta dla wszystkich, którzy nas znają. Wiesz, ja sam wciąż nie mogę w to uwierzyć. Budzę się w moim nędznym małym mieszkaniu i muszę sobie przypominać, że jestem sam, że wszystko w moim życiu się zmieniło, że w innej części miasta moje małe córeczki szczotkują włosy, a moja żona, moja piękna żona, się ubiera.

Uwielbiałem patrzeć, jak szczotkują włosy. Uwielbiałem patrzeć, jak Cynthia wybiera strój.

Przełamał bułkę i, jeden po drugim, podniósł do ust okruszki z białej serwetki. Wyglądało to tak, jakby każde ziarenko zboża było wspomnieniem, którym Erie się dyskretnie rozkoszuje.

– Wszyscy uważaliśmy was za szczęśliwych. Idealne małżeństwo. Idealne życie. Na wczorajszym spotkaniu klubu książki rozmawialiśmy o zazdrości i wszystkie zgodziłyśmy się co do tego, że zazdrościłyśmy Cynthii. Zazdrościłyśmy jej szczęśliwej rodziny, szczęśliwego życia. Nigdy nie mogłabym porównywać sytuacji między moimi rodzicami do tego, co dzieje się między tobą a Cynthią. Nie to miałam na myśli. Ale powinnam była wykazać się większą wrażliwością, kiedy mówiłam o rozwodzie i dzieciach. Przepraszam, że sprawiłam ci przykrość.

Jen zarumieniła się. Powiedziała zbyt wiele, a jednak nie dość.

Erie skinął głową. Odpowiedział jej powoli, mówił ze spuszczonej oczami, jakby bał się spotkać z nią wzrokiem.

– To, co powiedziałaś, zasmuciło mnie, ponieważ małżeństwo twoich rodziców bardzo przypominało mój związek sprzed wielu lat, kiedy byłem jeszcze bardzo młody. Zanim poznałem Cynthię. To był niedobry okres w moim życiu. Byłem głupi i bezmyślny, i spowodowałem mnóstwo szkód. Właściwie oboje spowodowaliśmy mnóstwo szkód, kobieta, z którą byłem, i ja. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że nigdy nie powiedziałem o tym Cynthii. A przecież wiedziałem, że nieuczciwość to coś,

czego Cynthia nie może znieść. Nie wiem, czy ci kiedyś o tym mówiła, ale jej ojciec okłamywał matkę. Udawał, że są modelową, szczęśliwą amerykańską rodziną, podczas gdy potajemnie prowadził drugie życie, miał drugą rodzinę w Philly. Cynthia musiała sobie z tym radzić w dzieciństwie. Żyła w kłamstwie i obiecała sobie, że jej małżeństwo będzie inne, że będzie oparte na całkowitej uczciwości. Nie chciała, żeby Liza i Julie musiały radzić sobie z bólem, jaki ona znosiła. Nie chciała, by miały ojca, który kłamie i coś ukrywa. A ja się z nią zgadzałem. Wspierałem ją. I przez cały ten czas miałem swoją tajemnicę. Tajemnicę, którą nie miałem odwagi się z nią podzielić. – Jego głos brzmiał głucho, oczy były przygaszone smutkiem.

– I odkryła twoją tajemnicę? – zapytała Jen.

Pamiętała reakcję Cynthii na fragment dziennika, w którym Sylvia Plath opisuje, jak dowiedziała się, że mąż ją okłamał. „Nie mogę wybaczyć nieuczciwości”, napisała. Cynthia stanowczo popierała jej punkt widzenia. Nieuczciwość to niewybaczalny grzech.

– Nie. Nie odkryła. Nadszedł czas, kiedy musiałem wyznać prawdę. Jen, zdradziłbym ją, gdybym powiedział ci coś więcej. Uzgodniliśmy, że przejdziemy przez to bez pomocy osób trzecich. Rozumiesz to? – zapytał błagalnie.

– Rozumiem – zawahała się. – Erie, z kim byłeś dziś rano? Kim był młody człowiek, z którym cię widziałam?

– Paul – odpowiedział, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Ma na imię Paul. Ale to nie to, co myślisz, Jen.

– To bez znaczenia. Nie ma znaczenia, co myślę. – Sięgnęła po jego okruszki, rozsypała je na obrusie. – Jesteś moim przyjacielem. Moim dobrym, miłym przyjacielem. I Cynthia jest moją przyjaciółką. To dla mnie wielkie szczęście, że was mam. Zwłaszcza dzisiaj.

Z oczu Jen potoczyły się strumienie łez, a Erie czekał cierpliwie z ręką na jej dłoni, aż ból ustąpi. Wyciągnął chusteczkę, która z pewnością była prezentem od Cynthii.

– Będziesz na pogrzebie? – zapytała, kiedy wychodzili z

restauracji.

– Będę – obiecał i pochylił się, by pocałować ją w policzek, poczuła ciepło jego ust na skórze.

Pogrzeb odbył się na małym cmentarzu w New Jersey, w pobliżu ryczących wód rzeki Hudson, która była w tym tygodniu bliska wylania z powodu północnowschodnich deszczów, znaczących początek wiosny. Jen, o bladej twarzy i ciemnych loczkach ukrytych pod beretem, który Cynthia dołączyła do eleganckiej acz prostej czarnej sukienki i peleryny, stała obok lana. On miał na sobie świeżo kupioną marynarkę i spodnie w kolorze khaki, a marchewkowe włosy schował pod tweedową czapkę. Jen pomyślała, że coś w ten sposób sygnalizuje, przyznaje, iż wkracza w nowy etap życia, czas odpowiedzialności. On i Bert zorganizowali cały pogrzeb, Ian zadzwonił do krewnych Jen, których nigdy nie widział, mówił do słuchawki ściszym tonem, nawet kiedy Guy Maestrato, właściciel galerii od dawna zainteresowany jego twórczością, kuczał na podłodze ich mieszkania i przyglądał się z uznaniem nowym płótnom. Mówił o kontrakcie, ewentualnych nabywcach, o prowizjach.

Ian będzie miał indywidualną wystawę. Spotka się z krytykami i kolekcjonerami, będzie wpłacał pieniądze na konto i wypisywał czeki. Powolutku, krok po kroku, zbliżał się do tego nowego początku. Jen go dopingowała, jej rosnąca samoświadomość pozwoliła mu zdać sobie sprawę ze wszystkiego, co mógłby zrobić, wszystkiego, co musi zrobić, dla siebie, dla ich wspólnego życia. Ale ostatecznie to on tego dokonał. Obudziła się w nim duma, nowa pewność siebie.

– Pozwól, że się tobą zajmę – zwrócił się do Jen, kiedy Maestrato wyszedł. – Pozwolisz?

Bez słowa skinęła głową. Oczywiście, że mu pozwoli. A ona z kolei zajmie się nim, tak jak to robiła przez cały ten czas spędzony razem. Ale teraz będzie między nimi wzajemność, partnerstwo. Posuwali się naprzód. Spleceni w życiu, zależni od siebie, wolni od tajemnic, bez lęku przed zdradą. Nie powtórzą błędu innych. Nie rozstaną się pośród szeptów i spekulacji.

Na cmentarzu powiał zimny wiatr i Jen zadrżała, Ian ujął jej dłoń w swoją, najpierw jedną, potem drugą, rozgrzał palce.

Elizabeth i Bert stali naprzeciwko; jego ręka spoczywała na ramieniu żony. Ona miała na sobie ciemno-grafitowy kostium i białą bluzkę, on garnitur w tym samym kolorze i białą koszulę; Elizabeth trzymała za rękę Adama. Przystojny ciemnowłosy chłopiec o twarzy bez wyrazu i ciemnych oczach, szeroko otwartych ze zdziwienia, rytmicznie przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jakby regularny układ ruchów miał mu pomóc zapanować nad wszechogarniającym chaosem, który go prześladował.

Jego uczestnictwo w pogrzebie było przedmiotem licznych dyskusji. W końcu zmarła była jego babką, chociaż rzadko ją widywał, a ona właściwie się nim nie interesowała. A jednak przy sprzątanii stolika nocnego starej kobiety znaleziono w szufladzie oprawione w ramkę zdjęcie Adama za szkłem, które pokrywały odciski jej palców. Zdali sobie sprawę, że często oglądała zdjęcie wnuka, którego życiem zdawała się nie interesować. Bert pomyślał, że Adam powinien być z nimi na pogrzebie i skonsultował się z doktorem Theobaldem, a ten, ku zaskoczeniu ich wszystkich, wyraził zgodę.

– Takie wydarzenie może się przebić do jego świadomości – powiedział lekarz. – Może coś dla niego znaczyć. I, tak jak pan mówi, przecież to jego babka.

„Przebić się”. Nowe hasło – pomyślała z goryczą Elizabeth, ale kiedy ścisnęła rękę stojącego obok Adama, on odwzajemnił uścisk, a gdy Jen stanęła na palcach, by go pocałować, pochylił głowę.

– Jesteś mała – powiedział ciotce.

– Bardzo mała – zgodziła się z nim.

Nie wzdrygnął się, kiedy Ian położył swoją dużą dłoń na jego głowie.

– Jestem wujek Ian – powiedział chłopcu, który powtórzył nowe słowo, przestępując rytmicznie z nogi na nogę.

– Wujek – powiedział bez wyrazu i wbił pusty wzrok przed

siebie, podczas gdy kolejny kondukt żałobny przechodził wąską ścieżką po drugiej stronie otwartego grobu, nad którym stała ich nieliczna grupa.

Krewni, garstka dalekich kuzynów, o bladych twarzach niczym maski wykrzywione niechęcią i rozdrażnieniem, stali obok siebie. Spełnili swój obowiązek, przychodząc tutaj, i teraz ukradkiem zerkali na zegarki, szeptali cicho między sobą. Jeden starszy pan analizował rozkład jazdy pociągów. Kobieta, której zakurzony czarny kapelusz trzymał się niepewnie na siwych włosach, włożyła sobie do ust jakąś pigułkę. Dwie starsze panie, wsparte na laskach, wpatrywały się w grób. Byli to mieszkańcy domu spokojnej starości; jak powiedzieli Elizabeth i Jen, często grywali z ich matką w kanastę. Siostry wymieniły zdziwione spojrzenia. Nie wiedziały, że matka umiała grać w kanastę. Ta niewiedza dodatkowo pogłębiła ich smutek. Matka ukrywała przed nimi najmniejsze przyjemności życia.

Grupa nauczycieli ze szkoły Elizabeth skupiła się w pobliżu koleżanki, demonstrując w ten sposób zawodową solidarność. Dawni sąsiedzi podeszli i ucałowali siostry, po czym wycofali się, i stali z dala od sterty ziemi, która już wkrótce miała przysypać trumnę. Jen zastanawiała się, ilu z nich pamiętało gniewne krzyki dobiegające z ich domu. No, ale przecież matka zawsze starannie zamykała okna i zaciągała zasłony. Pozory były dla niej ważne. Objawy nienawiści nie wydostawały się z domu na zewnątrz.

Na pogrzeb przyszły wszystkie członkinie klubu książki. Cynthia i Erie przyjechali dwoma różnymi samochodami, ale teraz stali ramię w ramię. Erie przyglądał się całej scenie okiem filmowca i raz po raz odgarniał z czoła nieposłuszną jasną, gęstą czuprynę. Cynthia zebrała swoje lśniące włosy do tyłu i związała je czarną aksamitną kokardą w kolorze lamówki dobrze skrojonego czarnego kostiumu.

Rina i Ray, z Jeremym między nimi, nowo powstała rodzina, podeszli powoli do zebranych. Jeremy niósł z ogromną ostrożnością dwie białe róże. Jego obecność nie zaskoczyła przyjaciółek. To w stylu Riny, zetknąć syna z doświadczeniem

śmierci.

Trish spojrzała na Jasona i pokręciła głową. Oni nie przyprowadziliby Amandy na cmentarz, no, ale ich życie, ich wybory bardzo się różniły. Trish nie zamierzała osądzać przyjaciółek. Nie zamierzała też odebrać komórki, choć jej dzwonięcie uparcie przebijało się przez złowieszczą ciszę. Obowiązki zawodowe nie miały już nad nią pełnej władzy. Wyłączyła telefon i odwróciła się, by przywitać skinieniem głowy Donnę i Tima.

Donna i Tim bez wahania podeszli do Riny i Raya, Donna pochylała się, żeby ucałować Jeremy'ego, a Ray cmoknął ją w policzek; Tim wyciągnął klarnet z futerału.

Bardzo młody pastor wygłosił krótką mowę. Nie znał zmarłej, ale wiedział, że jej życie nie należało do szczęśliwych. Miała jednak posłuszne i opiekuńcze córki, Elizabeth i Jen (zająknął się, gdy wypowiadał imiona, które poznał tego ranka), a jej śmierć szczęśliwie była szybka i bezbolesna. I za to powinni dziękować Bogu przybyli tu dziś, by ją pożegnać. Nie mówił o miłości i ani razu nie podniósł wzroku znad notatek.

Opuszczono trumnę do grobu; na jasnym drewnie tańczyły żyłki światła słonecznego. Pastor odmówił krótką modlitwę, po czym wycofał się, kiedy żałobnicy wypowiedzieli cicho oczekiwane „Amen”.

Tim podniósł klarnet do ust. Powietrze wypełniły tremole pełnej smutku sonaty Dworzaka. Jen i Elizabeth podniosły grudki ziemi i rzuciły je na trumnę. Odwróciły się do siebie i wróciły do Adama, który ciągle wykonywał niespokojny układ ruchów. Lewa stopa. Prawa stopa. Lewa stopa. Prawa stopa. Bert i Ian wsypali do grobu po łopacie ziemi, po czym odsunęli się, by inni mogli podchodzić po kolei. Ostatnią osobą w kolejce był Jeremy, który szedł u boku Riny z białymi różami w ręku. Nagle zwrócił się do Adama i wyciągnął do niego jedną różę.

– Proszę – powiedział. – Dla twojej babci.

Adam spojrzał na niego, zawahał się, po czym przyjął różę. Razem chłopcy rzucili rozwinięte kwiaty na jasne drewniane

wieko. Delikatne białe płatki rozsypały się niczym wielkie łzy na cienkiej warstwie żyznej ciemnej ziemi pokrywającej trumnę. Adam się cofnął. Na jego policzku załśniła pojedyncza łza. Elizabeth wytarła ostrożnie twarz syna, wdzięczna za dar jego bólu.

Dźwięki klarnetu drżały na wietrze; powoli, powoli, mała grupka żałobników zbierała się do odejścia. Trish zauważyła, że Cynthia idzie obok Erica; mimo woli usłyszała jej słowa, adresowane nie do niego, wypowiedziane łagodnie i cichutko, swoista ofiara złożona na ołtarzu smutku, tak jak melodia rozchodząca się w cichym powietrzu.

– Dwoje dzieci, dwie róże.

Trish przypomniała sobie, że tak brzmi fragment wiersza *Dobroć* Sylvii Plath.

– Dwoje dzieci, dwie róże – powtórzył Erie. – My mamy dwoje dzieci, Cynthio. – W jego słowach brzmiała prośba.

Trish odwróciła się, by nie słuchać wyszeptanej przez Cynthię odpowiedzi, by nie widzieć bólu, który zapewne wykrzywił pociągłą twarz jej męża. Zauważyła jednak, że Erie odesłał swój samochód i zajął miejsce w limuzynie obok Cynthii.

Trish odwróciła się i wzięła Jasona pod ramię, zadowolona, że przykrył jej dłoń swoją, jakby chciał ocalić żonę przed uczuciem samotności, nieuniknionym przy wszelkim kontakcie ze śmiercią. Nie zamierzali wracać do pracy po pogrzebie. Planowali pójść do domu i objąć się mocno; ich ciała będą pulsować ciepłem, miłością i życiem, a oczy zamkną się na wspomnienie tych zwartych pól śmierci oznaczonych rzeźbionymi nagrobkami, symbolami pamięci.

Wiatr ustał i w promieniach nowego dziwnie wiosennego ciepła żałobnicy zdjęli ciemne okrycia wierzchnie i unieśli twarze ku słonecznej światłości. Potem szybko, zbyt szybko, wszyscy udali się do czekających samochodów.



## Rozdział dziewiąty

Słońce zalało ogromne okna biura i rozświetliło szeroką powierzchnię biurka tańczącymi cętkami. Cynthia zmarszczyła brwi i zaciągnęła rolety.

– Nie to, że nie kocham promieni słonecznych – zwróciła się przeproszającym tonem do Jen, która siedziała naprzeciwko. – Rzecz w tym, że ich widok budzi we mnie tęsknotę za latem. Zaczynam rozmyślać o plażach, rejsach i wakacjach, kiedy powinnam zbierać pomysły na jesienny katalog i organizować spotkania z handlowcami dotyczące pomysłów świątecznych.

– Co tam święta. Dzisiaj widziałam pierwszy żonkil – zaprotestowała Jen. – Jest wiosna. Dlaczego miałabyś nie myśleć o lecie?

– Pewnie dlatego, że w tym roku trudno będzie coś zaplanować. Musimy o tym porozmawiać z Erikiem. Musimy też porozmawiać o wielu innych sprawach. – W jej głosie zabrzmiał smutek.

– To czemu tego nie zrobicie? – zapytała śmiało Jen.

– To nie jest czas i miejsce, żeby o tym rozmawiać – odparła nagle zmienionym tonem Cynthia. Odsunęła swoje krzesło od biurka, jakby chciała wytworzyć między nimi dystans. – I naprawdę muszę myśleć o listopadowym katalogu.

Znasz strategię marketingową Nightingale's – myśl naprzód, planuj naprzód, bo inaczej zostaniesz daleko w tyle w tym wielkim handlowym wyścigu szczurów. – Wzruszyła ramionami i wzięła do ręki gofrowane zaproszenie z niewielkiej sterty korespondencji na jej biurku. – To o tym chciałam z tobą porozmawiać. Czy robiłaś kiedyś szkice z wybiegu na jakimś pokazie?

Wyciągnęła do Jen zaproszenie, a ona je przeczytała. Grupa młodych projektantów skrzyknęła się i będzie organizować pokaz w nowojorskim ogrodzie botanicznym. Odważne i kosztowne przedsięwzięcie, pomyślała Jen, chociaż niektóre nazwiska coś jej mówiły. Ci projektanci byli młodzi, nowi w efekciarskim świecie

mody, zaczęli zdobywać uznanie, ale mieli przed sobą jeszcze daleką drogę na szczyt. Cynthia słynęła w branży ze zdolności do wyszukiwania rodzących się talentów – podpisywała z nimi kontrakty na wyłączność dla Nightingale's.

– Nie. Nigdy nie robiłam takich szkiców. Aranżowałam kompozycje do fotografii i szczerze mówiąc, myślę, że zdjęcia najlepiej się sprawdzają w takich kampaniach promocyjnych – odparła Jen. – Na twoim miejscu wybrałabym tradycyjną sesję zdjęciową.

– To robi się nudne, a modelki przyciągają uwagę bardziej niż ubrania. Mój pomysł to swobodne, płynne rysunki. Właściwie tylko długopis i tusz. Może trochę miękkiej faktury. Sądzę, że świetnie byś się w tym sprawdziła, a dla Nightingale's byłby to powiew świeżości.

Jen wahała się. Nie chciała odrzucać zlecenia od Cynthii, która tak często wysilała się, by znaleźć dla niej jakąś pracę, ale postanowiła sobie wcześniej, że musi trochę zwolnić. Poproszono ją o dodatkowe panele do przedstawionych szkiców z *Loterii*, a Ian chciał, żeby zaprojektowała zaproszenia na jego wystawę i zajęła się opracowaniem graficznego katalogu. Potrzeba dodatkowych pieniędzy nie była też aż tak nagląca jak dotąd. Zmieniła to śmierć matki. Nie tylko że Jen odpadły opłaty za opiekę nad nią, ale w dodatku obie z Elizabeth dowiedziały się ze zdumieniem, że matka zostawiła im małą posiadłość.

– Ostatni cios na pożegnanie – orzekła Elizabeth. – Oczekiwała od nas pomocy, chociaż jej nie potrzebowała. Mimo że wiedziała, jak trudno nam zdobyć te pieniądze.

– Myślę, że chciała utrzymać z nami jakiś kontakt i to był jej sposób. Miała pewność, że będziemy musiały odwiedzać ten cholerny dom, by płacić rachunki i załatwiać różne sprawy – domyśliła się Jen. – To nieczysty chwyt, no, ale w końcu nie była z niej żadna marmisia.

– A z nas małe kobietki – przyznała Elizabeth i obie zaczęły się śmiać, bo to istotnie była śmieszna analogia.

Ale po chwili obie, tak jak pozostałe członkinie klubu, dały się

ponieść klimatowi domowej idylli stworzonej przez Alcott. Teraz, kiedy znów zanurzyły się w świat *Małych kobietek*, rodzina Marchów stała się dla nich wszystkich nowym punktem odniesienia. Ujęła ich ta opowieść o czterech siostrach, których ojciec prezentował się mężnie w mundurze wojsk Unii, a matka, nazywana przez nie marmisia, była bezinteresowną, świętą kobietą. Niezapomniany tajemny język najpiękniejszych dni przepełnionego literaturą dzieciństwa przyjaciółek, ten elegancki archaiczny styl Alcott, które niegdyś je oczarował, nagle cudownie ożył.

– Terefere – odezwała się Donna do Riny podczas jednej z ich nocnych rozmów telefonicznych.

– Przestańcie trajkotać – zwróciła uwagę swoim zdumionym córkom Cynthia.

– O mój Boże! – szepnęła do rozbawionego Jasona Trish, kiedy opowiadał jej o umowie, która nie doszła do skutku.

Przy każdym takim wyrażeniu chichotały uradowane, że odzyskały tajemny kod młodości.

– Bardzo chciałabym spróbować, Cynthio – odpowiedziała w końcu Jen. – Ale jestem teraz trochę przeciążona. I nie mam pewności, czybym sobie z tym poradziła.

– Może pozwolisz, że ja ocenię? – nalegała Cynthia. – Słuchaj, to tylko jedno popołudnie. Mogłybyśmy razem pojechać do ogrodu, a potem zjeść kolację. Już dawno nie miałyśmy okazji zwyczajnie porozmawiać.

W głosie Cynthii pojawiła się nowa nagła, niemal błagalna nuta.

Jen uświadomiła sobie, że to zlecenie to pretekst. Cynthia może chce mieć rysunki, ale naprawdę pragnie spędzić trochę czasu z Jen, potrzebuje rozmowy w zaufaniu, godziny intymności, ale ponieważ jest Cynthia, chce tego na własnych warunkach. Ona wybierze czas i miejsce takiego spotkania. Wyberze też temat rozmowy i wyznaczy granice szczerości. O czym chce pomówić – o Ericu, dzieciach, nowych możliwościach zawodowych? Jen nie miała pojęcia, ale wiedziała, że musi się zgodzić. Westchnęła.

– No dobrze – powiedziała. – Zrobię to. Posłusznie zapisała datę i godzinę w swoim terminarzu.

– Załatwię samochód – odparła Cynthia. – To przyjemna trasa. A ogród jest teraz bardzo piękny. Erie był tam z dziewczynkami w zeszłą niedzielę.

Wtrąciła imię Erica do rozmowy nieświadomie, a Jen świadomie powstrzymała się od komentarza.

– No to do zobaczenia.

Jen podniosła swoje duże skórzane portfolio. Była umówiona z Donna na kolację, ale miała jeszcze dość czasu, żeby pójść do drukarni i poszukać czegoś odpowiedniego na zaproszenia lana, dość czasu, by wpaść do księgarni i odebrać biografię Louisy May Alcott, którą zamówiła.

Kiedy zdyszana po biegu przez miasto weszła szybkim krokiem do Gino's, Donna siedziała już przy ich ulubionym stoliku w rogu.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała i postawiła portfolio na podłodze, opierając je o swoje krzesło. – Byłam na spotkaniu z Cynthia i trwało ono znacznie dłużej, niż przewidywałam.

– Myślałam, że zamierzasz trochę ograniczyć liczbę zleceń przyjmowanych od Nightingale's – odparła Donna.

– Zamierzałam. Ale zależało jej na tym, żebym przyjęła to jedno zlecenie. I chce, żebyśmy potem poszły na kolację. Minęło mnóstwo czasu, odkąd ostami raz spotkałyśmy się we dwie poza Nightingale's. Chce porozmawiać.

– I w związku z tym cię wrobiła. – Donna wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Zbliżają się przełomowe zwierzenia. Rozwiązanie tajemnicy. Koniec wszystkich naszych spekulacji. Nie mam ci za złe, że się zgodziłaś.

Jen zaśmiała się.

– Ano tak, wrobiła mnie. Chociaż mogłaś zauważyć, że w tym roku bardzo się poprawiłam w kwestii mówienia „nie”. Zgodziłam się na propozycję Cynthii, bo wydawało się to dla niej bardzo ważne i dlatego, że poniekąd chciałam się tego podjąć. Owszem, jestem ciekawa. Chyba wszystkie jesteśmy ciekawe.

– Co tam ciekawe. Mamy obsesję. Ale nie ma sprawy. Nie musisz mi się tłumaczyć. – Donna skupiła uwagę na jadłospisie, a Jen pochyliła się, chcąc ustawić swoje portfolio prosto, tak aby znalazło się miejsce na torbę z książkami.

Gdy wreszcie się wyprostowała, spojrzała na przyjaciółkę. Coś się w niej zmieniło. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, co to takiego.

– Donna, twoje włosy. Obcięłaś włosy – powiedziała ze zdziwieniem.

Wszystkie członkinie klubu wiedziały, że Donna zawsze dopasowuje fryzurę do roli, jaką akurat pełni. W szpitalu spinała włosy w kok, i był to element jej stroju, tak samo jak długi biały fartuch. Po pracy rozpuszczała je, pozwalając miękkiemu falom opaść na ramiona, przez co stawały się zmysłowym zaproszeniem, deklaracją beztroskiej wolności, jedwabistym darem dla jej kochanków.

– Podoba ci się? – Donna przeczesła palcami lśniące gęste złote warstwy otaczające jej głowę.

– Zastanawiam się.

Jen przyjrzała się uważnie twarzy przyjaciółki, zauważyła, że nowa fryzura podkreśla łagodność rysów Donny. Po raz pierwszy dostrzegła gęste złote łuki brwi przyjaciółki, jasne wywinięte rzęsy, które rzucały cień na różane policzki.

– Podoba mi się – powiedziała w końcu. – Pasuje do ciebie.

Podszedł kelner, pochylił się nad nimi. Był to młody nieśmiały Włoch, niemal nastolatek, z silnym akcentem i wzrokiem utkwionym we włosach Donny. Szybko zamówiły. Linguini, sałata, karafka chianti. Kiedy odchodził, obdarował Donnę uśmiechem.

– Cóż, naszemu kelnerowi wyraźnie podoba się twoja fryzura – stwierdziła Jen. – A co na to Tim?

Oderwała kawałek chleba czosnkowego i pomyślała, że jeszcze kilka miesięcy temu zapytałaby też o reakcję Raya. Zawsze zdumiewało ją, jak Donnie udaje się podzielić swój czas między Tima i Raya, no, ale teraz oczywiście wszystko się zmieniło.

Teraz Rina i Ray stanowią parę. Ta zmiana nastąpiła na pozór zupełnie gładko.

– Och, Tim – zaśmiała się beztrąsko Donna. – Mówi, że mu się podoba. Ale gdyby nie, to i tak nie miałyby znaczenia. Nie stanowimy dla siebie nawzajem centrum wszechświata. Nie jesteśmy jak ty i Ian.

Jen wiedziała, że to prawda. Ona i Ian w końcu stali się dla siebie centrum świata, partnerami w miłości i życiu. Jen nie czuła się już wykorzystywaną, uległą ofiarą. Dobrze się między nimi układało, a zapowiadało się, że będzie jeszcze lepiej. Uśmiechnęła się do Donny, wdzięczna, że przyjaciółka dostrzegła tę zmianę.

– Jak więc jest między tobą a Timem? – zapytała. Dotąd nie zadawała Donnie takich pytań.

– Jak zwykle między nami – odparła spokojnie Donna. – Wygodnie. Przyjemnie. Dopasowujemy się do siebie. Bez zobowiązań. Bez pytań. Bez konieczności odpowiedzi. Mój związek z Rayem mu nie przeszkadzał. Mnie nie obchodzi, czy on widuje się z innymi kobietami. Jesteśmy wolni. Nasza relacja bardzo przypomina resztę mojego życia. Wygodne. Łatwe. Wszystko zgodne ze scenariuszem. „Donna Saunders i jej fantastyczne życie”. Sitcom z jedną bohaterką. Wspaniałe mieszkanie. Dobra praca w szpitalu, która daje mi poczucie bezpieczeństwa. Wolne, kiedy chcę pojechać na wycieczkę do Europy albo wybrać się na parę tygodni na Karaiby. A więc pod tym względem też jestem wolna. Wypełniła się ostatnia wola matki. Nie tkwię w pułapce tak jak ona. Mam dobre życie, którego ona zawsze pragnęła. Czytanie to dla mnie przyjemność, a nie forma ucieczki. Jestem sobą, tak jak ona nigdy nie była. Jedyna moja odpowiedzialność to ja sama.

Głos jej się obniżył i pochyliła się do przodu konspiracyjnie.

– Ale teraz jakoś mi to nie wystarcza. Potrzebuję czegoś więcej. Wyzwania. W pracy. W życiu osobistym. Chcę zacząć wszystko od nowa – na co moja matka nigdy nie miała szansy. Może zainspirowały mnie Nafisi i teherański klub książki, Edith Wharton i pewnie nawet Cynthia. Jeśli one odmieniły swoje życie,

ja też mogę tego dokonać. Więc zrobiłam pewne plany.

– Jakież to plany?

– Wystąpiłam o grant w Narodowym Instytucie Zdrowia w Waszyngtonie. Mam pomysł na nowe podejście do diety niskowęglowodanowej w połączeniu z psychoterapią dla pacjentów z zaburzeniami odżywiania. Jeszcze nigdy tego nie próbowano. To program eksperymentalny i może nie przynieść rezultatów. A grant jest na rok bez gwarancji odnowienia, więc podjęłabym pewne ryzyko, ale przecież dla nas wszystkich był to rok podejmowania ryzykownych decyzji. A przynajmniej dokonywania zmian.

– Albo ich akceptacji – dodała Jen.

To dziwne przewartościowanie w ich życiu, wszystkie straty i zyski minionych miesięcy przyprawiły ją o zawrót głowy. Cynthia bez Erica, Rina z Rayem, ona i Ian na nowym, radośniejszym etapie związku, śmierć matki, a teraz przeprowadzka Donny: zmiana za zmianą tworzyły nieskończoną wijącą się ścieżkę. Decyzja Cynthii pchnęła je do labiryntu odkryć, wyposażyła w dziwne busole, które powiodły je w nową uczuciową przestrzeń.

– A więc przeprowadzasz się do Waszyngtonu?

– Jeśli przyznają mi grant. A myślę, że tak się stanie. Trish napisała świetną rekomendację. Paru innych lekarzy też.

– A więc Trish bez oporów godzi się na twój wyjazd?

– Pewnie nie bez oporów. Przyjaźnimy się i świetnie nam się razem pracowało. Ale ostatnio jej życie kręci się głównie wokół Jasona i Amandy. Znalazła domek letni w Berkshire i jest tym bardzo podekscytowana. To duża zmiana. Przez jakiś czas myślałam, że tonie w nudzie a la Emma Bovary czy Anna Karenina przed poznaniem Wrońskiego. Ale teraz tak nie uważam. Tak czy owak, Trish popiera moją decyzję.

Kelner postawił przed nimi talerze, napełnił kieliszki i zostawił karafkę na stole. Jen uniosła kieliszek.

– Za ciebie i twoje nowe życie. Stuknęły się.

– Za ciebie i lana. Za jego wystawę. Za naszą przyjaźń.

Waszyngton to nie koniec świata. Częste loty. Pociągi ekspresowe. Będę wpadać.

– Zgramy spotkania klubu z twoimi wizytami w Nowym Jorku – obiecała lekkomyślnie Jen. – Może kiedyś wszystkie przyjedziemy do Waszyngtonu. Weekendowy maraton. Omówimy dwie, trzy książki. Obejrzymy jakiś film. Urządzimy kolejną kolację z *Anną Kareniną*. Jak powiedziała Jo na weselu Meg, „Niech żyje twoje postanowienie”. Wypijmy za to.

– Cokolwiek to znaczy – odrzekła Donna i pociągnęła łyk wina. – Jen, muszę ci się przyznać, że nasze małe kobietki wydają mi się trochę nieznośne – cała ta cholerna świętoszkowatość i ofiarność.

– Och, nie mów tak, Donno. To profanacja! – Jen zachichotała i dołała do kieliszków. – Ale masz rację. I mogę się założyć, że Cynthia rozpocznie dyskusję od pytania, którą z sióstr March chciałybyśmy być.

– Znacznie mniej pobudzające niż wyznania zazdrości – powiedziała Donna. – Możesz ją o to zapytać podczas kolacji. Chociaż raczej nie o tym chce z tobą rozmawiać.

– Nie sędzę, żeby miała dokładny plan – odparła wymijająco Jen. Nie chciała rozmawiać o Cynthii. Nie chciała myśleć o Cynthii i Ericu. W nocy, gdy leżała obok lana, a jego ręka spoczywała na jej głowie, przypominała sobie smutek w oczach Erica, napięcie w głosie Cynthii. Ich nieszczęście przygasiło blask jej nowo zrodzonej radości.

Znów napełniła kieliszki i zapytała Donnę, co sądzi o ilustracjach Smith w jubileuszowym wydaniu *Małych kobietek* na stulecie ich powstania. Bo Cynthia chyba planuje umieścić podobne w stylu rysunki w letnim katalogu.

– To niezbyt dobry pomysł – stwierdziła Donna. – Louisa May Alcott jest trochę za bardzo retro dla dzisiejszych fanek mody. Nie wydaje mi się, żeby te bohaterki zrozumiał ktoś prócz sentymentalnych czytelniczek jak my teraz, a nawet mnie zaczynają one męczyć.

– Dotarłaś już do śmierci Beth? – zapytała Jen.

– Jeszcze nie.



– Popłaczesz się. Mimo irytacji, jaką budzą w tobie siostry March, będziesz płakać. Wszystkie wyrafinowane damy jak my wypłakiwały sobie oczy podczas przedstawienia na Broadwayu jakiś czas temu.

– Pewnie będę – zgodziła się Donna. – Zamierzam trzymać pod ręką pudełko chusteczek.

Uśmiechnęły się do siebie i, jako że opróżniły już kieliszki, zamówiły anyżówkę. Przystojny kelner powiedział im, że ten drink jest gratisowy. Jen zauważyła, że kiedy stawiał tacę na stoliku, musnął ręką włosy Donny.

Zielony aksamitny dywan na prowizorycznym wybiegu ustawionym w centrum ogrodu botanicznego otaczały skrzynki z żonkilami, których główki chwiały się na delikatnym letnim wietrze. Każda modelka przechodząca po wybiegu nachylała się i brała jeden kwiatek. Gibka blondynka w luźnej szyfonowej sukni w kolorze mięty, przypominającej morską pianę, podniosła kwiatek do nosa i zaciągnęła się jego aromatem. Bardzo wysoka Afroamerykanka o gęstych szaroczarnych włosach wetknęła swój w plisowany przód jedwabnej sukni w kolorze fuksji. Azjatycka modelka w żółtym spodniemie przeplotła go przez lśniące pasma swoich ciemnych włosów. Jen, której ręka uzbrojona w węgielek poruszała się szybko po kartach szkicownika, uwzględniła kwiatek w każdym szkicu. Pomyślała, że to sprytny pomysł. Przydawał pewnej spójności niezwykle różnorodnym stylom prezentowanych kolekcji.

Siedząca obok niej Cynthia robiła notatki w swoim małym, eleganckim, obitym materiałem dzienniczku i analizowała każdy rysunek. Jej spojrzenie zza ciemnych okularów bez oprawek było obojętne, ale kiwała głową z uznaniem.

Młodzi projektanci, zbici w grupie na tyłach wybiegu, patrzyli nerwowo na nią oraz innych ewentualnych nabywców i szefów promocji, których zaprosili. Trzymali materiały prasowe, przystrojone żonkilami, i rozdawali je podchodzącym do nich dziennikarzom. Jen wiedziała, że to dla nich decydujący pokaz i w

przytłumie współczucia dodała trochę miękkiego wdzięku fałdom spódnicy, która właściwie jej się nie podobała.

Było późne popołudnie, kiedy ostatnia modelka przeszła po wybiegu. Kasztanowowłosa piękność w miedzianej sukience ciężowej wykonała na podium piruet, zebrala obfite fałdy spódnicy i dygnęła szykownie. Aplauz, z jakim spotkał się ten pożegnalny gest, wyrażał jednocześnie podziw i ulgę. Dzień okazał się nietypowo jak na tę porę roku ciepły, a w tej części ogrodu nie było ani skrawka cienia. Programów zaczęto używać jako wachlarzy, butelki z wodą ukradkiem opróżniono.

Pokaz okazał się sukcesem. Złożono zamówienia, zadano pytania, ale publiczność cieszyła się, że to już koniec. Cynthia, jak zawsze poprawna i pełna wdzięku, przyjęła kieliszek szampana, którego nie wypila. Podeszła do projektantów, by im pogratulować. Jen została z tyłu i wrzuciła szkicownik do swojej wielkiej plecionej torby na ramię.

– Patrz, to Cynthia Anders – powiedziała młoda kobieta, która zbierała porzucone materiały prasowe, do drugiej, niosącej formularze zamówień. Jen wiedziała, że to asystentki z administracji, zniecierpliwione służalczymi obowiązkami w pierwszej pracy, gotowe, by wspiąć się na pierwsze szczeble drabiny zawodowej, po której w końcu dotrą do gabinetu z dużymi oknami, jak gabinet Cynthii.

– Byłam razem z nią na rozmowie kwalifikacyjnej po ukończeniu college'u. Ona dostała wymarzoną pracę – odparła druga kobieta.

– Wymarzone życie.

Sterna materiałów prasowych wysunęła jej się z rąk. Dziewczyna zaklęła cicho i pochyliła się, żeby je podnieść, wciąż myśląc o Cynthii.

– Boże, jak ja jej zazdroszczę.

Nie zazdrość, chciała powiedzieć Jen. Życie Cynthii Anders nie jest godne pozazdroszczenia. Twoja bohaterka leży w łóżku w bezsenne noce, za jedyne towarzystwo mając książki. I płacze, gdy je czyta.

Ale milczała i patrzyła, jak Cynthia gawędzi z przedstawicielem Bergdorts, a następnie przesuwa się, by uścisnąć rękę chudego jak trzcina młodego mężczyzny w wyblakłych dżinsach, którego burza ciemnych włosów zdawała się stać pionowo. To on zaprojektował miedzianą sukienkę i Jen wiedziała, że Cynthia postawiła przy jego nazwisku dużą gwiazdkę. W najbliższych tygodniach zje z nim lunch, przejrzy jego portfolio i podpisze z nim kontrakt na wyłączność, ale na nieszczerze korzystnych dla niego warunkach. To była jej metoda, tajemnica zawodowego sukcesu.

W końcu Cynthia była gotowa do wyjścia i przyjaciółki wślizgnęły się do limuzyny Nightingale's.

– City Island – powiedziała kierowcy Cynthia i oparła się wygodnie. – Czuję się tak, jakbym poszła na wagary – zwróciła się do Jen. – City Island w środku tygodnia, kiedy moje biurko jest zavalone stertą papierów, a w domu czeka Mae, by ponarzekać na wszelkiego rodzaju domowe pierdoły. Ale co tam! – uśmiechnęła się szelmowsko.

– A dziewczynki? Nie masz wyrzutów sumienia, że nie jesz z nimi?

Jen wiedziała, że Cynthia stara się spędzać z dziećmi jak najwięcej czasu.

– Erie odebrał je dziś ze szkoły. Zjedzą z nim.

Jej uśmiech zgasł, gdy wspomniała imię męża, i nie odzywała się podczas drogi na wyspę.

Dopiero kiedy weszły do restauracji i usiadły przy stoliku pod oknem z widokiem na spokojne wody Sound, znowu się odprężyła.

– Dobry pokaz, moim zdaniem – powiedziała. – I podobały mi się twoje rysunki. Moje przeczucie, że szkice sprawdzą się lepiej niż zdjęcia, okazało się słuszne.

– Twoje przeczucia zazwyczaj okazują się słuszne – odparła Jen.

– Wyjąwszy sytuacje, kiedy są zupełnie błędne.

Cynthia zaśmiała się nerwowo, wyciągnęła telefon, sprawdziła,

czy ma jakieś wiadomości, i wrzuciła go z powrotem do torebki.

Podszedł do nich kelner. Jen zamówiła kieliszek chablis i czekała, aż Cynthia zamówi jak zwykle czerwone wino.

– Ja poproszę wodę mineralną – powiedziała Cynthia, a Jen, która właśnie smarowała bułkę masłem, uniosła brwi ze zdziwienia.

– Nie wino? – zapytała. – Daj spokój. Picie wody to żadna zabawa.

– Ale kobiety w ciąży nie powinny pić alkoholu.

Nóż Jen uderzył o stół, a ona wpatrywała się w przyjaciółkę z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem, Cynthio – wydukała w końcu z trudem.

– Nie jestem pewna, czy ja rozumiem, no, ale widzisz – odparła spokojnie Cynthia. – Będę miała dziecko. Bocian nie kłamie. Ani trzy testy ciążowe. Jestem bardzo zdecydowana w ciąży, jak by powiedziała nasza przyjaciółka Louisa May.

– Ale kto... ? – Policzki Jen zapłonęły. Cynthia utkwiała w niej wzrok.

– Chcesz wiedzieć, kto jest ojcem dziecka? Wiesz przecież, że wciąż jestem mężatką. Któż inny mógłby to być jak nie Erie? – zapytała spokojnie, z cieniem rozbawienia w głosie.

Jen, zaskoczona, spuściła oczy. Zdziwiła ją pewność dłoni przyjaciółki, gdy podniosła menu, uwaga, z jaką wysłuchiwała listy specjalności dnia, wyrecytowanej przez kelnera, który wrócił z napojami.

Złożyły zamówienie. Dla Cynthii dorsz. Jen zastanawiała się, czy ciężarne kobiety powinny unikać skorupiaków. Złośliwie zdecydowała się na homara, a potem, w wirze zamieszania, zmieniła zdanie i poprosiła o stępiela. To zresztą bez znaczenia, bo i tak nie odróżni smaku.

– Erie – powtórzyła Jen i pociągnęła mocny łyk wina.

– Jesteś zaskoczona? – zapytała przekornie Cynthia.

– Jestem – przyznała Jen. – Nawet więcej niż zaskoczona. Pomyślała o Ericu obejmującym młodego mężczyznę o imieniu Paul, z pewnością tego samego, którego Trish i Jason widzieli z

nim w sobotni wieczór w kafejce w Village. Pamiętała smutek, łagodny żal w oczach Erica. Zawahała się, ale coś jednak musiała Cynthii powiedzieć. Milczenie oznaczałoby zdradę, pewnego rodzaju nieuczciwość, a Cynthia, podobnie jak Sylvia Plath, nie toleruje nieuczciwości. Znów pociągnęła długi łyk wina i pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę, by dotknąć dłoni przyjaciółki, zanim zaczęła mówić. Chciała złagodzić cios, który padnie z jej słowami.

– Dzień po śmierci mojej matki Erie zaprosił mnie na lunch. Byliśmy w Bryant Grill. Był bardzo miły. Chciał mnie pocieszyć i wesprzeć – wyszeptała.

– Wiem – powiedziała Cynthia. – Mówił mi. Cieszyłam się, że to zrobił. To trudne, gdy traci się rodzica, ale jeszcze trudniejsze, jeśli to rodzic, z którym się nie pojednałaś. Wiem, co to dla ciebie znaczy, bo ja byłam zła na ojca, kiedy zmarł. Właściwie to ciągle jestem na niego zła. Co utrudnia mi opłakiwanie go, nawet po tych wszystkich latach. Więc cieszyłam się, że Erie chciał ci pomóc.

– Pomógł. Był, zawsze jest, taki łagodny, pełen zrozumienia. – Jen zawahała się. – Ale chciałam ci coś opowiedzieć. Przyszłam na spotkanie za wcześnie. Erie siedział na tarasie.

Zamilkła, zwinęła serwetkę, ogarnięta nową falą niepewności. Po chwili zebrała siły i ciągnęła.

– Nie był sam.

– Ach tak?

– Siedział z kimś. Z bardzo młodym mężczyzną. Cynthia skinęła głową.

– Z Paulem. – Wypowiedziała to imię cicho. Nie było jej obce.

– Wydawało mi się, że są ze sobą bardzo blisko, Erie i Paul.

Jen zamknęła oczy, przypomniawszy sobie panikę, w jaką popadła na ich widok, na widok ich uścisku, niepokoju, jakiego doznała, patrząc, jak Erie daje Paulowi pieniądze, własną niechęć przed zapytaniem go o to.

– Było mi przykro, że ich zobaczyłam – powiedziała żalonym głosem. – Wolałabym nie wiedzieć, nie myśleć o tym widoku.

– Jen, czy ty myślałaś, że Erie i Paul są kochankami? Myślałaś,

że Erie jest gejem?

W głosie Cynthii brzmiało niedowierzanie. Policzki jej się zarumieniły. Odstawiła szklanę i uśmiechnęła się z roztargnieniem do kelnera, który ustawiał talerze na ich stoliku i posypywał sałatę pieprzem, o co żadna nie prosiła.

– To szaleństwo. Pomyślałaś tak, mimo że znasz Erica, znasz nas oboje od tak wielu lat?

– Tak. Tak pomyślałam – przyznała Jen.

– Erie rzecz jasna nie jest gejem. Paul to jego syn, dziecko, o którym nie wiedziałam. – Teraz w jej głosie nie było rozbawienia, jedynie bezbarwny smutek, zbyt głęboko chowany przez zbyt długi czas.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiałam. Nie tylko na początku. Nawet teraz, po tylu miesiącach nie rozumiem. Chociaż właściwie to wcale nie takie skomplikowane. Kiedy Erie był bardzo młody, jeszcze w czasach studenckich, związał się z koleżanką z roku. Właściwie to był romans. Miała na imię Judy. Studiowali razem film. Zakochali się, a potem przestali się kochać. Powiedział mi, że byli jeszcze dziećmi, jakby to miało coś tłumaczyć – zaśmiała się gorzko. – Rozstali się, ale po kilku miesiącach ona do niego zadzwoniła. Była w ciąży i zamierzała urodzić dziecko. To dziecko to Paul. Erie utrzymywał ją, utrzymywał syna, choć Judy nie chciała jego uczestnictwa w życiu ani swoim, ani Paula. Nie miała nic przeciwko temu, by się od czasu do czasu widywali. Wszystko, jak widać, układało się dobrze. Judy przeprowadziła się z synem na wybrzeże i Erie spotykał się z nimi, kiedy jeździł do Kalifornii. Ja oczywiście nie wiedziałam w ogóle o ich istnieniu. W końcu Judy wyszła za mąż, a nowy partner adoptował Paula. Nie mieli wspólnych dzieci, a Ericowi nie przeszkadzała ta adopcja; wciąż pozostawał z nimi w bliskim kontakcie – a przynajmniej tak bliskim, jak to możliwe, biorąc pod uwagę okoliczności. Paul wiedział, że Erie to jego biologiczny ojciec, i nie miał z tym problemu. Przynajmniej tak teraz twierdzi Erie. Był dzieciakiem z Kalifornii i przypuszczam, że wielu jego kolegów mogłoby

opowiedzieć o swoim życiu znacznie dziwniejsze historie. Mąż Judy wiedział wszystko i znał Erica, ale ja nie miałam pojęcia ani o niej, ani o Paulu. Drobne niedopatrzenie – napiła się wody i wyjrzała przez wielkie okno na port, gdzie po dokach dryfował słup z jaskrawymi żaglami, po czym mówiła dalej, a jej głos stawał się coraz cichszy i cichszy. – Erie stwierdził, że nie powiedział mi o tym, ponieważ uważał, że sobie z tym nie poradzę, a istnienie Paula i tak nigdy nie będzie miało wpływu na nasze życie. Po prostu dbał o moje uczucia. Miał mnóstwo wyjaśnień, dlaczego milczał. Nie chciał, żebym myślała o nim z inną kobietą, i naprawdę wierzył, że zapewne nigdy się o tym nie dowiem. I może miałby rację. Ale ubiegłej jesieni, tuż przed powakacyjnym spotkaniem naszego klubu, Judy i jej mąż zginęli w wypadku samochodowym i Paul przyjechał na wschód. Dwudziestoletni chłopak, właściwie jeszcze dziecko, nagle został zupełnie sam. Jedyne rodzice, krewni, jakiego miał, to Erie. Potrzebował ojca, bliskiej i intymnej więzi. Przeniósł się z uniwersytetu w Los Angeles na uniwersytet w Nowym Jorku, a Erie zorganizował mu mieszkanie studenckie. Ale Paul potrzebował rodziny. Miał stać się częścią życia codziennego Erica. Co oznaczało, że Erie musiał mi o nim powiedzieć.

– A więc to dlatego... – Zszokowany głos Jen zamarł w pół zdania.

– Dlatego zażądałam, żeby Erie odszedł – ciągnęła Cynthia tym samym monotonnym głosem. – Czułam się zdradzona. To tak, jakby całe nasze małżeństwo było kłamstwem. Nie chodziło o to, że miałam coś przeciwko samemu Paulowi. Nie znałam go, ale już świadomość jego samotności rodziła we mnie współczucie. Naprawdę zabolowało mnie, zraniło to, że Erie nic mi o tym nie powiedział. Przez te wszystkie lata naszego małżeństwa miał ukryte życie, tak samo jak mój ojciec. Erie robił mi to, co ojciec zrobił matce. Oszukiwał nas. Liza i Julie mają przyrodniego brata, o którym nic nie wiedziały, którego nie znają. Nie mogłam wybaczyć mu tego, że oszukiwał mnie, oszukiwał nasze córki. Erie wziął nasze uporządkowane życie, nasze piękne życie i bez

żadnego ostrzeżenia wrzucił je w wir chaosu. Byłam wściekła. Wściekła, rozczarowana i zraniona. Po tych wszystkich wspólnych latach okazało się, że on nie zna mnie, a ja nie znam jego. Nie mogłam dzielić łóżka z nieznajomym. Nie chciałam, żeby nieznajomy przebywał z naszymi córkami, był częścią ich życia.

Jej zielone oczy lśniły od nieuronionych łez.

– Och, Jen, nie wiem, co robić. Co powinnam zrobić?

Jej głos, zawsze tak władczy, przybrał teraz ton błagalny. Jen ścisnęło się serce, kiedy starała się ogarnąć myślą wszystko, co usłyszała od przyjaciółki.

– Ale jesteś w ciąży – odezwała się w końcu. – Jak do tego doszło? Kiedy? Po tym wszystkim, co powiedziałaś, co czułaś? Skoro nie możesz mu wybaczyć, skoro czujesz się tak zdradzona?

Jej głos drżał z zakłopotania. Wyznanie Cynthii ją przytłoczyło, wypełniło serce współczuciem i zamętem.

– Kiedy? Po pogrzebie twojej matki. Odjechaliśmy wtedy razem. Oboje czuliśmy się tak zagubieni, samotni. Śmierć, świadomość skończoności ludzkiego życia wywołuje coś takiego. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale każde zetknięcie ze śmiercią – pogrzeb, nekrolog kogoś znajomego – budzi we mnie apetyt na życie. Rozmawialiśmy o tym kiedyś z Edkiem, o tym, że zawsze kiedy wracaliśmy razem z pogrzebu, kochaliśmy się. Potwierdzaliśmy w ten sposób własne istnienie, naszą żywotność. Seks i śmierć. Jedno równoważy drugie. Kiedy na pogrzebie Tim zaczął grać na klarncie, spojrzeliśmy na siebie, tak jakby połączyła nas ta jedna myśl. Nie rozmawialiśmy w drodze powrotnej z cmentarza. Po prostu byliśmy ze sobą, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Razem, pogrążeni w słodkiej, smutnej ciszy. Trzymaliśmy się za ręce w samochodzie podczas jazdy do miasta. Nie myślałam o tym życiu, które przede mną ukrywał. Nie czułam między nami cienia Paula. Cieszyłam się, że jestem z Erikiem. Poszliśmy do jego mieszkania, do tej okropnej małej kawalerki, i kochaliśmy się. Wydawało mi się, że czuję zapach jego samotności. Boże, było mi tak żal jego, siebie,



naszych dziewczynek, nawet Paula. Ale pewnie czułam też jakąś radość. Byliśmy razem. Zetknęliśmy się ze śmiercią, ale żyliśmy. Kochałam go tego ranka. Myślę, że kochałam go bardziej niż kiedykolwiek przedtem – zamilkła. Jen skinęła głową.

– Chyba to rozumiem – powiedziała.

Wyobraziła sobie, jak idą do jego mieszkania, ręka w rękę, zrzucając z siebie ciemne stroje żałobników, a ich nagie ciała tętnią życiem. Seks – nie, nie tylko seks, miłość – miłość zatriumfowała nad śmiercią.

– To tyle. Kilka godzin. A potem...

– Potem dowiedziałaś się, że będziesz miała dziecko.

– Tak. To jedyna rzecz, jakiej jestem pewna. Urodzę to dziecko. – Cynthia uniosła brodę i uśmiechnęła się buntowniczo. – To jedyny pewnik w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy.

– Czy Erie wie?

– Nie. Jeszcze nie. Potrzebuję czasu. Nie wiem, czy potrafię mu wybaczyć. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie znowu mu zaufać. Czuję się tak, jakbym utknęła na emocjonalnej huśtawce. Lecę w górę i myślę, że wszystko będzie dobrze, że jakoś sobie poradzimy i będziemy żyć długo i szczęśliwie. A potem nagle zaczynam znowu spadać i dochodzę do wniosku, że nie mogę żyć z mężczyzną, który oszukał mnie w taki sposób. Nie chcę takiego życia, jakie miała matka. Chcę tego, co przez te wszystkie lata spędzone razem uważałam za moje.

– Ale to nie jest tak, jak było z twoją matką – zaprotestowała Jen. – To nie było trwające oszustwo.

– Paul ma dwadzieścia lat. Jesteśmy małżeństwem od czternastu lat. Tak więc oszustwo trwało przez te wszystkie lata. Czy ja mogę z tym żyć? Czy ty byś potrafiła?

– Myślę, że tak – odpowiedziała z wahaniem Jen. – Wszystko jest względne. Przez ostatnie kilka miesięcy tworzyłam coś w rodzaju rejestru plusów i minusów związku z Ianem. Taki głupi bilans. To, co musi się zmienić, to, z czym mogę sobie poradzić. Wady Iana. Moje wady. Jak ja mogłabym się zmienić, w jaki sposób mógłby się zmienić on. Jego wina. Moja wina.

– Niezły pomysł – stwierdziła smutno Cynthia.

– No dobrze. Zobaczmy w takim razie, czy to sprawdzi się u ciebie, czy uda nam się włączyć to, co zrobił Erie, do mojej szalonej uczuciowej księgowości. Myślę, że jego postępek znalazłby się gdzieś w szarej strefie. Erie był odpowiedzialny za syna. Wspierał go i utrzymywał z nim kontakt. Jednocześnie kochał cię i chciał ci oszczędzić wszelkiego bólu. Nie chciał, byś cierpiała z powodu czegoś, co wydarzyło się wiele lat przedtem, nim się spotkaliście. Więc nie powiedział ci nic na początku waszego związku. Wolał nie ryzykować, że cię tym odstraszy. Potem, już po ślubie, zdał sobie sprawę, jak podchodzisz do nieuczciwości, oszustwa, więc bał się wyznać prawdę. A pewnie im dłużej zwlekał, tym trudniejsze stawało się to zadanie. Jestem pewna, że przez cały ten czas myślał, że cię chroni. Nie chciał narażać waszego małżeństwa. Nie mógł przewidzieć, że Paul przyjedzie na wschód, że będzie musiał wejść w wasze życie. Och, Cynthio, nie możesz tego zaakceptować, nie możesz mu wybaczyć?

– Nie wiem. Cały czas o tym myślę. Niekiedy wydaje mi się, że mogę, innym razem, że nie. Huśtawka buja się w górę i w dół. W górę i w dół. Jen, proszę, nie mów o tym nikomu. – Głos Cynthii się załamał.

– Oczywiście, że nikomu nie powiem. Ani Ericowi. Ani Ianowi. Ani nikomu z klubu. Wszystko się ułoży, Cynthio.

– Jesteś pewna? – Głos Cynthii zabrzmiał błagalnie, niemal dziecinnie.

– Jestem pewna. – Odpowiedź Jen była stanowcza, chociaż ręce jej drżały, a serce biło za szybko.

Potem siedziały bez ruchu i patrzyły, jak czerwonozłote słońce tonie powoli w kobaltowej wodzie, a jego gasnący blask tworzy na spienionych drobnych falach tańczące promieniste obwódki.

## Rozdział dziesiąty

Koreański kwiaciarz na rogu przy domu Cynthii rozłożył tulipany w dużych ceramicznych pojemnikach otaczających jego sklep. Pąki młode i w pełnym rozkwicie, w odcieniach czerwieni i żółci, różu i bladego oranżu, te pełne wdzięku kwiaty o długich łodygach kołysały się na łagodnym wieczornym wietrze. Trish przystanąła i przyjrzała się im. Wahala się między różowymi tulipanami a różowożółtym bukietem z dodatkiem łyszczycy.

– Wiesz przecież, że Cynthia będzie miała kwiaty. Ona zawsze ma kwiaty. Pamiętasz, że na jesienne spotkanie przyniosłaś te piękne cynie, a na stole stał już oczywiście wazon z astrami.

Trish odwróciła się i uśmiechnęła do Jen, która podeszła do niej i teraz stała obok z dwiema doniczkami pędzonych narcyzów w rękach.

– Nie mogłam się im oprzeć – wyjaśniła Jen. – Są dla dziewczynek – dodała – do ich sypialni.

Pomyślała, że to będą jakby przeprosiny. Nie mogła dać Lizie i Julie odpowiedzi na trapiące je pytanie, które jej zadały. Nie do niej należy tłumaczenie, dlaczego ich ojciec nie mieszka już z nimi w domu, ale jest w stanie ofiarować im kwiaty o złocistym sercu, których woń być może przeniknie do ich snów i przyniesie ukojenie.

– Wiem, że Cynthia będzie miała kwiaty. Ale i tak kupię jej te tulipany. Kwiatów nigdy za wiele, jak by powiedziała Louisa May – usprawiedliwiła się Trish. – Pamiętasz, jak Meg wytłumaczyła, dlaczego stary pan Lawrence, sąsiad Marchów, wciąż przysyła im kwiaty: „... bo mają ich mnóstwo, a my je bardzo lubimy” – powiedziała udawanym falsetem. – Prawdę mówiąc, pod koniec książki miałam trochę dosyć sióstr March i ich kwiatów. Wszystkie te delikatne bukietki, jakie siostry bez przerwy układały dla siebie nawzajem – ble!

Trish się skrzywiła i zaczęła dobierać tulipany, tylko te rozwinięte.

– W twoim bukiecie nie ma nic delikatnego – stwierdziła Jen. – Powiedziałabym, że jest raczej zmysłowy.

– Rzeczywiście są dość seksowne. To dlatego, że jest wiosna. Miałam dziś pacjentkę, która postanowiła mi zreferować bardzo długi sen erotyczny. Zamiast waginy miała ogromną różę, a jej płatki rozchylały się, by przyjąć grubą gałąź w kształcie członka, całkowicie pokrytą mchem. Cieszyłam się, że godzina minęła, zanim zdążyła opowiedzieć resztę – zaśmiała się, a Jen się uśmiechnęła.

– Prawdziwie freudowskie. Nasze małe kobietki byłyby zszokowane, no, ale przecież w czasach Alcott Freuda nie było nawet na horyzoncie – zauważyła Jen, podczas gdy żona sklepikarza wzięła wybrane przez Trish kwiaty i owinęła je szeleszczącym białym papierem. – A szkoda. Jej rodzinie zdecydowanie przydałaby się terapia. Czytałaś jej biografię, Trish?

– Tak. To dopiero dysfunkcyjne towarzystwo. Każde z nich nadawało się do intensywnego leczenia. Ojciec, matka, siostry i zapewne sama Louisa, która myślała, że może uczynić świat lepszym. Patologia goni patologię! Cieszę się, że kiedy byłam dzieckiem, nie wiedziałam nic o życiu Alcott. Zazdrościłam dziewczynkom z rodziny Marchów tego, że darzyły się nawzajem nie tylko siostrzaną miłością, ale i przyjaźnią. Udawałam, że ich dom jest moim domem. Moja rodzina uważała mnie za przybysza z kosmosu, dziwaczną dziewczynkę, która czyta książki, dostaje świetne oceny, i wpadła na szalony pomysł, że może zostać lekarzem. Jakby zamieszkał wśród nich E. T. Nie umieliśmy się porozumieć i nadal nie umiemy. A szkoda, bo to znaczy, że Amanda właściwie nie ma rodziny poza mną i Jasonem. Ale mogłoby być gorzej. Znacznie gorzej.

Trish uśmiechnęła się smutno i pochyliła głowę nad kwiatami, wdychając zapach ziemi.

Jen zauważyła, że dawniej Trish mówiła o swojej odległej rodzinie, samotnym dzieciństwie z goryczą graniczącą z gniewem. A teraz ta gorycz zniknęła, w jej miejsce pojawiły się żal i smutek.

Już nie tkwiła myślami w przeszłości. Teraz interesowała ją przyszłość, przyszłość i terażniejszość. W jej małżeństwie również pojawiła się nowa energia; niemal wymuszona bliskość między Trish a Jasonem w tajemniczy sposób przerodziła się w spontaniczność. Śmiech przychodził im łatwo, rozmawiali z podnieceniem o ich nowym domu w Berkshire, gdzie zamierzali powiesić duży pejzaż nocny, zakupiony w Maestrato Gallery jeszcze przed otwarciem wystawy lana. Czyżby wyznaczenie Cynthii pobudziło Trish, tak jak Jen, do nowego spojrzenia na własny związek? Jen była ciekawa, ale postanowiła nie pytać. Skierowała rozmowę z powrotem na siostry Alcott, jak zwykle wycofała się do bezpiecznej krainy książek i autorów.

– A mnie – powiedziała, gdy wchodziły po schodach prowadzących do domu Cynthii – mnie wiedza o napięciach w rodzinie Alcottów chyba podniosłaby na duchu. Odczułabym ulgę, gdybym wiedziała, że my nie mamy monopolu na cierpienie, że inne rodziny borykają się z własnymi problemami, że nie wszyscy zbierają się radośnie przy stole w jadalni jak siostry March i odmawiają modlitwę, trzymając się za ręce. Podobałaby mi się seria książek o nieszczęśliwych rodzinach. To by do mnie przemawiało.

– Nieszczęśliwe rodziny. Sztandarowy motyw powieści Tołstoja. Przypomnij sobie pierwsze druzgoczące zdanie *Anny Kareniny* – „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”, zacytowała Trish, unosząc ciężką mosiężną kołatkę. – Posprzeczałyśmy się o to, pamiętasz? Tego pierwszego wieczoru.

– Czy naprawdę minął już prawie rok, od kiedy czytałyśmy *Annę Kareninę*? – zapytała Jen.

– Ano tak. Jesień, zima i wiosna. Wydaje się, że to było jeszcze dawniej, jeśli spojrzeć przez pryzmat tych naszych wspólnych kolacji, przeczytanych książek, wszystkiego, co nam się przydarzyło – odparła Trish, a tymczasem drzwi się otworzyły i posępna Mae bez słowa wpuściła je do środka.

– Świetny dres, Mae. I wspaniałe tenisówki – powiedziała

radośnie Jen.

Mae skinęła głową i poprawiła kołnierzyk swojej bluzy w kolorze fuksji. Jen zauważyła, że nawet skarpetki ma w tym samym odcieniu. Namierzenie skarpetek i butów w tym kolorze musiało stanowić wyzwanie nawet dla Cynthii, pomimo całego jej handlowego geniuszu.

– Czy wszystkie już są? – zapytała.

– Są w salonie – odparła krótko Mae. – Wezmę kwiaty.

– Właściwie to wołałybyśmy osobiście dać je Cynthii i dziewczynkom – powiedziała Trish.

– Jak chcecie – wzruszyła ramionami Mae.

Elizabeth i Donna, z kieliszkami białego wina w rękach, siedziały obok siebie na kanapie naprzeciw Cynthii, która znów zajmowała głęboki skórzany fotel. Liza i Julie przysiadły na oparciach; ich jasne włosy były związane gumkami pod kolor piżam, jasnozielona u Julie, żółta u Lizy. Cynthia miała na sobie powłóczystą jedwabną suknię w lśniących odcieniach zieleni i żółci. Jen przypomniała sobie, że widziała tę kreację na wybiegu, dzieło obiecującego młodego azjatyckiego projektanta. Zrobiła jej rysunek piórkiem, a potem domalowała kolory pędzlem. Jen przyszła do głowy złośliwa myśl, że Cynthia kupiła ją, by wraz z córkami stworzyć ten doskonale harmonijny pod względem barw obraz. Szybko odsunęła ją od siebie. Zdała sobie sprawę, że Cynthia wybrała ją, ponieważ układa się w luźne, eleganckie fale, idealne na pierwsze miesiące jeszcze skrywanej ciąży. Zastanawiała się, czy przyjaciółka kupiła też połyskującą sukienkę ciążową w kolorze miedzi.

– Wyglądasz naprawdę olśniewająco, Cynthio – stwierdziła Trish. Wyciągnęła rękę z tulipanami i zauważyła, bez zdziwienia, że w każdym wazonie w pokoju stoi wielki bukiet forsycji, a miedziane urny przy kominku wypełnione są długimi baziami. Ale tulipanów nie ma, pomyślała z satysfakcją.

Cynthia uśmiechnęła się. Jej skóra promieniowała delikatnym blaskiem, a oczy jasno błyszczały, kiedy podeszła z wdziękiem baletnicy, by przyjąć kwiaty.

– Och, Trish, są przepiękne.

Powąchała je, po czym podała Mae, która bezszelestnie podkradła się do nich od tyłu, z wazonem już wypełnionym wodą.

Jen dała narcyzy bliźniaczkom, a te zarumieniły się, gdy je przyjmowały.

– Kocham kwiaty – oświadczyła Liza. – Mamusia mówi, że w domu, gdzie jedziemy tego lata, jest duży ogród. Będę tam sadzić mnóstwo cebulek i patrzeć, jak rosną.

– Głuptas z ciebie – powiedziała Julie. – Cebulki trzeba zasadzić jesienią, a my pojedziemy na wieś dopiero latem.

– Niektóre można sadzić później – zapewniła Lizę Jen. – W lipcu. Nawet w sierpniu.

Nie zapytała, gdzie jest ten wiejski domek, i kto będzie do niego jechał. Elizabeth i Donna też milczały. Nie zamierzały wkraczać na terytorium, które Cynthia odgrodziła swoim milczeniem.

– Riny jeszcze nie ma? – zapytała Trish.

– Dzwoniła i powiedziała, że może się trochę spóźnić.

Nie może wyjść, póki Ray nie wróci do domu, a miał jakiś nagły przypadek w szpitalu – odparła Cynthia. Poprawiła gumkę na włosach Lizy, delikatnie pogładziła plecy Julie.

– Do domu? – Elizabeth uniosła brwi. – Nie wiedziałam, że mieszkają razem.

– Tak. Dom Riny to teraz także dom Raya. – Donna powiedziała to z pełnym spokojem i niemal rozbawieniem. – Chociaż przypuszczam, że za kilka miesięcy będą szukali większego mieszkania. Po ślubie – dodała. – Zamierzają się niedługo pobrać.

– A ty? Czy ty się z tym godzisz? – zapytała Elizabeth; ciekawość zwyciężyła udawaną obojętność.

Jen odwróciła wzrok ze wstydem. Po jej siostrze można się spodziewać tak bezpośrednich pytań, choć jasne było, że wszystkie się nad tym zastanawiają.

– Tak – odparła cicho Donna. – Już się godzę. Na początku było ciężko, ale teraz się cieszę. Cieszę się, że mają się nawzajem.

W pewnym sensie opiekowałam się Riną od czasu, kiedy mieszkaliśmy razem w college'u. To dla mnie ważne, że teraz Rina może polegać na Rayu. To wspaniały człowiek. Świetnie radzi sobie z Jeremym, będzie idealnym mężem i prawdziwym ojcem. On uwielbia jej opowieści, fantazje. Kocha Rinę. Oczywiście nie powiem, że nie czułam się odstawiona, kiedy zaczęli się spotykać na poważnie. Nie jestem święta, a Ray i ja byliśmy ze sobą dość długo, mimo że wiedzieliśmy, iż każde z nas ma też innych partnerów. Nigdy nie rozmawialiśmy o trwałym związku. Rozumieliśmy, że nie jest nam to pisane. To był cios tylko dla mojego ego, więc szybko się pozbierałam. Teraz czuję się z tym dobrze. To znaczy, że mogę zająć się własnym życiem bez poczucia winy. – Donna dołała sobie wina. – Za życie bez poczucia winy. – Uśmiechnęła się, wznosząc toast.

– Za życie bez poczucia winy – powtórzyły jednogłośnie; w tej samej chwili znów rozległ się dźwięk kołatki i Mae ruszyła do drzwi, powłócząc nogami.

To była Rina, z zarumienionymi policzkami i włosami zburzonymi przez wiatr, obładowana książkami i reklamówkami. Wyplątała się z jasnopomarańczowego szala i przeprosiła je zdyszonym głosem. Ray się spóźnił, nie mogła złapać taksówki i biegła przez całą drogę od przystanku autobusowego. Przekopała swoją dużą płócienną torbę w poszukiwaniu dwóch kolorowych paczuszek, które podała dziewczynkom.

– To od Jeremy'ego – powiedziała. – Podpórki do książek. Zrobił je na zajęciach praktycznych. A to komplet dla Adama.

Trzecią paczkę podała Elizabeth, która przyjęła ją w oszołomieniu. Adam rzadko dostawał prezenty. Jej palce przebiegły po papierze w szkocką kratę w geście wyrażającym zdumienie, że jej syn został uwzględniony.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję. I podziękuj Jeremy'emu – powiedziała.

Dziewczynki rozerwały papier i pokazały wszystkim wycięte z jasnego drewna i nierówno polakierowane trójkąty.

– Super – oświadczyła Liza.



– Śliczne – zachwyciła się Julie.

– Idźcie na górę i postawcie je w swoim pokoju. I weźcie ze sobą te wspaniałe narcyzy od Jen. A potem umyjcie zęby i kładźcie się. Ale najpierw buziaki. Dla wszystkich.

Cynthia była, jak zawsze, zarazem stanowcza i łagodna.

Dziewczynki wydeły wargi, po czym posłusznie obeszły cały pokój. Pocałowały przyjaciółki mamy, a potem popędziły na górę, ściskając prezenty. A one przyglądały się ich hałaśliwej wspinaczce z podziwem dla matczynej władzy Cynthia. Uśmiechnęły się do niej; każda zauważyła, jak jest odprężona, z jakim wdziękiem wstała z fotela.

– Głodne? – zapytała Cynthia i poprowadziła je do jadalni.

Na ten wieczór, ich ostatnią kolację przed wakacjami, zamówiła wiosenne menu. Na każdej kwiecistej podkładce pod nakrycie stała miseczka z przyprawioną curry zupą z groszku na zimno. Na stole był też łosoś z wody, sałata z ogórkiem, ryż z szafranem i pieczony koper włoski. Przyjaciółki jak zwykle jadły z zapalem, ich śmiech i głosy unosiły się nad brzękiem sztućców i szkła, kiedy podawały sobie półmiski. Mae zebrała talerze po zupie i dołała wszystkim wody i wina z właściwą jej sprawnością i opryskliwością. Jak zawsze, powstrzymywały się od rozmowy o książce i autorze podczas posiłku. Kolacja to czas na nadrobienie zaległości. Zbliżało się lato. Musiały opowiedzieć o swoich planach wakacyjnych. Rina i Ray zdecydowali się na wycieczkę do Pacific Northwest. Nie mówiła o miesiącu miodowym, a one o nic nie pytały.

Elizabeth i Bert wybierali się do Francji, na ich pierwszą zagraniczną wycieczkę, pierwsze prawdziwe wspólne wakacje. Doktor Theobald uznał, że mogą bez obaw zostawić Adama, może nawet okazać się to dla wszystkich korzystne, a ich sytuacja materialna poprawiła się.

– To rodzaj próby – oświadczyła Elizabeth ze szczerością, która żadnej nie zdziwiła. – Chcemy się przekonać, czy może nam się ułożyć, czy jest szansa, żeby nam się ułożyło, może żebyśmy się nawzajem poznali. Na nowo. – Studiowała talerz zjedzeniem,

którego prawie nie tknęła.

Skinęły głowami, patrząc w talerze. Uważały, że to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. W końcu Bert tak sprawnie zajął się wszystkim, kiedy zmarła jej matka. Tak spokojnie stał obok Adama na pogrzebie. Nic nie było przesadzone, a zdawało się, że zarówno Elizabeth, jak i Bert się starają. Wszystko się zmienia. Związki się zmieniają. Tego się nauczyły. Cynthia spojrzała na Elizabeth, jakby chciała ją o coś zapytać, ale się nie zdecydowała, tylko splatała i rozplatała palce rąk.

Jen i Ian zaplanowali wycieczkę do Meksyku.

– Jeśli wystawa przyniesie sukces – powiedziała. – Ian bardzo chciałby tam malować, a ja zamierzam popracować nad dalszą częścią mojej *Loterii*.

– Ale wszystko wskazuje na to, że będzie dobrze – zauważyła Trish. – Kiedy kupowaliśmy nasz obraz, człowiek z galerii powiedział, że wiele płócien z wystawy już zostało sprzedane.

Jen skinęła głową.

– Wiem, ale chyba zbyt długo prowadziliśmy niespokojne życie, żebyśmy byli czegokolwiek pewni. Chociaż pewność chyba zagościła w naszym związku – dodała.

Słowa, których nie wypowiedziałyby kilka miesięcy temu, teraz przyszły jej z łatwością.

Trish opowiadała o domu, który znaleźli w Berkshire.

– Osiemset metrów kwadratowych ziemi i ganek wokół domu – stwierdziła radośnie. – Będziecie musiały nas odwiedzić. Razem. Wybierzemy się do Mount, oddamy cześć duchowi Edith Wharton. Ustalmy datę. Może w sierpniu.

Donna ostrożnie położyła sobie na talerzu łyżkę ryżu.

– Dla mnie sierpień odpada – powiedziała. – Będę wtedy mieszkać w Waszyngtonie. Dostałam dziś wiadomość, że przyznano mi grant i będę pracować w Narodowym Instytucie Zdrowia.

Przyjaciółki wpatrywały się w nią ze zdziwieniem.

– Nie wiedziałam, że zamierzasz przeprowadzić się do Waszyngtonu – zawołała Cynthia. – Czy to nagła decyzja?

– Nie. Myślałam o tym przez cały rok. W pewien sposób wiąże się to z tym, co przeczytałyśmy, z naszymi spotkaniami. Każda lektura, każdy autor, którego omawiałyśmy, wszystko to doprowadziło mnie do wniosku, że muszę zmienić swoje życie, zanim ono zmieni mnie – dobierała słowa bardzo ostrożnie. – Zrozumiałam, że być może za pięć czy za dziesięć lat nagle zadam sobie pytanie, dlaczego nie wprowadziłam zmian, o których myślałam, dlaczego pozostałam bezczynna, kiedy mogłam pójść do przodu. Wiedziałam, że muszę dokonać wyboru. Nie mogłam pozwolić, by matka decydowała za mnie. Jak napisała w swojej książce Nafisi, każdy musi dokonać własnego wyboru. Myślę, że te miesiące, począwszy od naszej kolacji z Anną Kareniną, z różnych powodów stały się dla każdej z nas czasem wyborów i zmian.

Przyjaciółki milczały; wspominały tamten wieczór, rzeźkość jesiennego powietrza, przyjemność płynącą z ponownego spotkania w tym pięknym wnętrzu po długiej wakacyjnej przerwie. A potem ich przyjemność została zakłócona, spokój zburzony słowami Cynthii, tak nieoczekiwanymi i druzgoczącymi. Jej doskonały świat, stworzony z piękna i dobrobytu, utrzymany dzięki szczodrości i ostrożności, w tajemniczy sposób legł w gruzach z hukiem, który wstrząsnął kruchą budowlą ich związków, odsłonił ich słabe punkty.

Oglądały te słabości przez pryzmat zmieniających się pór roku, książek, które przenikały ich życie i nawiedzały je w snach. Przez te wszystkie miesiące czytały tak, jakby były tkaczkami snującymi nici narracji na krosnach wyobraźni. Wymieniały się kolorami i wzorami, przekazywały sobie nawzajem fragmenty różnobarwnych gobelinów, których same nie potrafiły ukończyć. Spierały się o rozwój akcji i bohaterów, symbolikę i motywy. Ich wartkie dyskusje i nagłe spostrzeżenia sprawiały, że fikcja stawała się pełna życia. Czytając do późna, przemyślały swoją rzeczywistość, swoje pragnienia do świata literackiej wyobraźni, ale w końcu to nie wystarczyło.

*W ten wiosenny wieczór, kiedy zebrały się przy talerzach*

przybranych pietruszką i różowozłotych tulipanach pośrodku stołu, wciąż pozostawało wiele pytań. Donna powiedziała prawdę o nich wszystkich. Przez te długie miesiące ciągle zastanawiały się nad Cynthią i Edkiem, ale też nad sobą – dokonywały własnych wyborów, zmian.

Okno było otwarte i w pokoju powiało lekkim wiosennym wiatrem. Wysokie kwiaty zadrżały, a biesiadniczki się uśmiechnęły.

Cynthia wstała.

– Czas na *Małe kobiety* – powiedziała i poprowadziła przyjaciółki do salonu.

Z ulgą, że uwolniły się od czaru wspomnień, powyciągały książki i usiadły w zwyczajowym kręgu. Poczekają, aż Mae poda kawę i ustawi tace z ciastkami i świeżymi owocami na niskim okrągłym stoliku. Dopiero kiedy wyszła, skupiły uwagę na Cynthii, która otworzyła zeszyt, obłożony pięknym bladoniebieskim płótnem, o grubych kartkach w kolorze kości słoniowej pokrytych jej ulubionym fioletowym tuszem.

– Muszę wam wyznać – powiedziała, – że wybrałam *Małe kobiety* z pobudek egoistycznych. Chciałam przenieść się z powrotem do dzieciństwa, kiedy to czytałam je w kółko. Myślę, że niektóre fragmenty znałam nawet na pamięć. Co noc, leżąc w łóżku, udawałam, że jestem inną z sióstr. Byłam rozpieszczoną Amy, łagodną Beth, niegrzeczną Jo i opiekuńczą Meg. Marchówny miały takie życie, jakiego pragnęłam. Dzielnego ojca, pełną zrozumienia i poświęcenia matkę, pełen miłości dom. Uczciwi idealisci z Nowej Anglii. Wszyscy w rodzinie byli dokładnie tacy, jakie sprawiali wrażenie. Żadnych oszustw, żadnej maskarady.

– Ja robiłam to samo – wtrąciła Donna. – Wyobrażałam sobie siebie w roli każdej z sióstr. Gdy Beth umierała, sama ćwiczyłam umieranie. Mówiłam szeptem i posypywałam twarz zasypką dla niemowląt, żeby się upodobnić do konającej Beth, wymizierowanej i bladej, zbyt słabej, by podnieść igłę. Mama śmiała się ze mnie i mówiła, że nie jestem zbyt słaba, żeby ubić

parę jajek na suflet, który musi dostarczyć na czyjaś uroczystą kolację. Ale powiedziała mi, że ona też płakała, kiedy Beth umarła, i wydaje mi się, że w końcu wymigałam się od ubijania tych jajek.

Skinęły głowami. Wszystkie płakały, kiedy Beth umarła. Ten żal napawał je dumą. Naznaczył je jako czytelniczki, przekazał każdej z nich DNA przeczytanej książki.

– Kiedy teraz o tym myślę – ciągnęła Donna – zdaję sobie sprawę, że byłam nie tyle zakochana w Beth, co zaintrygowana śmiercią. Dziecięcy romantyzm, jak zapewne powiedziałyby Trish.

Zaśmiała się z żalem i kpiącym współczuciem dla siebie dziewczęcej.

– Ale Louisa May Alcott w gruncie rzeczy nie miała w sobie nic romantycznego – powiedziała Cynthia. Zerknęła do swojego zeszytu. – Pisała, żeby zarobić na utrzymanie rodziny. Ta szczęśliwa fikcyjna rodzina, której tak zazdrościłam, w niczym nie przypominała prawdziwej rodziny Louisy. Ojciec, Bronson Alcott, był szaleńcem, tak skupionym na transcendencji prawdziwego świata, że nie zauważył, iż jego dzieci głodują, a żona jest na najlepszej drodze do załamania nerwowego. Był kombinatorem, pożyczał pieniądze od kogo tylko mógł – od krewnych żony, od Ralphi Walda Emersona, od Margaret Fuller. Przeprowadził się ze swoją biedną rodziną do Fruitlands, czegoś w rodzaju zbiorowego gospodarstwa niedaleko Concord, gdzie praktycznie zagłodził ich na śmierć. Na śniadanie dostawali wafel, kawałek jabłka i szklanek zimnej wody, a pozostałe posiłki nie były wiele lepsze. Musieli wyznawać filozofię Charlesa Lane'a, jego szalonego angielskiego mentora, który zmuszał dziewczyny, by brały lodowate prysznic i nosiły płócienné buty, bo skóra była zabroniona. Najwyraźniej uważał, że życie zwierząt to większa świętość niż zdrowie dzieci. I oczywiście robiło się coraz gorzej.

Westchnęła i podniosła wzrok znad notatek.

– Gdyby żył dzisiaj, zajęłaby się nim opieka społeczna – powiedziała mrocznie Elizabeth.

Pochyliła się do przodu i wzięła miniaturową ekierkę, po czym wsypała sobie cukru do kawy. Jen spojrzała na nią ze zdziwieniem. Elizabeth niemal nigdy nie jadła deserów, nigdy nie słodziła kawy. Ale oczywiście był to czas zmian i wyborów. Uśmiechnęła się do siostry.

– To ciekawe, że w *Małych kobietkach* ojciec jest praktycznie nieobecny – powiedziała w zamyśleniu Rina. – Ojciec Sylvii Plath, który zmarł, gdy miała osiem lat, wielokrotnie pojawia się w jej wierszach i dziennikach.

– Porównywanie Alcott i Plath to jak porównywanie jabłek i pomarańczy. Inne czasy, inne gatunki – rzuciła śmiało Elizabeth.

Zawsze były pełne szacunku dla spostrzeżeń Riny. W końcu pracowała naukowo, pochłonięta przez te wszystkie lata niedokończonym doktoratem, i nawet zaczęła pracę nad własną książką. Jednak tym razem zgadzały się z Elizabeth. Niezrażona, Rina ciągnęła dalej.

– Alcott to pisarka, która czerpie z własnego życia, z własnych doświadczeń. Jej siostry znajdują się w jej książkach; oczywiście są wymyślone na nowo, ale jest jasne, że to one. W opisach starego pana Laurence’a można dostrzec szczodrość i dobroć Emersona. Marmisia to wyidealizowany portret matki, Abby Alcott. Ale nie ma żadnych odniesień do Charlesa Lane’a, choć z całym swoim okrucieństwem i ekscentrycznością byłby świetną postacią. Myślę, że to przypadek zaprzeczenia. Louisa nie chciała przyjąć do wiadomości, że relacje jej ojca z Charlesem Lane’em prawdopodobnie mają podtekst seksualny.

Spojrzały na nią ostro, na nowo spięte. Przekroczyła niewidzialną granicę. Trish zarumieniła się ze złości. Rina zachowała się nietaktownie, poruszając temat homoseksualizmu w świetle ich podejrzeń wobec Erica. Pomyślała o młodym człowieku, którego widziała z nim w kawiarni kilka miesięcy temu, i przypomniała sobie sympatię, jaką dojrzała w oczach Erica, kiedy na niego patrzył. Zdziwiło ją, że Jen nie wygląda na zdenerwowaną komentarzem Riny, że wciąż przegląda biografię Louisy autorstwa Edny Cheney w poszukiwaniu odpowiedniego

fragmentu. Trish przepełniał wstyd za nie wszystkie i współczucie dla Cynthii.

Ale Cynthia zareagowała ze spokojem graniczącym z rozbawieniem.

– Nie wydaje mi się, żeby takie słowo jak homoseksualizm w ogóle istniało w słownictwie Alcott. Pamiętajcie, w jakich czasach żyła. Jeśli nawet ludzie je rozumieli, to na pewno o tym nie mówiono, a już z całą pewnością nie przy kobietach i dzieciach, choćby się wydawały najbardziej wyemancypowane. A członkowie rodziny Alcottów mogli być intelektualistami, ale z pewnością nie należeli do ludzi światowych. To prawda, że Louisa, jej starsza siostra Anna i ich matka martwiły się o wpływ Lane'a na Bronsona. Miary dopełniło naleganie Lane'a, by przyjaciel odciął się od rodziny, porzucił Fruitlands i przyłączył się do społeczności szejkerów, gdzie wszyscy przestrzegaliby celibatu i żyli długo i nieszczęśliwie.

– Ale tak się nie stało – powiedziała Jen. Znalazła w biografii Cheney fragment, którego szukała, i streściła go.

– Jak widać odbyło się spotkanie rodzinne, Abba i Bronson, Louisa i Anna. Razem postawiły Bronsonowi ultimatum. Gdyby przeniósł się z Lane'em do szejkerów, Abba by się z nim rozwiodła.

– Czyli to, co dziś w języku terapii rodzinnej nazwalibyśmy interwencją – stwierdziła sucho Trish. – Trauma dla dzieci. No i oczywiście ultimatum to zawsze trudna sprawa, nawet jeśli skutkuje. Czy należy próbować ocalić małżeństwo, trzymając jedną ze stron na celowniku?

– Są małżeństwa, których w ogóle nie powinno się podtrzymywać – powiedziała Donna. – Niektóre małżeństwa funkcjonują tylko formalnie. Czy moja matka naprawdę miała męża? Och tak, była lojalna i pełna poświęcenia, wszyscy podziwiali jej odwagę, ciężką pracę, ale tak naprawdę była opiekunką, a nie żoną. Tak samo jak Abba Alcott.

Utkwiła wzrok w zdjęciu Bronsona Alcotta w swojej książce i westchnęła. Jedyne zdjęcie ojca, jakie miała, zostało zrobione w

dzień ich ślubu, przed jej narodzinami, przed Koreą i jego chorobą.

– Rozumiem, czemu moja matka prowadziła takie życie, ale myślę, że wykazałaby się większą odwagą, gdyby dokonała innego wyboru. Powinna była rozwieść się z ojcem. On był chory, nieuleczalnie chory, a ojciec Louisy to równie beznadziejny przypadek. Był samolubny, obojętny i, tak jak mój ojciec, nigdy nie przewyciężył egoizmu i obojętności. Na koniec jeszcze ją zdradził, co niejako podważa teorię Riny na temat jego orientacji seksualnej. Tak czy owak, uważam, że niezależnie od spotkania rodzinnego matka Louisy powinna była go opuścić i zabrać ze sobą swoje cenne małe kobietki.

Donna zamknęła z hukiem książkę i sięgnęła po truskawkę. Sok nadał jej ustom czerwony odcień.

– Mówimy o dziewiętnastym wieku. Rozwód nie był wtedy taką prostą sprawą – zauważyła Rina.

– I wciąż nią nie jest – zgodziła się Elizabeth. – Ponosi się konsekwencje ekonomiczne. Rozwód kosztuje.

Wpatrywały się w swoje książki. Wiedziały o separacji Elizabeth i Berta w czasie jej ciąży i rozumiały, czemu się pogodzili, gdy Adamowi postawiono diagnozę. Konieczność finansowa. Nie było pieniędzy na dwa domy, jeśli mieli zagwarantować synowi właściwą opiekę, dać mu każdą szansę, choćby jego stan wydawał się beznadziejny. W tej jednej kwestii zawsze się zgadzali.

– I zdarza się, że jeśli małżonkowie dadzą sobie wystarczająco dużo czasu, ich związek, nawet naprawdę fatalny, może zacząć funkcjonować.

Elizabeth zarumieniła się, ale mówiła dalej, zbyt szybko wyrzucając z siebie słowa.

– I zawsze ma to wpływ na dzieci.

Teraz jej słowa padały wolniej. Wkroczyła na bezpieczne terytorium doświadczenia zawodowego.

– Te dzieciaki z rozbitych rodzin, które spotykam w pracy, są pełne złości, dręczone poczuciem winy, mają niską samoocenę,



słabe wyniki. Przychodzą do mnie, gdy starają się o przyjęcie do college'u, i ich oceny stanowią problem. Czasem są rozdarte między dwoma domami, mają nieład w podręcznikach i pracach domowych, podlegają różnym wymaganiom w kwestii nauki, co oznacza, że nie stosują się do żadnych zasad. Rozwód poważnie odbija się na dzieciach.

– Jak i kiepskie małżeństwa – odparła ze złością Jen. – My obie powinnyśmy o tym najlepiej wiedzieć.

– Każda sytuacja jest inna – głos Cynthii drżał. – Tak jak każde małżeństwo jest inne. No, wiecie, szczęśliwe rodziny, nieszczęśliwe rodziny i tak dalej. A może i każdy rozwód.

Zamilkła, po czym rozejrzała się po pokoju, po tej pięknej przystani, jaką stworzyła dla swojej rodziny i przyjaciół; patrzyła na miękkie dywany, kolorowe poduszki i łagodne światło lampy, świeże kwiaty w zgrabnych wazonach, które poprzywoziła przez te wszystkie lata z tak wielu różnych krain. Jej oczy zatrzymały się na oprawionym w srebrną ramkę zdjęciu rodzinnym zrobionym na pokładzie żaglowca. Oboje z Erikiem przytulają na nim Lizę i Julie, a słońce opromienia ich twarze śmiejące się do wiatru. Przyjaciółki patrzyły, jak kurczowo trzyma swój zeszyt, zamyka go i otwiera.

Czekały. Mae weszła ze świeżym dzbankiem kawy. Szepnęła coś Cynthii, która skinęła niecierpliwie głową.

– Zostaw wszystko na ladzie – powiedziała. – Zajmę się tym.

Odzyskała panowanie nad sobą i uśmiechnęła się do nich przepraszająco.

– Dobrze. Wróćmy do Alcottów. W obronie ojca Louisy trzeba powiedzieć, że niezależnie od wszystkich jego wad, a przyznaję, że miał ich mnóstwo, nigdy niczego nie ukrywał. Był szczery. Powiedział żonie o naciskach Lane'a, żeby przyłączyli się do szejkerów. Powiedział jej o tym, że stracił pieniądze. Powiedział jej, kiedy zakochał się w innej kobiecie. Nie był człowiekiem godnym podziwu, ale jego szczerość graniczyła z pewnego rodzaju prawością, i szczerość to cecha, którą Louisa podkreślała w swoich utworach, którą sobie ceniła. Pamiętajcie, jak Amy

popada w kłopoty w szkole z powodu tych marynowanych cytrynek...

– Ach, te marynowane cytrynki! – wykrzyknęły, niemal jednocześnie, a potem zaczęły się śmiać z tego, że wszystkie tak dobrze pamiętają ten epizod. Uwielbiały te chwile, kiedy znajdowały wspólny język, kiedy łączyły je te same wspomnienia i tak samo na nie reagowały. To umacniało więzy ich przyjaźni, cenną wspólnotę, siostrzane uczucia obudzone przez życie i literaturę.

– Wyobrażacie sobie, jak one smakowały? – zapytała Cynthia i skrzywiła się. – Na pewno pamiętacie, że kiedy nauczyciel Amy pyta ją wprost, czy dała mu wszystkie cytrynki, ona odpowiada w ten dumny sposób, typowy dla rodziny Marchów, „Ja nigdy nie kłamię, proszę pana”. Jo mówi Lauriemu prawdę, choć jest ona bolesna, kiedy ten się jej oświadcza. No i oczywiście święta Beth nigdy w życiu nie skłamała. Nawet na łożu śmierci odważnie spogląda prawdzie w oczy. Prawda była dla Alcottów priorytetem. Może dlatego Louisa mogła wybaczyć ojcu – ponieważ niczego nie udawał, mówił otwarcie o wszystkim. Może pod tym względem była jak Sylvia Plath, która mogła wybaczyć mężowi zdradę, ale nie oszustwo.

– Ale literatura karmi się oszustwem – stwierdziła Donna. – Emma Bovary oszukuje i kłamię. Tak samo Anna Karenina. Myślisz, że Tołstoj i Flaubert opowiadali się za całkowitą szczerością w małżeństwie?

– Są przecież różne poziomy szczerości i czasem istnieją niekwestionowane powody, by nie mówić prawdy lub trzymać coś w tajemnicy – zaprotestowała Jen. – Decyzja, żeby czegoś nie ujawniać, niekoniecznie oznacza, że jest się współwinnym kłamstwa. Zwłaszcza gdy dana osoba podejmuje tę decyzję, bo nie chce kogoś zranić.

Cynthia spojrzała na nią ostro i podeszła do okna. Chwilę wpatrywała w noc, po czym znów się odwróciła.

– Tak czy owak – ciągnęła dalej Jen już słabszym głosem – muszę wam powiedzieć, że choć fajnie było znowu przeczytać

*Małe kobiety*, dla mnie to już trochę niestrawne. W tej książce jest za dużo dydaktyzmu. Za dużo słodyczy i jasności, dobroci i poświęcenia. I jest bardzo staroświecka. Jej lektura przypomina spędzanie czasu z przyjacielem, którego się przerosło. Biografie Alcottów znacznie bardziej mnie zaciękały. Wygląda na to, że wolę pisarkę niż jej twórczość. Przynajmniej na tym etapie mojego życia. A co wy myślicie?

Pokręciły głowami na znak zgody, niezgody. Ich odpowiedzi się zbiegały, słowa na siebie nakładały. Zgadzały się, że proza Alcott jest naiwna, a postaci nazbyt uproszczone. A jednak wszystkie czytały dalej i cieszyły się, kiedy Jo wreszcie poślubiła swojego nauczyciela niemieckiego. Zgodnie uznały też za szczęśliwą okoliczność, że kiedyś tak niewiele wiedziały o życiu autorki. To zniszczyłoby niewinność ich magicznej podróży do jej świata.

Ich głosy się unosiły, kiedy omawiały swoje ulubione sceny. Cynthia przepadała za opisem ślubu Meg. Trish mówiła tęsknie o spotkaniu Amy i Lauriego w Europie.

– Nie było to przypadkiem nieco naciągane? – zapytała zjadliwie Elizabeth.

– A kogo to obchodzi? – stwierdziła Trish i zaniósł się śmiechem.

Odpląnęły do czasów dzieciństwa, kiedy czytanie było magiczne, a poczucie samotności zniknęło, w miarę jak zafascynowane wertowały strony i zanurzały się głębiej i głębiej w fikcyjny świat literatury. Nie po raz pierwszy wymieniały się opowieściami o tym, jak czytały do późna w noc, głucho na groźby rodziców. Trzymały książki tak, by móc śledzić tekst przy snopie światła, który wkradał się do pokoju przez uchylone drzwi, lub przy rozproszonyj jasności lampy ulicznej, odbijającej się w oknie. Jen czytała przy świetle latarki, ukryta w namiocie z pościeli. Trish chowała książki pod łóżkiem, aby uniknąć docinków ze strony rodzeństwa. Rina układała własne szczęśliwe zakończenia i spisywała je w zeszytach, które ukrywała w szufladzie z bielizną.

Teraz zachwycała je niezależność, jaka przyszła wraz z kobiecością. Mogą czytać, kiedy chcą, do późnej nocy albo o świcie, ograniczane jedynie potrzebami rodziny czy zobowiązaniami zawodowymi. Lektura *Małych kobietek* wzbudziła w nich nostalgię i, przyznały, skłoniła je do odświeżenia sobie innych ulubionych lektur dzieciństwa.

Próbowały odzyskać tę bezpieczną przystań, fantastyczne schronienie, gdzie mogły uciec przed goryczą rodziców, gdzie nie dosięgało ich uczucie odrzucenia, nie spowijała ich niewytłumaczalna mgła młodzięczego smutku. Nieważne, że te przystanie teraz już nie wystarczały, bo przecież w końcu każda z nich dotarła do jakiegoś bezpiecznego portu.

Zdarzały się rozczarowania. Książki, które niegdyś tak lubiły, teraz je nudziły. Elizabeth, jeszcze kiedy była znacznie młodsza, nie znosiła *Małych mężczyzn*, a przeczytawszy po raz drugi, znienawidziła ich jeszcze bardziej.

– Nie jestem pewna, czy Alcott rozumiała chłopców – stwierdziła Rina, – Ale cóż ja mogę powiedzieć? Nigdy nie jestem pewna, czy rozumiem Jeremy’ego. Ale Ray świetnie go rozumie.

Zawahała się przez chwilę, po czym oznajmiła im to, co już wiedziały. Wkrótce pobiorą się z Rayem. Za jakiś miesiąc. Może dwa. Spotykają się z rabinem. Rina chciała, by jej małżeństwo było zakorzenione w tradycji. Przyjaciółki rozumiały, że dla niej „zakorzenienie” to kluczowe słowo.

– To wspaniale, Rino.

– Świetnie.

– Fantastycznie.

Wylewnie okazywały swoją radość. Ich śmiech i rozmowa wypełniły dom i obudziły dziewczynki, które stanęły teraz w drzwiach i przecierały zaspane oczy.

Cynthia zaproponowała, że pomoże Rinie kupić sukienkę.

– Albo może uda nam się ocalić coś ze ślubnej sesji zdjęciowej – powiedziała.

Zaśmiały się na myśl o artystycznej Rinie, królowej sklepów z używaną odzieżą, w sukni z Nightingale’s.

– Możesz urządzać wesele w naszym domu w Berkshire – stwierdziła Trish. – Myślę, że bez problemu pomieścimy z pięćdziesiąt osób.

– Czyja znam pięćdziesiąt osób? – zapytała Rina.

– A po co nam pięćdziesiąt? – odparła Jen. Nie potrzebowały pięćdziesięciu przyjaciółek, jedynie siebie nawzajem.

– Zrobię tort – zaofiarowała się Donna. – Już piekłam torty weselne. Pamiętajcie, że jestem córką specjalistki od cateringu.

Jen zerknęła na zegarek. Robiło się późno, a nie chciała, żeby Ian się martwił. Ta myśl – tak nowa dla niej, dla nich obojga – sprawiła, że się uśmiechnęła. Połączyła ich ta nowa potrzeba, by słyszeć nawzajem swój głos, upewniać się co do godziny powrotu i wyjścia drugiej osoby.

Wzięła swoją komórkę i wyszła do holu, ale przerwała wybieranie numeru, gdy usłyszała metaliczny odgłos klucza przekręcanego w zamku. Drzwi się otworzyły, weszli Erie i Paul i zamknęli drzwi za sobą. Erie strząsnął parasol i umieścił go w ceramicznym stojaku. Poruszał się lekko i swobodnie, jak mężczyzna, który wraca właśnie do siebie do domu i przychodzi prosto z deszczu. Paul zdjął kurtkę i przeczesał palcami wilgotną gęstwinę blond włosów, opadających na wysokie czoło tak jak u Erica.

Jen, która zaniemówiła ze zdziwienia, patrzyła, jak Cynthia do nich podchodzi. Zdała sobie sprawę, że Cynthia nie potrzebowała jej homilii na temat szczerości. Podjęła decyzję wiele dni, a może nawet tygodni wcześniej. Poczowała ukłucie złości i przypływ radości. Jej przyjaciele, Cynthia i Erie, zostali sobie zwróceni, i to się liczyło.

Erie pochylił się, by pocałować żonę, jego palce spoczęły na chwilę na jej karku. I wtedy przybiegły do nich Liza i Julie.

– Tatuś! Paul! – wykrzyknęły podekscytowane i wciągnęły obu do salonu. – Przyszli tatuś i Paul.

Kobiety uniosły się ze swoich siedzeń i uśmiechały się ze zdumieniem. Książki zsunęły się z ich kolan i opadły bezgłośnie na gruby dywan.

– Poznajcie Paula – powiedziała Cynthia. – Syna Erica. Skinęły głowami, a Paul podniósł dziewczynki i posadził je sobie na ramionach. Uśmiechnął się nieśmiało, kiedy Erie krążył po pokoju i ścisnął wszystkim ręce na powitanie. Znow stał się ich przyjacielem, gospodarzem, mężem Cynthia.

– Mae zostawiła wam kolację na ladzie – powiedziała Cynthia.

Żartobliwym ruchem ręki zagoniła ich, ojca i syna, do kuchni, a oni posłusznie uśmiechnęli się do jej gości i zniknęli; dziewczynki chichotały jak szalone, a na ich twarzach błyszczała radość. Ojciec wrócił do domu, miał brata, silnego i wesołego, który pojawił się w nagły i tajemniczy sposób, i pomoże im sadzić cebulki w ogrodzie ich letniego domu – i nikt nie kazał im wracać do łóżka. Cynthia zajęła na nowo swoje miejsce w kręgu przyjaciółek i czekała na pytanie, które – wiedziała – musi paść. Ciszę przerwała Donna.

– Nie wiedziałam, że Erie ma syna! – powiedziała.

– Ja też nie – odparła cicho Cynthia. – Aż do minionej jesieni. A teraz może będzie miał drugiego.

Złożyła ręce na lekkiej wypukłości swojego brzucha, ledwie widocznej pod fałdami jej zielonozłotej sukni; sekret Cynthia, dotychczas tak pilnie strzeżony, stał się teraz radosną nowiną.

Spojrzały na nią, najpierw ze zdumieniem, a potem z łagodnym zrozumieniem.

– Och, Cynthia! – Jej imię zostało wypowiedziane przez chór melodyjnych głosów.

Ich ręce się dotknęły, palce się splotły, jedna delikatna dłoń na drugiej. Siedziały w ciszy, wszystkie wątpliwości się rozwiały. Przyjaźń je połączyła, sprawiła, że ich serca i umysły otworzyły się na siebie nawzajem. Tyle już sobie dały, a dadzą jeszcze więcej. Uśmiechnięte, wsłuchiwały się w szmer drobnych kropel nagłego wiosennego deszczu na świeżej, delikatnej trawie, a potem pochylając się, zaczęły zbierać swoje książki, które przyciskały mocno do serca; pokój wypełniały odgłosy radości i śmiechu dwóch mężczyzn i dwóch małych dziewczynek.